

SPIS TRESCI

Ojciec nasz... /śpiewy nabożne polskie 1861/ _ _ _ 3

MŁODZIEŻ

Abp. H. Gulbinowicz - Młodzież polska
w obecnej rzeczywistości _ _ _ _ _ 4

W. Wyrwa - Polska młodzież a przyszłość kraju _ _ _ 28

TRADYCJA

E. Jabłońska-Deptuła - Rodzina w przekazywaniu etosu narodowego wczoraj i dziś _ _ 54

S.B. - Miętne - kartka z dziejów nowych
i najnowszych _ _ _ _ _ 82

SZKOŁA

S.Z. - Szkoła współczesna - wzory
i rzeczywistość _ _ _ _ _ 100

E.K. - Klasówka _ _ _ _ _ 123

SPÓR O POSTAWĘ

A. Grzegorzczak - Non-violence "po polsku" _ _ _ 129

W. Chudy - Postawa chrześcijanina
w dzisiejszej Polsce _ _ _ _ _ 146

A. Stanowski - Czym jest "non-violence" _ _ _ 164

ROZMOWY "SPOTKANIA"

E. Berberysz, T. Torąńska - Współbrzmienie
rozmowa z abp. H. Gulbinowiczem _ _ _ 172

POLACY W ZSRR

A. Pulikiewicz - Szkoła dla dzieci
polskich zesłańców _ _ _ _ _ 192

W OCZACH ZACHODU 206

N.Ascherson - W kierunku niezbadanego

obszaru 209

L.Weschler - Maj 1981 217

Rozmowa E.Berberyusz z N.Daviesem

"Zgubiło was powodzenie" 231

OD ZBRODNI DO FAŁSZERSTWA

Płk S.W. - Sprawa "Cienia"

/Bolesława Kowalskiego/ 243

KRONIKA 258

OJCZE NASZ

Ojcze nasz, któryś jest w niebie,
Ciebie z pokorą błagamy,
Ratuj Ojczyznę w potrzebie,
Wsparcia Twojego czekamy!

Święć się Imię Twoje wszędzie,
Nasz Stwórco, Ojcze i Panie,
Niechaj Polska wolna będzie
Wysłuchaj nasze wołanie!

Panie, przyjdź Królestwo Twoje,
Rozporządzaj sercy naszymi
Daj nam zawsze Łaski Swoje
Wszakeśmy dziećmi Twoimi!

Niechaj będzie Twoja wola,
Jak w niebie tak i na ziemi
Lecz ciężka nam ta niewola,
Której zniesienia żebrzemy.

A chleba nam powszedniego,
Daj dzisiaj, o Panie, prosimy,
Wszak my nie chcemy cudzego,
Niech tylko swoim żyjemy.

Daj nam go dziś i zawsze,
A my wiecznie będziemy chwalić
Twoje Rządy najłaskawsze,
Lecz tylko racz nas ocalić!

I odpuść nam nasze winy,
Bo my wrogom odpuszczamy
Niech tylko z naszej krainy
Wyjdą, o to Cię błagamy.

Nie wódź nas na pokuszenie,
Obce zdobywać narody,
Daj nam własne wyżywienie
I wewnętrznej udzieli zgody.

Ale nas zbaw ode złego,
Od niewolniczej sromoty
Od zdrajców kraju naszego,
Daj bojaźń Bożą i cnoty!

Spiewy nabożne polskie 1861, zeszyt
1, s. 7 - 8, w: Manifestacje warszawskie
w 1861 r. z dodatkiem "Spiewów naboż-
nych", Warszawa 1916, przedruk za:
Miłujcie nieprzyjaciół wasze. Miłość
nieprzyjaciół w Polsce. Nasza Rodzina,
numer specjalny 1983.

---XXX---

MŁODZIEŻ

arcybiskup Henryk Gulbinowicz POLSKA MŁODZIEŻ W OBECNEJ RZECZYWIS- TOŚCI

I. Wstęp

Zadany przez Komisję Episkopatu ds. Duszpasterstwa Ogólnego temat brzmi: "Polska młodzież w obecnej rzeczywistości". Jest to temat "rzeka". Lecz należy dziękować Panu Bogu, że zaczynamy go omawiać. Uważam, że zainteresowanie Kościoła tą grupą wiernych w Polsce ma niebagatelne uzasadnienie. A to dlatego, że młodzież:

1. Jest grupą społeczną liczącą prawie 18 mln obywateli naszego kraju, jak podaje J.Auleytner w swoim referacie "Bariery

ograniczające szanse młodzieży - próba diagnozy", maszynopis, 1982.

2. Wielu sądzi, że przez tę grupę społeczeństwa, jak przez pryzmat, najlepiej widać zasadnicze problemy społeczne i moralne narodu.

3. Młodzież kumuluje szczególnie potencjał wartości, którego znajomość staje się przydatna do pracy wychowawczej społeczeństwa.

4. Kościół w Polsce podjął pracę dążąc do odnowy moralnej. Towarzyszyć temu powinna praca organiczna, a ta zaczyna się od młodzieży. Dotyczy bowiem ideałów, które młodzież przyjmie za swoje własne zadanie życiowe i zacznie je realizować. Jeżeli nie trafimy do niej, wówczas odnowa moralna stoi pod znakiem zapytania.

Podczas omawiania tematu posłużę się pracami drukowanymi, przede wszystkim jednak wynikami badań społecznych przeprowadzonych przez instytucje świeckie, a więc niezależnie od Kościoła, które w okresie lat 1980-81 były dociekliwie prowadzone. Takich wnikliwych rozeznań niestety nie prowadzi Kościół w Polsce. Posłużę się też sondażami, jakie przeprowadziłem z księżmi, nauczycielami szkół średnich i wyższych, z internowanymi i byłymi więźniami politycznymi.

Zadanie, jakie przed nami postawiono, jest trudne, zwłaszcza gdy trzeba je zmieścić w jednym wykładzie. Mówię "przed nami", bo rozwiązania będziemy szukać wspólnie. Taka jest forma pracy Komisji Episkopatu ds. Duszpasterstwa Ogólnego. Swoje więc wystąpienie traktuję jako nieco obszerniejsze wprowadzenie do dyskusji. Ponadto rozwiązania trzeba szukać wspólnie

jeszcze dlatego, że nie idzie tu o rozwiązanie teoretyczne, lecz o kierunki i metody działania praktyczne nad odnową moralną młodych w naszej Ojczyźnie.

W "roku nadziei" mam gorącą prośbę, by poświęcić temu zagadnieniu, tzn. zagadnieniu sytuacji młodych w PRL, w niedalekiej przyszłości, całe spotkanie Komisji Episkopatu ds. Duszpasterstwa Ogólnego.

Uważam też, że nadszedł już czas, by Episkopat Polski przemówił do naszej młodzieży pełnym głosem, a nie tylko marginalnie, jak to miało miejsce dotychczas. Myślę o liście pasterskim, na który wielu z nich czeka z ogromną nadzieją, i o który moimi ustami prosi. Prosi o list, gdzie znajdą się wytyczne dla ich pracy nad sobą.

Nim rozwinę temat, chcę krótko powiedzieć, że staliśmy się świadkami przemian i niespodzianek, jakie sprawiła nam polska młodzież w ostatnich kilkudziesięciu miesiącach. Dokładnego określenia tych przemian i wszystkich niespodzianek nie zdążę dziś szczegółowo omówić. Postaram się ukazać tylko niektóre rysy, szczególnie młodzieży dorosłej. Położę nacisk na młodzież robotniczą i pracującą, ponieważ jestem głęboko przekonany, że to właśnie oni potrzebują dziś czynnej pomocy Kościoła.

Proszę nie oczekiwać ode mnie szczegółowej analizy postaw młodych na przestrzeni ostatnich trzydziestu siedmiu lat "realizacji socjalizmu w PRL". W przedkładanym temacie chodzi o ukazanie głównych potrzeb młodych, nie tylko na odcinku życia religijno-moralnego, ten uważam za najbardziej doniosły, ale też o udzielenie pomocy

tej licznej grupie narodu przez Kościół także w ich formacji humanistycznej oraz obywatelskiej w dobrym tego słowa znaczeniu.

Obecnie krótka charakterystyka respondentów, z którymi przeprowadziłem wspomniane sondaże.

a/ Niezupełnie wyczerpująco odpowiedzieli na sondaż księży. Prawdopodobnie rzeczywisty obraz przesłania im praca w konfesjonale, sali katechetycznej i utyskiwania rodziców na "trudne pokolenie młodych". Ponadto zauważyłem, że pewien procent księży w stosunku do młodych ma pretensje, że ostatnio podchodzi ona dość sceptycznie, a czasem nawet z niewiarą do wyjaśnień i pouczeń duchownych. Księża czują się taką postawą młodych urażeni i czasem "warczą" na nich. Stąd ich naświetlenia tematu bywają niepełne lub jednostronne i wymagają uzupełnień.

b/ Nieco większą wartość mają wypowiedzi nauczycieli szkół średnich. Mimo "stłamszenia" wymogami stawianymi dziś przez system, ich opinia o młodzieży polskiej Anno Domini 1982 jest pozytywna. Podkreślają oni, podobnie jak duchowni, dojrzałość patriotyczno-polityczną młodzieży i ich spokojną odwagę. Twierdzą, że młodzież nie jest załęczona różnymi formami gróźb i nacisków, jakie wobec nich stosują władze PRL. Nauczyciele szkół średnich twierdzą zgodnie, że nieprawdą jest, iżby NSZZ "Solidarność" wykorzystywał niedoświadczonych młodych do działań powodowanych przez emocje, jakie miały miejsce w roku 1982. Co najwyżej mogły być tylko sporadyczne wypadki angażowania młodych przez poszczególnych członków podziemia NSZZ "Solidarność". Choć i na to ostatnie przypuszczenie nie ma rzeczowych dowodów. Grupy młodych

same dochodziły do wniosku, że trzeba działać, że od nich też historia wymaga, by opowiedzieli się po słusznej stronie. Nie czas, by na tym miejscu odpowiadać np. na pytanie, czy młodzież szkół średnich zdawała sobie sprawę z następstw takiego działania. Sądzić należy, że najprawdopodobniej nie zawsze. W rozmowie z młodymi można wyciągnąć jeden wniosek, że nie mogli i nie chcieli milczeć. Że nie mogli się oprzeć potrzebie zainicjowania, ujawnienia swoich uczuć i przemyśleń. Na mój skromny użytek określam ich postawę zwrotem używanym w teologii; tam mówimy sentire cum populo. Za takie "myślenie z narodem" naszej polskiej młodzieży w okresie ostatnich paru lat, powinniśmy być Panu Bogu ogromnie wdzięczni.

c/ Jeszcze więcej danych w sondażu na temat młodzieży szkół wyższych podali nauczyciele akademicki. Według ich oceny tych, którzy "myślą i czują z narodem" jest na wyższych uczelniach PRL od 85% do 90%. Jednakże stopień zrozumienia sytuacji u młodzieży akademickiej nie jest jednakowy. Z tego też powodu jej zaangażowanie się w działalność społeczną i polityczną w minionym roku, jak zobaczymy niżej, było rozmaite. Natomiast zarówno księża, jak nauczyciele szkół średnich i wyższych, mają niepełne rozeznanie na temat młodzieży robotniczej i wiejskiej. Uzupełnili ten brak swoimi relacjami dotyczącymi znajomości młodzieży robotniczej internowanej i byłych więźniów politycznych roku 1982. W więzieniu zetknięcie się z młodym robotnikiem miało specyficzny charakter i dawało szczególną sposobność "przybliżenia się" do ich spraw. Naświetlają one szeroki wachlarz problemów

polskiej młodzieży robotniczej, poczynawszy od polityki, poprzez sprawy ekonomii, sprawy wiary, etyki i moralności.

II. Próba charakterystyki środowisk młodzieżowych

Przy charakteryzowaniu nawet części społeczeństwa, a więc i polskiej młodzieży, należy unikać generalizowania - "cała", "wszystka" itp., ponieważ młodzież i jej postawy nie są jednorodne. Istnieją różne grupy i środowiska mniej lub więcej dynamiczne, zmienne, podzielone wiekiem, pochodzeniem społecznym, charakterem szkół. Postawa młodzieży zależy także od regionu, w którym ona żyje. Można jednak w sposób uzasadniony mówić o dominantach, czyli cechach i relacjach przeważających, a więc zbliżonych do powszechnych. Dlatego w moim przekonaniu, należy wyróżnić co najmniej cztery istniejące obok siebie środowiska młodzieżowe. Są to:

- środowisko miejskich szkół średnich,
- środowisko szkół wyższych,
- środowisko robotnicze lub ogólniej pracownicze,
- środowisko wiejskie.

Młodzież szkół średnich

Według posiadanego rozeznania środowisko miejskich szkół średnich okazało się najbardziej jednolite. Wynika to z faktu, że poszczególne jednostki wyrastają w zbliżonych warunkach i łączy je więź codziennych szkolnych i pozaszkolnych spotkań. Oczywiście i tu spotyka się odmienne postawy wobec istniejącej rzeczywistości, ale ogromna większość ma do niej stosunek nie tylko krytyczny, ale wręcz wrogi. Ograniczona możliwość

czynnego działania oraz hamujący wpływ domów rodzinnych sprawia, że młodzież ta nie prowadzi zorganizowanej działalności społeczno-politycznej. Swoje poglądy najczęściej wyraża w odmowie współuczestnictwa w oficjalnych poczynaniach narzucanych przez władzę oraz poprzez demonstracje o póldziecinny czasem charakterze. Np. młodzież szkół średnich, a nawet były wypadki, że i szkół podstawowych, sprawiła władzom i obserwatorom dużą niespodziankę, bo w manifestacjach w roku 1982 niemal przodowała w czynnych konfrontacjach ulicznych z MO, ZOMO i w solidarnych protestach w szkołach. Protesty owe przybierały różne formy, np. bojkotu nauczycieli popierających stan wojenny, ubierania się w symbole żałoby, zachowania milczenia na pauzach, zadawania trudnych pytań, malowania haseł itp. Zauważmy - obecny system PRL wychowywał uczniów posłusznych, a oni okazali się myślącymi.

Należy przypuszczać, że przedłużanie się aktualnej sytuacji doprowadzi do stosunków żywo przypominających atmosferę szkół w okresie zaborów z wszelkimi formami samokształcenia, protestu i oporu, jakie przekazują nam opisy szkół, zwłaszcza w zaborze rosyjskim przed rokiem 1917. Oczywiście formy te będą nieco odmienne i sposób wypowiedzania bardziej wyartykułowany, ale główny wzorzec będzie zapewne identyczny.

Życie religijno-moralne tej grupy pozostawia sporo do życzenia. Najlepiej sprawują się na tym odcinku grupy związane z oazami, ministranci członkowie zespołów liturgicznych. Lecz procent ich w ogólnej masie młodzieży szkół średnich jest nieznaczny. W niektórych klasach dochodzi

do 15%, a są klasy, gdzie nie ma czasem 5%.

Poważnym zagrożeniem dla młodzieży szkół średnich są narkotyki. Władze prawie nic na ten temat nie publikują w środkach masowego przekazu. Lecz jak powszechnie wiadomo, w aglomeracjach miejskich nie ma szkoły nawet podstawowej, gdzie by nie było tego rodzaju ekscesów. Co gorsza, nawet małe miasteczka nie są od tego zła wolne.

Udział młodzieży szkół średnich w katechizacji jest nam znany. Młodzież liceów ogólnokształcących w wielkich miastach rzadko przekracza 60%. Lepszy jest udział młodzieży szkół średnich w małych miasteczkach. Natomiast szkoły zawodowe nie przekraczają 35% do 40%. Przyczyny tego stanu rzeczy znamy.

Duszpasterze stwierdzają, że obniża się procent przystępujących do sakramentów św. Lekką poprawę zauważono w końcu 1981 i w 1982 roku.

Młodzież akademicka

Młodzież akademicka jest znacznie bardziej zróżnicowana. Jest też znacznie bardziej zarażona postawą "trzeba się w życiu ustawić i zabawić". Było to zresztą widoczne w studenckim indyferentyzmie między sierpniem 1980 a grudniem 1981 roku. W owym okresie aktywność środowiska była dziełem grup stanowiących zdecydowaną mniejszość. Obecnie wyróżnić można następujące postawy:

a/ Niewielka grupa, około 12-15%, stoi na stanowisku, że wierność ideałom wymaga kontynuowania aktywnego oporu wobec władz. Z niej rekrutują się studenci działacze podziemia, choć w studenckich organizacjach podziemnych działa aktywnie

tylko część z nich. Ci właśnie studenci gotowi są zaryzykować - często bardzo wiele - nie tylko dla uzyskania autentycznych zdobyczy, ale nawet dla samego zademonstrowania swojej postawy. Wśród nich jednak prawie nikt nie wierzy w szybkie zwycięstwo dobrej sprawy.

b/ Ogromna grupa przeciwników obecnej rzeczywistości, około 85%, zrezygnowanych i w jakimś sensie pogodzonych z przekonaniem, że "nic się nie da zrobić".

Z tej grupy rekrutują się ci, którzy chcą wesoło i bez kłopotów przejść przez studia. Oni to chcą jak najlepiej przygotować się do zawodowego startu, a przede wszystkim - jeśli to tylko możliwe - wyjechać na wiele lat za granicę. Ludzie ci nie dadzą się namówić do żadnych form aktywności proponowanych przez władzę, ale też raczej nie zechcą zaryzykować demonstrowania sprzeciwu i oporu. Choć ci sami studenci mogą być uczestnikami zbiorowej demonstracji na fali chwilowej emocji, to jednak długotrwałego ich działania nie można oczekiwać.

c/ Zupełnie znikoma grupy, 2-3% ludzi na wyższych uczelniach, popiera obecną rzeczywistość z przekonania lub dla kariery. Ludzie ci nadal są "przyczajeni", lękają się ostrej reakcji środowiska, gdyby zaczęli bardziej radykalne działanie. Często starają się odgrywać rolę "konstruktywnych opozycjonistów", chcąc pozyskać część ludzi ze zrezygnowanej większości.

Młodzież robotnicza

Jest to najliczniejsza grupa młodych w Polsce. To ona poparła zdecydowanie NSZZ "Solidarność" i złożyła daninę krwi w rozruchach roku 1982.

To spośród niej najwięcej odsiaduje wyroki wydane na podstawie dekretów stanu wojennego oraz zapełnia obozy wojskowe. Ponadto charakterystyczną cechą młodzieży robotniczej jest jej nieustabilizowanie zawodowe, rodzinne, mieszkaniowe. Rzutuje to w sposób istotny na jej postawy, z których najpowszechniejsze są:

a/ Większość - około 60% - to skrajnie radykalni przeciwnicy obecnej rzeczywistości. Nie wierzą w skuteczność jakichkolwiek pertraktacji i porozumień. Są za otwartą konfrontacją, choć nie zawsze mają odwagę zgłosić do niej osobisty akces. Są to zwolennicy działalności podziemnej o zasięgu ogólnokrajowym.

b/ Spora grupa, bo około 30% zrezygnowanych przeciwników władzy, którzy machnęli ręką na wszelkie problemy społeczne znajdując ucieczkę bądź to w życiu rodzinnym, i to jest postawa pocieszająca, bądź też w "łatwym" życiu: alkoholu, przyjemnościach seksualnych i chuligańskich wybrykach.

c/ Najmniejsza - około 10% - grupa ludzi popierających obecną rzeczywistość, lecz, co charakterystyczne, popierająca ją tylko werbalnie. Jest bowiem znamienne, że tak jak poprzednie grupy, tak i ta wykazuje brak szacunku dla pracy i zainteresowania działalnością zawodową. Nigdy jeszcze, jak stwierdzają obserwatorzy, obojętność wobec wykonywanej pracy nie przybrała tak wielkich rozmiarów. Potwierdzają to środki masowego przekazu skarżące się na powszechne zaniedbywanie obowiązków na różnych stanowiskach pracy.

Młodzież wiejska

Wśród młodzieży wiejskiej można wyróżnić dwie grupy:

a/ chłopo-robotnicy,

b/ młodzież pracująca wyłącznie na roli.

Postawa młodzieży wiejskiej na ogół zdeterminowana jest nudą egzystencji na współczesnej wsi polskiej. Względnie dobre warunki bytowe, zwłaszcza w porównaniu z miejską młodzieżą robotniczą, okresy roku, w których wiele jest wolnego czasu oraz całkowite zaniedbanie w zakresie wiejskiego życia kulturalno-rozrywkowego są podstawowymi czynnikami, z których ta nuda wynika. Dlatego też gospoda ludowa dobrze zaopatrzona w alkohole, na miejscu lub w pobliskim miasteczku, jest najczęściej podstawowym - jeśli nie wręcz jedynym, jak twierdzą niektórzy - terytorium oferującym niewybredną rozrywkę i miejscem towarzyskich spotkań. Trzeba też stwierdzić, że jedynym niemal nośnikiem kultury na wsi jest telewizor. Obraz dodatkowo komplikują szybkie i raczej niekorzystne zmiany w zakresie tradycyjnej obyczajowości wsi, przekształcając chłopski styl życia w drobnomieszczański. Duszpasterstwo parafijne dotychczas nie znalazło pociągających form zagarniających całą młodzież dorosłą pod swoje skrzydła. Jedynym właściwie wydarzeniem w życiu parafii dla młodzieży dorosłej i dorastającej są kursy przedmażeńskie, odpusty i święta doroczne. Znaczący przedmiot twierdzą, że desakralizacja życia codziennego wsi postępuje w tym samym tempie, co w aglomeracjach wielkomiejskich. Niestety, ulega jej powszechnie dojrzała młodzież wsi. Mylą się więc często ci, którzy uparczywie twierdzą, że polska wieś

to element najpewniejszy, na który Kościół może zawsze liczyć. Oby tak było. Lecz są "znaki", które mówią, że w wielu wypadkach już tak nie jest.

III. Strona duchowa młodzieży współczesnej

Obecnie spróbujemy przyjrzeć się innemu zagadnieniu, mianowicie - jacy są młodzi w duchowym wymiarze życia. Aby odpowiedź była choćby zbliżona do obiektywizmu, trzeba odpowiedzieć na pytanie, czyimi dziećmi są wyżej wymienione grupy młodych. Zgodzimy się na twierdzenie, że w większości ich rodzice II wojnę światową przeżyli jako ludzie bardzo młodzi, nierzadko jako dzieci. Po wojnie osobowość rodziców kształtowały czasy strachu, kłamstwa, ateizacji i obłudy. Było to też czasy zabijające społeczną oraz ludzką podmiotowość i niszczące wiarę w wartości wyrastające z cywilizacji chrześcijańskiej. Walcząc o materialne zabezpieczenie rodziny, niewiele więc mieli czasu dla swych dzieci. Jeśli je czegoś uczyli, to w dużej mierze konformizmu i oportunistyzmu. Ponadto, wzrastająca fala rozwodów spowodowała, że znaczna część młodych wyrastała w rozbitych rodzinach. Trwały ślad na ich psychice pozostawiły tragedie własne oraz tragedie własnych matek bądź ojców.

a/ Rodzice dzisiejszej młodzieży w życiu kierują się często, niestety, płytkim pragmatyzmem. Tzw. "urządzenie się" i "urządzanie" własnych dzieci wyznaczyło, i nierzadko wyznacza nadal, sposób ich postępowania. Oportunistyczny pragmatyzm wykluczał możliwość dopracowania się przez nich własnego kodeksu etycznego.

Sprzeniewierzenie się etyce życia rodzinnego wyjałowiło wychowanie, ograniczyło jego funkcję często do uczenia sposobów przybierania przez własne dzieci "barw ochronnych". Ponadto, przeciążeni pracą zawodową rodzice swą rolę wychowawczą ograniczali do zaspokajania potrzeb materialnych swoich dzieci, za mało troszcząc się o sprawy duchowe. Jakie są tego skutki? Mała ilustracja z więzienia. Zapytano 24-letniego Piotra, malarza budowlanego, oskarżonego o prowadzenie w dniu 31 sierpnia 1982 roku pochodu robotniczego przez miasto do kościoła i o ułożenie na rynku krzyża z kwiatów, o stosunek do ojca. Odpowiedział: "Nie mam do niego żadnego stosunku. Ojciec jest mi zupełnie obojętny. Gdybym go nie miał, czułbym się chyba lepiej niż teraz". Na dalsze pytania skąd bierze się taka obojętność wobec ojca, odpowiedział: "Przecież ja byłem mu zupełnie obcy. Od czasu do czasu "odpalał" mi paręset złotych i sądził, że do tego sprowadzają się obowiązki ojca wobec syna". Obserwacja przez pełne sześć tygodni Piotra w areszcie śledczym, ukazała inne strony jego osobowości. W swoich reakcjach był spontaniczny. Walczył o swoje racje. Nie miał żadnych autorytetów. Nie wiedział co to jest etyka. W rozmowach stwierdzał, że chce poznać historię Polski, zbliżyć się do ojczystej literatury. W ciągu tych sześciu tygodni przeczytał z wielkim zainteresowaniem książkę Jasienicy o powstaniu styczniowym i "Faraona" Prusa. Dał się namówić do czytania wskazanych wierszy i listów Norwida. Zaczął czytać Pismo Święte. W największym skupieniu słuchał radiowych mszy św. Żalił się, że nie miał dotychczas szczęścia spotkać na swojej

drodze ani dobrego nauczyciela, ani dobrego księdza. Okres pomiędzy sierpniem 1980 a grudniem 1981 roku oceniał jako wspaniałą przygodę odkrywania prawdy o życiu ludzi i społeczeństw. Z niepokojem patrzył w przyszłość. Nie dopuszczał jednak myśli o możliwości powrotu w ślepą przedsierpniową uliczkę. Apelowal, aby inteligencja z ośrodków akademickich nie zapomniała o młodzieży robotniczej, by przyszła im odważnie z pomocą.

Inny obraz. Dwudziestosześcioletni Kazimierz pracuje jako technik w jednym z zakładów 30-tysięcznego miasteczka. Mieszka z matką i bratem. Ojciec przed kilku laty rzucił rodzinę i nie utrzymuje z nią kontaktów. Syn nie lubi o tym mówić. Lubi natomiast pytać. NSZZ "Solidarność" był i jest dla niego w dalszym ciągu wielką nadzieją. Wierzy, że sytuacja w kraju się zmieni. Twierdzi, że jego pokolenie nie było zdolne sprostać celom sierpnia 1980 roku. Nie było do tego przygotowane. "Przecież mnie - opowiadał - do niedawna nic poza muzyką bitową i karate nie interesowało". Więzienie znosi spokojnie. Maksymalnie eksploatuje wszystkich tych, od których może się czegoś nauczyć. Najchętniej rozmawia o historii i płynących z niej doświadczeniach. Jest wierzący, aczkolwiek praktykującym trudno go nazwać. W celi więziennej nauczył się codziennej modlitwy. "W miejscowości rodzinnej mieszkam jak na pustyni. Nie ma tu żadnych wzorów spędzania wolnego czasu. Pozostaje mi tylko nie najlepsza sala gimnastyczna i dyskoteka. Ale nie mogę przecież całej młodości poświęcić dziewczynom i sportowi. W więzieniu nauczyłem się czytać książki. Muszę nauczyć się dyskutować. To, co robiliśmy na zebraniach związkowych, najczęściej było pieniackim bełkotem. Chcę

znać historię ojczystą i sztukę myślenia politycznego."

Według niego najpilniejszym obowiązkiem nauczycieli wyższych uczelni, którzy zostaną zwolnieni z pracy, jest praca z dorosłą młodzieżą robotniczą.

Takich spotkań i rozmów było wiele. Nie sposób ich cytować nawet jako ilustracji tematu. Wszystkie one były świadectwem niepokoju i troski młodzieży o losy Polski i Polaków. Były dowodem brania na siebie odpowiedzialności - nie hasłowo, lecz autentycznie - za kraj, za środowisko, za rodzinę. Były też pełne rozterki i wątpliwości pytania: jak żyć? Jak być wolnym w zniewolonym społeczeństwie? Większość młodych dostrzega nadzieję w Kościele, i od Kościoła dużo oczekuje. Z poczynionych obserwacji wnioskuje, że w bardzo trudnej sytuacji znajduje się młodzież małomiasteczkowa i wiejska. Została ona zdana na własne siły. Pozbawiona jest pięknych ośrodków duszpasterskich, które służą młodzieży akademickiej i oazowej. Za mało interesują się nią i pracują nad nią duszpasterze. Dlatego wiarę i płynące z niej nauki rozumie bardzo powierzchownie. Księża zauważają w tej grupie młodzieży nierzadko wtórny analfabetyzm religijny i co za tym idzie, niski poziom życia moralnego. Częściej ich można spotkać w gospodzie lub przy kioskach z piwem, niż w kościele czy na katechezie dla dorosłych. Dlatego bardzo pilnym obowiązkiem Kościoła wydaje się skierowanie do wiejskich parafii młodych wikarych z głównym zadaniem pracy duszpasterskiej wśród młodzieży pracującej. Czas nagli. Dziś jeszcze stosunkowo łatwo można ją pozyskać dla Boga i Kościoła.

Ale istnieją oznaki, że wrogowie Kościoła dużo robią, aby ją odciąć od wiary i tradycji religijnych; by poróżnić najpierw z duchowieństwem, a następnie oderwać od Pana Boga.

b/ Mówiąc o młodzieży, która w ostatnich dwóch latach przeszła przez magiel historii, zdając sobie sprawę z jej przyspieszonej edukacji politycznej, pamiętać należy, że w minionym roku poddana ona została także trudnej próbie charakteru. Młodzi ludzie powszechnie włączyli się w działalność podziemnych struktur NSZZ "Solidarność". Zapłacili za to cenę wysoką. Nie mając ani doświadczenia, ani wzorców do naśladowania /bo doświadczenia i wzory zaczerpnięte z historii nie nadawały się do powielania, a ponadto znane są one młodzieży bardzo powierzchownie/, łatwo więc i niemalże masowo wpadali w ręce MO i SB. Wśród więzionych i skazanych na podstawie dekretów stanu wojennego, przeważają ludzie między 20-tym a 30-tym rokiem życia. W większości pozostawili oni młode żony, często w ciąży, a także małe, kilkumiesięczne bądź kilkuletnie dzieci. Wszyscy oni, nim znaleźli się przed obliczem Temidy, byli dręczeni przez doświadczonych, wyzbytych wszelkich skrupułów oficerów SB prowadzących śledztwo. W stosunku do skazywanych młodych ludzi stosowano bardzo często szantaż. "Jeżeli nie będzie pan mówił - straszono dwudziestoosmioletniego mężczyznę - aresztujemy panu żonę". Ta zaś była w szóstym miesiącu ciąży. Po jej aresztowaniu bez rodzicielskiej opieki znalazłby się także 4-letni synek. Podany przykład - jak wiemy - nie jest odosobniony.

Miniony rok dowiódł, że wielu młodych zasłużyło

na miano bohaterów. Jak bowiem inaczej określić postawę 20-letniej studentki, która podczas trwającego kilka miesięcy śledztwa, dodajmy śledztwa brutalnego - oficer śledczy przykładał jej pistolet do brzucha - nie złożyła ani jednego zeznania. Jak nazwać studenta, dla którego prokurator żądał kary 5 lat, który w ostatnim słowie spokojnie oświadczył, że nie tylko nie czuje się winnym, ale 9 miesięcy stanu wojennego - rozprawa miała miejsce we wrześniu 1982 r. - utwierdziło go w przekonaniu, iż decydując się na czynny protest przeciw temu stanowi miał rację.

Rok 1982 poddał próbie także wielu młodych nie przygotowanych do roli bohaterów: przeciwnie - wychowanych do taniej, bezmyślnej i wygodnej konsumpcji. Czy można mieć do nich o to pretensję? Już teraz należy zastanowić się nad stworzeniem warunków umożliwiających młodym ludziom, po odbyciu przez nich kary, powrót do normalnego życia. A to po to, by nagromadzona gorycz nie pchnęła ich po wyjściu na wolność w nieprzemyślane akcje. Doświadczenia historyczne uczą, że jest to zadanie równie ważne i trudne, co odpowiedzialne.

c/ Jeszcze jedno spostrzeżenie, które warto odnotować. Fakty po grudniu 1981 r. dowodzą, że zapoczątkowana między sierpniem 1980 a grudniem 1981 odnowa naszego społeczeństwa, została brutalnie zahamowana. Młodzież, tak jak przed sierpniem, nie ma żadnych szans spotkania prawdy w szkole. W znacznie jednak większym stopniu niż wtedy odczuwa ona obecnie głód prawdy. Pytanie: kto ten głód młodych powinien zaspokoić, jest dzisiaj pytaniem najważniejszym. Szkoła

20

tego nie robi. Nie robią tego w sposób dostateczny nawet wyższe uczelnie. Wiernych bowiem prawdzie nauczycieli pozbawia się pracy. Podręczniki historii i literatury naszpikowane są - gorszymi od kłamstwa - półprawdami.

Bardzo dużo w tej dziedzinie - twierdzą młodzi - może zrobić Kościół. Mówią oni, że jednak nie wystarczą już formy pracy stosowane wobec młodych przed rokiem 1980. Społecznemu głodowi wiedzy i wartości humanistycznych szerzej niż do tej pory wyjść winny naprzeciw, poza pracą duszpasterską, także czasopisma katolickie, ukazujące się w wielu diecezjach PRL oraz materiały duszpasterskie przygotowywane i rozprzodaczone przez liczne kurie biskupie.

Młodzież lat 80-ych, to młodzież przebudzona wstrząsem historii. Po latach beznadziejnej wegetacji i prania mózgów, porwana falą społecznego niezadowolenia - uwierzyła, że świat z pomocą Boga zmieniają ludzie. Już przed grudniem 1981, młodzi zaczęli sobie zdawać sprawę z tego, że do wyznaczania kierunku tych zmian nie są oni dostatecznie przygotowani. Świadomość tego pogłębił czas, jaki upłynął od grudnia 1981 r. Dzisiaj najważniejszym się stało dla nich znalezienie odpowiedzi na pytanie: jaką drogą winien iść naród do własnej podmiotowości? Dorośli mają czasem do młodzieży pretensje o to, że nie interesują się ekonomią, że zapominają o geopolitycznym położeniu Polski, że dają się ponosić emocjom. Młodzi twierdzą, że starsi nie mają racji. Twierdząc tak, powołują się na historię, że wielkie przełomy dokonywały się zawsze na fali emocji. Są trzeźwi w ocenach, bo np. zrozumieli, że ani ustroju

politycznego, ani systemu ekonomicznego państwa, w którym żyją, zreformować się nie da drogą, którą szli ich rodzice. Dlatego nie chcą kroczyć w przyszłości tą drogą, bo ona prowadzi donikąd. Drogi prowadzącej do zmian politycznych nie znają. Wiedzą już jednak, że muszą jej szukać. Zaczynają także sobie uświadamiać, iż winni intensywnie nad sobą pracować, by sprostać zadaniom, jakie stawia przed nimi historia, by nie dać się zaskoczyć rozwojowi wypadków.

IV. Uwagi końcowe

Zmierzając do wyciągnięcia wniosków z podanej wyżej charakterystyki polskiej młodzieży żyjącej w obecnej rzeczywistości należy jeszcze podać pewne rysy, które możemy mutatis mutandis zastosować do wszystkich wyżej wymienionych grup.

a/ Sytuacja polskiej młodzieży jest obecnie w najwyższym stopniu niepokojąca, a niepokój ten jest podzielany nie tylko przez sfery kościelne, lecz także przez partię. Partia widzi powszechne zjawisko odmowy zaufania dla niej oraz utrwalającej się niechęci i wrogości wobec sojuszników, szczególnie wrogości do ZSRR. Straszono najazdem "przyjaciół", strach minął, a wrogość została pogłębiona. Następnie demonstracyjna nieufność i hiperkrytycyzm wobec władz stanu wojennego po brutalnych akcjach ZOMO oraz duży zasięg pogardy dla SB. Jedno więc jest pewne: żadna inicjatywa władzy nie znajdzie obecnie akceptacji wśród całej młodzieży. Trzeba jednak zauważyć, że postawa beznadziejnej negacji, jaka szerzy się coraz bardziej niebezpieczna, a nawet przerażająca. Grozi to utratą - oczywiście

w sferze psychiczno-duchowej - całego pokolenia. Dlatego bezcenną rzeczą byłoby znalezienie możliwej do zrealizowania formy ożywienia środowisk młodzieżowych. Mam nadzieję, że ten problem zostanie tu, zwłaszcza w dyskusji, podjęty, ponieważ jego znaczenie jest w obecnej sytuacji wyjątkowe.

b/ Ponadto, u dojrzałszej młodzieży widać solidarność ze zdelegalizowaną i prześladowaną "Solidarnością". Ponieważ żaden dotychczas "przewrót" w PRL, ani w roku 1956, ani w 1970 czy w 1976, nie zrobił tak wielkich zmian w świadomości młodzieży, jak sierpień 1980 i rok 1981. Obalił mit "państwa opiekuna" i "państwa dobrodziejstwa".

c/ Życzliwy i darzący zaufaniem stosunek do Kościoła i duchowieństwa, choć nie bezkrytyczny. Kiedy np. młodzież na Zachodzie widzi w Kościele - niestety - symbol niewoli, to w Polsce dla młodzieży Kościół jest wciąż symbolem prawdziwej wolności.

d/ U młodzieży ongiś głęboko zaangażowanej i oczekującej z nadzieją rychłych, istotnych zmian w naszym położeniu społeczno-politycznym panuje głębokie poczucie frustracji, zawodu i pesymizmu. Jej przedstawiciele twierdzą: "Jesteśmy pokoleniem straconym - bez przyszłości.. Po co się uczyć?" A za tym następuje u niektórych zwrot ku łatwym rozrywkom służącym przewycięzaniu goryczy.

e/ Z powodu surowych sankcji za wystąpienia protestacyjne, dzięki pewnemu odprężeniu w związku ze zwolnieniem większości internowanych, a przede wszystkim z racji przedłużającego się stanu wojennego następuje na uczelniach

i w szkołach, a także w pewnym stopniu u młodych robotników, zewnętrzne wyciszenie. Władze mogą powiedzieć, że "sytuacja jest opanowana", bo emocje się wyciszą. Ale cichy opór trwa - szczególnie wśród młodzieży akademickiej i robotniczej. Dowodem tego jest fakt, że bardzo opornie przebiega montowanie nowych związków zawodowych i nowej organizacji studenckiej ZSP.

f/ Należy przewidywać - twierdzą profesorowie szkół wyższych - że mimo wszystko istnieje znaczny procent młodzieży pogrążonej w oportunizmie i bierności. I w tej sytuacji może się narodzić pod wpływem nacisków, obietnic i przywilejów jakaś nowa organizacja, podobna w swoim składzie i celach do osławionego SZSP.

Jeżeli Kościół nie zajmie się w sposób właściwy młodzieżą, zajmie się nią "antykościół". Np. znana jest w PRL tzw. "edukacja narodowa", która zajmuje się animowaniem grup samokształceniowych. Wspomniana "edukacja narodowa" idzie wprawdzie obok Kościoła, lecz jest bardzo atrakcyjna. Liczy około 500 grup samokształceniowych.

V. Wnioski duszpasterskie

Sytuacja psychologiczno-moralna młodzieży początku roku 1983 powinna uświadomić duszpasterzom konieczność i szansę działania wychowawczego.

1. Przede wszystkim należy bronić młodzież przed zniechęceniem i frustracją nie przez banalne "będzie lepiej" albo "zwyciężymy" lub nieuprawnione zapewnienie, że stanie się "cud" /bo będzie to tylko źródłem nowych

frustracji/, lecz przez ukazywanie twardych realiów naszego położenia z realnymi szansami poprawy w perspektywie. Trzeba jej dać zajęcie, ciekawe zadania, ukazać perspektywy. Najgorsza jest próżnia, w którą wchodzi młodzież na zasadzie negacji.

2. Trzeba ukazywać warunki lepszej przyszłości narodu i Ojczyzny oraz angażować młodzież w ich wypełnianie. A więc:

- głębsze zaangażowanie w życie i działania Kościoła, który nie tylko wiezie do zbawienia, lecz broni naród i uodparnia go na trucizny moralne, którymi nasi nieprzyjaciele usiłują go od wieków zdegenerować;

- intensywniejsze podejmowanie pracy nad swoim charakterem i osobowością w wymiarze indywidualnym i społecznym przez tworzenie grup nieformalnych o profilu "filaretów", "oaz", Sodaliczji Mariańskich czy harcerstwa bez mundurków;

- organizowanie walki z najgorszymi wadami narodowymi, jak alkoholizm, rozwiązłość, narkomania, nieuczciwość w pracy, marnotrawstwo itp;

- znajomość i upowszechnianie zasad higieny psychicznej ducha Romanowskiego, Dąbrowskiego, Roszkowskiej i innych z dążeniem do ograniczenia wpływów systemów wschodnich "joga", "zen", ponieważ w niektórych miastach Polski zwolennicy tych systemów zyskują całe grupy młodych;

- pogłębianie znajomości historii Polski i sąsiednich krajów /zwłaszcza Rosji/, aby lepiej rozumieć współczesność i widzieć perspektywy przyszłości. Historia magistra

vitae, dzięki niej dowiadujemy się, że było gorzej, a naród przetrwał i żyje;

- szukanie i odkrywanie powołania naszego narodu, jego religijnej i kulturowej misji, skoro Pan historii umieścił nas między potęgami tego świata. Historia uczy nas, że słuszne ewangeliczne idee, wdeptane w ziemię, wyrastają po "obumarciu" i "stają się ciałem".

Wśród tych wszystkich prac, jakie czekają w Polsce Kościół lat dziewięćdziesiątych, bardzo ważne jest pogłębienie prawd teologii i przybliżenie ich młodemu. Zadanie to spoczywa na duchowieństwie i laikacie z nim współpracującym, nie odrywając się od rzeczywistości, w której żyjemy. Ale do tej naszej rzeczywistości nie można duszpasterzom biec "na skróty"! Dwa z nich są najczęściej wybierane przez duszpasterzy, obydwa równie niebezpieczne - "skrót" przez socjologię oraz "skrót" przez ideologie społeczne, znajdujące, jak mi się wydaje, uznanie w masach. Ten drugi skrót przez ideologie społeczne, stwarza niewątpliwie niebezpieczeństwo zafałszowania celu chrześcijaństwa i zadań Kościoła, a w konsekwencji alienacji chrześcijaństwa i instrumentalizacji Kościoła. Wynika z tego, że powinniśmy jasno sobie uświadomić, iż nie każda, ale tylko zdrowa teologia może służyć duszpasterstwu. Dlatego trzeba bronić się duszpasterzom przed poszukiwaniem sukcesów za wszelką cenę. Błędem jest więc postawa duszpasterzy, gdy gonią za sukcesem, poddają swoją działalność imperatywom dążeń doczesnych, np. społecznych, politycznych itp. Wspomniane uprawianie teologii "na skróty" sprawia, że sami duszpasterze gubią istotne cele chrześcijaństwa

w swoim życiu. Tak jak przedstawiciele teologii wyzwolenia uważają, że celem chrześcijaństwa jest wyzwolenie społeczne, względnie osiągnięty przez to wyzwolenie pokój społeczny, podobnie spotyka się i na Zachodzie, a także już i u nas opinie, że zadaniem duszpasterstwa w wymiarze osobowościowym jest zapewnienie swym wyznawcom "komfortu psychicznego", tzn. wyzwolenie ich od konfliktów i kompleksów wewnętrznych, nawet za cenę rezygnacji z autentycznej postawy sentire cum Ecclesia. Więcej - naginanie zasad wiary i moralności do życzeń grupy, aby zapewnić jej "komfort psychiczny", a sobie uznanie członków grupy. W podejmowaniu nowych zadań wobec młodych przez Kościół w Polsce powinniśmy sobie te niebezpieczeństwa uświadomić. Niech "Odkupiciel Człowieka" pomoże nam uniknąć tych błędów i być ciągle świadomym odpowiedzialności wobec Kościoła i Ewangelii za nasz naród.

Literatura

- M.Kozakiewicz, Nowa młodzież, Warszawa 1965
Z.Kawecki, Światopogląd robotników. Studium postaw hutników, Warszawa 1979
J.Auleytner, Bariery ograniczające szanse młodzieży - próba diagnozy, maszynopis, 1982
Młodzi a przemiany społeczne w Polsce. Komunikat z badań. Nie publikowany maszynopis Instytutu Badań nad Młodzieżą.
Podstawowe wyniki badania ankietowego: Opinie o związkach zawodowych - przeprowadzonego przez IPPM-L /maszynopis/.
Raport o warunkach startu życiowego i zawodowego młodzieży, Warszawa 1981.

J. Olędzki, Opinia młodzieży polskiej o demokracji burżuazyjnej i socjalistycznej, "Kultura i społeczeństwo" nr 1-2, 1981.

Socjalistyczne i pedagogiczne problemy adaptacji społeczno-zawodowej młodych pracowników /synteza/, Instytut Badań nad Młodzieżą, 1979, maszynopis.

L. Dębowski, Młodzież akademicka w momentach napięć społecznych, Warszawa 1982, maszynopis.

Wacław Wyrwa

POLSKA MŁODZIEŻ

A PRZYSZŁOŚĆ KRAJU

WPROWADZENIE

Tekst niniejszy powstał jako rezultat przemysleń dokonanych na podstawie obserwacji młodzieży, rozmów z wieloma ludźmi, a także licznych opracowań na temat młodzieży, zamieszczanych w prasie podziemnej i "jawnej". Zostały także uwzględnione rezultaty niektórych nie opublikowanych badań. Tekst nie odsyła jednak ustawicznie do źródeł, które tak czy inaczej wpłynęły na punkt widzenia autora. Czytelnicy sami muszą więc zdecydować, czy zechcą zawierzyć jego sądom.

PRZED SIERPNIEM, PRZED GRUDNIEM...

Zacznijmy od prehistorii. Aby zrozumieć to, co teraz dzieje się wśród młodych, potrzeba parę słów przypomnienia o tym obrazie młodzieży, jaki kształtował się w latach siedemdziesiątych,

a następnie o tym, jak młodzież ta zareagowała na sytuację posierpniową.

A więc lata siedemdziesiąte. W syntetycznym obrazie młodzieży z owych lat trzeba zwrócić uwagę na następujące sprawy. Była to młodzież wysoko ceniąca szczęśliwe życie rodzinne, zaradność życiową, wesołość i przyjaźń, a niekiedy także miłość. Tendencje te wyrażały się także w aspiracjach związanych z pracą zawodową - spokojną i pozwalającą na realizację własnych zainteresowań. Od pracy nie oczekiwano się, by była jakimś szczególnym "wyzwaniem". Swoją przyszłość planowało się jako spokojne bytowanie na łonie rodziny w małym własnym domku z ogródkiem i samochodem. Czyste sumienie traktowano jako miły i pożądany dodatek do dóbr materialnych. Ceniono wartości intelektualne, mądrość i wiedzę. W bliskim związku z tego rodzaju wartościami pozostawały stosunkowo wysokie aspiracje dotyczące wykształcenia istotne dla wielu, a najbardziej dla tej grupy młodzieży, która uczyła się w szkołach średnich.

Osiągnięcie stawianych sobie celów uważano za trudne, ale możliwe. Także ci, którzy pisali wówczas o młodzieży, uważali, że realnie ocenia ona swoje możliwości dorobienia się, zdobycia pracy, mieszkania, samochodu. Już wkrótce miało się okazać, że i młodzi ludzie, i zajmujący się nimi socjologowie wykazali nadmierny optymizm.

Młodzi ludzie wierzyli, że ich los jest w znacznym stopniu zależny od ich siły i pracy. Mniej byli pewni swoich możliwości wpływania na sprawy ponadjednostkowe. Mały zakres wpływu jednostki nie zdawał się jednak budzić niczyjego

zdużenia. Nie wyobrażano sobie, by można było w większym stopniu wpływać na sprawy innych ludzi, grup czy stowarzyszeń.

W polu widzenia młodych ludzi jakby nieobecne były tzw. pośrednie grupy społeczne. Było się członkiem rodziny, tej z własnym ojcem czy matką, potem tej, którą się samemu stworzyło i było się Polakiem. Obie te przynależności były ważne i je się "czuło". Młodzi nie wymieniali na ogół innych grup czy zbiorów ludzi, z których losem czy zachowaniem chcieliby się identyfikować. Uważali, że jeśli się już zrzeszać z innymi, to dla realizacji swego hobby, a nie dla jakichś poważniejszych celów.

Charakterystyczna była w ogóle prywatność patrzenia na życie - osobisty sposób traktowania pracy, problemów moralno-ideowych, emocjonalnych czy społecznych. Ceniło się pracowitość i przyjaźń. Nie ceniło się lenistwa, egoizmu i chęci sprawowania władzy nad innymi. Młodzi pragnęli być lubiani. Brak u nich było większego zainteresowania przygodą czy ryzykiem, kładli nacisk na bezpieczeństwo i bycie akceptowanym.

Sami zdawali się akceptować świat stworzony przez dorosłych jako miejsce, w ramach którego należy i można funkcjonować. Uważali jakby, że należy piąć się w górę po szczeblach drabin prowadzących do sukcesu a ustawionych przez starszych, i wejść wyżej niż rodzice. Dodajmy, że tradycyjne młodzieżowe wartości, takie jak odwaga, nieodpowiedzialność, fantazja traktowane były przez młodych z lat siedemdziesiątych nie jako młodzieżowe, ale jako dziecinne czy wręcz naiwne.

Taki mniej więcej obraz młodzieży lat siedem-

dziesiątych jawi się na podstawie licznych badań. Tacy byli - czy tacy się wydawali? W obszarze badań nad ludzkimi postawami zawsze pozostają pola niejasne, pozwalające na różne interpretacje.

Analizując różne formułowane post factum, w perspektywie późniejszych wydarzeń oceny prawidłowości tamtego obrazu myślę, że nie ma podstaw do jego generalnego odrzucenia. Z jednym wszelako, ale ważnym zastrzeżeniem.

Wiemy teraz, że w różnych środowiskach młodzieży istniały grupy kultywujące swoisty własny etos i promieniujące na innych. Były to grupy organizowane wokół struktur Kościoła, niektóre grupy harcerskie, pewne grupy z obszaru tzw. kontrkultury artystycznej /np. teatru amatorskiego/. Tylko nieliczne spośród nich wzbudziły zainteresowanie badaczy. Nie potrafiiono przewidzieć, że w zmienionych warunkach mogą one dzięki swojej autentyczności mieć znaczącą siłę przyciągania. W badaniach zwracano większą uwagę na rozkłady przeciętnych wyników u przeciętnych młodych niż na potencjalną siłę wpływu nielicznych, ale połączonych wspólnym etosem grup mogących stanowić elitę i wzór postępowania dla innych.

x x x

Tacy więc wkraczali młodzi w nową sytuację, która dla jednych zaczęła się już w Sierpniu w ich zakładach pracy, dla innych po dzwonku rozpoczynającym nowy rok szkolny - 1980/81, dla innych jeszcze później, z początkiem roku akademickiego.

Myślę, że najbardziej charakterystyczną cechą reakcji młodzieży na Sierpień było zaskoczenie i jakby niewiedza, co z nowej sytuacji może wyniknąć, jak w niej można się znaleźć i co zrobić. Reakcja ta nie była zresztą - jak pamiętamy - specyficzna dla samej młodzieży. Wielu ludzi /i dorosłych, i młodych/ traktowało wówczas możliwość tworzenia niezależnych struktur i samorządnych związków jako coś, co spadło z nieba. O wolne związki walczył przed Sierpniem ułamek promila owych 10 milionów ludzi skupionych potem w "Solidarności". Dla zwykłych ludzi był to podarek losu. Myślę, że tylko dwie grupy społeczne zaczęły z tego daru korzystać szybko, w sposób przemyślany i skuteczny: robotnicy wielkoprzemysłowi i intelektualiści. Siłą rzeczy młodzi ludzie, którzy wchodzili w skład obu tych grup, najszybciej "znaleźli się" w sytuacji. Dla pozostałej młodzieży charakterystyczne było w owym okresie 80/81 dość długie szukanie orientacji.

To, co nazwałem szukaniem orientacji, obejmowało kilka elementów: 1. zdanie sobie sprawy z tego, co się dzieje; 2. zobaczenie możliwości wynikających z przebiegu wydarzeń; 3. podjęcie działań zmierzających do urzeczywistnienia tych możliwości.

Poza studentami, którzy dość wcześnie założyli NZS - wcale zresztą nie tak liczny, jak można się było spodziewać - młodzież licealna potrzebowała na orientację całego roku. Realne zarysy ruchów prosolidarnościowych młodzieży licealnej pojawiły się dopiero w drugiej połowie roku szkolnego 1980/81. W tym samym czasie dopiero było wiadomo, że odnowa całego ZHP nie jest

realna. W rezultacie działania zmierzające do utworzenia Niezależnego Ruchu Harcerskiego rozkręcały się dopiero w ostatnich miesiącach przed Grudniem.

Organizacje młodzieży szkolnej powstawały wolno, opierając się na nielicznych dynamicznych aktywistach, nie zyskujących sobie tak powszechnego poparcia, jak można by się spodziewać, nie bardzo umiejących wyjść poza ogólne, zapożyczone od dorosłych hasła i z trudem usiłujących wytworzyć na ich podstawie realny program działań dla konkretnej szkoły.

Długotrwałość organizowania się młodzieży nie była wyłącznie jej "winą". W równej mierze była ona refleksem niewydolnego orientowania się tych dorosłych, którzy mogliby młodzieży pomóc i ułatwić orientację w nowej sytuacji.

Gdy patrzy się na zachodzące wówczas zjawiska z pewnej perspektywy, widać, że tak bodaj musiało być. Trzeba było niemało czasu, aby ta zorientowana, jak stwierdziliśmy wyżej, na prywatność młodzież nauczyła się patrzeć szerzej, dostrzegać inne szanse i możliwości. Zapewne wizyta Papieża w 1979 roku dała, przynajmniej niektórym, niejasne poczucie, że jakieś inne życie jest możliwe, ale wszystko to tkwiło raczej w społecznej podświadomości. Jeżeli to "inne życie" przyciągało aspiracje młodych, to dla wielu - zbyt wielu - były to aspiracje uśpione, nieuświadomiane. Socjolog nazywa je: aspiracje latentne.

Tak więc owe 16 miesięcy "przerwy na wolność" było dla młodzieży głównie okresem budzenia się, określania możliwości, zabierania się do działania. Także okresem nieśmiałego nabierania nadziei. Nie był to jednak jeszcze czas działań.

Ci młodzi ludzie, którzy podejmowali aktywne działania, często robili to na zasadzie słomianego ognia i zniechęcali się dość szybko. To pokolenie nie miało przecież żadnych wspomnień i doświadczeń autentycznego i skutecznego funkcjonowania. Nie tylko ono zresztą. Ci młodzi byli dziećmi dorosłych, którzy także dopiero w "Solidarności" mieli się uczyć praktycznej demokracji niewiele mając doświadczeń. To powolne pojawianie się nadziei zostało zastopowane 13 grudnia 1981 roku.

PO GRUDNIU

Co stało się z młodzieżą bezpośrednio po zamachu na "Solidarność"? Otóż, moim zdaniem, stała się rzecz bardzo dziwna: zapoczątkowany w okresie Sierpień - Grudzień proces budzenia się aktywności i podmiotowości młodych ludzi nie został zahamowany. Co więcej, uległ - przynajmniej w niektórych środowiskach - przyspieszeniu. Myślę, że ogromna część młodych, tak zresztą jak i znaczna część dorosłych, odczuła 13 grudnia jako policzek i obelgę wymierzone przez władzę nie tylko abstrakcyjnym ideałom, ale i każdemu z nas. Stąd osobisty charakter reakcji na grudzień. Przyspieszenie, o którym mowa, było widoczne przynajmniej przez pierwsze półtora roku po wprowadzeniu stanu wojennego. Co charakteryzowało tamten okres?

Po pierwsze, o ile "Solidarność" była przede wszystkim sprawą trzydziestolatków, o tyle pogrudniowa walka o nią stała się w znacznym stopniu sprawą jeszcze młodszego pokolenia. To młodzi zaangażowali się w wydawnictwa,

kolportaż, to oni brali najbardziej masowo udział w demonstracjach ulicznych. Oni też najbardziej byli prześladowani i bici przez milicję. Los Grzegorza Przemyka ma tu charakter symbolu.

Nie można przy tym zapominać o szczególnie tragicznym aspekcie tej sprawy: ZOMO i żołnierze to byli też ludzie bardzo młodzi. Starcia na ulicach miast w latach 1982-1983 to w znacznym stopniu wzajemne bicie się młodych Polaków - jednych wykonujących rozkazy, innych próbujących przywrócić nadzieję.

Po drugie, sytuacja Polski pogrudniowej okazała się jasno i bez niedomówień sytuacją bez żadnych perspektyw dla młodzieży. Wszystko to, co było przedmiotem aspiracji tej młodzieży lub jej starszych braci w latach siedemdziesiątych, okazało się teraz nieosiągalne. Jako takie realne aspiracje do mieszkania, samochodu, do dorobienia się nabrały cech utopijnego marzenia. Szczególnie ostro zaznaczył się brak jakichkolwiek perspektyw mieszkaniowych. Natomiast ciągle jeszcze są możliwości pracy - mało sensownej, nisko płatnej i tylko dla osób z konkretnym fachem, a bez wyższego wykształcenia. Zamknęły się dość powszechne dawniej możliwości wyjazdów zarobkowych do krajów kapitalistycznych, poważnie zmniejszyły się - na skutek generalnego zubożenia całego społeczeństwa - możliwości pomocy młodym ze strony rodziców.

Po trzecie, większą niż kiedykolwiek rolę zaczął odgrywać wśród młodzieży Kościół. Znów, jak nieraz bywało przy kolejnym zawaleniu się świata, najmniej ucierpieli ci, co byli jakoś związani z Kościołem bądź działali pod jego

skrzydłami. Przyłączyło się do nich wielu spragnionych miejsca, gdzie można autentycznie, po ludzku spotkać się, porozmawiać, pobawić, podyskutować czy pójść na wycieczkę. Dla sfrustrowanej młodzieży proponowane przez Kościół zadania - choćby pomoc w rozdziale darów zagranicznych - były szansą podjęcia działań społecznych i ważnych, nie kierowanych przez komunistów, a jednocześnie nie narażających na nielegalność, tak charakterystyczną dla wszystkich działań pozakościelnych. W gruncie rzeczy Kościół stał się po Grudniu jedyną legalną instytucją, gdzie młodzi znaleźli ochronę, zainteresowanie i życzliwość.

Po czwarte, w ciągu roku 1982 i 1983 widać było, jak rozwija się wśród władz jakaś - raczej bezowocna - próba wypracowania strategii w sprawach młodzieży. Problem został "uresortowiony" /minister ds. młodzieży, stworzenia w KC zespołu ds. młodzieży/. Zainspirowano liczne wypowiedzi partyjnych publicystów - w miesięczniku "Nowe Drogi" z 1983 roku artykuły o młodzieży znalazły się w sześciu numerach. Przy tym wszystkim widać, że władza nie ma dla młodzieży żadnych właściwie propozycji, żadnej wizji, żadnego programu, nie ma temu pokoleniu nic do zaoferowania. Młodzi mają się nie buntować, słuchać starszych i koniec. Poza tym zupełna nijakość.

Myślę, że takie były najważniejsze wyznaczniki sytuacji lat 1982-83. A jak jest teraz? Jak weszła młodzież z takim bagażem doświadczeń w rok 1984, jak patrzy w przyszłość?

AKTYWNOŚĆ CZY STABILIZACJA KŁĘSKI

Czas płynie dla młodego pokolenia inaczej niż dla dorosłych. Nawet niedaleka - z naszego punktu widzenia - przeszłość staje się odległą, zacierają się kontury wydarzeń. Teraźniejszość jest, jeśli tak rzec można, "krótka". Ta wiedza o czasie ma doniosłe znaczenie dla oceny skutków tego wstrząsu, jakim było 16 miesięcy "Solidarności". Dla dorosłych "Solidarność" jest ciągle - bez względu na to, co sobie władze na ten temat głoszą - teraźniejszością. Dla młodych inaczej - tegoroczny maturzysta powie: "Gdy byłem bardzo młody, zaraz po podstawówce, w pierwszej licealnej, był taki dziwny rok..." Przeszłość ucieka i rozmywa się.

Są chyba trzy modele stosunku do solidarnościowej "przerwy na wolność". Można je w skrócie nazwać: zwycięstwo, gorzka przegrana i "nic się nie zdarzyło".

1. Ktoś, kto uważa, że "Solidarność" była zwycięstwem, podkreśla przede wszystkim, że "przerwa na wolność" była zahamowaniem i po części odwróceniem procesu sowietyzacji społeczeństwa oraz że owocować będzie - w sensie pozytywnym - przez lata. To, że ludzie doświadczili życia wolnego, należy więc - mimo formalnej klęski "Solidarności" - traktować jako moralne zwycięstwo. Nie ma w takim podejściu pocieszenia jak to było w przypadku przypisywania miana "moralnego zwycięstwa" ciężkim klęskom powstaniowym: fizyczny koszt klęski "Solidarności" był tak niski, że śmiało można ją nazwać najtańszym polskim powstaniem.

Takie podejście jest charakterystyczne dla

ludzi z pewnym doświadczeniem, z umiejętnością zauważania długotrwałych procesów i wyłuskiwania ze zdarzeń tego, co najważniejsze.

2. Podejście typu "gorycz" to dominacja uczucia, że "Solidarność" poniosła klęskę, bo nie udało jej się osiągnąć swoich celów w sferze realnej, fizycznej i w tej realnej sferze została zgnieciona. Gorycz tę powiększa fakt, że to polska młodzież przebrana w mundury dała się użyć do rozbijania "Solidarności". Z goryczą tą może się łączyć jedno pozytywne następstwo - może nauczyć nas ona pokory i oduczyć łatwych prześmiewań np. z Czechów. Ostatecznie ich w 1968 roku musieli "załatwić" Rosjanie na czele bratnich armii, a nie swoi.

To drugie podejście jest jakby lustrzanym odbiciem tez oficjalnej propagandy. Głosi ona zwycięstwo partii, mądrości politycznej, racji stanu. Przyjęcie perspektywy klęski jest przyjęciem tego samego punktu widzenia, tyle, że odwrotnie ocenianego.

3. Podejście typu: "nic się nie zdarzyło" to przeświadczenie, że w gruncie rzeczy i tak od lat trwa ten sam model realnego socjalizmu, a "przerwa na wolność" niedługo sama zatrze się w pamięci.

Myślę, że nastąpiła obecnie znaczna polaryzacja społeczeństwa pomiędzy biegunami: "zwycięstwo" i "gorycz przegranej". Ta polaryzacja cechuje także młodzież. Myślę też, że rzadkie są osoby dostrzegające elementy zwycięstwa, ale nie zamykające oczu na przyczyny przegranej.

Ocena: "nic się nie zdarzyło" będzie zapewne wraz z upływem czasu coraz częstsza, a wspierać ją będzie oddziaływanie propagandy. Pamiętamy,

jak w latach sześćdziesiątych Gomułka wymazywał ze społecznej pamięci sam fakt Października, potem tak samo "zanikał" czechosłowacki Sierpień. Przechodzenie w propagandzie od modelu "zwycięstwo partii" /a więc nasza klęska/ do modelu "nic się nie zdarzyło" najprawdopodobniej nastąpi dopiero w przyszłości, ale już teraz według tego drugiego modelu rozegrano Konferencję Delegatów IX Nadzwyczajnego Zjazdu Partii - jako rzekomo harmonijne rozwinięcie i kontynuację Zjazdu. Ze względu na szczególne właściwości "czasu młodzieżowego" zacieranie się w pamięci solidarnościowej "przerwy na wolność" grozi młodym najbardziej.

Dla władców kraju jest ono bardzo ważne. Starają się oni uczynić czas swoim sprzymierzeńcem, bo nie chcąc wejść na drogę ugody ze społeczeństwem, tylko w upływie czasu szukać mogą legitymizacji systemu. Zależy im na tym, by młodzi wiedzieli, że tak jak jest - jest od dawna i by tę dawność utożsamiali z naturalnością i niezmiennością.

Tymczasem jednak oceny okresu "Solidarności" są wśród młodych bardzo zróżnicowane. Polaryzacja postaw chyba nawet się zwiększa. W latach siedemdziesiątych młodzież była bardziej jednolita, a podziały - gdy występowały - przebiegały według kryteriów społecznych, takich jak pochodzenie, wykształcenie, miejsce zamieszkania. Teraz inaczej. Jeden z socjologów zwrócił uwagę na znaczne zbliżenie postaw, celów i wartości młodzieży inteligentkiej i robotniczej. Jest to niewątpliwie novum. Inny socjolog pisze o odrodzeniu "etosu inteligencji". Może zaczyna on obejmować i młodych robotników?

Innym novum obecnej sytuacji jest znaczny odsetek młodzieży starającej się aktywnie zrozumieć sytuację, w jakiej się znajduje, i znaleźć w niej swoje miejsce i drogę. Główna linia podziału przebiega teraz między tymi, którzy chcą zrozumieć a tymi, którym nie zależy, którzy zadowolają się przeciekaniem czasu. Oczywiście zawsze byli i tacy, i tacy. Ale teraz, po "Solidarności", liczba tych, którzy chcą zrozumieć i coś ze sobą zrobić gwałtownie wzrosła. Wyraźnie powiększyła się liczba tych, którzy aktywnie poszukują jakiegoś usensownienia swojego istnienia. "Aktywnie", to znaczy w tym wypadku także: nie wstydząc się o tym mówić. W siedemdziesiątych latach podobne tematy były przez młodych świadomie wyciszane, traktowane jako coś naiwnego i śmiesznego.

Wśród tych, którzy decydują się aktywnie szukać swego miejsca w życiu, daje się zaobserwować pragnienie sensownego działania. Na ogół zawsze można liczyć na młodych, gdy zaproponuje się im coś, co naprawdę jest dla kogoś lub czegoś przydatne, a nie pomyślane tylko po to, żeby ich wychowywać. Jednocześnie w pewnych grupach daje się zauważyć chęć odchodzenia od łatwizny. Młodzi mają dość tych wszystkich, którzy ich "kupowali" - od rodziców obiecujących nagrody za naukę po organizacje młodzieżowe chętne do płacenia takimi czy innymi świadczeniami i przywilejami za grzeczność i konformizm. Wielu pójdzie teraz chętniej za kimś, kto proponuje im ciężki wysiłek, trud i wysokie wymagania. Stąd zapewne nagłe zainteresowanie walkami wschodnimi /kung-fu, karate/, gdzie wymaga się długotrwałego wysiłku, wytrwałości i

dyscypliny. Komuś, kto lubi porównania historyczne, obecna sytuacja wśród młodzieży przypomina tę, która panowała wśród młodzieży szkół średnich Galicji około roku 1910. Porwać młodzież mógłby ten, kto zaproponowałby jej konkretny, długofalowy, trudny program doniosłych społecznie działań, wymagających znacznej mobilizacji woli i ducha.

Nastroje te dalekie są od powszechności. Ale istnieją. W odczuciu, niektórych współpracujących z młodzieżą ludzi, zjawisko to stanowi - wobec wieloletniego nastawienia na branie, ułatwianie sobie życia - istotne novum.

Podział na tych, którzy chcą szukać sensu i tych, którzy nie chcą tego czynić, jest pewnym uproszczeniem. Myślę, że postawy młodzieży układają się obecnie nie w dwa, a w cztery modele. Możemy nadać im nazwy: aktywność społeczna, dynamiczna prywatność, eskapizm, nijakość.

a/ Aktywność społeczna. W tej chwili obserwujemy już znaczną liczbę młodych uczniów, robotników i studentów zaangażowanych w takie czy inne działania podziemne, względnie półpodziemne będące kontynuacją lub reanimacją "przedwojennego" programu "Solidarności": działania wydawnicze, oświatowe, kulturalne, czysto związkowe itp. Wspierają je różne działania podejmowane na poziomie legalnym, tzn. przy wykorzystaniu struktur społecznych tworzonych przez państwo dla innych celów. Ze zrozumiałych względów określenie odsetka młodych zaangażowanych w takie działania nie jest możliwe. Historia uczy, że zwykle nie są to grupy duże, aby jednak mogły działać, muszą mieć zaplecze w postaci sprzyjającego im otoczenia, a to otoczenie

kolegów i przyjaciół jest już liczne.

b/ Dynamiczna prywatność. Mimo, iż generalnie rzecz biorąc realizowana reforma gospodarcza nie może być traktowana bardzo serio, pojawiły się ostatnio pewne możliwości tworzenia sobie legalnych źródeł dochodu trudną pracą na obrzeżu gospodarki socjalistycznej: w firmach polonijnych, inicjatywie prywatnej itp. Coraz więcej młodych ludzi zaczyna rozumieć, że wiązanie nadziei na zaspokojenie swoich aspiracji materialnych z pracą w przedsiębiorstwie państwowym jest w tej chwili utopią. Uzyskać coś można tylko drogą samodzielnego dorabiania się, drogą ryzykowną, bo nigdy nie wiadomo, jak długo jeszcze będzie ona możliwa, ale chyba jedyną. Coraz więcej młodych ludzi zdaje się to zauważać.

c/ Eskapizm. Różne mogą być drogi ucieczki od rzeczywistości, tym razem jednak na czoło wysunęły się dwie formy zachowań unikowych - ucieczka w zespoły rockowe i ucieczka w gangi. Zainteresowanie zespołami rockowymi ma charakter masowy i obejmuje głównie uczniów szkół średnich i zawodowych. Charakterystyczne są teksty niezliczonych piosenek śpiewanych przez niezliczone zespoły. Deklaracja samopoczucia "mniej niż zero" oraz niechęć do wszystkiego, co reprezentują dorośli, to główne dominanty tematyczne tekstów. Wykonawcy i młodzieżowa widownia w widoczny sposób wyżywają się w dawaniu im wyrazu. Istnieją powody do przypuszczeń, że ruch ten jest kontrolowany i sterowany przez władzę. Niby-buntownicze słowa "anty" i tak nikną w zgiełku rockowej muzyki, ryczący młodzi mają wrażenie, że przeciw czemuś protestują, władza oczywiście nie ma nic przeciw takiemu protestowi i tak wszyscy są zadowoleni. Poza

tym teksty prezentują interesujące pomieszanie zdań skierowanych przeciw władzy i zdań skierowanych przeciw starszym w ogóle. Władza może liczyć na to, że z czasem uda jej się wyciszyć te pierwsze i wzmocnić te drugie.

Druga forma - ucieczka w gangi używające różnych anglicyzowanych nazw jak "punkci" czy "popersi" - to któraś tam już z rzędu mutacja młodzieżowej reakcji na nijakość, frustrację i zakłamanie oficjalnego życia, szkół i organizacji młodzieżowych. Gazety z satysfakcją informują, że gangi się biją, co pozwala podkreślić znaczenie milicji dla zachowania "ładu i porządku".

d/ Nijakość. Wszystkim tym, co nie wybierają żadnej z dróg poprzednich pozostaje tylko nijakość i zniechęcenie, czasem u inteligentniejszych połączone z racjonalizacją: wszystko, co nie jest nijakością, jest frajerstwem. U podstaw tej nijakości leży przeświadczenie, że "odmówienie uczestnictwa" jest jedyną sensowną odpowiedzią daną temu światu.

x x x

Na tle tego rozwarstwienia trzeba zwrócić uwagę na trzy jeszcze sprawy.

a/ Zmiany aspiracji

Znacznie zmniejszyły się aspiracje młodzieży do studiów wyższych i do ogólnego wykształcenia średniego. Nieopłacalność finansowa wyższego wykształcenia widoczna była zawsze, ale związane z nią straty finansowe nigdy nie były tak jaskrawe jak teraz. Odwrót od nauki może być traktowany - w kategoriach indywidualnej biografii - jako przejaw pewnego realizmu. Stanowi jednak zjawisko

groźne dla dalszego trwania narodu, który musi mieć historyków, poetów, archeologów i literatów bez względu na meandry polityki państwowej.

Nastąpiło także obniżenie ogólnych aspiracji życiowych, odsuwanie na odległą przyszłość nadziei ich zaspokojenia. Niewiara w możliwość ich zaspokojenia poprzez pracę na posadzie państwowej skłania coraz liczniejszych młodych ludzi do podejmowania prób pracy "na swoim" bądź w firmach prywatnych.

Jednocześnie, zgodnie z opinią jednego z socjologów, pojawiły się nowe – lub słabo uświadomiane przedtem – aspiracje do demokracji i wolności, do sprawiedliwej, niezależnej od "układów" czy przynależności partyjnej płacy za pracę.

To przesunięcie aspiracji z dóbr materialnych w sferę wolności politycznych i społecznych wydaje się interesującym i cennym osiągnięciem "Solidarności", bardzo niekorzystnym dla władzy: nierealizowanie aspiracji materialnych zawsze można tłumaczyć tzw. "obiektywną" niemożnością, niezaspokajanie aspiracji do wolności jest jawnym wyrazem woli władców.

b/ Zmiana stosunku do szkoły czyli "olewanie"

Liczne sygnały wskazują na pogarszanie się stosunku młodzieży do szkoły. Podobno są one widoczne głównie w dużych ośrodkach miejskich, zwłaszcza w ostatnim roku szkolnym.

Stosunek do szkoły cechuje nie tyle wrogość, ile mieszanina niechęci, rezygnacji i nastawienia na przeczekanie. W języku młodych określane jest ono jako "olewanie", co jest którąś z kolei nazwą lekceważącego, znudzonego zniechęcenia. "Olewają" synowie tych, którzy kiedyś

"kładli lachę" na wszystko lub z dumą obnosili miano "tumiwisistów". "Olewa się" szkołę nie dlatego, że stała się bardziej represyjna, nie do zniesienia. Szkoły jakoś przepływają przez rafy jaruzelszczyzny. W sumie podobne są do szkół z lat Gierka. Wtedy tolerowało się je, teraz nie. To nie szkoły są inne, a młodzież. Mimo całego ograniczenia odnowy oświaty, mimo krótkiego trwania ery "Solidarności", część przynajmniej młodych zobaczyła wówczas wokół siebie coś nowego: nauczycieli głośno mówiących to, co myślą, nie zlekniionych, nie stłamszonych. Ponowny nawrót do szkolnej "nowomowy" - nawet tej łagodnej, gierkowskiej - musiał dać efekt odsunięcia się, właśnie "olewania". Oczywiście w pierwszym rzędzie "olewa się" wszelkie próby tzw. oddziaływania ideowego.

Przy braku wszelkich innych perspektyw stoi bowiem przed młodzieżą perspektywa wzmożonego oddziaływania ideowo-wychowawczego. Jest to standardowy chwyt - remedium na wszystko - wyćwiczony przez władzę od lat. Za wszystko, co złe w państwie duńskim, obarcza się winą młodych. Stwierdza się uczenie, że są pokoleniem "niedoinwestowanym ideowo" i proponuje się "wzmożenie oddziaływań ideowo-wychowawczych". To już się zaczyna. Oświata zdaje się ostrożnie sterować w kierunku ograniczenia wykształcenia ogólnego na rzecz zawodowego, ale robi to bez reklamy. Widać jednak niechęć do zwiększania liczby pełnych szkół średnich i troskę o to, by uczniowie zasadniczych szkół zawodowych nie otrzymywali nadmiaru "niepotrzebnej" wiedzy ogólnej.

Zabezpieczające młodzież przed indoktrynacją

"olewanie" kryje w sobie pewne niebezpieczeństwo: młodzi odrzucając bełkot ideologiczny często odrzucają zarazem nadużywane w nim pojęcia. Robią to odruchowo, broniąc się przed zalewem bełkotu. Nie umiejąc ocenić co tu jest zafałszowane, a co prawdziwe, na wszelki wypadek odrzucają wszystkie pojęcia abstrakcyjne, takie jak wolność, praworządność, demokracja, sprawiedliwość, upatrując w każdym z nich zastawioną przez komunistów pułapkę.

Sytuacja to nienowa. Gra o znaczenie słów toczy się już od czterdziestu lat. Przez cały czas komuniści usiłują zawłaszczyć wyrazy budzące sympatię i zmienić ich znaczenie tak, by tylko im służyły, i z tym zmienionym znaczeniem wiązać sympatię, jaką budziło znaczenie pierwotne. Ktoś, kto wyczuwa fałsz tego zabiegu, a nie widzi jasno na czym on polega, odrzuci samo pojęcie. Błąd ten popełniały kolejne pokolenia młodzieży. W efekcie może być coraz trudniej osiągnąć porozumienie, gdy chodzi o demokrację, praworządność, wolność czy patriotyzm w prawdziwym, a nie proponowanym przez komunistów, znaczeniu.

c/ Trwałość wpływu Kościoła

Schronienie się w grudniu 1981 roku do kościołów nie było czymś przypadkowym, przelotnym. Poszukująca dróg postępowania młodzież dalej znajduje sprzymierzeńca głównie w Kościele oraz w wielu dorosłych, także profesjonalnych nauczycielach, którzy pod jego skrzydłami lub na własną rękę kontaktują się i rozmawiają z młodymi w zakresie znacznie przerastającym kręgi prywatnych kontaktów z lat siedemdziesiątych. Nigdy jeszcze tak wielu wartościowych

młodych ludzi nie garnęło się pod skrzydła Kościoła. Od rozumu, inteligencji, wyobraźni i dobrej woli ludzi Kościoła zależy teraz bardzo wiele, więcej niż kiedykolwiek. Jeżeli potrafią oni podejść do młodzieży taktownie, stawiając jej jednocześnie wysokie wymagania i jeśli potrafią przyciągnąć do współdziałania wielu rodziców, proklamowana przez komunistów "walka o świadomość młodzieży" nie zagrozi naszej Sprawie. Rozpoczęta ostatnio przez władzę wojna z krzyżami w szkołach znów przybliży młodzież do Kościoła.

SZANSE I PERSPEKTYWY

Toczy się w Polsce dyskusja, na ile obecne pokolenie młodych jest pokoleniem straconym, "młodzież po falstarcie". Dyskusja prowadzona w państwowych gazetach zwraca przede wszystkim uwagę na realne, obiektywne wyznaczniki sytuacji młodzieży, na to, czego młodzież nie posiada, czego jej brakuje. Dyskusja ta nie ma większego sensu, bo określenie własnej sytuacji zależy nie tylko od obiektywnej sytuacji, ale i od nastawień tego, kto ma dokonać samookreślenia się w niej. To pokolenie można nazwać zmarnowanym, ale ono samo równie dobrze może określić się jako pokolenie, które ma doprowadzić kraj do niepodległości. Jak się w końcu określi i czy to samookreślenie się wyzwoli w nim postawę aktywną czy pasywną, zależy nie tyle od obiektywnych wyznaczników sytuacji, ile od świadomości i woli młodych.

Pokolenie to nie różni się pod tym względem od ludzi starszych. Dorośli także muszą określić

się ideowo, pozbierać się po szoku Grudnia, zobaczyć nowe zadania i drogi. Z tym, że młodzi mogą planować na dłużej, są biologicznie lepiej przygotowani do długiego marszu.

Piszący te słowa chciałby - prawdopodobnie wraz z wieloma ludźmi "Solidarności" - zachęcić młodych, by zechcieli przyjąć za własny ten cel, który wydaje się zasadniczy: staranie i walkę o to, by Polaków uczynić ludźmi wolnymi, a Polskę krajem niepodległym, demokratycznym i sprawnym gospodarczo. Ten cel maksymalistyczny, dalekosiężny nie wyklucza celów bliższych, bardziej ograniczonych. Może to pokolenie zechce określić się jako pokolenie przedświtu niepodległości?

Myślę, że młodzi potrafią znaleźć własną drogę i sformułować program dla swojego pokolenia. My, starsi za nich tego nie zrobimy, jest natomiast naszym obowiązkiem zwrócić im uwagę na to, co przy samookreśleniu warto brać pod uwagę i w jakich sprawach młodzi mogą liczyć na pomoc starszych. Trzy sprawy chciałbym tu wymienić jako istotne elementy "zadania-programu" dla młodych:

1. Wolność wewnętrzna i czuwanie.

Myślę, że młodzi wygrają, jeśli zrozumieją, że podstawowa walka ich życia to nie wschodnio-europejska walka z rosyjskim komunizmem. Jest ona ważna, przesłania nam czasem horyzont, ale nie jest najważniejsza. Najważniejsza jest walka każdego z nas o kształt jego samego, o to, by umiał być sobą i to w taki sposób, aby niosło to wartości dla innych. Chodzi o to, by młody człowiek chciał i umiał być mądrze,

odpowiedzialnie wolnym, tu i teraz, pod komunis-
tami, ale także i w przyszłości - jeśli się
uda, w niepodległej Polsce, jeśli się nie uda
- to i w nieszczęściu. Jest swoistą tragedią,
za którą niestety nie można winić tylko komunis-
tów, że, aby zwalczać alkoholizm, trzeba rzucać
świetne taktycznie, ale w gruncie rzeczy żałosne
hasło: "Jeszcze Rosja nie zginęła, póki my
pijemy". Więc jakby nie Rosja, moglibyśmy zabeł-
kotać się w pijackim niebycie na śmierć? Może
to pokolenie nauczy się nareszcie czynić rzeczy
wartościowe dlatego, że są wartościowe, a nie
dlatego tylko, że trzeba zareagować, dać odpór,
przeciwstawić się. Może to pokolenie potrafi
iść swoją drogą bez ciągłych wahań na skali:
uleganie - kontrakcja. Może. Na razie młodzi
wyśpiewują zdanie jednej z modnych rockowych
piosenek: "chcemy być sobą wreszcie" jako "chcemy
bić ZOMO wreszcie", nie zdając sobie sprawy
z tego, że wizja pokolenia, w którym każdy
chciałby być sobą, jest dużo donioślejsza dla
nas - i nota bene groźniejsza dla władców niż
bijatyka.

Idea prymatu zwycięstwa wolności nad wszelkimi
innymi zwycięstwami zdaje się być sednem tego,
co młodzieży powiedział w czasie II Pielgrzymki
Jan Paweł II. Myślę, że przedstawił on najważniej-
sze "wytyczne" postępowania dla młodzieży,
a zrozumienie ich i przetworzenie na indywidualne
plany własnych dróg życiowych jest podstawowym
zadaniem młodych. Nie jest to zadanie tylko
religijne; ma także znaczenie narodowe. Głęboka
mądrość słów skierowanych przez Papieża do
młodzieży zawiera się w postulatcie trwania
aktywnego. Nakierowane na Polskę czuwanie winno

prześwietlać każdą aktywność młodego człowieka bez względu na to, kim chce on być, jakie pola działalności politycznej czy społecznej wybiera, do jakiego postępowania skłania go jego temperament. Papież powiedział w dniu 18 czerwca 1983: "Może czasami zazdrościmy Francuzom, Niemcom czy Amerykanom, że ich imię nie jest związane z takim kosztem historii. Że tak łatwo są wolni. Podczas gdy nasza polska wolność tak drogo kosztuje. Nie będę, moi drodzy, przeprowadzał analizy porównawczej. Powiem tylko, że to, co kosztuje, właśnie stanowi wartość. Nie można być prawdziwie wolnym bez rzetelnego i głębokiego stosunku do wartości. Nie pragniemy takiej Polski, która by nas nic nie kosztowała".

Z tych słów wynika coś bardzo ważnego - program wychowania, w którym braki i trudności stają się szansą dla pracy i rozwoju. Może właśnie młodzi potrafią zobaczyć otaczający ich świat tak, by w braku, w deprawacji, w pozbawieniu dojrzeć szansę - możliwość zdobycia czegoś, uzyskania, wypracowania. Może słowa Papieża zwiastują jakąś zupełnie nową, porywającą pedagogikę społeczną?

2. Samokształcenie.

W walce o duszę tego pokolenia wielu stara się przekazać mu fałszywe wartości. Myślę, że bardzo szeroko traktowane samokształcenie winno być zadaniem i misją młodych. Nie chodzi tu tylko o świadome uzupełnianie wiadomości, ale o tworzenie - w grupach rówieśniczych, w sojuszu z mądrymi dorosłymi - samego siebie. Samokształcenie to budowanie własnej podmiotowości, ale także kształcenie własnych poglądów, wybór własnego systemu wartości.

Oświata jest bronią tego pokolenia, książki są amunicją. Jest rzeczą bardzo ważną, by młodzi uświadomili sobie, że kierowniczej roli partii można było bronić wtedy, kiedy garstka jako tako uświadomionych i wyszkolonych rewolucjonistów miała - jak w Rosji po 1917 roku - kierować masami analfabetów. Idea kierowniczo-dyktatorskiej roli jakiegokolwiek uprzywilejowanej grupy staje się śmiesznym anachronizmem wtedy, gdy społeczeństwo jest w swej masie mądrzejsze od tej grupy. I do tego trzeba doprowadzić. Większa część drogi do tego celu została już przebyta. Ale sporo jeszcze zostało. Komunizm żeruje na ludzkiej ciemnocie - oświata sama komunizmu nie wyeliminuje, ale stanowi konieczny warunek jego wyeliminowania.

Każda rzetelna wiedza służy sprawie polskiej, ale przede wszystkim potrzebne jest to, co poszerza horyzonty, odsłania alternatywy, pokazuje liczne, w różnych miejscach świata stosowane sposoby rozwiązywania problemów. Potrzebna jest wiedza, która uczy rozumienia innych ludzi i ich racji. Potrzebne są języki ułatwiające porozumiewanie się z innymi.

Samoksztalcenie winno być trwałym elementem długiego marszu ku niezależności, a zarazem dawać przygotowanie do działania tu i teraz oraz do najlepszego, najskuteczniejszego wykorzystania szans, jakie prędzej czy później przed społeczeństwem się pojawią. I jedno i drugie zakłada przemyślany program działań.

Młodzi wkomponują samoksztalcenie lub nie. Miejmy nadzieję, że robią to. Ale to dorośli muszą dbać o dostarczenie im tekstów, podręczników, historycznych wzorów, materiałów.

3. Tworzenie "tkanki społecznej"

Określenie to jest określeniem dorosłych, lubiących socjologiczny żargon. Idzie o to, by wszyscy starali się tworzyć silne więzi z innymi ludźmi - więzi liczne i różnorodne, oparte na różnorodnych podstawach, stanowiących psychiczne i praktyczne wsparcie w świecie, który komuniści pragną zbudować na dokładnie odwrotnej zasadzie: dobrze zorganizowanej władzy panującej nad pojedynczymi, oderwanymi od siebie, zagubionymi ludźmi, podobnymi do siebie, ale strachem od siebie oddzielonymi.

Młodzi tworzą więzi, spontanicznie zaspokajają instynktownie odczuwaną potrzebę, ale robią to nieświadomie, wybierając często formy zdegenerowane /gangi/, co pozwala władzom pobudzać w społeczeństwie poczucie zagrożenia i niechęć do każdego autentycznego grupowania się młodzieży. Jakie formy powinno przybierać to tworzenie więzi wśród młodych? W jakim stopniu powinni oni wykorzystywać struktury oficjalnych organizacji powołanych przez władze dla zupełnie innych celów?

Znowu ostatecznie będzie o tym musiała zadecydować sama młodzież. My, dorośli, musimy nauczyć się przekładać abstrakcyjne pojęcie "tkanki społecznej" na język konkretnych działań, a przede wszystkim tworzyć dla działań młodych ochronę, zapewniać im miejsca spotkań, otaczać opieką, służyć w miarę potrzeby radą.

x x x

Jak widać, zadania stojące przed młodymi są zasadniczo podobne do tych, które stoją

przed dorosłymi. Najcenniejszą pomocą może być dla nich nie to, że im ewentualnie powiemy, co robić, ale to, że zobaczą, jak my sami dajemy sobie radę z rozwiązywaniem podobnych problemów. Winniśmy służyć im nie mentorstwem, ale własnym przykładem. I to prawdopodobnie będzie najważniejsze.

Zadania, które stoją przed nami jako narodem mogą być rozwiązane, jeżeli połączy się perspektywę i determinację młodych z odpornością tych starszych, którzy nieraz już w życiu widzieli porażki, ale widzieli także zwycięstwa i wiedzą, że ziemskie moce każdego cezara w pewnym momencie rozsypią się w pył.

Są pewne cechy, które musimy wyrobić w sobie wszyscy: młodzi i starzy. Potrzeba nam wytrwałości, umiejętności działania bez szansy szybkiego, widocznego sukcesu i nadziei na pochwałę. Trzeba nam nauczyć się - mówiąc językiem psychologów - samosterowności w warunkach małej szansy na wzmocnienie przez nagrodę zewnętrzną. Jest rzeczą bardzo ważną, abyśmy robiąc wszystko, co możliwe dla zwycięstwa sprawy polskiej, umieli wypracować w sobie dojrzałą zgodę na porażki. Cel, o który nam chodzi - wolni ludzie w niepodległym państwie - będzie na pewno przez naród, przez którąś z kolejnych jego generacji osiągnięty, ale może okazać się nie do osiągnięcia w ramach krótkiej, osobistej biografii każdego z nas. A zatem nie tyle perspektywa osiągnięcia przez nas tego celu, ile przeświadczenie, że idzie się właściwą drogą, winno być źródłem i siły, i satysfakcji.

TRADYCJA

Ewa Jabłońska-Deptuła RODZINA W PRZEKAZYWANIU ETOSU NARODOWEGO WCZORAJ I DZIŚ

Nie mogę nie podzielić się wątpliwościami, czy tak sformułowany temat winien przedstawiać historyk. Problem jest na tyle złożony, że stanowi zarówno domenę historyka kultury, etyka, jak i socjologa czy pedagoga.

Obawiam się również, że moja wypowiedź wywoła wrażenie pewnego niedosytu, gdyż trudno nawet od strony historycznej zasygnalizować całokształt zagadnień dotyczących przekazu etosu narodowego wczoraj i dziś w rodzinach polskich.

Dla większego skontrastowania obrazu wprowadzam jedno ograniczenie, a mianowicie będę próbowała zestawić, porównać pewne modele owego przekazu, względnie załamania się tych modeli w czasach "trudnych i wyjątkowych", to znaczy w okresie niewoli - w zaborczym kontekście historycznym oraz w rzeczywistości współczesnej. Moje zadanie będę uważała za spełnione, jeżeli stanie się to punktem wyjścia do dyskusji, a w większym jeszcze stopniu - do przemyśleń nad powagą obecnej sytuacji w dziedzinie przekazu wartości w naszych rodzinach.

x x x

Etos pojęty jako praktyczny odbiór norm etycznych, styl życia, spęcyfika uwrażliwień moralnych - wyrażał się w respektowaniu określonego obyczaju. Zwraca to uwagę na samą kategorię o b y c z a j u , bowiem na płaszczyźnie obyczaju dokonywała się tak w warstwach objętych kulturą pisaną, jak i w tych bardzo licznych, bo przed stuleciem liczących około 80%, które objęte były przekazem ustnym - najszerzej pojęta formacja narodowa.

Chodzi tu o ważką sferę życia kulturowego wyrosłego z korzeni chrześcijańskich i ściśle zespolonego z etosem chrześcijańskim.

Jan Paweł II na placu Zwycięstwa w Warszawie 2 czerwca 1979 roku stwierdził: "Dzieje narodu zasługują na właściwą ocenę wedle tego, co wniósł on w rozwój człowieka i człowieczeństwa, w jego świadomość, serce, sumienie. To jest najgłębszy nurt kultury, to jej najmocniejszy zrąb. Otóż tego, co naród polski wniósł w rozwój człowieka i człowieczeństwa, co w ten rozwój i dzisiaj wnosi nie sposób zrozumieć bez Chrystusa!"

Polski etos nierozzerwalnie związany z obyczajem prowadzi do stwierdzenia, że nasz katolicyzm nigdy nie był spekulatywny, a nawet w tym zakresie wykazywał znaczne braki, lecz był to katolicyzm etycznie-praktyczny, któremu zasadniczo obca była religia strachu. Być może tu leży przyczyna, że tak stosunkowo bezboleśnie przeszliśmy okres kontrreformacji.

Obcą naszej mentalności była również religia negacji rzeczywistości ziemskiej. Polskie poczucie sacrum wrosło w rzeczywistość dnia codziennego, z nią się splotło. Mało znaną była też nietoleran-

cja religijna.

Chrześcijaństwo polskie, przy różnych swoich słabościach, głęboko było związane z o d - c z u c i e m d o b r a . Bóg jest najwyższym Dobrem, Dobrocią, stąd nastawienie na odkrywanie spraw Bożych w stosunkach międzyludzkich, od podstawowej komórki społecznej - rodziny, poprzez różnorakie układy życia społecznego.

R o l a o b y c z a j u w n a s z y m n a r o d o w y m e t o s i e , w stylu życia chrześcijańskiego była zgoła wyjątkowa. Konieczne jest w tym miejscu rozróżnienie między obyczajem a zwyczajem. Ten ostatni mógł być konwenansem, a jego respektowanie na wół mechanicznym odruchem. W naszej refleksji obyczaj jest pojmowany w znaczeniu rzymskim "mos", od którego wywodzi się słowo moralność. Zakłada więc odniesienia moralne w stosunku do rzeczywistości życia codziennego.

Jest rzeczą oczywistą, że w swym rozwoju historycznym obyczaj wiązał się z typem kultury i tradycji, poczynając od życia jednostki, życia rodziny, aż do spraw Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

W polskim społeczeństwie, w którym zdecydowanie dominowała r e l i g i j n o ś ć a g r a r n a , obyczaj stanowił niejako klamrę spinającą życie świeckie z rytmem sakralnym życia jednostki i rodziny.

Żywotna w okresie niewoli narodowej kategoria pojęciowa "o b y c z a j u s w o j s k i e g o " , właściwego Polakom - przepojona była związkiem z wolną przeszłością utraconej Ojczyzny. Szlachta odczuwała go jako obyczaj narodowy, gdyż sama aż nazbyt długo identyfikowała się

z narodem. Dla mas chłopskich był to obyczaj "ojcowy", swojski.

W warstwach o rozbudzonej narodowej świadomości respektowanie obyczaju polskiego stawało się - w pewnych przynajmniej kręgach - rodzajem misji narodowej. Niezależnie jednak od tego, czy mamy do czynienia z warstwami objętymi kulturą pisaną, w których doniosłą rolę odgrywał przekaz literacki, czy też z warstwami objętymi wyłącznie kulturą ustną - ów "swojski" obyczaj obejmował życie jednostki i społeczności rodzinnej od kolebki do trumny. Wtopiony był również w rytm pracy rolniczej, w pory roku, w przyrodę. Wąski margines stanowili ludzie, którzy w okresie niewoli ulegli wynarodowieniu, wyrzekli się dobrowolnie moralnego dziedzictwa ojców. Niezbyt liczne były też te grupy elit, które konsekwentnie hołdowały modzie na cudzoziemszczyznę, a rzecz charakterystyczna - owa moda na cudzoziemszczyznę nie miała związku z wpływem kulturowym państw zaborczych.

W jakiej mierze w "polskim obyczaju" zawarty był określony kodeks postępowań etycznych wskazuje fakt, że korelatem określenia "rodzimy obyczaj" stało się określenie "staropolska cnota", zawierające głębokie poczucie godności ludzkiej.

Z obyczajem pojętym jako praktyczne wdrażanie etosu narodowego wiązało się kilka ważnych przeświadczeń. Oto niektóre z nich:

- przekonanie, że polski obyczaj, polski styl życia jest głęboko zgodny z chrześcijaństwem;
- istotnym wyróżnikiem w tym "polskim stylu życia" było to, że religia była sprawą życia człowieka w społeczności - w historycznym

rozwoju oczywiście w społeczeństwie stanowym, ale życie człowieka określało przeświadczenie, że B ó g j e s t d o b r y ;

- respektowanie obyczaju przodków związane było z kategorią "dobrej i słusznej sprawy", zakładano, że jeżeli sprawa jest dobra i słuszną, to Bóg jest po jej stronie. Będzie to miało skądinąd kapitalne znaczenie i zgoła podstawowe dla "p o l s k i e j t e o l o g i i o p o r u" w okresie niewoli. Wszystkie bowiem zbrojne poczynania mające na celu zrzuć jarzmo zaborczego posiadały silną komponentę religijną, odnoszącą się do Boga, w szczególności za pośrednictwem Maryi, którą społeczność Polaków proklamowała swą Królową - ufano bowiem wbrew wszystkiemu, wierzano, że temu narodowi dane będzie zwyciężyć - nigdy nie uznano rzeczywistości zaborczej za rzeczywistość nieodwracalną. Prototypem usiłowań "wybicia się na niepodległość" stała się konfederacja barska, która w szczególności zmobilizowała do walki drobną szlachtę, w pierwszej fazie do walki pojętej jako obrona przywilejów stanowych oraz do walki w obronie wiary zagrożonej przez innowierców popieranych przez mocarstwa ościenne. W czasie jej trwania narodziła się świadomość, że już od lat kraj przestał być suwerenny. I właśnie w owym czasie narodziło się hasło wywoławcze "obrony wiary i wolności", której efektem miała stać się niepodległość. W konsekwencji, w ubiegłowiecznym kontekście historycznym, prowadziło to do samoidentyfikacji w katolicyzmie oraz do znanej zbitki "P o l a k a - k a t o l i k a". Nie sposób w tym miejscu przedstawić historyczne etapy jej powstania.

W polskim etosie przy całym szacunku dla religii i kleru nie było skłonności do teokracji; duchowieństwo otaczano szacunkiem, było potrzebne, ale głównie z tego tytułu, że sprawiało sakramenty i przewodniczyło kultowi. Zespolone głęboko ze społeczeństwem, w pewnym okresie zsarmatyzowane, choć stanowiło osobny stan, a w rzeczywistości niewoli było kontrolowane, naciskane, represjonowane, a w pewnych wypadkach kokietowane przez władze zaborcze, które uznawały "unię ołtarza z tronem", a religię traktowały jako podporę rządu - duchowieństwo polskie w swojej masie pozostało wtopione w społeczeństwo. Manipulacje władz zaborczych, słabości ludzkie duchowieństwa, niski poziom intelektualny /w tej chwili nie rozgraniczam na okresy i terytoria/ nie miały poważniejszego wpływu na proces dechrystianizacji - tak silnie występujący od pierwszych dziesięcioleci ubiegłego wieku w zachodniej Europie. P o l a c y p o z o s t a l i s p o ł e c z n o ś c i ą w i e r z ą c ą . Na przestrzeni z górą stulecia zaobserwować można coraz mocniejsze więzi "ołtarza z narodem". Zjawisko zgoła niebiahe w polskim trwaniu i przetrwaniu, skoro uświadomić sobie, że w kraju rozerwanym przez trzy mocarstwa - K o ś c i ó ł b y ł j e d y n ą t r ó j - z a b o r o w ą i n s t y t u c j ą p u b l i c z n ą p o l s k ą , która mimo wszystkich determinant i presji zachowała prawo gromadzenia ludzi i przemawiania do nich po polsku.

Kościół nieprzerwanie zaangażowany duszpastersko stał się gwarantem przetrwania polskości, ugruntowania etosu narodowego, chociażby przez obrzęd religijny mieszczący się w rytmie

świąt kościelnych i paraliturgicznych - tak bardzo splecionych z polskim obyczajem i swoistą religijnością, w nabożeństwach pogrzebowych za "prawych Polaków i Polki", wreszcie w manifestacjach religijnych i narodowych, kojarzących się chociażby z takimi datami, jak: 1812, 1830-31, 1846, 1848, 1861-64 czy nawet 1905, gdy w wielu miejscowościach robotnicy wyszli na ulice miast ze sztandarami religijnymi śpiewając "Boże coś Polskę..."

Tu należy wskazać na szczególną wagę zbiorowego, wspólnego przeżycia religijnego, śpiewu, modlitwy, spotkania się ludzi wszystkich warstw społecznych. Do kościoła szło się rodzinnie, sąsiadsko, wspólnie oglądało się "groby" czy "betlejemy", które zawierały wiele treści narodowych. Trudno zgoła przecenić m o r a l n e w a r t o ś c i o w a n i e obowiązków wobec Ojczyzny dokonywane w konfesjonale, a także nieustanny przekaz etosu narodowego przez ambonę, a docierający szeroko do ludzi nie objętych kulturą pisaną. Zjawisko jest tym bardziej godne wskazania, że na niektórych obszarach kraju przez całe dziesięciolecia obowiązywała prewencyjna cenzura kazań, a głównym, najpoważniejszym punktem oskarżeń duchowieństwa przez władze zaborcze było nie tyle bezpośrednie uczestnictwo w poszczególnych usiłowaniach "wybicia się na niepodległość", ale s z a f a r s t w o s a k r a m e n t ó w , udzielanie rozgrzeszenia i Komunii św. "s p i s k o w c o m i b u n t o w n i k o m", a więc zgodnie z polskim ctosem wolności udzielenie s a n k c j i r e l i g i j n e j , wpływające z najgłębszego przekonania o związku religii

z wszelką słuszną sprawą.

Polski etos wolności był dziedzictwem obyczajowym i mentalnościowym okresu Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Przez z górą wiek zaborów niezachwianym pozostało przekonanie, że owo dziedzictwo jest głęboko c h r z e ś c i j a ŋ s k i e . Istotną rolę w kształtowaniu owego dziedzictwa odegrał fakt, że Polska nigdy nie przeszła przez okres absolutyzmu i nie istniało tak typowe w XIX-wiecznych ruchach radykalnych rozgraniczenie między władzą pochodzącą od Boga a władzą wybraną przez społeczeństwo. Żywotnym pozostało przeświadczenie, że wyłącznie naród jest mandatariuszem władzy. Społeczność, w której trwała okazała się pamięć o teorii translacji władzy, okazała się wyjątkowo oporna w uznaniu narzuconej, obcej władzy zaborczej za własną. Istotną była tu świadomość, że narodu nie można na tyle ubezwłasnowolnić, aby przestał być mandatariuszem władzy, a jako taki posiadał prawo, więcej nawet obowiązek - zrzucenia władzy obcej, deprawującej, powszechnie nieakceptowanej, władzy wykazującej cechy "tyrańskie", co skądinąd zgodne było z tezami zawartymi w "Summie" św. Tomasza z Akwinu. Potocznie jednak nie sięgano tak daleko do uzasadnień teologicznych, ale bazowano na przekonaniu o chrześcijańskim dziedzictwie przeszłości. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że w odbiorze powszechnym nastąpiło zatarcie pomiędzy prawem wyniesionym z wolnej przeszłości a świadomością chrześcijańskiej genezy tego uzasadnienia.

Na zakończenie tej króciutkiej sygnalizacji "polskiego etosu wolności" warto zauważyć, że nawet przy wyraźnej tendencji do gloryfikacji dziejów własnego narodu, która swe apogeum

osiągnęła w mesjanizmie romantycznym - tytułem wybrania było poczucie misji oraz przeświadczenie, że sprawa polskiego narodu jest dobra i słuszną, a jeśli jest taka - to Bóg ją wspiera. Towarzy-
szyło temu inne przeświadczenie, że owe kryteria
d o b r a i s ł u s z n o ś c i posiadają
wymiar u n i w e r s a l n y - stosują się
też do innych narodów i społeczności uciemnionych
i pozbawionych wolności. Z tych postaw wynikła
nieobecność agresywności oraz ostrych form
nacionalizmu i tu właśnie należy szukać genezy
hasła: "Za wolność naszą i waszą", kilkakrotnie
już w naszych dziejach formułowanego w odwrotnej
kolejności: "Za wolność waszą i naszą".

x x x

Rzecz oczywista mowa była dotychczas o nie-
których korzeniach polskiego dziedzictwa kulturo-
wego wytwarzających określoną spontaniczność
i samorodność sposobu myślenia i reagowania,
ową r o d z i m o ś ć , z której w poszczególnych
warstwach społecznych wyrasta w różny sposób
i w różnym czasie świadomość więzi szerszych,
więzi narodowych. Dziedzictwo kulturowe to
jest to wszystko, w czym człowiek wzrasta od
pierwszych chwil życia i w co wrasta, co przyjmuje
za własne, duchowo bliskie, bezpośrednio zrozu-
miałe. Istotę tak pojętej kultury Jan Paweł
II najlapidarniej określał: "wszystko, co Polska
stanowi!"

W długotrwałym okresie braku bytu suwerennego
przeciwstawieniu uległy dwie sfery życia: domowe-
go, rodzinnego, rodzimego, prywatnego oraz
publicznego. Pierwsza była znajoma, swojska,

własna, druga - obca, wroga, narzucona. Zetknięcie ze sferą wrogości zaczynało się wcześniej, bo od zaborczej szkoły.

W pokoleniach "urodzonych w niewoli, okutych w powiciu" - r o d z i n a stała się główną, centralną komórką życia narodowego, przejmując w sposób świadomy lub spontaniczny - bo tak dyktowało życie - część tego, co w nowoczesnym państwie winno stać się domeną życia publicznego. W pewnym przynajmniej zakresie uległ zatarciu podział na to, co publiczne i na to, co prywatne, gdyż to, co działo się w sferze życia prywatnego, domowego, sąsiedzkiego - posiadało szerokie publiczne odniesienia na własny, narodowy użytek.

Opóźniony na ziemiach polskich etap uprzemysłowienia oraz zespolenie z kulturą agrarną sprawiły, że w naszym społeczeństwie istniały dwa dominujące typy rodzin:

1. R o d z i n a c h ł o p s k a. Jej ogromna siła tkwiła w samym "wrośnięciu" w ziemię, traktowaną jako najwyższe dobro, jako dziedzictwo "ojców". Wyrażała się w odporności, w trwaniu, o czym chociażby pisał Bolesław Prus w "Placówce".

Okres zaborów to czas wyzwalań się z więzów pańszczyzny. Warstwy wyższe miały, i nikt tego nie neguje, wiele grzechów wobec wsi, ale obraz nie rysuje się w jednolite czarnych barwach, gdy weźmie się chociażby pod uwagę manipulowanie sprawą chłopską przez rządy zaborcze, celowe trzymanie wsi w ciemnocie, umiejętne przeciwdziałanie w tworzeniu więzów solidarności narodowej, a także liczne i różnorodne wysiłki dowartościowania chłopca przez współrodaków. Nawet w sytuacjach konfliktowych istniał pewien czynnik

jednoczący - wspólny polski obyczaj.

Poczucie narodowe chłopą wyrastało z "wzycia" się w swoje strony, wkorzenienia w ziemię uprawianą ciężką pracą, z przeżywania swojskości - nośnika treści narodowych, uświadamianych w stopniu wprost proporcjonalnym w obu zaborach innowierczych /rosyjskim i pruskim/ do nasilania się restrykcji w stosunku do różnych przejawów życia polskiego i w stosunku do religii. Ponadto nie bez znaczenia była rola opinii rodzinno-sąsiedzkiej w środowiskach wiejskich i małopięsteczkowych. To, co było dobre dla "ojców" musiało być dobre dla dzieci. Zawierało to przy wszystkich wartościach samoobronnych przed "obcym" element konserwatyzmu, a nawet zacofania. Niemniej dominantę stanowił tu czynnik integracyjny. Dotychczas mało zbadanym problemem w modelu tradycyjnej rodziny tych warstw, w których główną rolę grał przekaz ustny, gdyż, umiejętność pisania i czytania była rzadka, mimo nieustannych tajnych wysiłków oświatowych /tutaj rozgraniczenie zaborcze jest bardzo wyraźne - największy procent analfabetów istniał pod rządami rosyjskimi/ są - obok ambony i konfesjonału - treści zawarte w spontanicznie komponowanych pieśniach religijnych, ludowych piosenkach patriotycznych, gdzie zbytnio nie troszczono się o chronologię i ścisłość faktów historycznych, ale które zawierały określony ładunek emocjonalny. Jakże wreszcie wartości, obok elementów zabobonu i przesądów, przekazywane były w długie zimowe wieczory na spotkaniach rodzinnych i sąsiedzkich w opowiadaniach "gadkach", gdzie strzępy legend historycznych mieszały się z żywotami świętych i z tym szczególnym elementem "trwania na ziemi

ojców" - z coraz większą świadomością, że "my tu nie od dzisiaj".

2. R o d z i n a z i e m i a ŋ s k a , a zwłaszcza d r o b n o s z l a c h e c k a osiągnęła rangę modelu jako pewnej ostoji polskości. Obyczajowość małego dworku wraz z migracją ku miastu przenikała w warstwy inteligencko-miejskie, nawet drobnomieszczańskie, zwłaszcza, że większość miast posiadała silne powiązania z okolicznymi wsiami, nie mówiąc o typie miasteczek żyjących na wpół z rzemiosła, na wpół z rolnictwa.

Ten typ rodziny wywodzący się z małego dworku czy chałupy szlachcica zagrodowego był jedną z bardziej nośnych sił w przekazie etosu narodowego, wtopionego w polskie chrześcijaństwo. Wytworzył on model "d o m u - t w i e r d z y", model niewątpliwie defensywny, ale nie mający nic wspólnego z kultem prywatności jako wartości samej w sobie.

W tego typu rodzinach funkcjonowała narodowa selekcja ochronna, eliminująca wpływy "obce", godzące w zasadniczy zrąb wartości przekazywanych i kultywowanych w rodzinie i nie puszczająca za próg własnego domu ludzi posiadających opinię "złych Polaków", obojętnych dla "świętej sprawy naszej".

Nie sposób na obecnym etapie badań określić, jaki wpływ miał model rodziny-twierdzy na coraz liczniejsze rzesze robotników, najczęściej przybyszów do ośrodków miejskich, wędrujących za chlebem, wykorzenionych z rodzinnego środowiska kulturalnego.

W tym miejscu trudno mówić o sądach wartościujących model rodziny-twierdzy, chodzi

natomiast o podanie pewnych jej rysów charakterystycznych, jej roli w przekazie etosu narodowego oraz o wskazanie długotrwałości istnienia tego modelowego zjawiska - przekraczającego barierę dokonywających się przemian ekonomicznych.

Spróbujmy sprecyzować niektóre z cech modelu rodziny-twierdzy, modelu, którego rozpowszechnienie w różnych jego wariantach stało się jedną z determinant trwałości oraz ciągłości przekazu etosu narodowego zespolonego z chrześcijańskim.

Przy całej wrażliwości na sferę obyczajowości, związanej ze szczegółowymi normami zwyczajowymi, zależnymi od konkretnych układów społecznych, gospodarczych, poziomu intelektualnego, powiązań rodzinnych, dostosowujących się do określonego kontekstu historycznego - funkcjonowało, żywe było mocne poczucie **d z i e d z i c t w a** i obowiązku przekazu **w a r t o ś c i g e n e r a l n y c h**, uważanych za ważne, istotne i wiodące, za wzorowe. Do takich m.in. należały:

1. Idea trwania i przetrwania na ziemi ojców, z tym, że względna niezależność materialna traktowana była nie jako dobro wyłącznie konsumpcyjne, ale jako możliwe, w granicach danej sytuacji zabezpieczenie przed ingerencją zewnętrzną, umożliwiające prowadzenie życia "polskiego".
2. Funkcje formacyjne domu polskiego - rodzinnego gniazda, wdrażającego od najwcześniejszych lat w rytm życia religijnego, w zobowiązania moralne, w potrzebę służby dla Ojczyzny. Nie chodziło tu wyłącznie o obwarowania negatywne, ale o cały zespół wartości uważanych za rodzime, zawartych w nauczaniu prawd wiary, wdrażaniu

w codzienną obyczajowość, znajomość pieśni, i dziejów własnego narodu, w sferach objętych kulturą pisaną - jego spuścizny literackiej, a przede wszystkim na jasnym rozgraniczeniu pomiędzy czynami i zachowaniami dobrymi a złymi.

Dziecko z domu wynosiło swoisty bagaż moralny jakby barierą odgradzający dwa światy: swój, własny, polski, rodzimy i ten obcy, narzucony, deprawujący, z którym trzeba się było koniecznie zetknąć, lecz nie wolno pod groźbą utraty własnej tożsamości z nim się zbratać, weń uwikłać, z nim utożsamić. Zachowując najniezbędniejsze punkty styku należało zawsze powracać do "swoich", "swoim" służyć. Takie kategorie myślowe, jak: "święta sprawa nasza" czy życie godne "prawego Polaka i katolika" - prawość pojmowana była jako zgodność własnego życia z własnym sumieniem i przekonaniami, z wartościami, w których się wzrosło - stały się kategoriami wiodącymi.

Siła przyciągania wzorca rodziny-twierdzy, tego modelu rodziny, który cechowało jednocześnie zamknięcie i otwarcie - w szczególności po linii zadzierzgiwania różnego typu więzów nieformalnych: sąsiedzkich, towarzyskich, wreszcie tych, które posiadały jakieś punkty odniesienia do "świętej sprawy naszej", owa siła przyciągania wyraziła się przede wszystkim dwojako:

1. Przeniesieniem i adaptowaniem tego wzorca polskiego domu od środowisk ludzi bezpośrednio związanych z ziemią - ku miastom. Istotnym czynnikiem był tu obyczaj zespolony z polskim typem religijności.
2. Fascynacja polskością ludzi, którzy bądź zapomnieli o polskim pochodzeniu, jak np. Wojciech Kętrzyński, przybyłych niedługo przed rozbiorami

na ziemi polskiej - tu klasycznym przykładem jest patriotyzm rodziny Lelewelów - bądź też wręcz rodzinie związanych z biurokratycznym aparatem władzy zaborczej. Znaczącymi krzewicielami polskości byli tacy ludzie, jak: Bogumił Linde - autor pomnikowego słownika języka polskiego, Oskar Kolberg - miłośnik i badacz folkloru polskiego czy autor "Pieśni o ziemi naszej" - Wincenty Pol - syn austriackiego urzędnika czeskiego pochodzenia, powstaniec listopadowy, który w swej twórczości zawarł program poznania i ukochania własnego kraju.

Rodzina-twierdza przez rozszerzenie różnorodnych więzów nieformalnych i pozaorganizacyjnych wywierała znaczący wpływ na kształtowanie się polskiej opinii społecznej, powodowała a u t o n o m i z a c j ę życia narodowego w sferze prywatnej, osobistej i osobowej.

Wreszcie stwierdzenie, które wydaje się tu najważniejsze. Rodzina polska była najistotniejszym miejscem, w którym dokonywał się przekaz etosu narodowego. Zasób "wiedzy domowej" zawierał znajomość dziejów ojczystych, idealizowanych w myśl haseł wywoławczych, jak: "Bóg, honor i Ojczyzna", "walka o naszą i waszą wolność", "twierdzą nam będzie każdy próg". Przekaz ustny tradycji rodzimej osnuty był wokół sagi bohaterstwa. Uczono jednak nie tylko umierać, ale i żyć dla Ojczyzny, dla kraju bez granic, dla narodu pozbawionego prawa samostanowienia. Bez formacji rodzinnej zobowiązującej narodowo trudno pojąć różne jej kontynuacje, jak chociażby: 1. Powstanie wśród młodzieży kolejnych generacji zaborczych konspiracyjnych kółek samokształceniowych.

2. Nieustanne szerzenie tak w miastach, jak i na wsi oświaty polskiej, począwszy od tajnego uczenia czytania i pisania po polsku, elementów dziejów narodowych, prawd katechizmowych, polskich pieśni religijnych i patriotycznych, co zwłaszcza w zaborze rosyjskim czy pruskim karane było na równi ze zbrodnią stanu, a wielu działaczy oświatowych znalazło się na Syberii.

3. Fenomen zgromadzeń ukrytych, w szczególności 5 tysięcy sióstr służek i ponad tysiąc braci sług Maryi - rekrutujących się ze wsi i pracujących wśród rodzin wiejskich w okresie największych represji antypolskich w zaborze rosyjskim w ostatniej ćwierci wieku XIX, czy analogiczny fenomen sióstr fabrycznych.

Gdy jawne życie zakonne zostało formalnie skasowane i skazane na wymarcie - powstał ogromny ruch, na czele którego stał jeden zakonnik przez 52 lata internowany w swoim klasztorze, któremu zakazano nawet wychodzić na ambonę. W owym wieloaspektowym ruchu stanowiącym bieżącą odpowiedź na najżywotniejsze potrzeby społeczne Polaków dla przekazu polskiej kultury duże znaczenie posiadały zgromadzenia nauczycielskie, a także wspólnota, która specjalnie poświęciła się samokształceniu i czytelnictwu.

4. Praca w Galicji od schyłku lat sześćdziesiątych uzyskała autonomię nowopowstałych zgromadzeń dydaktyczno-wychowawczych, szczególnie żeńskich. Praca owa posiadała znaczenie szersze niż terytorium jednego zaboru, gdyż zakonnice przyjmowały do swych zakładów dziewczęta z innych zaborów, zajmując się formacją: matki, żony i obywatelki.

Zgoła wyjątkowa była rola matki w przekazie etosu narodowego, zwłaszcza, jeżeli się zważy

na dotkliwe zjawisko niedostatku w kraju męskich elit moralnych i intelektualnych, co pokolenie przerzedzanych przez zrywy zbrojne, zsyłki, deportacje, więzienia, długoletnie katorżnicze roboty, przymusową emigrację polityczną, a wreszcie i zawodową. Ponadto kobieta, żyjąc w zaciszu domowym, mniej była uwikłana od mężczyzny w przymusy obcego i wrogiego życia publicznego. Liczne świadectwa pamiętnikarskie potwierdzają, że u kolan matki otrzymywało się formację religijną i narodową. A była to formacja obarczająca moralnie, gdyż autentyczne i polskie wychowanie domowe zawierało uświadomienie, wpojenie dzieciom zobowiązań wobec narodu, nieuznawanie niewoli za rzeczywistość, której się nie da odwrócić. W prawdziwie polskich rodzinach - niezależnie od statusu społecznego - praktycznie co pokolenie składana była danina krwi bądź lat spędzonych na katorżniczym wygnaniu. Prócz zapewnienia dzieciom ciepła rodzinnego gniazda matki świadome były, że muszą chować je dla trudnej i nieznanej przyszłości. Matki w rodzinach prawdziwie polskich świadome były, że młode pokolenie stanowić będzie kolejne "kamienie rzucane na szaniec". Wierzano, że może ta walka, a może inna przyniesie upragnioną wolność, ale równie prawdopodobne było, że świt wolności jest jeszcze odległy.

x x x

Moja wypowiedź dotycząca dnia dzisiejszego koncentrować się będzie wokół niektórych zagrożeń w przekazie etosu narodowego w zmienionym politycznie, społecznie i gospodarczo

70

społeczeństwie.

Czy wobec zmienionego kontekstu historycznego odmienny winien być etos narodowy? Oczywiście, że N I E ! Może jedyną dopuszczalną modyfikacją jest rozłożenie akcentów, nastawienie na trwanie i świadectwo! - co wymaga pogłębionej świadomości, co wymaga trudu.

Czy wobec uzależnienia naszych rodzin pod względem materialnym od państwa, uwikłania kobiety matki, a zwłaszcza matki pracującej w skomplikowane układy, jej braku czasu, notorycznego zaharowania i zmęczenia, choć w jakiejś mierze jest aktualnym model rodziny-twierdzy? Oczywiście, nie chodzi tu o kalkowanie wzorca sprzed kilku czy kilkudziesięciu lat, który skądinąd zakładał wprawdzie ograniczoną, ale autonomię sfery życia prywatnego oraz wyraźne przeciwstawienie się deprawującemu i narzuconemu publicznemu życiu zaborczemu. Ale gdzie, jak nie w naszych rodzinach ma się odbywać przekaz wartości uważanych za niepodważalne, niezbywalne; stanowiących o naszym człowieczeństwie i o naszej odrębności narodowej, o naszym prawie do istnienia jako Polaków?

Problem jest tym trudniejszy, że na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych dokonał się w wielu rodzinach, może nie we wszystkich, proces, który umownie można określić jako pęknięcie łańcucha przekazu wartości i tradycji.

Owczesi rodzice - pokolenie znękanе i umęczone, przerzedzone stratami wojennymi, budując odmienną rzeczywistość, której mechanizmów nie znali - chcieli zapewnić rodzaj bezpieczeństwa podstawowego swoim dzieciom. W mniej lub bardziej świadomy sposób zrezygnowali z

obarczającego moralnie wychowania, z przekazywania swoim dzieciom tradycji oraz wartości religijnych i narodowych. Obawiali się konfliktów, z jakimi dzieci i młodzież musiały się zetknąć wchodząc w ówczesne życie. A był to wszakże okres, w którym niebezpiecznie było wspominać, że ktoś walczył w szeregach AK czy w Powstaniu Warszawskim lub w oddziałach polskich na zachodzie.

Zmęczonemu, wynędzniałemu społeczeństwu nakazano odwrócenie się od przeszłości, zmuszano do zapominania dziejów - i tych dawniejszych, i tych, do których sięgała pamięć ludzka, których byli świadkami i uczestnikami. Dzieci uczone były historii z podręczników obowiązujących w dziesięciolatce rosyjskiej. Setki ludzi na całe lata znalazło się w więzieniach, byli i tacy, którzy przepadli bez śladu.

Trzeba też sobie uświadomić, że kolosalne wykrwawienie narodu nastąpiło dwukrotnie w życiu jednego pokolenia, że również po raz drugi dźwignięto kraj ze zniszczeń i ruin wojennych, że wreszcie zabrakło setek i tysięcy najbardziej ideowej młodzieży, poległej w walkach partyzanckich i Powstaniu Warszawskim, tej młodzieży, która miała wejść w wiek dojrzały i dorosłe życie zawodowe bezpośrednio po roku 1945.

Niemniej stwierdzić należy, że pęknięcie łańcucha przekazu wartości i tradycji posiada poważne reperkusje po dzień dzisiejszy, gdyż to pokolenie ówczesnych dzieci i młodzieży to generacja obecnych rodziców, spośród których starsi posiadają już nawet wnuki. Problem ten przybrał nowe wymiary oraz długi szereg

konsekwencji, zwłaszcza zaś w postawach, choćby w konsumpcyjnym modelu życia ery gierkowskiej.

Wypada jeszcze dodać, że przy inercyjnym zerwaniu z przeszłością, z etosem narodowym, przy częściowej dezaktualizacji tradycyjnych wzorców życia - nie udało się zaproponować laickich wzorców życia dopasowanych do polskiej mentalności. Generacja ZMP-owców przez czas krótki wierzyła w promocję społeczną i w "moralność socjalistyczną", generacja gierkowska, że "budujemy drugą Polskę". W co mają wierzyć obecne dwudziestolatki???

W tym miejscu niepodobna przecenić roli Kościoła jako elementu ciągłości. Kościół w jakiś sposób potrafił zapełnić pustą przestrzeń między wczoraj a dzisiaj. Mimo że sam dotkliwie odczuł okres "błędów i wypaczeń", mimo sił odśrodkowych, jak chociażby księży patrioci czy PAX, był i pozostał najpoważniejszą siłą zdolną złagodzić skutki destabilizacji moralnej rodziny - i tu ciąży na nim wielka odpowiedzialność. Ale nie tylko ciąży ona na Kościele, bo Kościołem jesteśmy my wszyscy.

Właśnie w ramach owego continuum prymas Wyszyński nie zrywał z tradycyjnymi formami religijności, tak wyraźnie związanej z kulturą agrarną, niezmiernie bogatą w różnorodne obyczaje i obrzędowość religijną typowo polską. Był ich znaczenia w przeszłości, w "czasach trudnych i wyjątkowych" pewien. Co więcej - świadomie nawiązywał do korzeni chrześcijańskich naszej tożsamości narodowej, żeby wspomnieć tylko przygotowania do 300-lecia ślubów Jana Kazimierza czy uroczystości millenijne. Zresztą nadal religijne przeżycie swej polskości pozostało

jedynym swobodnym i spontanicznym przeżyciem tego typu, co mieliśmy okazję doświadczyć w ciągu obu pielgrzymek do Ojczyzny Ojca Świętego.

Przemiany gospodarcze i społeczne, przejście bardzo znaczących grup ludności ze wsi do miasta, rozbitcie stabilnych struktur społecznych, wyko-rzenienie społeczno-kulturowe setek i tysięcy rodzin, zafascynowanie miałym kultem "miejs-kości" oraz zdobywanie nie tyle wykształcenia, ile papierków i dyplomów - bo wykształcenie zakłada wolny dostęp do informacji i umiejętność krytycznego myślenia - rzucenie ludzi w odmienne warunki życia, inny rodzaj pracy niż ich rodzi-ców - wszystko to sprawiło, że przeszłość w znacznej mierze przestała być źródłem norm i wartości dla opuszczających swe macierzyste środowisko młodych pokoleń. Minimalizacji uległy więzy rodzinne, sąsiedzkie, a w większych aglo-meracjach miejskich - w osiedlowych blokach każdy żyje na własny rachunek oswobodzony z presji opinii, nie znając się wzajemnie. Gorzej nawet, gdyż udało się ludzi podzielić, ustawić do siebie konkurencyjnie, co tak dotkliwie odczuwamy chociażby w kolejkach.

Dobrze tym, którzy mają ileś tam M-ów, gdyż posiadają minimum przestrzeni życiowej. A ile tysięcy rodzin na nie czeka? Problem mieszkaniowy staje się zgoła beznadziejny, gdy zważy się na to, że jest to warunek niezbędny pewnej autonomii życia rodzinnego, autonomii na obszarze której dokonuje się przekazu wartości, autonomii umożliwiającej wprowadzenie własnego stylu domu, nadanie mu ludzkiego oblicza. Z drugiej jednak strony przekaz jakich wartości otrzymały dzieci i młodzież z luksusowych willi prominen-

ckich czy bogatych domków jednorodzinnych prywatnej inicjatywy?

W przeszłości tak wielką wagę posiadało tworzenie więzi międzyludzkich, tych nieformalnych, opartych na pokrewieństwie, wspólnocie dążeń i ideałów, powiązań ze "świętą sprawą naszą". Rdzeń życia polskiego, istota trwania i przetrwania tkwiły w sferze życia prywatnego, w przekazie wartości narodowych - ustnym czy za pośrednictwem literatury, której rola, mimo tak znacznego procentu analfabetów, była w społeczeństwie polskim zupełnie wyjątkowa. Potrafiono się przeciwstawić demoralizującemu i wynaradawiającemu zaborczemu życiu publicznemu przez wychowanie domowe, przez jasne zakreślenie granic zła i dobra, przez danie podstawowej formacji religijnej i narodowej.

Spróbujmy w tym miejscu postawić sobie parę pytań.

Jaką formację m o r a l n ą mamy my - rodzice dzieci i dorastającej młodzieży, jakie postawy stawiamy na pierwszym miejscu: być czy mieć? W jaki sposób nie tyle werbalnie, ile naszą postawą świadczymy, że istnieje zespół wartości niepodważalnych i niekwestionowanych. Czy stać nas na jasne rozgraniczenie między prawdą a nieprawdą, sferami zła i dobra? Czy przygotowujemy dzieci do trudów życia, czy nasze domy wychowują je w prawości pojmowanej tak, jak w przeszłości?

Jaką formację r e l i g i j n ą mamy my rodzice, skoro większość z nas uważa, że z nawiązką wywiązuje się ze swoich rodzicielskich zobowiązań, gdy dzieci "posyła" na religię. Podkreślam słowo "posyła", bo dzieci będą

traktować religię jako kolejną lekcję, na której trzeba się odpowiednio "ułożyć" - jeżeli dom nie żyje wartościami religijnymi? Co wiedzą rodzice z dogmatyki, etyki, liturgii, historii Kościoła, jego roli w społeczności Polaków, jaki procent rodziców miał dokumenty soborowe w ręku, ile osób uważnie wczytało się w oba przekazania pielgrzymkowe do narodu Jana Pawła II? Ilu spośród rodziców potrafi w Piśmie św. wskazać czytania przypadające na daną niedzielę czy święto? Ilu potrafi wyjaśnić, co to jest parafia, diecezja, na czym polega nieomylność papieża?

Czy dla formacji religijnej wystarczy jedna godzina tygodniowo lekcji, chociaż zakładalibyśmy, że są najlepiej prowadzone, a i z tym różnie bywa: czy da wystarczającą wiedzę, nie mówiąc już o praktycznych konsekwencjach i zobowiązaniach zawartych w przykazaniach. Jeżeli ośmioletnie dziecko, bardzo skądinąd katolickiej rodziny, zapytane, jaką Ewangelię ksiądz czytał w czasie Mszy św. w kościele, peszy się i nie wie - bo po prostu nikt mu nie powiedział, co to jest Ewangelia. Jeśli studenci starszych lat historii KUL-u zapytani na konwersatorium, czyje słowa powtarzamy przed Komunią św. - milczą? Fakty podobne można by mnożyć w nieskończoność - niech te wystarczą jako ilustracja.

Jaki jest przekaz wiadomości i postaw religijnych w naszych rodzinach? Jaka jest świadomość religijna? Czy w tym pokoleniu najmłodszych zdoła się odrobić wyrwę spowodowaną pęknięciem łańcucha przekazu wartości?

Jaką formację n a r o d o w ą posiada pokolenie współczesnych rodziców, jaki zasób

wiedzy historycznej, jaką znajomość arcydzieł literatury polskiej, polskich tradycji? Czy potrafimy i c h c e m y przeciwstawić się deformacji w szkole i perfidnie wykoślawiającym przeszłość i rzeczywistość współczesną środkiem masowego przekazu? Ośmielam się twierdzić, że w przeszłości niewoli łatwiej było o zbudowanie barier ochronnych przed jawnie wynaradawiającą szkołą, niż przed tą, która zszargała takie pojęcia, jak: patriotyzm, honor czy poczucie służby. Szkoła dając uczniowi wedle ciągle zmieniających się programów wymaganą ilość wiadomości - odpowiednio uaktualnianych i preparowanych - nie daje mu narzędzi do myślenia, nie obdarza go samodzielnością intelektualną, ani tym bardziej moralną. A gdzie korektury niezbędne, które winny być dokonywane w środowisku domowym? Sami rodzice namawiają "nie wychylaj się", "po co ci to"; godzimy się sami na własne ubezwłasnowolnienie - i to z przyczyn zgoła prozaicznych.

Najistotniejszą i - jak się wydaje - najgroźniejszą z tych przyczyn stanowi głębokie przeniknięcie w mentalność naszych rodzin postaw k o n s u m p c y j n y c h , zmaterializowania praktycznego, chociaż jakże trudno nam się do tego przyznać. Wysunięcie na plan pierwszy konsumpcyjnego posiadania przekreśliło wiele wartości uważanych dotychczas za niezbywalne, które niegdyś kosztowały cenę życia ludzkiego, doprowadziło do głębokiego uprzedmiotowienia człowieka - znakomicie ułatwiając manipulację nim, potargało szereg więzi międzyludzkich, zachwiało wiarę w bezinteresowność. Tak długo i w takim stopniu, w jakim postawy konsumpcyjne

przeważają w naszych rodzinach - nie może być wykorzystana szansa stojąca przed nimi jako przed miejscem, gdzie winny się realizować głębokie relacje osobowe, których brak tak dotkliwie odczuwamy w naszym życiu.

Nie mogą też stać się miejscem przekazu etosu narodowego. Jeżeli dziecko nie wyniesie z domu pewnych wartości formacyjnych; nie będzie w nich wzrastać - to w każdej wspólnocie w przyszłości będzie elementem destrukcyjnym, podatnym na uprzedmiotowienie, na manipulację. Trzeba też jasno sobie powiedzieć, że i z winy domu dzieci i młodzież zostały pozbawione przekazu wartości uważanych dotąd za niezbywalne, a przecież nasze trwanie i przetrwanie zobowiązuje nas do ś w i a d e c t w a.

Nie wolno nam lekceważyć rozbudzonego wśród młodzieży pragnienia prawdy i głodu autentyczności, nie wolno też lekceważyć na drugim biegunie postaw "zwisowości", poczucia beznadziejności - mnożników alkoholizmu i narkomanii.

Henryk Sienkiewicz kończąc "Ogniem i mieczem" napisał: "Nienawiść wrosła w serce i zatruiła krew pobratymczą - i żadne usta długo nie mówiły: "Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli"." Książka o tragicznej wojnie domowej jest wszakże częścią trylogii napisanej "ku pokrzepieniu serc". Oby ktoś w przyszłości opisując nasze czasy, w których jesteśmy z o b o w i ą z a n i do budowania "cywilizacji miłości" - nie podsumował ich w podobny sposób.

Przekaz etosu narodowego stanie się wówczas możliwy, jeżeli my, ludzie rodinni i Kościół hierarchiczny, dołożymy największych i wielo-

78

aspektowych działań, by odbudować sens osobowy rodziny, przełamać impas, aby nasze rodziny nie były "samotnymi wyspami", gdzie można żyć, ale i umierać w samotności. Ustawieni jesteśmy w stosunku do siebie konkurencyjnie w wydłużających się kolejkach, w poszukiwaniu zarobku, fuchy.

Zeszlowieczny model samoobrony rodziny-twierdzy przy wszystkich swych mankamentach defensywnych był bardziej otwarty niż zamknięty, otwarty przede wszystkim na tworzenie więzów nieformalnych, na nie ujętą w żadne oficjalne ramy samopomoc ludzi, przyczyniającą się do tego, że na przekór nasilającej się presji reżimów zaborczych - społeczność Polaków mogła, była zdolna niezależnie i samodzielnie funkcjonować. Życie w sferze prywatnej posiadało znacznie szerszy sens oraz wymiar na narodowy użytek. Żeby ów sens przywrócić, żeby nasze rodziny mogły powrócić do moralnie zobowiązującej formacji, do przekazu etosu narodowego należy wszelkimi siłami dążyć do kształtowania odpowiednich postaw, pośród których, jak się wydaje, na szczególną uwagę zasługuje:

1. Poczucie aktywnej odpowiedzialności za siebie oraz swoje otoczenie, pośród którego wypadło żyć.
2. Umiejętność dostrzegania potrzeb innych, zwłaszcza tych, którzy żyją z nami, obok nas.
3. Świadomość obowiązku dzielenia się z potrzebującymi wszystkim, a nie tylko tym, co nam zbywa.
4. Postawa służby drugiemu człowiekowi.

Niezmiernie ważne jest też przywrócenie odpowiedniej wagi obrzędowi religijnemu, rangi, jaką posiadał w rzeczywistości, jak również

tradycji. I to nie tyle jej sztuczna reanimacja, lecz ożywienie. Są to osobne wielkie tematy ściśle związane z naszą kulturą narodową - warte odrębnej refleksji.

Nasuwa się jeszcze jedna istotna uwaga. Jan Paweł II w czasie pierwszej pielgrzymki zwracał się do zgromadzonych na Błoniach krakowskich rodaków: "I dlatego, zanim stąd odejdę, proszę was, abyście to całe duchowe dziedzictwo, któremu na imię Polska - raz jeszcze przyjęli z wiarą, nadzieją, miłością taką, jaką zaszczepia w was Chrystus na chrzcie świętym". Dziedzictwo religijne i narodowe w przeszłości było dane i przyjmowane z pokolenia na pokolenie. Każda generacja coś do niego dorzucała. Jesteśmy świadkami czasów tak trudnych i tak wyjątkowych, że Papież-Polak apeluje do swojego narodu - o przyjęcie trudnego dziedzictwa, jakim jest Polska. Chodzi tu bowiem o moment wielkiej wagi, a mianowicie o świadomą opcję za całokształtem naszego chrześcijaństwa i narodowego dziedzictwa. A taka opcja nie może się dokonać siłą inercji, mechanicznie, pod wpływem impulsów emocjonalnych. Jest to wybór świadomy i zobowiązujący, przeciwstawiający się zgodzie na podeptanie własnego człowieczeństwa.

Nikt nie jest wolny od bolesnego i gorzkiego rachunku sumienia, co robimy z tym "dziedzictwem duchowym, któremu na imię Polska"? jak się z nim obchodzimy w naszym "zaśpieszonym" codziennym dniu. Nikt też nie może uzyskać dyspensy od najrzetelniejszego z wysiłków w dążeniu do zlutowania pękniętego łańcucha przekazu etosu narodowego. A jeszcze pilniejszym nakazem

80

chwili jest tworzenie w konkretnym otoczeniu, w którym wypadło nam żyć - łańcucha rąk ludzi dobrej woli.

Nasz los jako społeczności, los naszych rodzin jako środowisk formacyjnych jest w rękę każdego z nas i zależy od każdego z nas. I każdy z nas odpowie za to, jak przeżył czasy trudne i wyjątkowe, czy zachował godność ludzką, czy zachował twarz i czy potrafił dać świadectwo prawdzie dobrocią, czy przyczynił się do najistotniejszej o d n o w y ?

I tutaj nie róbnymy sobie złudzeń, bo nie jest łatwo potargać kolczasty drut egoizmu, inercji, wygodnictwa, asekuranctwa, raniący w pierwszym rzędzie nas samych, choć nie zawsze chcemy to dostrzec. Ten drut oplątuje nas coraz mocniej, a jego pętla zaciska się z każdym dniem zmarnowanym, przeżytym w pustce, z każdym dniem, w którym uciekamy od ś w i a d e c t w a . Pętla ta zdolna jest zniszczyć w nas człowieczeństwo - szybciej niż to się nam wydaje.

Sytuacja jest alarmująca. Z gruzowiska tego, co w przybliżeniu i uproszczeniu można określić "walką o byt" musimy dźwigać nasze rodziny i przywracać im rangę środowiska formacyjnego. Warunkiem niezbędnym jest otwarcie się na drugiego człowieka, przyjęcie pełnej odpowiedzialności za to, co przekazujemy naszym dzieciom - słowem i postawą.

Wszak do nas wszystkich i do każdego z nas z osobna Jan Paweł II skierował z Jasnej Góry rok temu - 18 czerwca 1983 roku zobowiązujące słowa apelu: "C z u w a m - to znaczy także czuję się odpowiedzialny za to wielkie wspólne dziedzictwo, któremu na imię Polska. To imię

nas wszystkich określa. To imię nas wszystkich zobowiązuje. To imię nas wszystkich kosztuje..."

S. B.

MIĘTNE :

karta z dziejów nowych i najnowszych

Znane łacińskie powiedzenie: "Habent fata sua libellae" - można by po polsku strawestować na nieco tylko inne: "Mają swoje szczególne losy pewne miejscowości". A pasować będzie ono jak ulał do wsi Miętne, przytykającej swym wschodnim krańcem do ruchliwej szosy warszawsko-lubelskiej, na 56 km od Warszawy i na 104 km od Lublina. Do najbliższego miasta - do niedawna powiatowego Garwolina - stąd tylko 4 km. W promieniu 5 km od Miętnego znajdują się aż trzy stacje kolejowe. To usytuowanie komunikacyjne miało wpływ na losy wsi, która w 1984 roku trafiła na szpalty gazet kilku kontynentów dzięki zdarzeniom, które rozegrały się w miętnieńskim zespole szkół rolniczych.

Miętne było jedną z kilku wsi należących do garwolińskiego starostwa niegrodowego. Od północnego zachodu do jego gruntów przylegało starostwo osieckie, bogate w puszcze. U schyłku Rzeczypospolitej starostami garwolińskimi byli marszałkowie wielcy koronni Bielińscy, dobrze zasłużeni dla stołecznej Warszawy. Starostwo osieckie dzierżył książę Józef Poniatowski,

a probostwo osieckie - Jan Paweł Woronicz, znany poeta.

Historia Miętnego stanowi też małe ogniwo w historii polskich walk niepodległościowych. W 1794 roku mieszkańcy tej wsi mogli widzieć Kościuszkę ciągnącego pod Maciejowice, a w 1809 generała Sokolnickiego prącego po zwycięskim boju pod Górą Kalwarią na południe pod Sandomierz. W 1831 roku tędy wycofywał się za Wisłę generał Dwernicki po zwycięstwie nad Rosjanami pod Stoczekiem.

Na początku XIX wieku wsie starostwa garwo-
lińskiego drogą wyprzedaży przeszły w ręce
prywatne. W Miętnej funkcjonował odtąd folwark
szlachecki, oparty na pańszczyźnie chłopów
dwu wsi - Miętnego i Jagodnego. Rok 1863 był
w tych okolicach brzemienny w wydarzenia. Uwijał
się tu oddział partyzancki Krysińskiego, a
niedaleko stąd pod Żelazną, stoczyła swój pierwszy
bój partia "Dzieci Warszawy", sformowana w
Czersku. Tu po raz pierwszy proch wachał młodziut-
ki zbieg z gimnazjum - Aleksander Głowacki,
potem sławny jako Bolesław Prus. Właścicielom
Miętnego za udział w powstaniu majątek skonfis-
kowano i obdarowano nim "za usmierzenie mia-
tęży" pułkownika rosyjskiego. Nowy posesor
mieszkał w Rosji, a miętnieńskim folwarkiem
po uwłaszczeniu zarządzał szlachetka Jaworski.
W okresie międzywojennym jego żonę można było
widzieć w mundurze weterana z roku 1863. Na
wschodnim krańcu folwarku przy krzyżówce "Kotwica",
przytykającej do lasu, wzniesiono koszary dla
jednego ze szwadronów dragonów rosyjskich.
Trochę dalej na wschód, w przysiółku Jagodnego
- Michałowce - postawiono budynek rosyjskiej

szkół elementarnej, bardzo przypominającej analogiczną placówkę uwiecznioną na kartach "Syzyfowych prac" przez Żeromskiego.

W 1915 roku wojska carskie poszły precz, a w koszarach dragońskich na "Kotwicy" stanęła kawaleria I Brygady. Ułani kwaterowali także w chatach Miętnego i Jagodnego. Był pośród nich młody podchorąży - Józef Mularczyk. Tymczasem po pokojach dworu w Miętnej chodził pochmurny brygadier Józef Piłsudski, nim podjął decyzję o wejściu w skład rządu formowanego przez Radę Regencyjną. W 1917 roku, gdy Piłsudskiego wywieziono do Magdeburga, jego ułani, nie chcąc składać Niemcom przysięgi, spalili koszary na "Kotwicy" i rozbiegli się na świata cztery strony. W podziemiu działała już Polska Organizacja Wojskowa, do której należał Edward Czaplański z Jagodnego, syn chłopca-robotnika, samouk, niedoszły malarz.

Sytuacja uległa radykalnej zmianie, gdy w końcu 1918 roku "wybuchła" Polska. W porosyjskich koszarach w Garwolinie polską jednostkę wojskową formował były kapitan artylerii austriackiej - Franciszek Kleeberg. Do odrodzonego wojska polskiego, bagnetem wytyczającego granice, poszli też chłopcy z Miętnego oraz sąsiednich wsi i nie wszyscy wrócili pod ojcowską strzechę. Niejednemu na polu nieznanym zakwitł na mogile, jak w piosence, "białej róży kwiat".

W sierpniu 1920 roku w pościgu za Polakami do Garwolina i Miętnego wkroczyły oddziały Armii Czerwonej, należące do Grupy Mozyrskiej, której zadaniem było przeprawić się przez Wisłę pod Górą Kalwarią i obejść Warszawę od południa. W Garwolinie powstała rada podległa Dzierżyńskiemu

który w tym momencie dotarł do Wyszkowa. W dworze w Miętnej funkcjonował punkt aprowizacyjny Grupy Mozyrskiej.

W dniu 15 sierpnia Piłsudski wydał rozkaz kontruderzenia znad dolnego Wieprza w "miękkie podbrzusze" Armii Czerwonej, gdy Tuchaczewski, pewny zdobycia Warszawy, planował już marsz na Berlin. 16 sierpnia pułki polskie bez walki opanowały Garwolin. Na granicy pól garwolińskich i miętnieńskich nasza tyraliera dostrzegła powozkę z dwoma krasnoarmiejcami zmierzającą z Miętnej do Garwolina. Padły strzały. Dwóch bojców pochowano przy mostku obok szosy warszawsko-lubelskiej. Pilot Janusz Meissner, dokonujący właśnie lotu rozpoznawczego, odnotował widok pułków polskich prących na północ, ku Warszawie. Wieczorem do Garwolina przybył Józef Piłsudski. Kładąc się do snu w domu rejenta z niepokojem myślał o Grupie Mozyrskiej. Dopiero kanonada artyleryjska, dolatująca spod Kołbieli, poprawiła mu, jak sam to pisze w "Roku 1920", humor i sen. Wśród młodych oficerów walczących w tym starciu, znajdował się Stefan Rowecki, potem legendarny komendant Armii Krajowej.

Część Grupy Mozyrskiej, szykująca się do przeprawy przez Wisłę, została odcięta od głównych sił Armii Czerwonej, uciekającej właśnie w popłochu za Bug i Niemen. Po kilku dniach oddziały te wypadły z lasu i poprzez Miętne i Jagodne usiłowały przedostać się do odległej linii frontu. Zostały wystrzelane niemal do nogi przez pułki poznańskie, dysponujące tankietkami, w Puznowie i Głoskowie.

Na początku okresu międzywojennego obraz Miętnej uległ poważnym zmianom. Tutejszy folwark

został rozparcelowany. Większość ziemi otrzymali chłopci, nieco jej przydzielono na działki urzędnicze. Skarbowi państwa pozostawiono tylko cztery włóki. Trzy z nich oddano jednorocznej szkole rolniczej męskiej, którą zorganizowano w opuszczonym dworze szlacheckim, wznoszącym się na skraju parku nad łąkami i stawami. Kierownikiem tej szkoły był przez pewien czas pan Janowski, ojciec znanej dziś aktorki - Aliny Janowskiej. Weterynarzem w tej szkole był pan Stefurak, Ukrainiec, ateista walczący i członek KPP. Włókę ziemi na "Kotwicy" przekształcono w rolnicze gospodarstwo doświadczalne, kierowane m.in. przez pana Salskiego, również znanego z ateizmu. Potem utworzono tu nadleśnictwo "Kotwica". Na południowym krańcu pól miętnieńskich zaczęła funkcjonować prywatna cegielnia pana Kozłowskiego.

Miętne, podobnie jak sąsiednie wsie, było przeludnione. Niewiele tu było zamożnych gospodarstw, a wielu chłopów przekształcało się w robotników, szukających pracy to w miejscowej cegielni, to w hucie szkła "Czechy" w Trąbkach, to w Garwolinie, to w nieodległej przecież Warszawie.

Analfabetyzm był tu zjawiskiem rzadkim, a miętnieńska szkoła odgrywała ważną rolę w podnoszeniu kultury rolniczej. Powiat garwoliński, należący do 1938 roku do województwa lubelskiego, był pod względem politycznym domeną radykalnego ruchu ludowego. Najpierw poważne wpływy miały tu PSL "Wyzwolenie" i Stronnictwo Chłopskie, z których ramienia zasiadał w sejmie miejscowy chłop - Jan Zalewski, a potem Stronnictwo Ludowe i Związek Młodzieży Wiejskiej RP "Wici".

Nielegalnie działały tu komórki KPP, w których poważną rolę odgrywali reprezentanci mniejszości narodowych /Żydzi, Ukraińcy, Białorusini/. Sanacja, chadecja i endecja nigdy nie zapuściły tu głęboko korzeni. Radykalizm polityczny sprzyjał postawom antyklerykalnym, a nawet ateistycznym, choć działała tu również Akcja Katolicka, kierowana przez dziekana garwolińskiego, księdza kanonika Mariana Juszczyka.

W porosyjskich koszarach garwolińskich stacjonował teraz dość elitarny 1 pułk strzelców konnych im. Napoleona Wielkiego, a więc tradycjami sięgający do czasów Księstwa Warszawskiego. Dowodził nim długo płk Adam Zakrzewski, którego zastępcą był Józef Mularczyk, podpułkownik. Rotmistrzem tego pułku był znany krytyk literacki - Karol Zawodziński. Oficerem rezerwy 1 psk pozostawał m.in. Aleksander Gieysztor, późniejszy prezes PAN. Pułk walczył po stronie Piłsudskiego w czasie przewrotu majowego w Warszawie w 1926 roku. Do garwolińskiego gimnazjum i liceum im. Józefa Piłsudskiego uczęszczał m.in. syn podpułkownika Mularczyka - Roman, dziś znany jako Roman Bratny, autor "Kolumbów" i antysolidarnościowego "Roku w trumnie".

W 1935 roku kierownikiem szkoły powszechnej w Michałowie, do której uczęszczały m.in. dzieci z Miętne, został Piotr Jaroszewicz, prawdopodobnie Białorusin z Nieświeża, kryptokomunista, człowiek rzutki. Przyczynił się on do zbudowania tu nowego budynku szkolnego. Współpracował wówczas aktywnie ze wspomnianym już weterynarzem - Ukraińcem Stefurakiem, żeniąc się niebawem z jedną z jego pięknych córek. Obydwaj ci panowie, wojujący ateści, byli siewcami radykalnych

poglądów politycznych i społecznych, które znalazły podatny grunt na przeludnionej wsi epoki wielkiego kryzysu. Na krótko przed wybuchem II wojny światowej, Jaroszewicz został przeniesiony na stanowisko kierownika szkoły w pobliskiej Pilawie. W tym samym czasie 1 psk w Garwolinie włączono do formującej się wówczas Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej, której dowódcą został w 1939 roku płk Stefan Rowecki. Płk Zakrzewskiego przeniesiono na Pomorze, gdzie we wrześniu był z-cą dowódcy Pomorskiej Brygady Kawalerii. Opisał jej boje w pamiętniku. Ppłk Mularczyk, przeniesiony najpierw do CWK w Grudziądzu w 1939 roku, wraz z hrubieszowskimi strzelcami konnymi walczył we wrześniu pod Częstochową. Jego losy upamiętnił potem jego młodszy syn - Andrzej Mularczyk, w scenariuszu filmu "Jeszcze słychać szcęk i rżenie koni".

Od 1 września 1939 roku mieszkańcy Miętnego poznali grozę wojny totalnej. Codziennie Luftwaffe zostawiała tu na szosie warszawsko-lubelskiej setki trupów, głównie ludności cywilnej odpływającej na wschód i południe od stolicy. 8 września nalot niemal doszczętnie zniszczył Garwolin. Tymczasem w okolicy nieustannie spływały coraz to nowe jednostki wojska polskiego, w dużej mierze zdziesiątkowane już na zachód od Wisły. Ewakuowano tu m.in. Centrum Wyszukolenia Kawalerii z Grudziądza pod dowództwem płk Tadeusza Komorowskiego, późniejszego drugiego komendanta Armii Krajowej. Tędy przebiegał się na południe na czele grupy kawalerii gen. Anders. W pamiętnym wrześniu pojawił się tu również gen. Władysław Sikorski. Majątek jego żony znajdował się w południowej części powiatu garwolińskiego.

Tymczasem 1 psk z Garwolina w ramach Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej bronił najpierw przepraw przez Wisłę na odcinku Dęblin-Annopol, a potem został rozбитy w bitwie pod Tomaszowem Lubelskim. Dowódca Brygady, płk Rowecki, przebrany za cywila, furką przez Garwolin wrócił do Warszawy, aby tu odegrać czołową rolę najpierw w SZP, potem w ZWZ i AK. Okupacja hitlerowska rozpoczęła się formalnie w Miętnej i okolicy w dniu 17 września, po ostatniej bitwie, która rozegrała się pod Garwolinem. Warszawa już od dawna otoczona była ze wszystkich stron.

Wojna partyzancka w tych okolicach zaczęła się tu natychmiast, jeszcze przed Hubalem. Jeszcze przed kapitulacją stolicy oddziałek polski zaatakował na szosie warszawsko-lubelskiej, przy mostku na pograniczu pół Miętnej i Garwolina /tu zginęli w sierpniu 1920 roku dwaj krasnoarmiejcy/, samochód z żołnierzami niemieckimi. Wymiana ognia trwała przez około 20 minut. Nie wspomina o niej żadne źródło historyczne. Dopiero kilkanaście dni później dobiegła do Miętnej spod Kocka kanonada armatnia ostatniej bitwy września. To walczyła Grupa Operacyjna "Polesie" gen. Franciszka Kleeberga.

Antyhitlerowskie zbrojne podziemie zaczęło tworzyć się w okolicach Garwolina tuż po Kocku, najpierw w ramach Służby Zwycięstwu Polski, a potem Związku Walki Zbrojnej. Jego pierwszymi organizatorami byli oficerowie i podoficerowie 1 psk oraz byli POW-iacy. W tym czasie w ramach dystryktu warszawskiego Generalnego Gubernatorstwa powstał powiat garwoliński, którego starostą zostanie niebawem von Freudenthal. Rozpoczęły się rządy terroru. Jego ofiarą padł, jako jeden

z pierwszych, dziekan garwoliński ks. Juszczyk, rozstrzelany i pochowany na drodze za Pilawą. Wcześniej von Freudenthal wyrzucił go z plebanii, którą zamienił teraz na własną rezydencję.

Terrorowi hitlerowskiemu przeciwstawił się zbrojnie ZWZ przede wszystkim poprzez Związek Odwetu /później Kedyw/, na którego czele w obwodzie Garwolin "Gołąb" przez cały czas okupacji stał Wacław Matysiak "Ziuk". Do najaktywniejszych jego podkomendnych należeli Stanisław Jaworski z Zawad i Stefan Góra "Wilczek" z Unina. Od kuli garwolińskiego Kedywu zginął w 1944 roku wspomniany już starosta von Freudenthal. Wiosną 1943 roku powstał na terenie garwolińskiego obwodu AK oddział partyzancki "Chochlik" /potem "Flądra"/, którym dowodzili kolejno Czesław Benicki "Komar" i Leopold Aksman "Puchacz". Od początku jego żołnierzem był Bolesław Benicki "Bebik", zamieszkały w Miętnej. Najaktywniejszą grupę bojową tego oddziału stworzył ppor. Stefan Góra "Wilczek", dokonujący wielu akcji na obszarze między Maciejowicami i Stoczką Łukowską. Trzon tej grupy stanowili młodzi ludzie, w poważnej części byli koledzy gimnazjalni dowódcy, zamieszkałi w kilku wioskach podgarwolińskich.

Jesienią 1943 roku "Wilczek" został ciężko ranny. Na skutek denuncjacji Gestapo aresztowało go w jednym ze szpitali warszawskich i osadziło na Pawiaku. Stąd ostatnim transportem przed wybuchem Powstania Warszawskiego wywieziono go do obozu Gross-Rosen, skąd już nie wrócił. Po odejściu "Wilczka" zrekonstruowano jego oddział, przy czym jego główną bazę zlokalizowano w Miętnej. Tu na podwórzu zabudowań Stanisława Piesia "Leszczyny" zbudowano tajny magazyn

broni. Korzystano z niego przy licznych akcjach bojowych. Stąd brano broń m.in. do krwawej walki z Niemcami pod Wanatami, do rozbrajania bahnschützów w Pilawie, do ataku na pociąg w Zabieżkach. W akcjach tych dowodzili Jan Kosicki "Max" i Leopold Aksman "Puchacz" przy współudziale Bolesława Benickiego "Bebika". A brali w nich udział m.in. chłopcy z Miętnego /B.Benicki "Bebik", Woźniak "Woda", S.Piesio "Leszczyna"/, z Unina /Feliks Zalewski "Dąb", Zygmunt Zalewski "Nagan", Jan Pałyska "Martyna", Henryk Góźdź "Granat"/, z Puznowa /Edward Majewski "Sęp"/ i z Jagodnego /Stefan Buksiński "Skała"/.

Akcje bojowe AK mogły się udawać tylko przy poparciu całej ludności regionu, a także przy bezpardonowej walce z konfidentami hitlerowskimi, którzy istnieli również w Miętnej. Poza Armią Krajową w powiecie garwolińskim pod względem liczbowym dużą siłę stanowiły Bataliony Chłopskie. Jednym z komendantów powiatowych BCH był Bronisław Warowny "Dębień", zamieszkały najpierw w Jagodnym, a potem na kol. Miętnej, delegat Rządu na powiat garwoliński i członek kierownictwa powiatowego SL "Roch".

Od wiosny 1944 roku w okolicach Miętnego działał oddział leśny pod dowództwem kolejno Edmunda Maciejewskiego "Cisa" i Władysława Klimaszewskiego "Łozy". Znalazło się w nim m.in. kilku z w.w. chłopców z byłych grup "Wilczka" i "Bebika". Na kilka dni przed wkroczeniem wojsk sowieckich oddział ten zaatakował w lesie między Miętnej, Jagodnym a Trąbkami hitlerowski konwój ewakuacyjny, zadając mu ciężkie straty. W okresie "Burzy" żołnierze AK odtworzyli szwadrony 1 psk z Garwolina i współdziałali w zdobyciu

tego miasta z sowieckimi kolumnami pancernymi, uderzając m.in. na tyły wroga. Hitlerowcy pospiesznie wycofali się w kierunku Warszawy oraz za Wisłę, w popłochu zapominając o zniszczeniu mostu pod Maciejowicami. Skorzystały z tego wojska sowieckie, uchwytując przyczółek Magnuszewski i pod Warką. W końcu lipca 1944 roku na koncentracji pod Łucznicą po mszy polowej oddział AK został rozwiązany. Jego żołnierze wracali do domu w przekonaniu dobrze spełnionego obowiązku i z nadzieją aktywnego uczestnictwa w dalszym wyzwoleniu kraju oraz jego odbudowie.

Już najbliższe tygodnie miały jednak przynieść im tragiczne rozczarowanie. W Garwolinie już w pierwszych dniach po wyzwoleniu zorganizowano ludową władzę, a między innymi Komendę Powiatową MO oraz Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, który zajął budynek opuszczony niedawno przez Kripo. Do MO weszło m.in. sporo żołnierzy BCH. Cały powiat zalany był dosłownie silnymi jednostkami Armii Sowieckiej, która zatrzymała się na przedpolu Warszawy w momencie wybuchu Powstania Warszawskiego. Oddziałom AK spieszącym na pomoc walczącej stolicy, zagroziły pod Osieckiem drogę jednostki sowieckie. W Miętnej i Jagodnem zakwaterowano tyłowe służby I Dywizji WP, które we wrześniu przemieszczono na Pragę.

Po raz drugi pojawił się na terenie Miętnego Piotr Jaroszewicz, najpierw w mundurze kapitana, a w kilka miesięcy później pułkownika I Armii. Na Pradze był on już zastępcą dowódcy tej armii, najpierw gen. Berlinga, potem gen. Popławskiego. W Miętnej pozostawił u teścia Stefuraka swoją żonę.

W sierpniu 1944 roku, gdy z Miętnego widać

było dobrze wielką chmurę dymu i łunę nad Warszawą, rozpoczęto zakrojone na szeroką skalę polowanie na AK-owców w powiecie garwolińskim. Tylko części z nich udało się przetrwać ten trudny okres. Jedni, jak np. "Bebik", poszli do ludowego wojska i brali nawet udział w zdobyciu Berlina. Drugim udało się przetrwać w terenie naszpikowanym jednostkami sowieckimi. W następnym roku odpłyną bądź na Ziemię Odzyskane, bądź na KUL do Lublina. Trzecim, przechwyconym w domu, a nawet wydobytym z ludowego wojska, sądzony był wyjazd "na białe niedźwiedzie". Jeszcze inni zostali zmuszeni do walki z bronią w rękach w ramach nowych struktur podziemnych. Sytuacja w Miętnej była szczególnie trudna. Wieś do niedawna zdominowana przez AK, miała przejść surową lekcję "ludowej" reedukacji.

We wrześniu NKWD aresztowało w Miętnej tylko trzech żołnierzy AK - Stanisława Piesia "Kamienia" Stanisława Piesia "Leszczynę" i 18-letniego Maszkiewicza - pochodzących z niezamożnych, wielodzietnych rodzin chłopskich. "Kamień" wiosną 1943 roku został odbity z rąk Gestapo i przez ponad rok ukrywał się nad Wisłą, u "Leszczyny" - jak wspominałem - magazynowano przed wyzwoleniem AK-owską broń. Maszkiewicz był młodym chłopcem, któremu w czasie okupacji nawet nie było dane wziąć udziału w żadnej poważniejszej akcji. Żaden z tych ludzi nawet nie marzył o jakiegokolwiek walce przeciw Armii Sowieckiej. A katowano ich przez kilka miesięcy pod tym zarzutem, starając się wymusić biciem przyznanie się do przynależności do takiej kontrrewolucyjnej i antyradzieckiej organizacji, którą zdaniem enkawudystów miała być właśnie

Armia Krajowa.

W styczniu 1945 roku w domu sołtysa w Miętnej dokonano publicznego procesu na oczach wsi. Sędziami byli oficerowie NKWD, oskarżonymi trzech w.w. młodzi ludzie, z których jeden nie przyznał się do przynależności do AK /nie bito go/. Ukarano ich przykładnie. "Leszczyna" otrzymał wyrok śmierci. Rozstrzelano go na przyczółku warecko-magnuszewskim, być może pod Studziankami, sławionymi potem przez Przymanowskiego. Dwaj pozostali otrzymali wyrok tylko 10 lat łagru. Wieziono ich z Brześcia nad Bugiem za Ural bardzo długo, gdyż na kolei transsyberyjskiej pierwszeństwo miały pociągi wojskowe, zmierzające na granicę japońską. Maszkiewicz nie dojechał na miejsce przeznaczenia. Jego trupa wyrzucono z wagonu w Krasnojarsku. Piesio przetrzymał obóz. Zwolniony przedterminowo, wrócił do kraju, w którym obecnie korzysta z "dobrodziejstw" emerytury.

Od pamiętnego "procesu" w Miętnej upłynęło już 40 lat. Długo wydawało się, że tamtejszych mieszkańców zupełnie spacyfikowano, a tradycje narodowe zdołano utopić w bagnie pamięci. Najaktywniejsi AK-owcy pomarli, rozproszyli się po świecie lub przeżywali gorzkie życiowe porażki. Wsi zaaplikowano modernizację. Dziś w Miętnej ludziom żyje się o wiele dostatniej niż przed wojną. Wieś korzysta z wodociągów i niezłej komunikacji autobusowej. Przez lata mogła liczyć na szczególne względy Piotra Jaroszewicza, który rósł w siły z każdym nowym etapem Polski Ludowej. W 1945 roku już jako generał przywiózł w imieniu armii zdobyczne sztandary z Berlina. Bezpośrednio potem został wiceministrem obrony narodowej /przy Roli-Żymierskim i Rokossowskim/.

a potem z-cą prezesa Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego /przy Mincu/, potem wicepremierem /przy Cyrankiewiczu/ i wreszcie premierem /przy Gierku/. Niejeden z mieszkańców Miętnego jako natrętny petent pukał do drzwi jego "Tuwimówki" w Aninie i zwykle nie odchodził z pustymi rękami.

Nim kariera Jaroszewicza się załamała, zdecydował się on udokumentować swoje związki z Miętmem i jego okolicami w dwojaki sposób. W Michałówce przy jego pomocy wzniesiono budynek nowoczesnej szkoły podstawowej, zaś jednoroczną niegdyś szkołę rolniczą w Miętmem rozbudowano w potężny kompleks szkół rolniczych. Kombinatowi przydano ziemi odebranej chłopom i wzniesiono na niej okazałe gmachy z salami, których Miętmemu zazdrości warszawska SGGW. Kompleks był już na ukończeniu w 1979 roku, gdy Jan Paweł II leciał z Rzymu do Warszawy. W Belwederze wśród czołowych osobistości PRL witających polskiego papieża nie zobaczono premiera; snuto na ten temat obłudne komentarze. Tymczasem Jaroszewicz bądź wypoczywał w Wildze, bądź dojeżdżał do Miętnego, aby podkreślać tempo budowy. W powitanie papieskie jako wytrwały ateista nie miał zamiaru się bawić.

Upadek Jaroszewicza w 1980 roku dotknął m.in. miętnieński zespół szkół rolniczych. Wystarczyło pieniędzy na wspaniałe gmachy, ale zabrakło ich na niezbędne zabudowania gospodarcze. Plony w gospodarstwie szkolnym były wprawdzie kiepskie, ale zawsze coś się tam rodziło i nie wiedziano, co robić ze słomą zbożową. Palono ją zatem na polu, a chmury dymu zasnuwały pobliską wieś Miętne na tyle, że jej mieszkańcy zwracali się ze skargami

do Sanepidu. Były też kłopoty z patronem szkoły, czyli ze Stanisławem Staszicem, który wadził władzom, ponieważ był księdzem. Przebolały to jednak, gdy ktoś im wytłumaczył, że Staszic był księdzem postępowym, który mszy nie odprawiał. Być może wyjaśnienie tych udzielił nowy dyrektor zespołu szkół, niejaki pan Domański, przedtem inspektor szkolny i działacz partyjny w Garwolinie. Do Miętnego przyszedł już na gotowe, a wraz ze stanowiskiem przydzielono mu na jego użytek nie tylko mieszkanie, ale i tunel warzywniczy.

Rozwój gospodarczy okolic Garwolina nie przerwał tu starych więzi kulturowych. Wspomniano już, że w okresie międzywojennym zaznaczyła się tu ekspansja radykalnej, antyklerykalnej, a nawet antyreligijnej myśli. Wielu chłopów najwyraźniej stroniło od kościoła, zjawiając się w nim zwykle tylko dwa razy w roku - na pasterkę i na rezurekcję. Tymczasem w postawie ludności, już w latach stalinowskich, zaczęła się dokonywać wyraźna zmiana. Pewien murarz, który przed wojną na trzeźwo i po pijanemu wygrażał się głośno księżom, w latach pięćdziesiątych wznosił własnym sumptem kapliczkę przydrożną, przy której odbywają się nabożeństwa majowe. Obraz Matki Boskiej jest dziś przyjmowany z wielką czcią i w tych domach, które przed kilkudziesięciu laty uchodziły za ostoję ateizmu.

Odrodzeniu religijności towarzyszyło odrodzenie uczuć patriotycznych. Kilometr od Miętnego postawiono pomnik dla upamiętnienia ofiar hitlerowskich egzekucji. Jedną z nich był Piłka, żołnierz AK z Trąbek. Po latach bratanek zabitego - Marian Piłka - jako student KUL, został aktywnym

członkiem Ruchu Młodej Polski.

W 1980 i 1981 roku z dobrym przyjęciem spotkały się tu idee "Solidarności". Już w okresie stanu wojennego uczczono tu pamięć żołnierzy Armii Krajowej. W Uninie, wsi rodzinnej "Wilczka", wzniesiono kościółek filialny, a w ściany jego wmurowano pamiątkową tablicę zmarłych żołnierzy AK, pochodzących z tej wioski. Wśród kilkudziesięciu nazwisk, które ją wypełniają, jest sporo nazwisk żołnierzy Batalionów Chłopskich. W Puznowie na skrzyżowaniu dróg, pozostali przy życiu "Wilczkowie" wystawili foremną kapliczkę, opatrzoną stosownym napisem. Działania te cieszą się poparciem ordynariusza podlaskiego, biskupa Jana Mazura.

Już nie lokalny, ale ogólnopolski wydzźwięk, miały wydarzenia 1983 i 1984 roku, które dokonały się w Miętnej. W tutejszym zespole szkół rolniczych, stworzonym przy wybitnym poparciu ateisty Jaroszewicza, powieszono w okresie "Solidarności" na ścianach sal krzyże. Wspomniany już dyrektor Domański, zapewne inspirowany przez władze partyjne i oświatowe co najmniej na szczeblu wojewódzkim, kazał te symbole wiary zdjąć. Te jednak z inicjatywy uczniów oraz ich rodziców na dawne miejsca wracały. Rzecz nabrała rozgłosu, na którym komuś najwidoczniej zależało. Uczniom i rodzicom udzielili wsparcia księża parafii garwolińskiej. Wyrzucone symbole wiary odniesiono w procesji i umieszczono w kościele garwolińskim. Zajęcia w zespole szkół przerwano. Młodzież udała się z pielgrzymką na Jasną Górę. Miętne i Garwolin zaroziły się od mundurów ZOMO. Dla reedukowania nauczycieli sprowadzono z KC PZPR niejakiego pana Sordyla. Sięgnięto także po

głębokie odwoły \ ideologiczne. Do młodzieży byłego powiatu garwolińskiego wygłaszał prelekcje zasłużony weteran wielu wojen z Kościołem - Kazimierz Kąkol, z rezultatem zresztą mizernym. Rutynowanego agitatora żegnano zwykle słowami pieśni "My chcemy Boga".

Do sporu włączył się również ordynariusz podlaski - biskup Mazur, a następnie konferencja Episkopatu Polski. Gdy pertraktacje biskupie z władzami wojewódzkimi stanęły w martwym punkcie, ksiądz Mazur rozpoczął ostry post w kościele parafialnym w Garwolinie. Po kilku dniach zdobyto się na kompromis. Pozwolono zawiesić krzyże w paru salach i to nie wykładowych. Sprawa nabrała rozgłosu światowego. Okolice Garwolina nawiedzało wielu dziennikarzy zagranicznych. Dla utrudnienia im pracy usunięto na jakiś czas z "Kotwicy" drogowskaz z napisem "Miętne". Po zawarciu kompromisu sprawa zeszła ze szpalt prasy. Wzmiankowano o niej tylko m.in. w związku z nowym konfliktem o krzyże we Włoszczowej. Tymczasem "sprawa miętnieńska" ma wcale interesujący epilog. Władze państwowe wypełniły go represjami. Trzy nauczycielki zostały pozbawione pracy w zespole szkół rolniczych w Miętnej. Części uczniów nie dopuszczono do egzaminu maturalnego, innej części uniemożliwiono przeniesienie się do innych szkół rolniczych. W następnym roku szkolnym zespół miał poważne trudności z naborem kandydatów. Z braku uczniów aż 16 sal świeciło pustkami. Aby tę spektakularną klęskę przysłonić, władze dokonały operacji pozornej. W pustych salach otwarto jakiś nikomu niepotrzebny ośrodek dokształcania kadr administracyjnych województwa siedleckiego. Pan Domański

98

przestał dyrektrować zespołowi szkół rolniczych, a otrzymał synekurę dyrektorską we wspomnianym ośrodku dokształcania. Cieszy się w dalszym ciągu dobrym zdrowiem, komfortowym mieszkaniem służbowym i tunelem warzywniczym na prywatny użytek.

Nie wiemy, czy w zespole szkół rolniczych w Miętnej palą w dalszym ciągu słomę na polu, zatruwając mieszkańców wioski. Wiemy jednak, że z Miętnej powiał na Polskę i cały świat swąd o wiele groźniejszy i bardziej przykry od zapachu palonej słomy. Wiemy także, że ta wioska z południowego Mazowsza urosła do rangi symbolu walki o symbole i ma szansę znaleźć miejsce nie tylko w artykułach publicystycznych, ale także w kompendiach historii Polski.

Celem, który przyświecał autorowi tego szkicu, było wykazanie, że rozgłosny spór o krzyże dokonał się akurat we wsi Miętne chyba nie tylko w wyniku przypadku. Miejscowość ta bowiem dorastała do odegrania roli historycznej wiekami, a zwłaszcza latami naszego XX wieku. Sensowne byłoby zatem kojarzenie nazwy "Miętne" nie tylko z uniwersalnymi symbolami naszej wiary, ale również z kotwicą Armii Krajowej na biało-czerwonym tle, z szaro-błękitną maciejówką I Brygady, z poraną bruzdami chłopską twarzą Mazura upartego, którego z jego roli i jego tradycji nie jest w stanie wykorzenieć żadna siła.

Wartości tradycji przecenić niepodobna. Jest coś krzepiącego w tym, że młodzież chłopska całymi wiekami przyuczana przede wszystkim do twardej walki o chleb z omastą, poświęciła tak wiele ze swej kariery dla idei opornej

wobec przeliczników finansowych. Jest coś krzepiącego w tym, że w pobliżu kościoła garwolińskiego, obok domu rejenta /dziś rudery/ tkwi jeszcze kamień pamiątkowy poświęcony Józefowi Piłsudskiemu i że przed tym kamieniem w nocę stanu wojennego zawsze chybotął płomień znicza. W świetle banału i zniewolenia brzmi to czystym tonem Mickiewiczowskiej pieśni gminnej, owej arki przymierza między dawnymi i nowymi laty.

SZKOŁA

S.Z.

SZKOŁA WSPÓŁCZESNA - -WZORY I RZECZYWISTOŚĆ

Współczesne społeczeństwa wyznaczają szkole rolę wychowawcy, który w kształceniu młodego pokolenia i jego przygotowaniu do życia społecznego odegrać ma rolę pierwszorzędną. W ten sposób szkoła wywiera decydujący wpływ na przyszły kształt społeczeństwa.

Jeżeli szkoła nie wywiązuje się ze swych zadań lub jeśli nadużywa swych możliwości dla działań niezgodnych z oczekiwaniem społecznym,

to musi to prowadzić do deformacji społeczeństwa. Patologia szkoły oznacza w konsekwencji patologię społeczeństwa.

Ocena szkoły, to porównanie jej z określonym wzorem, który wyraża realistyczne oczekiwania społeczeństwa wobec działań wychowawczych. To oczekiwanie społeczne determinuje cele wychowania i jego metody.

Podkreślam tu przymiotnik "realistyczny" charakteryzujący oczekiwania społeczne. To oczekiwanie musi bazować na realistycznej wizji człowieka, który jest podmiotem w procesie wychowania, a w przyszłości podmiotem w procesie kształtowania społeczeństwa.

Dlatego wypadnie rozpocząć te rozważania o polskiej szkole od nakreślenia wizji człowieka, którą uznajemy za realistyczną. To pozwoli sformułować pogląd na wychowanie, na zadania szkoły i sposoby ich realizacji. Uzyskany w ten sposób obraz teoretyczny trzeba porównać z rzeczywistością, z praktyką naszej szkoły.

Tak dokona się ocena szkoły. Dopiero na jej tle można wysuwać propozycje działań, które mogą prowadzić do poprawy stanu wychowania w naszym społeczeństwie.

1. Chrześcijańska idea człowieka i wynikające z niej cele wychowania.

Chrześcijaństwo przedstawia wizję człowieka, która, wyrastając z Nowego Testamentu, kształtowała się wraz z cywilizacją świata zachodniego i jako taka stanowi część składową naszej kultury. Jest to wizja realistyczna. Oznacza to, że to wyobrażenie człowieka i wynikające z niego konsekwencje potwierdzały się i nadal potwier-

dzają w doświadczeniu.

Jak chrześcijaństwo widzi człowieka? Oto odpowiedź św. Pawła, zawarta w liście do Rzymian /Rz 7,18b-19/: "Jest bowiem we mnie pragnienie dobra, nie ma jednak siły, aby je wypełnić. Nie czynię bowiem dobra, którego pragnę, lecz dopuszczam się zła, którego przecież nie chcę". Słowa te ukazują człowieka, w którym dobro i zło są ze sobą przemieszane; zło tkwi w człowieku jako jego istotna część składowa.

Ten pogląd różni się bardzo od innej koncepcji człowieka, funkcjonującej wokół nas. Oto człowiek marksistów jest istotą doskonałą i będzie on bez skazy, jeśli tylko stworzy się mu odpowiednie warunki, organizując właściwie stosunki społeczne. Taka wizja człowieka wygląda bardzo atrakcyjnie. Ale doświadczenie nie potwierdza jej, próby stworzenia owych odpowiednich warunków społecznych kończą się niepowodzeniem. To wywołuje u ich twórców zniecierpliwienie; człowiek, który nie chce być tym czym powinien, staje się przedmiotem nienawiści. Powstaje myśl, by nie tylko unicestwić warunki, które ukształtowały człowieka nieodpowiednio, ale by unicestwić i samego człowieka - wtedy będzie można stworzyć go na nowo, według właściwych wzorów.

I ta myśl jest realizowana w praktyce.

Powróćmy jednak do słów św. Pawła. Oddają one cały dramat człowieka pragnącego wyrwać się zła i odnaleźć dobro. Ale zarysowuje się tu także główne zadanie człowieka - jest to wyzwalanie się od zła i zmierzanie ku dobru.

Nazywa się to dążeniem do wolności wewnętrznej, do wolności duchowej, dążeniem do doskonałości.

Droga do wolności wewnętrznej wiedzie poprzez

poznanie dobra i jego odróżnienie od zła. To wymaga wiedzy i mądrości. Starożytni sądzili, że osiągnięcie wiedzy i mądrości wystarcza już, by móc czynić dobro, że zatem to jest ludzką doskonałością. Doświadczenie pokazuje jednak, że to za mało - mądrość i wiedza nie są cnotą moralną, jak tego chciał Sokrates. Dlatego Ewangelia podnosi ludzką doskonałość na wyższy poziom, na poziom boski, włączając do niej doskonałość miłości i dobrej woli - jest to wolność tych, którymi, według słów św. Pawła, kieruje Duch Boży.

Człowiek wyzwala się zatem przez dążenie do mądrości i wiedzy, do miłości i dobrej woli.

I dlatego musi człowiek dążyć do prawdy. Nie ma to być przyswajanie gotowej, narzuconej prawdy, bez zdobywania prawdy w ciągłym wysiłku ludzkiego umysłu, bo tylko tak dąży się do mądrości i wiedzy.

I nie może być miłości i dobrej woli bez otwarcia się na innych ludzi, innych, którzy też mają prawo i aspiracje do wolności. Dlatego człowiek musi otworzyć się na społeczeństwo i na naród, w którym żyje, dlatego konieczna jest społeczna solidarność i narodowy patriotyzm, i inny rodzaj wolności - wolność zewnętrzna. Są to bowiem środki, pomagające w dążeniu do ludzkiej doskonałości, do wolności duchowej.

Podkreślimy: środki, nie cele. Jednakże środki osobliwe, bo już samo zabieganie o nie służy bezpośrednio doskonaleniu się wewnętrznemu. Dlatego nie wolno człowiekowi z nich zrezygnować.

Ten proces wymaga od człowieka czynnego udziału, wymaga działania. Działanie dla

osiągnięcia własnej doskonałości jest zadaniem człowieka. Bierność to rezygnacja z wolności i jej utrata. I tylko w ten sposób można wolność utracić.

Na tym tle jawi się naczelna zasada wychowawcza: człowiek sam jest swoim pierwszym wychowawcą. Jego działania dla osiągnięcia doskonałości to samowychowywanie, samokształcenie.

Ale człowiek nie jest skazany na tę jedyną formę kształcenia. Człowiek nie działa w odosobnieniu, lecz żyje i doskonali się w otoczeniu innych ludzi, mających podobne cele. Stąd konieczność stworzenia wspólnoty, społeczeństwa, stąd obowiązki człowieka wobec wspólnoty i obowiązki wspólnoty wobec człowieka. W szczególności dotyczy to wychowania, działalności prowadzonej przez społeczeństwo po to, by człowiekowi pomóc w kształtowaniu jego osobowości. Po to powołuje się system edukacji.

Powtórzmy: system edukacji ma pomóc wszystkim członkom społeczeństwa w ich dążeniu do wolności duchowej. To ten cel wychowanków wyznacza zadania szkoły.

Dlatego, oceniając szkołę, to narzędzie edukacji, trzeba pytać, czy jest w niej mądrość, wiedza, dobra wola, miłość. Ile mądrości, a ile miernoty i głupoty, ile wiedzy, a ile ignorancji, ile inspiracji Ducha Bożego, a ile podłości, ile miłości, a ile nienawiści i pogardy. Tylko tak można dowiedzieć się, czy szkoła rozwija ucznia i nauczyciela, czy też ich zniewala i degradowa. I według tych samych kryteriów oceniać trzeba nauczyciela, współtwórcę szkoły. Czy przychodzi on ze swą wolnością, czy też ją porzucił i przychodzi jako niewolnik? Niewolnik

nie może wychowywać do wolności.

Zwróciłem już uwagę na to, że dążeniu człowieka do wewnętrznej doskonałości towarzyszy jego dążenie do wolności zewnętrznej. Ta wolność wiąże się z życiem społecznym i tkwi u jego podstaw. Bo społeczeństwo jest tworem naturalnym dla człowieka. Człowiek, będący z jednej strony osobą odrębną, niezależną dzięki swej nieśmiertelnej duszy całością, jest równocześnie jednostką materialną, osobnikiem swego gatunku, uwarunkowanym czynnikami etnicznymi, historycznymi, kulturowymi.

Życie społeczne podporządkowuje człowieka dobru ogólnemu, ale zawsze po to, by to dobro do niego wracało i by w ten sposób człowiek mógł uczestniczyć w wolności rozwoju i niezależności, zagwarantowanej ekonomicznymi warunkami pracy i własności, prawami politycznymi, cnotami obywatelskimi, kształceniem umysłu.

Dlatego jest oczywistym, że wychowanie musi zajmować się przygotowaniem człowieka do spełnienia jego funkcji w społeczeństwie. Wychowanie musi być rozwijaniem ludzkiej osoby w środowisku społecznym tak, by wraz z jego wolnością wewnętrzną wzrastało jej poczucie odpowiedzialności. Nie wolno jednak zapominać nigdy, że wychowanie do życia w społeczeństwie jest celem drugorzędnym. Cel główny to zawsze rozwój osoby ludzkiej w jej życiu duchowym, a nie jej związki ze środowiskiem społecznym. Prowadząc wychowanie dla społeczeństwa pamiętać trzeba, że to właśnie wolność osobista jest istotą życia społecznego, że społeczeństwo jest zbiorowością wolnych osób, które akceptują wspólne prawa i posłuszeństwo i poświęcenie dla ogólnego dobra po

to, by wypełniła się wewnętrzna wolność każdej osoby.

2. Wychowanie do demokracji.

Skoro zarysowały się już cele edukacji, zapytać należy, jakie społeczeństwo i jakie państwo zechce nastawić swój system wychowania na takie cele. Odpowiedź jest prosta. Społeczeństwo to musi uznać za swoje te idee, które wyznaczyły przedstawioną koncepcję człowieka. Są to idee chrześcijańskie. Przeszczepione na grunt życia społecznego i politycznego, stają się one etyką zwaną demokracją.

Demokracja jest bowiem systemem etycznym, wbrew obiegowym wyobrażeniom, które chcą w niej widzieć określony typ porządku społecznego lub też określony układ stosunków i instytucji politycznych. Wszystko to jest jednak konsekwencją demokracji nie stanowiącą o istocie rzeczy, dlatego też instytucje demokratyczne mogą mieć najróżniejsze formy.

W rzeczywistości demokracja jest etyką zastosowaną do życia społecznego, wyznaczającą pewien sposób życia. Istotą demokracji jest bowiem poczucie obowiązku - obowiązku stosowania uznanych zasad, mówiących, że pewne sposoby postępowania wobec innych są z natury rzeczy właściwe, a pewne inne sposoby z natury rzeczy absolutnie niewłaściwe. Taka etyka, zaakceptowana przez społeczeństwo i wprowadzona w życie rzutuje na wszystkie relacje między ludźmi, określa typ porządku społecznego i instytucji politycznych.

Opiszę zasady etyczne demokracji, zamykając je w czterech тезach, wyrażających właściwie

różne aspekty tej samej idei podstawowej. Rozważając ją z kilku punktów widzenia, spróbujmy głębiej wniknąć w jej treść.

Teza pierwsza brzmi: "Każda osoba ludzka ma absolutną wartość i jako taka musi być odpowiednio szanowana i traktowana". Odpowiada ona formule Kanta, zwanej imperatywem kategorycznym prawa moralnego: "Postępować tak, by traktować człowieczeństwo, czy to we własnej osobie, czy też w osobie cudzej, zawsze jako cel końcowy, nigdy jako środek".

Jest to zasada bardzo daleko idąca. Czasem, w formie uproszczonej, określa się ją jako "szacunek dla osobowości". Ale to tylko część naszej tezy. Tu przyznaje się wartość absolutną ludziom także innych niż nasza ras, kultur, cywilizacji. Te wartości mają nasi wrogowie, ludzie, o których jesteśmy przekonani, że są głupi i źli. Niełatwy jest obowiązek traktowania ich jako mających wartość absolutną. Ale jeśli akceptuje się etykę demokracji, trzeba uwierzyć w dobro w nich pomieszczone. Co więcej, trzeba uznać moralny obowiązek wydobywania tego dobra.

Klasycznym wyrazem omawianej tezy jest stwierdzenie, że każdy człowiek ma pewne prawa podstawowe. Jefferson nazwał je w amerykańskiej Deklaracji Niepodległości prawami niezbywalnymi. Oznacza to, że nie można ich zlikwidować lub odebrać, choć można je lekceważyć. Przywódcy rewolucji francuskiej nazwali te prawa "prawami człowieka", rozumiejąc, że każda osoba ludzka ma te prawa przez sam fakt, że jest człowiekiem.

Te prawa ludzkie, "prawa naturalne", są nie tylko przywilejami. Człowiekowi nie wolno z nich rezygnować - korzystanie z praw jest

obowiązkiem, obowiązkiem jest także respektowanie praw innych osób.

Pojawiają się trudności, gdy próbuje się sporządzić listę praw podstawowych. Jefferson wymienił trzy prawa: prawo do życia, do wolności, do dążenia do szczęścia. W czasach nam współczesnych Organizacja Narodów Zjednoczonych przyjęła długą i szczegółową listę praw w swej Deklaracji Praw Człowieka /rok 1948/, obejmującą między innymi prawo do pracy, prawo do życia w godziwych warunkach, prawo do pełnej i rzetelnej informacji, prawo wolności religijnej, prawo wolności sumienia.

Czy Deklaracja Praw Człowieka zawiera rzeczywiście wszystkie prawa podstawowe, nie jest najważniejsze. Sama możliwość jej sformułowania i jej przyjęcie jest dowodem na to, że etyka demokratyczna i jej znaczenie praktyczne znajdują dogłębne zrozumienie wśród społeczeństw świata. Inna rzecz, że od formalnej akceptacji Deklaracji do jej realizacji droga jest daleka, i życie społeczne i polityczne wielu krajów pozostaje w sprzeczności z deklarowanymi przez rządy zasadami.

Omawiane zasady mają swoje implikacje wychowawcze. Oto uznajemy, że każdy człowiek ma prawo do życia. Trzeba zatem kształcić młodych ludzi tak, by mogli zarabiać na godziwe życie, w sposób społecznie przydatny; tak, by dbali o swe zdrowie fizyczne i by współdziałali przy tworzeniu warunków społecznych, sprzyjających zachowaniu zdrowia innych.

Uznajemy, że każdy ma prawo do dążenia do szczęścia. Stąd potrzeba kształcenia w kierunku wszechstronnego rozwoju osobowości, to umożliwi

zmierzanie różnymi drogami do samospełnienia.

Uznajemy, że każdy człowiek ma prawo do wolności. To wymaga wychowania do rozpoznania i akceptacji obowiązków obywatelskich - bez tych obowiązków wolność nie jest możliwa.

Motyw obowiązku w etyce demokratycznej wyeksponujemy w drugiej tezie podstawowej: "Obcując ze sobą, ludzie muszą kierować się rozsądkiem i sumieniem". Oto znajdujemy się w świecie zapełnionym przez ludzi. Jako osoba ludzka jestem wartością absolutną, mam niezbywalne prawa, oczekuję ich spełnienia. Ale takie same prawa posiadają i inni. Dlatego nie mam pełnej swobody czynienia według własnej woli - mogłoby to naruszyć środki do szczęścia, a nawet życia innych. Muszę kierować się zrozumieniem tego, co należne nie tylko mnie, ale i innym. Moja swoboda nie jest więc absolutna, bezwarunkowa; jest to swoboda odpowiedzialna, ograniczona zasadą rozsądku i sumienia.

Zasada rozsądku i sumienia jest czynnikiem zespalałym społeczeństwo demokratyczne. Członkowie społeczeństwa rozumieją, co wymagania wspólnego życia im dać mogą. Następuje dobrowolna konsolidacja społeczeństwa, inaczej niż w państwie totalitarnym, gdzie spójność społeczeństwa wymuszona jest siłą, inaczej też niż w społeczeństwie pierwotnym, które wiąże swych członków tradycjami i zwyczajami, pozbawiając ich praw równie skutecznie, jak państwo totalitarne.

Wynikają stąd zawsze wnioski dla demokratycznego kształcenia. Człowiek musi umieć myśleć i opierać swe działania na myśleniu. Myślenie ma zastąpić emocje i uprzedzenia. Nie będzie to myślenie izolowanym procesem abstrakcyjnym,

lecz intelektualnym zmaganiem się z problemami dotyczącymi naszego życia osobistego i społecznego. Kształcenie musi dać zatem aktywność intelektualną, musi także dostarczyć wiedzy, środka dla efektywnego myślenia.

Kolejna teza to teza równości: "Wszyscy ludzie, mimo wielu różnic, są zasadniczo równi i muszą postępować wobec innych, jak wobec równych". Równość nie jest tu rozumiana jako jednakowość. Dostrzega się różnice między ludźmi, lecz uznaje, że dominują w ludziach cechy wspólne. Jest to przede wszystkim równość w godności ludzkiej i w poszanowaniu na jakie ona zasługuje. Relacje społeczne oparte o zasadę równości, można określić mianem braterstwa.

I szkoła demokratyczna musi to braterstwo rozwijać, jej organizacja musi przeciwdziałać sztucznym podziałom i nierównościom, istniejącym w społeczeństwie. Zapewniając równe szanse dla wszystkich, szkoła nie może uniformizować uczniów, lecz ma stworzyć warunki do pełnego rozwoju ich zdolności. Zdolniejsi osiągną dzięki takiej szkole więcej i będzie to zgodne z interesem społeczeństwa.

Na koniec teza o wolności: "Wszyscy ludzie są wolni, muszą zachowywać się jak wolni i traktować innych jak wolnych". Ta zasada znowu eksponuje obowiązek: obowiązek bycia wolnym i poszanowania wolności innych. Daleka jest ona od liberalnej zasady czynienia tego, na co mam ochotę. Wolność to równość i odpowiedzialność.

Poszanowanie wolności innych wymaga tolerancji. Tolerancja - dopuszczenie takich działań innych, które sam skłonny jestem uznać za błędne,

dopuszczanie, choć mogą te działania przeciąć. Powód dopuszczenia jest ważny - człowiek może rozwijać się tylko przez podejmowanie własnych decyzji; bez tego nie ma aktywnej postawy, nie ma myślenia.

Tolerancja nie oznacza jednak obojętności, ani przyzwolenia na każde działanie. Dlatego istnieją granice tolerancji. Konieczna jest kontrola tych, którzy nie zechcą łączyć wolności z odpowiedzialnością, a także tych, którzy robią zgubne błędy, nawet jeśli robią to w dobrej wierze. Dotyczy to także uczniów. Ich wolność ogranicza niedojrzałość; nie wszyscy są doskonale mądrzy i dobrzy. Dlatego konieczne jest stosowanie kontroli i przymusu w kształceniu. Nie jest to jednak pozytywny czynnik wychowawczy i jego działanie należy ograniczać do niezbędnego minimum.

Wymienimy jednak i pozytywne konsekwencje zasady wolności w kształceniu. Wszyscy związani ze szkołą, uczniowie i ich rodzice, nauczyciele, administracja, winni mieć wszelką możliwą swobodę uczestniczenia w realizacji zadań szkoły. Chodzi tu o uczestnictwo aktywne, o wnoszenie własnych inicjatyw. Uczniów należy zachęcać i wspierać w akceptowaniu odpowiedzialności, w rozpoznawaniu i podejmowaniu wszystkich problemów związanych z ich kształceniem. To wymaga odpowiedniego zorganizowania współpracy - wolność demokratyczna jest bowiem wolnością uporządkowaną.

Demokracja jawi się zatem jako system etyczny. Wyznacza ona człowiekowi jego obowiązki i zobowiązania. Państwo demokratyczne, to takie, w którym ta etyka została przyjęta i zastosowana w praktyce życia publicznego. Ale nie może

być demokracji w państwie, a także w szkole, w Kościele, w rodzinie, jeżeli ludzie nie zaakceptują etyki demokratycznej i nie będą żyli według jej zasad.

Dla wychowania ma ta prawda znaczenie podstawowe. Naczelnym zadaniem wychowania demokratycznego jest rozwijanie w młodych ludziach tych predyspozycji, tych cnót moralnych i duchowych, tych rysów charakteru, bez których demokracja nie jest możliwa.

3. Szkoła cywilizacji technicznej.

Zarysowany obraz zadań wychowania, zadań szkoły trzeba skonfrontować z rzeczywistością współczesnego świata.

Idąc za papieżem Janem Pawłem II, rozważmy problemy wychowania na szerszym tle, na tle zagrożeń praw człowieka w świecie dzisiejszym i naruszania tych praw. Przewija się ta problematyka przez całe nauczanie papieskie, w szczególności zajmuje się nią encyklika "Redemptor hominis" i przemówienie wygłoszone w siedzibie UNESCO w roku 1980.

Zagrożenie zewnętrzne człowieka dzisiejszego, wyzwalające jego wewnętrzne negatywne moce, to nade wszystko cywilizacja techniczna, przemysłowa. Nie sama technika i nauka, na której ona wyrasta, ale wytworzona cywilizacja, na technice bazująca.

Jej cecha podstawowa, to nastawienie konsumpcyjne, które wywiera swoje piętno na kulturze, czyniąc ją jednostronną. Taka jednostronność prowadzi do dehumanizacji, form pseudokultury, w których człowiek jest przesadnie uduchowiony albo zmateralizowany, wyizolowany ze społec-

czeństwa, albo zdepersonalizowany" /przemówienie w Rio de Janeiro do przedstawicieli kultury, VII, 1980/.

To jest największe zagrożenie. W dziedzinie wychowania, w szczególności szkolnego, to niebezpieczeństwo wyraża się jednostronnym przesunięciem w kierunku samego wykształcenia, służącego człowiekowi później w sferze kategorii "mieć". Pomija się wychowanie, pracujące na rzecz kategorii "być kimś".

Szkoła, której funkcje zostają tak dalece ograniczone, przestaje spełniać swe zadania społeczne. Jej wąski cel, sformułowany jako przygotowanie do zdobycia zawodu i stanowiska, nie uświęca środków, czyli wiedzy uznanej za środek, ale przeciwnie, unicestwia ją. Bo w takich warunkach kształcenie jest dla ucznia tylko przeszkodą w szybkim osiągnięciu celu, a tak traktowane wywołuje znudzenie i wrogość. Wiedza i mądrość tracą w odczuciu społecznym swój autorytet.

Jest to kryzys szkoły.

Tak właśnie tłumaczy kryzys szkoły polskiej prof. Błoński w artykule "Edukacja narodowa a kultura" /Kultura i społeczeństwo, 1/83/. Cytuję: "Kryzys szkoły, niezadowolenie, jakie budzi zwłaszcza szkolna edukacja, jest przede wszystkim kryzysem celu. Traktowanie oświaty jako narzędzia umożliwiającego osiągnięcie świetlanej przyszłości, jedności narodowej, jednostkowego komfortu, potęgi państwa, społecznego prestiżu itp. sprawia, że szkoła staje się nielubiana i nieefektywna, zarazem zaś odcina jej użytkowników od wszystkiego, co żywe, zarówno w tradycji kultury, jak we współ-

czesnej twórczości".

Ale to tylko jeden aspekt sprawy. Cywilizacja techniczna niesie bowiem i inne zagrożenia. Jan Paweł II wskazuje na konsekwencje polityczne tej cywilizacji - powstawanie państw o ustroju totalitarnym, imperialistycznym i neokolonialnym - zaprzeczenie tych wszystkich ideałów, które tworzą demokrację. Są to bowiem formy ustroju narzucane narodom wbrew ich woli, a także "gwałcenie praw narodu idzie w parze z naruszaniem praw człowieka" /Redemptor hominis, us.17/.

Państwo omawianego typu jest organizmem o własnym życiu i przeznaczeniu, istniejącym ponad i poza wolą jego poddanych. Obejmuje ono i nadaje sens wszystkim działaniom, w które poddani mogą się angażować pojedynczo lub grupowo. Poddany istnieje dla państwa, jego życie we wszystkich przejawach wyznaczone jest przez autorytet i potęgę państwa. Tylko w akceptacji woli państwa może poddany znaleźć sens swej egzystencji, tylko przez podporządkowanie swej woli woli państwa poddany może stać się wolnym.

Dlatego państwo usiłuje zdominować rodzinę, Kościół, zakład pracy, stowarzyszenie - wszystko to ma służyć celom państwa. Oto słowa Hitlera wyjęte z przemówienia z maja 1937 roku, wymierzonego przeciwko Kościołowi: "Po prostu stratumy wszystkie grupy, które idą przeciwko nam. Muszą się ugiąć lub zostaną zmiażdżone. Może być tylko jeden autorytet".

Suwerenność tkwi w państwie, a nie w woli lub opinii wyrażonej przez poddanych - mają oni tylko taką ochronę konstytucyjną, jaką państwo zachce im przyznać. I można im ją w każdej chwili odjąć, jeżeli interes państwa

114

tego wymaga. Prawa, którymi poddany się cieszy, dane mu są w zamian za nałożone obowiązki, przez te prawa nie równoważone. Sprawiedliwością jest to, co w danej chwili państwo za sprawiedliwe uzna. Formy parlamentarne mogą być utrzymane. Poddani mają prawo albo i obowiązek głosowania, ale jego przedmiotem nie są problemy polityczne, lecz akceptacja kandydatów wybranych przez tych, którzy mają władzę: przez członków rady rządzącej partii, której szef jest faktycznym dyktatorem państwa. Bo wola państwa jest wyznaczona i wyrażona przez tę radę, przyjęta bez zastrzeżeń przez członków partii.

Tajemnicą potęgi tych, którzy państwo kontrolują, jest siła i groźba użycia siły przy każdej oznace odchylenia od "linii" wyznaczonej przez obowiązującą ideologię. Żadne odstępstwo nie jest dozwolone. Poddany może krytykować co najwyżej sprawność działania administracji, ale nigdy ideologię, o którą to działanie się wspiera. Krytyka zasad ideologicznych, bezpośrednia lub pośrednia, uważana jest za "dewiację" i pociąga za sobą wykluczenie z partii, uwięzienie, zesłanie do obozu pracy przymusowej, śmierć. Cytat z Göbbelsa: "Ponieważ my narodowi socjaliści jesteśmy przekonani, że mamy rację, nie możemy tolerować nikogo innego, utrzymującego, że to on ma rację. Jeśli bowiem nie jest narodowym socjalistą, po prostu nie może mieć racji".

Z tej charakterystyki państwa łatwo odczytać zadania państwowego systemu wychowawczego: państwo musi sobie podporządkować człowieka i użyje do tego celu wszelkich dostępnych środków. Szkoła będzie głównym narzędziem zniewalania poddanych; to jej podstawowy i jedyny cel.

Wychowanie musi urobić poddanych według narzucanego przez rządzących wzoru. W tym celu trzeba zabić zmysł krytyczny człowieka - poszukiwanie prawdy nie będzie tolerowane. Prawdą jest aktualna interpretacja ideologii, formułowana przez przywódcę. Reinterpretacja ideologii może sprawić, że nowa prawda w niczym nie będzie przypominać prawdy starej.

Dlatego w Japonii w roku 1935 pojawia się w Ministerstwie Wychowania biuro nadzoru myśli Bureau of Thought Supervision - "chroniące studentów przed kultywowaniem niebezpiecznych myśli".

Ideologia eksponowana jest jako jedyny naukowy fundament wszelkiej wiedzy. Przemilczanie jednych faktów i prawd, fałszowanie innych wspiera tę konstrukcję. To zasadnicze sposoby indoktrynacji i propagandy. Na tej drodze usiłuje się uzyskać akceptację państwa przez poddanych - dobrowolne posłuszeństwo i podporządkowanie się rozkazom.

Jest też urabianie w posłuszeństwie innymi drogami. I. tak szkoła hitlerowska stosowała tresurę, utrzymującą sterroryzowaną młodzież w nieustannej aktywności - stąd ważna rola paramilitarnej organizacji młodzieżowej Hitlerjugend. Jej zasady działania, to bezwzględne egzekwowanie całkowitego posłuszeństwa, wsparte na fanatycznym przekonaniu o słuszności wymuszonych norm postępowania. Taką drogą przetwarza się osobowość młodych ludzi, formuje się fanatyków ideologii.

Ale zniewolenie może przybierać formy bardziej złożone i mniej brutalne. Zniewolenie może nastąpić przez pogrążenie w bierności, przez

zabicie umiejętności bycia aktywnym. Bierni poddani nie potrafią przeciwstawić się państwu; sama groźba użycia siły utrzyma ich w posłuszeństwie i bezczynności. Państwo, którego poddani są tak urobieni, może poczuć się zwolnione z "wypracowania" sobie akceptacji ze strony poddanych - zadania nieledwie niewykonalnego, jeśli naród ma zakorzenione tradycje demokratyczne.

Czy szkoła potrafi zniewolić w taki sposób? Już samo manipulowanie programami nauczania wystarczy, by osiągnąć szereg zamierzonych skutków. Można, w imię "dotrzymywania kroku rozwojowi nauki", przeładować programy nadmiarem wiadomości, a uzyskać się ogłupiające przepracowanie ucznia i studenta. Wąska specjalizacja jako "przygotowanie do wykonywania wyspecjalizowanego zawodu" pozbawi go szerszych horyzontów myślowych, odhumanizuje, zredukuje do roli narzędzia. Naturalne uzdolnienia i głód wiedzy zostaną zahamowane przez przedwczesne podawanie abstrakcyjnej pseudowiedzy.

Jeżeli wymagania programu przekroczą możliwości dydaktyczne, a może i merytoryczne nauczyciela, to tym pewniejsze będą skutki. Dlatego państwo zadba o to, by do zawodu nauczycielskiego trafiali ludzie najmniejszej wartości, bez zdolności, bez aspiracji, a nauczycieli wartościowych wyeliminuje. Wykorzysta się tu wszelkie środki, by osiągnąć tę negatywną selekcję.

Ten schemat uzupełniają pozorne działania wychowawcze, otoczone wszechobecną atmosferą "niemożności", utwierdzające w przekonaniu o bezcelowości zaangażowania.

Taka szkoła, wychowująca do bierności, żądająca

przystosowania się, formalnej akceptacji fałszywej hierarchii wartości, zaszczepia swym uczniom konformizm jako najskuteczniejszą postawę życiową. Jest to pozbawienie dziecka przekonania o istnieniu prawd i wartości nienaruszalnych, przekonania o potrzebie zgodności życia i wyznawanych poglądów. Następuje duchowe okaleczenie dziecka, tym groźniejsze, że nie zawsze dostrzegane przez rodziców.

4. Szkoła polska.

Szkole polskiej nie oszczędzono żadnej z tych deformacji. Postawiono jej zadania zniewolenia społeczeństwa, co w języku ideologii nazwano "zintegrowaniem jednostki z istniejącym systemem ekonomicznym i politycznym, dla przygotowania do zadań, jakie jej system wyznaczy".

To zadanie nie powiodło się zupełnie. Ale deformacje szkoły nie pozostały bez negatywnych skutków społecznych, które w części obracają się przeciwko systemowi, zamiast mu służyć. Zamiast społeczeństwa posłusznych wykonawców zadań, są dzisiejsi Polacy społeczeństwem krytycznych obserwatorów, którzy, nie wiążąc z systemem żadnych oczekiwań, odgradzają się od niego swą biernością.

Do ukształtowania takiej postawy doprowadziła w znacznej mierze szkoła, choć oczywiście nie w samej szkole tkwi jej przyczyna. Układ stosunków w szkole naznaczony jest dwoma antagonizmami - między uczniem a szkołą jako instytucją oraz między uczniem a nauczycielem, przedstawicielem tej instytucji. Scharakteryzuję tu czynniki, którymi szkoła antagonizuje ucznia:

1. Światopogląd rodziny i środowiska, z którego

wywodzi się uczeń, pozostaje w sprzeczności ze światopoglądem narzucanym przez szkołę. Ponieważ i nauczyciele w swej większości światopoglądu szkoły nie podzielają, zabiegi szkół wokół ideologizacji stają się pozorne, przybierają zazwyczaj formę nieudolnej propagandy. Szkoła jest w istocie rzeczy bezideowa i tak jest przez wielu uczniów odbierana. Indoktrynacja światopoglądowa, realizowana przez zafałszowanie programów nauczania, zauważana jest przez uczniów zwykle w jej zewnętrznej warstwie ateizacyjnej i traktowana jako propaganda polityczna skierowana przeciwko Kościołowi. Bezideowość szkoły i jej nadużycia propagandowe, obserwowane przez uczniów pozbawiają szkołę w ich oczach wiarygodności i autorytetu. W ten sposób podporządkowanie uczniów przez indoktrynację nie powiodło się. Ale bezideowość szkoły może zaowocować bezideowością ucznia, a manipulacja programem nauczania zubaża i deformuje jego widzenie świata.

2. Programy nauczania stawiają ucznia wobec zadań, które przerastają jego możliwości ilościowo i jakościowo. Są one przeładowane treściami pozbawionymi wartości poznawczych, nieprzydatnymi, nieinteresującymi, niedostosowanymi do stopnia rozwoju intelektualnego ucznia. Sytuację pogarszają ciągłe zmiany programów, uniemożliwiające przygotowanie merytoryczne i dydaktyczne nauczycieli. W podręcznikach panuje chaos koncepcji i metod, błędy rzeczowe i dydaktyczne, albo podręczników w ogóle nie ma.

Z punktu widzenia ucznia jest to absurdalny stan rzeczy, wobec którego przyjmuje on postawę obronną. Wynika z niej negatywne nastawienie

do wymogów szkoły, od lekceważącego do wrogiego. To może prowadzić do negatywnego nastawienia do wiedzy i w ogóle do kultury. Tu tkwi także podstawowa przyczyna negatywnego stosunku do pracy.

3. W rozumieniu szkoły wychowanie, to wychowanie ideologiczne. W konsekwencji, szkoła nie prowadzi działalności wychowawczej. Obumierają organizacje i formy pracy, które wychowaniu służą. Unicestwiona zostaje wspólnotowa struktura szkoły. Niemożliwe staje się przygotowanie ucznia do życia społecznego.

4. Szkoła posługuje się fałszywą motywacją. Ten ogrom wiadomości, które uczeń ma opanować, jest rzekomo niezbędny w życiu w świecie współczesnym. Zdobycie wykształcenia, dokładniej dyplomu, ma być gwarancją sukcesu życiowego w konsumpcyjnym rozumieniu tego słowa. Ale uczeń wie z doświadczeń swego dorosłego otoczenia, że taki sukces osiąga się innymi środkami. W ten sposób uczeń pozbawiony zostaje w ogóle motywacji.

5. Rozważane dotychczas czynniki antagonizujące ucznia wynikają z zadań programowych szkoły. Jedynym sojusznikiem ucznia w jego zmaganiach z totalitarną szkołą może być nauczyciel. Oczywiście, jeśli nauczyciel podejmie się roli rzecznika szkoły, antagonizm między uczniem a szkołą obejmie i jego. Ale, niezależnie od tego, rola nauczyciela jest bardzo trudna. Zadanie dydaktyczne, przed jakim stawiają go programy nauczania, jest w gruncie rzeczy niewykonalne. I tu pojawia się niebezpieczeństwo popełnienia przez nauczycieli błędów, które stanowią będą dodatkowy czynnik antagonizujący uczniów

120

i w konsekwencji przekreślą możliwość pozytywnego oddziaływania wychowawczego nauczyciela na uczniów. Te błędy to:

- nauczanie powierzchowne, spłycone, czyniące przedmiot nauczania nieinteresującym, odintelektualizowanym i nie rozwijającym ucznia w stopniu jeszcze większym, niż to było zamierzeniem programu;
- sięganie w stosunku do ucznia po negatywne bodźce, wymuszanie uczenia się przez represje.

5. Zadania.

Opisane patologiczne deformacje polskiej szkoły mają charakter powszechny i wyrządzają ogromne szkody naszej młodzieży. Dlatego konieczne jest powszechne przeciwdziałanie społeczeństwa temu stanowi rzeczy. W istniejących warunkach działania mogą iść w dwu kierunkach: społecznego oddziaływania na szkołę oraz w kierunku podejmowania zadań wychowawczych przez inne instytucje społeczne, powołane do wychowania: przez rodzinę i Kościół, a także i przede wszystkim w kierunku podejmowania zadań wychowawczych przez samą młodzież.

Punktem wyjścia musi być uświadomienie społeczeństwu prawdy o stanie szkoły i o katastrofalnych jej skutkach. Z tym zadaniem idzie w parze nauczanie o celach i sposobach działań wychowawczych oraz stwarzanie możliwości prowadzenia takich działań.

Te zadania podjął Kościół. Kościół prowadzi tu działalność wielokierunkową. Podstawową jest praca z samą młodzieżą. Jej formą powszechną, obejmującą całą młodzież katolicką, jest nauczanie religii. Trzeba dbać o to, by w coraz szerszym

zakresie z tym nauczaniem łączyło się wychowanie, inspirujące młodzież do podejmowania działalności samokształceniowej i samowychowawczej, a także do działalności apostołskiej w środowisku młodzieży. To są bowiem podstawowe formy działalności wychowawczej, prowadzonej przez samą młodzież. Kościół stwarza dla tych prac dogodne ramy organizacyjne - ruch oazowy, duszpasterstwa młodzieży akademickiej, pracującej itp. W oparciu o nie powinno się prowadzić wielokierunkową, programową działalność wychowawczą.

Szczególnie ważna jest praca tych duszpasterstw akademickich, które skupiają studentów studiów nauczycielskich. Tu można bowiem przygotować studentów do pracy w takiej szkole, jaką ona rzeczywiście w Polsce jest. Studia nie ukazują całej patologii szkoły i początkujący nauczyciel jest wobec niej bezradny. Podjęcie tego rodzaju działalności przez duszpasterstwa akademickie byłoby skutecznym oddziaływaniem na samą szkołę. Taką samą pracę mogą prowadzić duszpasterstwa nauczycieli w stosunku do nauczycieli czynnych. W ogóle nauczycielom należy się ze strony Kościoła wsparcie duchowe, a jest ono szczególnie ważne w małych środowiskach, gdzie nauczyciel działa w osamotnieniu.

Kościół prowadzi także prace nad uświadomieniem rodzinom ich obowiązków wychowawczych. W sytuacji, w której rodziny z różnych powodów nie podejmują swych zadań wychowawczych i przekazują je szkole, pełna informacja o stanie wychowania szkolnego i jego konsekwencjach jest niezbędna. Rodzice muszą wiedzieć, że nie tylko nie mogą wyręczać się w wychowaniu szkołą, ale muszą nadto neutralizować jej negatywny

wpływ wychowawczy. Muszą także wiedzieć, co i jak powinni w tym celu czynić. W szczególności, muszą rodzice wiedzieć o możliwościach oddziaływania na szkołę - nie tylko przez stawianie szkole żądań, ale przez współpracę wychowawczą, przez wspieranie rzetelnych nauczycieli itp.

Zadania w dziedzinie wychowania, podejmowane przez Kościół, nie są zadaniami hierarchii czy duchowieństwa, lecz zadaniami całej wspólnoty. Działalność wychowawcza Kościoła może mieć charakter powszechny wtedy tylko, gdy włączą się do niej także świeccy w Kościele. Są tu możliwości działania dla młodzieży i jej rodziców. Szczególną rolę mogą odegrać nauczyciele i pracownicy nauki. Ich przygotowanie specjalistyczne pomoże w dostrzeganiu problemów wychowawczych, w projektowaniu i realizacji działalności. A podjęcie powszechnych działań wychowawczych jawi się w świetle przedstawionych rozważań jako jeden z głównych naszych obowiązków. Jest to bowiem niezbędny warunek ocalenia naszej tożsamości kulturowej.

E.K.

KLASÓWKA

W pierwszych dniach października ubiegłego roku nauczycielka historii w jednej z ósmych klas jako temat klasówki podała: "Wymień dwie postacie Polaków żyjących w I połowie XX wieku, z których jedna jest dla ciebie wzorem, a do

drugiej czujesz niechęć. Uzasadnij." Otrzymała 34 ciekawe odpowiedzi.

Oto wzorce osobowe naszych czternastolatków: Józef Piłsudski /32 dzieci/, Ignacy Paderewski /1/, Maksymilian Kolbe /1/, wśród współczesnych zaś: Jan Paweł II /21/, Lech Wałęsa /13/, Wojciech Jaruzelski /1/, Wojciech Żukrowski /1/. Dwoje dzieci wymieniło równocześnie dwie współczesne postacie wzorcowe: Jana Pawła II i Lecha Wałęsę. Tyle liczb.

Jak dzieci uzasadniały swój wybór? Wśród "piłsudczyków" najczęściej powtarzające się uzasadnienia to: "był on patriotą", "wybitny polski patriota", "dążył do utworzenia niepodległej Polski", "walczył o niepodległość Polski", "był wielkim Polakiem i patriotą", itp. Walkę o niepodległość i patriotyzm Piłsudskiego podkreślało 26 dzieci. Jako następną zasługę wybranego przez nich wzorca uznano stosunek Piłsudskiego do Rosjan i wygranie wojny w 1920 roku. Dzieci piszą o tym słowami: "zwyciężył w bitwie pod Warszawą", "przyłączył do Polski kresy wschodnie", "zwyciężył z Rosjanami", "przeprowadził bardzo dobrą wojnę ze Związkiem Radzieckim w 1920 roku i zwyciężył w tej wojnie", "wygrał obronę Warszawy zwaną Cudem nad Wisłą", "walczył przeciwko Sowietom", "stoczył pod Warszawą bitwę z najeżdżącą ze Wschodu", "nienawidził Rosji i Rosjan", "wiedział czego chce", "uważany jest za człowieka, który może być ideałem dla wszystkich".

Eksponowanie zwycięstwa Piłsudskiego nad Rosjanami jest zaskakujące. W ten czy inny sposób pisze o tym aż 19 dzieci. Dla sześciorga spośród nich stosunek Piłsudskiego do Rosjan

i zwycięstwo nad nimi jest jedyną przyczyną, dla której Piłsudski jest ich wzorem: "czuję do niego sympatię bo nienawidził Rosjan i wyzwolił Polskę spod zaborów. Znad Wisły zagnał kacapów pod Kijów" - pisze jedno z dzieci. Inne zaś uzasadniają krótko: "J. Piłsudski zasługuje na moje uznanie ponieważ nienawidził i tępił Rosjan. Domyślał się od razu, że przyjaźń z nimi nie wyjdzie nam, Polakom na dobre" lub: "tępił i nienawidził Rosjan i dlatego zasługuje na moje uznanie".

Za co dzieci cenią swoje współczesne wzorce? 12 osób uważa Jana Pawła II za człowieka pokoju pisząc, że: "walczy o to, żeby na świecie zapanaował pokój", "jest przeciwny broni jądrowej", "dąży do pokoju na całym świecie" itp. Podobnie o Lechu Wałęsie: "osoba religijna, pragnąca pokoju i dobra Polaków", "walczy podobnie jak Papież o pokój". Drugą cechą podkreślaną u obu wzorców jest ich stosunek do Polski i wolności Polaków. O Janie Pawle II dzieci piszą: "mimo że jest Papieżem, zawsze myślą jest przy narodzie i interesuje się sprawami Polski", "mimo że przebywa w Watykanie, modli się za Polaków i podtrzymuje ich na duchu", "patriota, wspiera Polskę na duchu". Lech Wałęsa zaś to "przedstawiciel" i "założyciel" Solidarności, który "walczy o dobro narodu", "kocha swój kraj", "dąży do powstania bogatego i silnego państwa", "chciał polepszyć byt ludu polskiego", "ma podobne zdanie do zdania Piłsudskiego", "chciał żeby w Polsce była wolność. słowa i żebyśmy nie byli uzależnieni od przyjaciół ze Wschodu", "dążąc do wolności Polski pragnie, aby Polska nie była zależna od innych państw", "dąży do

tego, aby każdy Polak był wolny".

Wśród innych cech, dla których dzieci uznały Jana Pawła II za swój wzorzec dominuje jego dobroć: "bardzo dobry", "Papież spraw ludzkich", "miłuje wszystkich ludzi", "człowiek niemal święty". Lecha Wałęsę poza wszystkim dzieci cenią za to, że "pomimo że może opuścić kraj, nie emigruje", "prześladowany przez wielu ludzi walczy i nie poddaje się", "prześladowany, ma możliwość opuszczenia kraju, pozostaje ponieważ kocha ojczyznę".

O swych antywzorach z pierwszej połowy naszego stulecia napisało 26 dzieci. Zdania są tu podzielone choć kryterium oceny jedno: stosunek do niepodległości Polski. Antywzorem dla 4 dzieci jest Rydz Smigły, uznany za winnego klęski wrześniowej, dla jednego dziecka Berling za to, że "utworzył armię w Związku Sowieckim, stając się w pewnym sensie narzędziem w rękach Stalina". Antywzorami są też pakowani nieopatrznie przez dzieci do wspólnego "worka" - Marchlewski /9/, Dzierżyński /10/, Daszyński /2/, głównie za to, że byli "przeciwnikami Piłsudskiego", ale i za to, że "byli niezbyt mądrymi komunistami", którzy "nie chcieli niepodległej Polski" i "dążyli do utworzenia Polskiej Republiki Rad" w związku z czym są w oczach dzieci "zdrajcami narodowymi".

Antywzory współczesne budzą wśród dzieci zrozumiałe emocje. Jedno dziecko nie lubi Jerzego Urbana "za jego wyższość nad narodem", po jednym dziecku wypowiedziało się przeciwko Albinowi Siwakowi, Piotrowi Jaroszewiczowi i Lechowi Wałęsie. Najwięcej przeciwników ma Edward Gierek /14/ i Wojciech Jaruzelski /16/. Gierek budzi

niechęć dzieci głównie dlatego, że "jest jednym z ludzi, którzy przyczynili się do wprowadzenia Polski w kryzys gospodarczy", "wiele ludzi czuje do niego niechęć i ja też, za wprowadzenie kartek żywnościowych". Wprawdzie Gierek wprowadził tylko kartki na cukier, ale ... gdy on kończył swoje panowanie, piszące tę klasówkę dzieci miały zaledwie dziesięć lat. Obecne rządy generała Jaruzelskiego dzieci oceniają ostro: "nie umie rządzić krajem i całym narodem", "współpracuje z ZSRR", "wprowadził rządy oparte na wojsku, na wyższych stanowiskach są pułkownicy i generałowie", "nie lubię go, bo tłumi brutalnie wszelkie demonstracje", "nie ma własnego zdania", "przez niego kraj jest uzależniony od ZSRR i on sam też", "jest to postać niczego sobą nie reprezentująca, nie mająca własnego zdania, podlega ZSRR", "jest fałszywy", "źle sprawuje się w polskim rządzie", "stał się służakiem Sowietów, sprzedał nie tylko siebie, ale i własną ojczyznę, i własny naród", "człowiek napawający mnie odrazą i obrzydzeniem", "zlikwidował związki zawodowe, wprowadził stan wojenny, który spowodował wielkie zamieszanie w państwie".

Klasa VIII n, to klasa w wielkomiejskiej szkole, usytuowanej w robotniczej dzielnicy miasta. Klasa prowadzona ponadto przez nauczycielkę, dla której przynależność do Solidarności nie jest przeszłością. Wszystko to: szkoła, nauczycielka, rodziny tych dzieci sprawiły, że w VIII n rosną myślący Polacy.

Zaskakująca jest trwałość tych ocen zarówno w skali czasowej, jak i w skali społecznej. Na początku stulecia Józef Piłsudski został bohaterem narodowym za swój patriotyzm, za

swą niepohamowaną wolę dążenia do niepodległości, za odzyskanie tejże niepodległości wreszcie. I jednocześnie na początku stulecia komunizm nie znalazł poparcia żadnej warstwy społeczeństwa polskiego tylko dlatego, że komuniści w swym programie nie przewidywali niepodległej Polski. Kryteria ocen po prawie siedemdziesięciu latach pozostały te same: stosunek do niepodległości Polski jest dla współczesnych czternastolatków jedynym kryterium oceny ludzi publicznych. Jan Paweł II jest wzorem ze względu na dobroć, sprawiedliwość, ale i dlatego, że "podtrzymuje na duchu cały naród", a Lech Wałęsa dlatego, że "walczy o wolność narodu polskiego".

Uderzające jest to trwanie ponadczasowych wartości. Czemu to przypisać? Na pewno przyczyn jest wiele, ale chyba najistotniejszym czynnikiem przechowującym i kształtującym postawy jest dom. Babcie, dziadkowie i rodzice, którzy z pokolenia na pokolenie uczą swe dzieci historii i miłości Ojczyzny. Przekazują to, co najistotniejsze dla każdego narodu - przekazują pamięć narodową.

Zastanawiająca jest też w VIII n nienawiść do ZSRR, jako kryterium oceny. Piłsudski nienawdził Rosjan, więc jest moim wzorcem - tak uważa 55% dzieci. Myślę, że nienawiść tę wyniosły dzieci także z domów. Z domów, w których pod wpływem wydarzeń ostatnich kilku lat odżywają prawdopodobnie głębokie tradycje nienawiści do zaborców. Wstyd przyznać, lecz jest w tej dziecięcej nienawiści element budujący. Po 40 latach okupacji komunistycznej rośnie w Polsce pokolenie mające jasno skryształizowane poczucie niewoli naszego narodu.

Taki, może nazbyt optymistyczny wniosek można wyciągnąć z analizy klasówek w jednej niestety - zatem bez prawa do uogólnień - klasie ósmej, jednej z wielu tysięcy polskich szkół anno domini 1985.

SPÓR O POSTAWĘ

Andrzej Grzegorzczuk
NON - VIOLENCE
„PO POLSKU” ?

Artykuł ten jest częścią mojej dyskusji ze środowiskiem katolickim KIK-owskim, z którym czuję się związany i będę nadal związany mimo istniejących różnic.

Różnice te wynikają zapewne z moich cech charakterologicznych, częściowo też intelektualnych, dzięki którym sympatia i zgoda w jednych sprawach nie przeszkadza mi wyrażnie się sprzeciwiać w innych, często nie bacząc na okoliczności. /W ten sposób obraziłem lub uraziłem w życiu szereg osób: kolegów, kilku biskupów, np. Karola Wojtyłę jako biskupa pomocniczego w Krakowie na publicznym zebraniu ruchu Znak.

Przeprosiłem go potem za ton, ale z poglądami się nie zgodziłem. Bronilem wówczas wartości tzw. etyki niezależnej. Wszystkich biskupów razem uraziłem, a głównie Prymasa Wyszyńskiego, krytykując za list w sprawie Kopernika, naświetlający nieprawdziwie fakty historyczne. Za co Ksiądz Prymas w rozmowie prywatnej najpierw mnie zbeształ, a potem mi przebaczył./ Poważniejsze różnice ze środowiskiem ujawniły się w czasie sesji KIK-u na temat Praw Człowieka. Ten motyw wiąże się już ściśle z różnicami w pojmowaniu ideologii non-violence oraz z moją krytyką postaw godnościowych. Być może u podstaw różnic tkwi też moja nieczułość na jakiś element kultury narodowej oraz intelektualne poczucie względności wielu wartości, jak również filozofia analityczna pozwalająca na dystans do wszelkich pojęć. Dzięki różnicom subiektywnym może jednak jakieś prawdy obiektywne też zostają uwypuklone.

Zamiast sformułowań abstrakcyjnych podam przede wszystkim kilka obrazków.

x x x

Kiedyś zwracałem uwagę pewnemu księdzu nie przebierającemu w środkach, dzięki którym rozbudowywał kościół i jego zaplecze. Odpowiedział mi: "Ano, czasem trzeba postąpić nie po chrześcijańsku". Mam wrażenie, że sprawy polityczne są takimi, w których większość chrześcijan, przyciśnięta do muru, odpowiedziałaby: "W tych sprawach często nie można postępować po chrześcijańsku". Np. w Ewangelii głoszona jest zasada miłości do nieprzyjaciół i przebaczenia bliźnim

130

- natomiast w polityce panują zasady separowania się od wrogów i nie wybaczenia bliźnim politycznych różnic. Ludzie bywają wyrozumiali dla pijaków i rozpustników, łatwo wybaczą łapownictwo i kradzież zwłaszcza zbiorowego mienia, natomiast uprawiają ostracyzm w stosunku do przeciwników politycznych i nietolerancję dla inaczej myślących w tej dziedzinie. Nietolerancję polityczną łatwo zauważyć np. u wielu, którzy z drugiej strony oburzają się na cenzurę państwową i wypowiadają się, przynajmniej ogólnie i teoretycznie za tolerancją obyczajową, religijną i, wydawałoby się, wszelką inną. "W polityce nie ma sentymentów" i "nie budżet" mówi znany polityk czterdzieści lat temu. Przebaczenie to sprawa ogólnoludzkiego "sentymentu". W polityce zaś rządzi interes grupy, klasy, partii lub narodu. Liczy się tylko to, co wzmacnia swoich, a osłabia przeciwników. Przeciwnikom nie wolno pomagać, bo musi się dbać o ich słabość; wobec tego wskazówka miłości nieprzyjaciół w praktyce nie może mieć żadnego zastosowania, bo miłość polega na pomaganiu. Tymczasem każdy polityk powie, niech moi przeciwnicy kłócą się jak najbardziej między sobą, bo to ich osłabia.

Istnieją piękne rozważania Jean Vanier'a na temat tego, jak trzeba zaakceptować istniejące we własnym ciele determinizmy oraz że wyrozumiałość dla słabości, zboczeń i niedostosowania innych ludzi powinna harmonizować z pewną wyrozumiałością dla własnych zboczeń, słabości i niedostosowań. Nikt natomiast nie chce słuchać o wyrozumiałości dla ludzi zajmujących się polityką. Mam poczucie, że jako tacy są oni powszechnie traktowani w sposób użytkowy i

urzeczowiony, jak aparaty oglądane tylko pod kątem widzenia ich zastosowań. Mogę być dobry lub wyrozumiały dla Generała - mówią mi przyjaciele - w życiu osobistym, tzn. jakby przyszedł po patelnię, to mu pożyczę. Skoro on nie potrzebuje pożyczać patelni i /założmy/ mało ma życia osobistego, poza życiem państwowym, przeto pozostaje wyłącznie obiektem niechęci i miłość do niego nie ma zastosowania. Jeśli prywatnie zaprosiłby mnie do siebie, to bym poszedł i mu radził oraz wygarnął wszystko, co myślę - mówią ludzie uważający się za dobrych chrześcijan. Natomiast jeśli zaprosi do jakiegoś ciała doradczego, np. nazywanego Sejmem PRL, to nie przyjmę zaproszenia - mówią ci sami ludzie i uważam, że nie jest to postawa konsekwentna. Ja mam wrażenie, że myślę konsekwentniej. Czy Papież, czy Hitler zaprosiłby mnie do swojej Rady, to przyjąłbym zaproszenie. W stosunku do Hitlera, choćby po to, żeby widział wyraźnie, że niektórzy ludzie nie popierają jego szaleństw. Zaproszenia bym nie przyjął tylko wtedy, gdyby Rada była ciałem z góry określonym jako rada w sprawach złych moralnie, np. rada eksterminacji Żydów lub temu podobna. Oczywiście dbałbym o to, żeby było powszechnie wiadomo, że mój głos jest czysto doradczy i w procesie decydowania bardzo mało się liczy. Status rady, do której się wchodzi, musi być jasny. Przy obecnej ordynacji wyborczej i wobec nieistnienia dostatecznej swobody zakładania partii politycznych, status Sejmu PRL w roku 1985 jest jasny i jego rola daje się określić jako emanacja Komitetu Centralnego PZPR, czy jako pewien sposób zasięgania czegoś w rodzaju "konsultacji"

społecznych. Sejm właściwie powinien się może nazywać Senatem lub Izbą Lordów, bo w tradycji Senatu tkwiła przewaga odgórnego wyznaczania nad wyborem. Nie odpowiada to takiemu wzorcowi demokracji, jaki mi się podoba. Ale to nie znaczy, że nie mogę w tym brać udziału. Wiele jest w życiu społecznym rzeczy, które się nam nie podobają, ale je tolerujemy, ponieważ aktualnie nie jesteśmy w stanie ich zmienić.

Oczywiście nie należy firmować decyzji złych. Tu jednak nie jest dla mnie jasne, czy można uważać, że poseł głosujący przeciwko jakiejś ustawie może być uznany za odpowiedzialnego za jej ustanowienie. Gdyby tak rozumować, posłowie Koła Znak byliby zobowiązani do rezygnacji z mandatu z chwilą przejścia ustawy o przerywaniu ciąży, przeciwko której oponowali. W małych organizacjach jest zwyczaj zaznaczania swego całkowicie negatywnego stanowiska w postaci zgłaszania tzw. votum separatum. Myślę, że w Sejmie głosowanie przeciwko czemuś oznacza mniej więcej tyle samo, co votum separatum. W stosunku do koła poselskiego Znak miałbym ten głównie zarzut, że przyjmowało ono tę interpretację ich roli i roli całego Sejmu, jaka była im narzucona. Natomiast nie dokonali publicznej redefinicji swojej roli i roli Sejmu. Pozwolili się utrzymywać w sytuacji od początku jakoś zafałszowanej. Można przypuszczać, że gdyby o Sejmie powiedzieli coś takiego, jak to sformułowałem powyżej, to by prędzej z niego wylecieli - ale to są zwykłe konsekwencje mówienia prawdy, na które zawsze trzeba być gotowym. Sytuacja Sejmu zresztą jest też do pewnego stopnia odbiciem stanu świadomości i braku

aktywności politycznej większości narodu w zakresie udziału w wyborach. Jakże nie ma być manipulowany naród, którego większość elektoratu nie korzysta z możliwości wyrażenia swego sprzeciwu, tylko bezmyślnie lub w strachu idzie do lokalu wyborczego, żeby wrzucić do urny kartkę /oczywiście bez żadnych skreśleń/, o której nie wie nawet dobrze, jakie nazwiska są na niej wypisane.

W Polsce w kręgach inteligencji katolickiej przeważa, jak to już w różnych miejscach pisałem /np. w "Polityce"/ postawa godnościowa, którą można zilustrować stosunkiem do Sejmu ujmowanym w ten sposób: skoro Sejm jest tak daleki od ideału, to nie będę się w to mieszał, bo to jest poniżej mojej godności. Mogę brać udział tylko w strukturach godnych człowieka. Innymi strukturami gardzę. Niech sami partyjni grzęzną w błotku, które zrobili. Na temat tego, że postawa godnościowa jest daleka od chrześcijańskiej wypowiadałem się wielokrotnie. Uważam, że bardziej chrześcijańskie jest przyjęcie rzeczywistości takiej, jaką ona jest za własną, za punkt wyjścia i warunek dany nam przez Opatrzność. /Por. Filozofia czasu próby. Rozdział V/. W szczególności uważam, że trzeba akceptować środowiska ludzkie takie, jakie są /np. środowisko poselskie/ i iść do każdego z nich. Oczywiście iść z całą prawdą, o której jesteśmy przekonani. Być może od razu zostaniemy odrzuceni jak tylko wyjawimy swoją prawdę, ale mamy obowiązek spróbować i wystawić się na konfrontację, chociaż przy normalnym, politycznym myśleniu to może uchodzić za głupie. Odwracanie się jest rodzajem pogardy dla ludzi, jest wynoszeniem siebie

134

nad innych.

x x x

Istotą zachowań non-violencyjnych nie jest jak niedawno twierdził Tadeusz Mazowiecki, obrona praw ludzkiej godności, ale miłość do wszystkiego, też i do nieprzyjaciół. Specyfikę zachowań non-violence stanowi właśnie świadectwo szacunku dla nieprzyjaciół, a nie obrona szacunku dla swoich, która jest normalnym zachowaniem solidarnościowym. Solidarność ze swoimi jest ogólnoludzka, można powiedzieć: instynktowna - do niej nie trzeba chrześcijaństwa. Specyfiką chrześcijaństwa jest właśnie wyjście poza postawy naturalne. Jest nią w największym stopniu miłość do nieprzyjaciół.

Tu entuzjaści kultury polskiej przytoczą całe księgi wypisów o polskiej tolerancji i polskiej miłości do nieprzyjaciół. Rzeczywiście, zgadzam się, że w polskiej kulturze jest dużo, może nawet najwięcej takich świadectw. Niemniej świadectwa te są bardzo kulturowo zdeterminowane w kierunku tradycyjnego patriotyzmu, który jest postawą solidarnościową, a nie specyficznie chrześcijańską. Przy głębszym przeanalizowaniu świadectwa te ujawniają pewną wewnętrzną sprzeczność /którą może dopiero w naszym wieku jesteśmy w stanie dojrzeć/. Przypomnę z antologii Jacka Salijsa odezwę ogłaszającą Powstanie Styczniowe. Zawiera ona wypowiedzenie wojny zbrojnej w stosunku do rządu /caratu/, natomiast miłość i przebaczenie w stosunku do ludu rosyjskiego. Po akcie miłości w stosunku do tego ludu, następuje jednak przekleństwo i deklaracja wrogości do niego, jeśli nie wystąpi on również przeciwko

caratowi. Miłość okazuje się więc z góry zapowiedziana jako warunkowa i nietrwała. Poza tym przeanalizujmy, co znaczy w praktyce walka z caratem. Oznacza ona zabijanie żołnierzy, którzy pochodzą z ludu i kiedyś zostali siłą wzięci do wojska. Jean Goss w rozmowach z partyzantami /np. z Torezem/ w Ameryce łacińskiej zawsze mówił: wypowiadacie wojnę kapitalistom, którzy bezpiecznie siedzą w dobrze strzeżonych willach, czy w ogóle mieszkają na Florydzie lub w Paryżu, a zabijacie żołnierzy i policjantów, którzy pochodzą z tych samych slamsów, których mieszkańców chcecie bronić. Na początku odezwy jest też oburzenie na ohydą akcję branki do wojska. Branka była oczywiście gwałtem, ale była przecież gwałtem zadany przeciwko gwałtowi, jakim miała być akcja powstańcza. Jeśli ktoś przygotowuje powstanie zbrojne, które będąc obroną wartości jest jednak aktem przemocy, to nie ma się co oburzać, że jego przeciwnik też używa przemocy. Wrogowie na ogół wiedzą nawzajem dość dużo o swoich przygotowaniach i kto uderzy pierwszy jest tylko sprawą sprytu i strategii. Jeśli ma się wojsko, to tylko w wyjątkowych przypadkach można traktować, że jest ono od parady. A wojsko zakonspirowane do żadnej parady się nie nadaje. Odezwa jest więc piękna i nonsensowna zarazem, jak wiele elementów naszej narodowej polityki.

x x x

Dla większości Polaków kultura narodowa taka, jaka jest, stanowi wielkie dobro, którego są gotowi bronić na wiele sposobów. Bez Polski

i jej kultury życie straciłoby dla nas sens. W praktyce odczuwam może tak samo, ale w teorii uznaję, że ani Polska, ani kultura narodowa, ani wolność jako warunek jej rozwoju, nie jest najwyższym dobrem. W praktyce może mnie nie stać, ani na należyte poświęcenie dla swoich, ani na prawdziwą miłość do nieprzyjaciół, ale uważam, że właściwy sposób życia realizuje się odnosząc się tak samo z szacunkiem do wszystkich, do swoich, do obcych, do przeciwników. Pociąga to za sobą pewną naiwność /św. Paweł: "miłość wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa"/ oraz niemożność żadnych działań, które nie byłyby opiekuńcze. W gruncie rzeczy żadna walka nie jest wtedy możliwa. Działania, które zostają nie można nazwać walką. W życiu społecznym potrzebne są naciski, a nawet przymus, który zresztą zawsze jest gwałceniem. Np. non-violence zaleca strajk jako metodę. Ale strajk w naszej sytuacji nie jest dobrym naciskiem na nikogo. Rząd, jak wiadomo, /czy partia/ "zawsze się wyżywi". Jak będzie strajk, będzie tylko mniej produktów na rynku lub na eksport. Ale to rządu nie obali. Nic w ogóle nie grozi, zasadniczo, naszemu rządowi, bo nie ma mechanizmu eliminacji. Jedyny mechanizm eliminacji to konkurencja wewnątrzpartyjna, a to raczej wykracza poza zakres możliwości naszych racjonalnych planów. Jeśli w coś nie należy się mieszać, to właśnie w konkurencje ludzkich ambicji. Strajki w okresie Gierkowskim miały sens, bo ekipa Gierka się nimi przejmowała i skłonna była ustępować. Obecna ekipa rządząca jest inna. A zresztą chcę wyjść poza ten typ rozumowań pragmatycznych, przy których niepostrzeżenie

traci się moralne uzasadnienia. Chcę widzieć jasno niepodważalne wartości, którym w danym zachowaniu się służy. Jasno widzę, że nawet gdybym kandydował do Sejmu, ze względów, o których pisałem wyżej, to sam głosować raczej nie pójdę, bo prawdopodobnie będzie mi wszystko jedno, który z dwóch kandydatów przejdzie na jakimś miejscu mandatowym w moim okręgu, a lekceważąc wybory kontestuję samą ordynację wyborczą, która mi się nie podoba. Mógłbym pójść do urny np. gdyby w moim okręgu kandydowało do tego samego miejsca mandatowego dwóch tak różnych między sobą bezpartyjnych, jak np. Stomma i Urban. Akceptując zaproszenie do każdego grona i do każdej dyskusji, do której czuję się przygotowany, okazuję szacunek dla ludzi zapraszających i to mi wystarcza. Odmowa byłaby rodzajem pogardy lub wrogości, a nie chcę być wrogo nastawiony do nikogo, nawet do tych, którzy są niesprawiedliwi wobec moich bliskich. Mogę w praktyce tego nie umieć, ale taki, wydaje mi się, jest ideał chrześcijaństwa.

Oczywiście przyjmując zaproszenie do dialogu, nie możemy rezygnować z wypowiedzenia żadnej prawdy własnej, którą uważamy za ważną w danej sprawie. Przeciwno drukowi rzeczy zbyt okrojonej przez cenzurę można zawsze zaprotestować i redaktorzy są na ogół dość lojalni. Uważają lojalność za swój honor zawodowy.

W Polsce związki solidarnościowe i identyfikacyjne w grupach mają charakter emocjonalny. Każda grupa dobrze się identyfikuje i wspiera psychicznie przez szydzenie ze wspólnych wrogów, przez szacunek dla swoich działaczy, męczenników sprawy i ideowych przywódców, przez brak szacunku

dla przeciwników. Ten typ solidarności i identyfikacji powoduje, że każdy życzliwy gest do wroga zostaje odebrany jako zdrada, jako zerwanie więzów i przejście na stanowisko przeciwnie. Takie, niechrześcijańskie nastroje panują w grupach intelektualistów opozycyjnych. Jeśli ktoś uważa, że bez tego walka polityczna jest niemożliwa, to znaczy, że uważa, iż w polityce trzeba postępować nie po chrześcijańsku i takie postępowanie wybiera.

Dla postawy chrześcijańskiej wydaje mi się podstawowe często zadawać sobie pytania o zasadnicze wartości, którym służy się w danym działaniu. Myślenie pragmatyczne łatwo moralność naszą prowadzi na manowce. Jeśli w ocenie "Solidarności" wyjdziemy poza oceny pragmatyczne i będziemy się pytać, w którym okresie członkowie tego ruchu jakim wartościom dawali wyraz, odpowiedź - jak miemam - wypadnie następująco. Na początku i w czasie strajków sierpniowych wszystkim działaczom chodziło o poprawę sytuacji w kraju. Potem, kiedy rząd sabotował rejestrację "Solidarności", a następnie też poprawę zaopatrzenia i wiele ustaw, wyraźnie grając na zwłokę, wówczas nastąpiło zasadnicze ukształtowanie się postawy walki i pewna jej strukturalizacja. Strajki sierpniowe też można nazwać walką, ale połączoną z dążeniem do pojednania. Potem okazało się, że pojednanie z przeciwnikiem jest praktycznie niemożliwe. Utrwaliła się postawa walki oparta o przekonanie, że przeciwnika trzeba po prostu zwyciężać, wypierać, naciskać wszystkimi dostępnymi siłami. Przed "Solidarnością" świeciła wizja dokonania swoistej, bezkrwawej rewolucji.

Można mieć właśnie wątpliwości, czy ta postawa walki była w pełni chrześcijańska. Kiedy w ogóle postawa walki może być chrześcijańska? Czy znane z historii świadectwa chrześcijańskie można kiedykolwiek nazwać walką przeciwko komuś? A nasze postępowanie /w dużym stopniu spowodowane oczywiście oporną i czasem perfidną postawą czynników rządowych/ było niewątpliwie walką przeciwko komuś oraz często walką o poprawę materialnego bytu, czasem bardzo krótkowzroczną. W końcu nikt nie panował nad tymi różnymi formami walki, jej emocjami i atmosferą. Czynniki rządowe utrudniały oczywiście przywództwu zapanowanie nad formami i emocjami walki, bo chciały by było jak najwięcej zjawisk kompromitujących Ruch. Nie byliśmy przygotowani ani przez konspirację wcześniejszą, ani przez Kościół, ani przez historię do panowania nad emocjami walki. Nie byliśmy w ogóle przygotowani do starcia politycznego, które by wykraczało poza stereotypy ostatnich okresów. W czasie KOR-u utrwaliła się metoda "szlachetnej ekspresji". Polityka ekspresji własnej wzniosłości bardzo podnosi na duchu, zwłaszcza samych działających, ale przy ruchach masowych może być nieodpowiedzialna, bowiem w ruchu masowym ekspresja może objąć wyrażanie nie tylko samych najszlachetniejszych intencji. Trudno też żądać, żeby działacze lewicowi, słabo związani z ideologią chrześcijaństwa, wnieśli do "Solidarności" coś innego, poza praktyką walki politycznej, do której byli przygotowani. Zamiast szukać rozwiązań w myśleniu ewangelicznym typu non-violence Gossów, Gandhiego, M.L.Kinga, postępowaliśmy zgodnie z narodową megalomanią i bardziej

sięgaliśmy do narodowej tradycji odgrzebuując np. myślenie Józefa Piłsudskiego. Zawiedli też intelektualisci katolicy, zwłaszcza ci będący doradcami "Solidarności". Czasem prywatnie rozdzielali szaty nad ekstremalnymi wystąpieniami zyskującymi poklask, ale nie ośmielali się publicznie zaprotestować, żeby nie stracić popularności i pozycji w Ruchu.

Uważam, że wielu z nich objawiło pewną niedoskonałość. Np. najcenniejszy, być może, z doradców - Tadeusz Mazowiecki - był podobno wstrząśnięty czy niemal zrozpaczony projektem posłania do ludów wschodu /tak opisywali to ci, którzy w pobliżu siedzieli/, ale nie wygłosił wtedy żadnego przemówienia publicznego. A przecież należało powiedzieć, że chociaż intencja dokumentu jest słuszna, to musimy się zastanowić, jak będzie on odebrany przez najbardziej zainteresowanych spośród adresatów, którzy go zobaczą, czy nie zostanie odczytany jako zrywanie sojuszy, które niby gwarantujemy. Wiadomo było, że trafi głównie do rządów, a mniej do ludów. Należało stworzyć komisję do rozważenia tego właśnie problemu na zimno, bez emocji, ażeby wyjść poza politykę uprawianą metodą czystej twórczości jednostronnie ekspresyjnej. Tadeusz często przecież jako redaktor "Więzi" zwracał /i mnie/ uwagę na to, jak pisany utwór będzie odebrany przez czytelników. Był więc dysponowany do takiego postawienia problemu. Wiara w charyzmat Ruchu oczywiście również miała tu miejsce. Jeśli już dajemy przewagę ekspresji nad racjonalnym myśleniem, to ekspresja nasza powinna być doskonała i objąć też motyw szacunku i miłości do wrogów - tych z aparatów ucisku wszystkich

krajów, a nie tylko solidarność z uciśnionymi. Przesłanie "Solidarności" stanowi może pewien postęp w stosunku do odezwy Powstania Styczniowego, ale jeszcze daleko mu do doskonałości.

Podsumowując tę ostatnią przeszłość z chrześcijańskiego punktu widzenia można - być może powiedzieć, że skoro tak prędko przegraliśmy, to znaczy, że byliśmy bardzo niedoskonalimi w oczach Boga. Bo gdybyśmy byli doskonali, to by Bóg spowodował, żeby doskonałość ta była ujawniona poprzez jej dobry rezultat. Wydaje się, że tak można rozumować zgodnie z zasadą ewangeliczną, że światłość nie jest trzymana pod korcem. Częściowo dobre postawy zostały zresztą ujawnione przez częściowe dobre rezultaty. Jesteśmy więc raczej powołani przez Opatrzność do większej doskonałości niż ta, której dawaliśmy wyraz w walce politycznej lat 1980-1991. Powoli się może jej uczymy.

x x x

Wracając do Ewangelii i jej aktualnych świadectw warto się zastanowić, że Chrystus nigdzie nie potępia wyraźnie żydowskiej kolaboracji z rzymskim reżimem. Można mniemać, że dla chrześcijaństwa jest właściwy pewien rodzaj "chrześcijańskiej kolaboracji", współdziałania z okupantem, który radykalni patrioci nazwą oczywiście niedopuszczalną kolaboracją. Ten rodzaj współdziałania opisałbym jako: uznawszy nad sobą przemoc, której nie można zmienić w dającym się zaplanować czasie, współpracować z okupantem we wszystkim, co dobre i dla ludzi pożyteczne. Taka formuła wydaje mi się słuszną, chociaż

niebezpieczna ze względu na powszechne ludzkie słabości.

Obecnego rządu w Polsce nie nazywam okupacją, jak to robią niektórzy trochę nieodpowiedzialni autorzy. Podkreślam tylko, że dla chrześcijanina zasady zachowania względem rządu własnego i okupacyjnego wydają mi się takie same.

Okupant /a właściwie każdy rząd/, jak się zdaje, rzadko tworzy instytucje, które byłyby wyłącznie pożyteczne. Tworzy raczej instytucje, które w pewnym stopniu wydają się pożyteczne, ale w dużym stopniu stają się dyspozycyjne dla rządu i mogące służyć mu do dowolnych celów, niekoniecznie pożytecznych. Inicjatywy pożyteczne nie wzmacniające siły rządu na ogół nie są podejmowane /np. fundacja rolnicza/. Rząd /czy okupant/ tworzy instytucje, które Jan Strzelecki nazwał niehigienicznymi, w których ktoś chcący działać pożytecznie równocześnie zostaje zniewolony albo skorumpowany tak, by bezkrytycznie służył rządowi. Tej korupcji lub zniewoleniu można się oprzeć, ale wymaga to osobnego nakładu energii i moralnej woli. Otóż ludzie czując, że tu grozi pułapka wolą często nie ryzykować. Mam wrażenie, że nie doceniają swojej siły. Można przecież zawsze ograniczyć się do tego, co pożyteczne. Wymaga to oczywiście dużej czujności. Wygodnie jest, gdy do władzy można mieć zaufanie, można wtedy bezkrytycznie słuchać. Ale takiej wygody od dawna nie mamy. Wobec tego ludzie wybierają inną łatwiznę, nie mieszania się, stania z boku i czekania na sytuację wygodną. Ale nigdzie nie jest powiedziane, że życie musi być łatwe. Ewangelia skłania do udziału w sytuacji trudnej. Być

może rząd, jeśli zobaczy, że jakaś instytucja jest już tylko pożyteczna, a nie daje się skorumpować, rozwiąże ją lub nawet zniszczy ludzi, którzy będą niezależni. Ale to już nie nasza rzecz. Dysponujący siłą zawsze mogą zniszczyć tych, którzy nie chcą się bronić siłą. Nasza rzecz, to zgłaszać się do wszystkiego, co może być pożyteczne i czuwać, żeby nie zrobić nic, co byłoby przeciwne. Metodę chrześcijańską w polityce scharakteryzowałbym tak: garnąć się do wszystkiego, co deklaratywnie dobre, ale wszędzie dawać świadectwo swojej uniwersalnej troski o dobro i prawdę, a więc też często dekonspirować korupcję, nawet jeśli przeciwnicy nazwą to skandalem. Niesłychaną pychą byłoby twierdzić, że np. Sejm Polski nie zasługuje na to, żeby na jego terenie dawać świadectwo swej troski. Tak do pewnego stopnia działało koło poselskie Znak, tylko za mało i za późno zaczęło być skandalem. Cynicy mówią też, że nic w tym Sejmie zdziałać się nie da. Odpowiadam na to: nawet jeśli nic zdziałać nie można, jesteśmy powołani do świadectwa poważnej troski. Każdy ma prawo wybrać sobie teren tego świadectwa lub skorzystać z otwartego przed nim terenu.

Polityka jest i była zawsze wykorzystywaniem swojej siły i działania taką lub inną ale zawsze siłą w celu zdobycia i utrzymania władzy /panowania, dominacji/ dla interesu swego, swej grupy lub swego narodu. I w tym sensie polityka chrześcijańska w ogóle nie istnieje i nie może istnieć. Możliwe są tylko chrześcijańskie zachowania na terenie życia politycznego. Ale reakcje te nie umacniają biologiczno-cywilizacyjnego przetrwania ani jednostek, ani grup, ani narodów.

Doskonały chrześcijanin może przetrwać do czasu, lub zabić tylko cudem, dla świadectwa światu, jak być powinno. Jeśli nie jest doskonały, na cud liczyć nie może, bo Pan Bóg nie ma po co go pokazywać. Po daniu świadectwa zwykle ginie. Naród prawdziwie ewangeliczny skazany jest raczej na zagładę w światowej konkurencji cywilizacyjno-biologicznej. Wartości swoje zdoła jednak przekazać innym.

Dramat ludzkiego życia można streścić i tak: w dotychczasowych warunkach kondycji homo sapiens nie ma metody pogodzenia wartości duchowych zawartych w Ewangelii z wartościami witalnymi. Dlatego dopatruję się pewnego pomylenia w traktowaniu tzw. metod non-violencyjnych jako dobrego i skutecznego narzędzia działalności politycznej. Działalność polityczna ma na celu przetrwanie, czyli obronę swego życia indywidualnego i zbiorowego w wymiarze tego świata oraz ewentualny jego rozwój. Chrześcijaństwo natomiast stanowi receptę na życie wieczne, na zbawienie siebie i innych, natomiast nie daje żadnej recepty na obronę ziemskiego żywota. Przeciwnie, każe narażać własne przetrwanie ziemskie dla życia wiecznego. Nie znaczy to, żeby życie ziemskie było potępione. Przeciwnie, jest ono dobre w swej istocie, ale dobro jego aktualizacji zależy od dobrej woli wielu ludzi, co w praktyce daje małe szanse harmonii ziemskiego dobra i dobra duchowego. Taka jest kondycja ludzka i pewien częsty typ optymistycznego kaznodziejstwa o tym zapomina.

Wysiłek powtarzania po sto razy tego samego dialogu jest obowiązkiem wierzącego intelektualisty. Nie może on znudzić się lub zniechęcić

nie widząc skutków społecznych swego wezwania. Skutek bowiem nie musi być widoczny. Do nas należy wysiłek, a skutek należy do Boga. Ostatecznie trzeba pamiętać, że Królestwo Boże nie jest z tego świata. I może właśnie powtórzone po raz setny świadectwo swojej prawdy zakiełkuje w postaci drgnienia serca słuchacza lub odbiorcy, czego nikt nie będzie w stanie stwierdzić. Ważni są przecież ludzie, a nie instytucje i to, co się w ludziach dzieje w cichości, o czym nauki nie umieją jeszcze dobrze mówić, ważniejsze jest od tego, co chcielibyśmy wiedzieć jako polityczny, instytucjonalny lub gospodarczy skutek naszych wysiłków.

Pisane w lipcu 1985 roku.

Wojciech Chudy

POSTAWA CHRZEŚĆ. JANINA W DZISIEJSZEJ POLSCE

CASUS ANDRZEJA GRZEGORCZYKA

1. Poglądy głoszone - zwłaszcza po 13 grudnia 1981 roku - przez prof. Andrzeja Grzegorczyka oraz postawa, jaką zajmuje wobec polskiej rzeczywistości, zasługują na większą uwagę niż ta,

146

którą poświęcają im polskie środowiska chrześcijan, w tym zwłaszcza środowiska opiniotwórcze. Poglądy te bowiem, jak i postawa wiążą się z odpowiadaniem na pytanie o miejsce dzisiejszych Polaków - będących w większości katolikami i w większości deklarujących postawę przeciwną ustrojowi komunistycznemu - w polskiej rzeczywistości społecznej, a co za tym idzie politycznej, gospodarczej i kulturalnej.

Abstrahując od kwestii słuszności odpowiedzi Grzegorzcyka, zobaczyć należy wartość samej próby jej pozytywnego sformułowania i poddania dyskusji. Wydaje się bowiem, że nie ma obecnie sprawy ważniejszej w skali całego narodu i społeczeństwa polskiego, jak sprawa uświadomienia sobie i określenia przez poszczególnych Polaków tego, co mogą i powinni po załamaniu grudniowym dalej czynić. Postawa wyczekująca - to jest prawie pewne - nie zda się na nic. Nastroje powszechne w polskich domach między 13 grudnia a Bożym Narodzeniem 1981 r. polegające na oczekiwaniu na to, że "odwołają", przekształciły się w następnych latach w stan świadomości sporej części społeczeństwa, stan, którego istotnymi cechami są nadal bierność i oczekiwanie. Zło społeczne wynikające z postaw wiążących się z taką świadomością jawi się nam niemal na co dzień w postaci obojętności społecznej, powszechnego poczucia niemocy /mimo wyraźnie określonego zła i środków mogących mu przeciwdziałać/, zaniżania poziomu kultury oraz zantagonizowania społeczeństwa /np. poprzez podział na "kolaborantów" i tych, którzy nie "kolaborują"/. Bywa nierzadko, że postawa oczekiwania na cud zmienia się w postawę przyzwolenia,

według zasady "a co ja zmienię". Liczny przecież udział społeczeństwa w wyborach do Sejmu w 1985 roku jest między innymi wyrazem właśnie tej postawy.

Coraz bardziej jasnym staje się fakt, że ustroju, w którym przyszło nam od przeszło czterdziestu lat żyć, ~~n i e d a s i ę~~
~~p r z e c z e k a ć~~. Władza totalitarna "przechorowuje" kolejne kryzysy z mniejszymi lub większymi uszczerbkami i mimo, iż istnieją niuanse różnic w rządzeniu kolejnych ekip, to przecież jest coraz bardziej jasne, że uwikłanie państwa zwanego PRL w szeroki kontekst systemu i świata implikuje, jak na razie, trwałość tej władzy, jej długotrwałą /na dziesiątki raczej, a nie na jednostki lat liczoną/ zasadniczą sprzeczność z ideałami i światopoglądem większości Polaków. Nie można liczyć na tymczasowość tej sytuacji. Należy się raczej spodziewać tego, że ustrój, w którym nolens volens znajdujemy się, "uodporniony" kolejnymi wstrząsami w ciągu czterdziestolecia panowania, będzie reagował coraz sprawniej na ewentualne próby tworzenia jakichś instytucji niezależnych. Widać to zresztą w sprawności działania pogrudniowych rządów Jaruzelskiego: w szybkim likwidowaniu "pozostałości" posierpniowych, tworzeniu nowych dekoracyjnych instytucji /związki zawodowe, PRON, sejm/, w umiejętnej pacyfikacji nastrojów antypauperyzacyjnych czy nawet w stylu prezentowanym względem opozycji.

Nie lekceważąc roli i siły społecznej opozycji zgrupowanej w różnych środowiskach i formacjach, należy jednak pomyśleć o przeciętnym Polaku. Nie ma się co łudzić: 20 mln przeciętnych Polaków
148.

nie znajdzie się w opozycji, gdyż opozycja jest i była zawsze domeną elit. Utopią - często szkodliwą, gdyż trwoniącą energię społeczną - jest propagowanie programu "niezależnego społeczeństwa", który w dzisiejszych warunkach próbuje reaktywować koncepcję "zmowy powszechnej" Abramowskiego, jak również program "mas na ulicach" i strajku powszechnego głoszony przez Solidarność Walczącą. Natomiast przeciętny Polak na co dzień żyje z tym ustrojem, przebywa w jego instytucjach, musi kontaktować się z jego urzędnikami i funkcjonariuszami, stykać się z jego propagandą itd. Musi ten ustrój z n o s i ć na co dzień. Jest to po prostu fakt. Rzeczywistość. I coś z nią trzeba w tej codzienności począć, aby nie popaść w marazm, bierność, albo przeciwnie w stan klinicznej nienawiści, aby nie wpaść w schizofrenię wartości i czynów, aby się nie ześwinić, wreszcie aby nie przestać być chrześcijaninem.

Dość łatwo dostrzec, iż mimo że owa konstatacja b e z s e n s u s a m e g o o c z e k i - w a n i a odnosi się ściśle do sytuacji ostatnich lat, to w znaczeniu właściwym obejmuje całość lat porządku pojałtańskiego w Polsce. Łatwo też zauważyć, że choć w punkcie wyjścia tej diagnozy centralne są zwłaszcza wartości polityczne, to w istocie problem dotyczy "substancji" narodu polskiego, sumienia ludzi stanowiących go oraz chrześcijańskości ich dusz.

Dlatego polemiczne podjęcie sprawy prof. Grzegorzcyka uważam za bardziej celowe niż czyste tylko wyrażenie niechęci, będącej najczęstszą w ostatnich latach reakcją rozmaitych publikacji na powyższy problem, w odniesieniu

do tego autora.

CHRZESCIJANIN W SPOŁECZENSTWIE

2. Człowiek z natury jest bytem społecznym, ens sociale. Z jego podstawowych właściwości ontycznych, nadających mu odrębną w stosunku do rodzaju zwierzęcego rangę człowieczeństwa, właściwości rozumności i wolności zarazem, wynika w sposób naturalny jego zakorzenienie we wspólnocie ludzkiej. Owo - jak mówi Karol Wojtyła - "zespołecznienie" jest naturalną koniecznością każdego człowieka; może on decyzją swej woli wybierać poszczególnych partnerów, z którymi zechce pozostawać w relacji wspólnotowej /choć i to jest w dzisiejszych czasach w dużym stopniu utrudnione/, jednak fakt, iż pewne jego potencjalności osobowe realizują się tylko we wspólnocie, jest dla człowieka po prostu koniecznością metafizyczną.

Sytuacja ta dotyczy każdego człowieka, a wiąże się z realistycznym odczytaniem jego miejsca w świecie. Realizm każe widzieć nadrzędną, wyższą pozycję człowieka w stosunku do świata rzeczy, roślin i zwierząt, lecz równą pozycję w stosunku do innych ludzi, z którymi winien on w s p ó l n i e partycypować w otaczającym go dobru, dobro to pomnażać i być zań odpowiedzialnym. Pojęcie d o b r a w s p ó l n e g o i współodpowiedzialności za nie wszystkich ludzi pochodzi z przesłanek realistycznych i racjonalnych i nie łączy się koniecznie z opcją religijną /chrześcijańską na przykład/, choć się z nią nie kłóci.

Odkrycie przez chrześcijanina swego miejsca

w społeczeństwie zakłada powyższe naturalne, spojrzenie. Religijna etyka społeczna nie odrzuca, lecz afirmuje i przenika realistyczne odczytanie hierarchii bytowej, natury człowieka /i jej skłonności/ oraz rozmiaru i wartości dobra wspólnego. Błogosławieństwo Boże przekazane w Rdz. 1,28: "... abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną" - nakłada się ściśle na naturalne odczucie przez człowieka świata, w którym się znalazł i misji, jaką ma w nim wraz ze wspólnotą do spełnienia. Poczucie sprawiedliwości i racjonalna jej miara stanowią kryterium rządzące realizacją tego zadania. Przynajmniej tak być winno z istoty tej dziedziny człowieka.

Duch Ewangelii wniósł do tej rzeczywistości istotnie nowe wartości. Przykazanie miłości bliźniego i wiążące się z tą postawą takie jej cechy, jak bezinteresowność, otwartość i zaufanie w relacjach społecznych, odsłoniły nową głębię wspólnoty ludzkiej noszącej miano chrześcijańskiej. Prawdziwie chrześcijańskie bycie we wspólnocie przekracza wymiar prawa naturalnego i jego kryteriów: racjonalnego współrzędzenia i współdzielenia dóbr. Transcenduje wymiar cnoty sprawiedliwości poprzez dostrzeganie w drugim człowieku, członku rodziny człowieczej, nie tylko partnera współżycia i "czynienia ziemi poddaną", ale przede wszystkim obrazu Boga i Jego Miłości objawionej w sposób zbawczy dla człowieka na krzyżu. Miłość winna organizować życie społeczeństwa chrześcijańskiego /trzeba by powiedzieć: dążącego do bycia chrześcijańskim!/ w stopniu najwyższym z możliwych.

Albowiem chociaż dopiero /jak mówi oparta na Ewangelii teologia dziejów/ po przekroczeniu progu zmartwychwstania wspólnota ludzka osiągnie doskonałą jednię poprzez miłość w Chrystusie, to każde spotkanie chrześcijanina z drugim człowiekiem jest szansą jednię ową przybliżającą.

W tym miejscu należy powiedzieć bardzo wyraźnie: chrześcijańska cnota i związana z nią postawa miłości bliźniego nie jest sprzeczna z cnotą i postawą sprawiedliwości ani jej nie wyklucza. Miłość ze sprawiedliwością są właśnie komplementarne w życiu społecznym, dopełniają się w nim i wspomagają. W swym "Elementarzu etycznym" Karol Wojtyła pisał: "Którędy prowadzi droga do miłości społecznej? W każdym razie prowadzi ona przez sprawiedliwość". A w innym miejscu: "miłość ludzka nieustannie musi być zespolona ze sprawiedliwością" /Wyd. TN KUL Lublin 1983, ss. 94 i 96-97/.

Chrześcijanin zastaje rzeczywistość społeczną już gotową, określoną w jej podstawowych wymiarach, mechanizmach i dynamice. Chrześcijanin dostrzegający w tej rzeczywistości zło - złe struktury, instytucje, przede wszystkim zaś zło grzechu ludzkiego - pragnie je usunąć, naprawić, zamienić w dobro. Miłość jest tą postawą i wartością, która w sposób najpełniejszy przemienia zło w dobro społeczne. Przemienia w dobro nie tylko zło będące w drugich, ich czynach i twórcach, ale również i przede wszystkim - naprawia nas samych. Czyni nas bardziej chrześcijanami - wspólnotą zadaną nam do spełnienia przez samego Jezusa Chrystusa.

Ale przecież chrześcijanin nie może również

zaniedbać cnoty sprawiedliwości. Rzeczywistość społeczna, którą zastał, jest niezmiernie złożona i skomplikowana zarówno co do przynależności i funkcjonowania dobra, jak i zła. Miłość, dzięki której chrześcijanin chce uratować drugiego, wspólnotę i samego siebie, musi liczyć się z tą rzeczywistością, musi ją przynajmniej w jakimś stopniu zrozumieć. Nie może to być m i ł o ś ć ś l e p a . Społeczna miłość chrześcijańska nie może być ślepa, gdyż realizowana bez owej kontroli ze strony i przy współudziale sprawiedliwości, którą nazywamy r o z t r o p n o ś c i ą może spowodować w złożonej i skomplikowanej rzeczywistości społecznej wiele złego zgodnie z zasadą "lepiej jest wrogiem dobrego". W tym sensie brzmią słowa Chrystusa /Mt 10,16/: "Oto ja was posyłam jak owce między wilki. Bądźcie więc roztropni jak węże, a nieskazitelni jak gołębie".

W społecznym działaniu chrześcijanina miłość bliźniego winna być zatem stowarzyszona z odpowiedzialnością za wspólnotę. Dlatego roztropność musi być sprzęgnięta z "odruchem serca", a racjonalne rozeznanie rzeczywistości społecznej z czystością i żarliwością intencji. Mówi o tym zarówno świadectwo objawione w Nowym Testamencie, jak i filozoficzna koncepcja natury człowieka, czy wreszcie podstawowa dla każdego realistyczna intuicja świata ludzkiego.

NAIWNOSC JAKO MIŁOŚĆ NIEROZTROPNA

3. W swej zasadniczej opcji należy powiedzieć " t a k " wobec poglądów Grzegorzcyka. Zwłaszcza trzeba się opowiedzieć po jego stronie wtedy,

gdy wskazuje na częsty w ostatnim czasie wśród polskich chrześcijan proces samodestrukcji chrześcijańskości przez kultywowanie w swym życiu postawy walki, odrzucenia drugiego czy wręcz nienawiści przy jednoczesnej wewnętrznej afirmacji wziętej z Ewangelii zasady miłości bliźniego. Jest rzeczą oczywistą psychologicznie i moralnie, że sprzeczność taka jest na dłuższą metę zabójcza tak dla wewnętrznego poczucia chrześcijańskiego jednostek, jak i dla formacji chrześcijańskiej naszego narodu. Dziś miliony Polaków żyją w takim sprzecznym duchowo stanie, a wszystko wskazuje, że będą tak samo żyły jutro i pojutrze.

Inną postawą życia sprzecznego z ideą chrześcijańskiego życia społecznego, w szczególności zaś z ideą współuczestniczenia i odpowiedzialności za wspólne dobro, jest powszechna również ostatnio wśród Polaków postawa pasywności społecznej czy nawet eskapizmu społecznego. Rozczarowani w sposób krańcowy do władzy, nie ufający jej, lecz jedynie wiążący z jej postępowaniem syndrom kłamstwa i strachu, ludzie na dużych obszarach społecznych w Polsce usuwają się na margines życia obywatelskiego. Grzegorzczuk piętnuje również tę postawę - jako żywo przypominającą mechanizm "ucieczki od wolności" /Fromm/ - i mówi o "łatwiźnie stania z boku" dominującej w hierarchii wartości tych ludzi. Nie sposób rzeczywiście przeoczyć niebezpieczeństw grożących chrześcijaństwu w naszym kraju poprzez masowość takiej postawy. Ma rację autor "Non-violence 'po polsku'?" - wszelkie odrzucenie i pogarda są antychrześcijańskie.

Uznając zasadę argumentacji prof. Grzegorzczuka

oraz główny sąd powyższego artykułu, twierdzący o niedostatecznej lub wręcz sprzecznej z przykazaniem miłości bliźniego realizacji w Polsce tego przykazania w życiu przez wielu ludzi mieniących się chrześcijanami, n i e s p o s ó b j e d n a k z g o d z i ć s i ę ze szczegółowymi postulatami Autora co do realizacji owego przykazania w obecnych polskich realiach społeczno-politycznych. Poprzedni punkt /2./ naszego wywodu stanowi ogólną planszę odniesienia uzasadniającą w istocie, iż reguły moralno-społeczne prof. Grzegorczyka są - w tak daleko idącym uogólnieniu, w jakim je podaje - idealizmem i naiwnością.

Główny przepis zawarty w artykule Grzegorczyka wiąże się z uczestniczeniem Polaków-chrześcijan w strukturach /instytucje, organizacje, sejm itd./ powołanych przez władzę komunistyczną. Wykazując pośrednio niechrześcijańską naturę takich postaw, jak bojkot, piętnowanie "kolaborantów", izolacja przeciwników ideowych i tym podobnych odmian postaw dość rozpowszechnionych w naszym kraju, zwłaszcza w niektórych formacjach opozycji. Grzegorczyk wyraża normę, która miałaby być pozytywną regułą działania chrześcijańskiego w PRL. "Uznawszy nad sobą przemoc, której nie można zmienić w dającym się zaplanować czasie, współpracować z okupantem /resp. władzą totalitarną w Polsce - przyp. W.Ch./ we wszystkim, co dobre i dla ludzi pożyteczne". Inne sformułowanie tej normy: "Garnąć się do wszystkiego, co deklaratywnie dobre /.../ i dawać świadectwo troski".

Przyznać trzeba, że nie jest rzeczą słuszną globalnie i a priori potępiać wszystkie formy

zaangażowania społecznego w ramach instytucji kontrolowanych przez władze państwowe. Tutaj Grzegorzczuk ma rację. Anatema społeczna z nalepką "kolaborant" zbyt często i zbyt powszechnie funkcjonuje w naszym kraju, aby pełnić rolę faktycznie rozróżniającą postawy. Odruch "anty-kolaboracyjny" - najczęściej emocjonalny - zwykle obarczony jest cechą pochopności i schematyzmu, a co się z tym wiąże nie respektuje zasady realistycznego rozpoznania sytuacji społecznej. Przykładowo błąd taki popełniają ci wszyscy, którzy obkładają mianem kolaboranta osoby o pewnym autorytecie społecznym /jak profesorów: Bendera z KUL-u, i Gierowskiego z UJ/ angażujące się w nurt działalności sejmowej - zanim jeszcze okazała się faktyczna działalność tych osób i wartość tej działalności.

Z drugiej jednak strony, przepis czy zasada Grzegorzczuka popełnia ten sam błąd. Jest to mówiąc ogólnie błąd n i e e f e k t y w n o ś c i zasady, polegający na zbytnej idealizacji jakiejś rzeczywistości - w tym wypadku rzeczywistości społecznej. W rzeczy samej bowiem Autor artykułu nie docenia złożoności świata społecznego, w którym żyjemy - w Polsce. Nie dostrzega, iż w tej rzeczywistości społecznej żyją ludzie różnie wyposażeni w zdolność i siłę rozpoznawania wartości prawdy w skomplikowanych układach społecznych /nastawionych zresztą na manipulowanie ludźmi/. Pewien mój znajomy, kierując się właśnie powyższą zasadą: "czynić dobrze, gdzie się da", wstąpił do PAX-u, który jest przecież - jak mówi Grzegorzczuk - organizacją "deklaratywnie dobrą". Dopiero po pięciu latach odkrył, iż umiejętnie manipulowany - w dużej

156

mierze nieświadomie narobił wiele zła. Obiektywnego zła społecznego, które wyrządził drugim ludziom, sobie, narodowi, chrześcijaństwu wreszcie. O takie przypadki ludzi pragnących wszak "dawać świadectwo troski" mi chodzi.

Prof. Grzegorzczuk w swej wizji społeczeństwa chrześcijańskiego uwzględnia tylko porządek miłości, nie uwzględniając porządku sprawiedliwości i koniecznej roztropności. To tak jakby z cytowanego powyżej fragmentu Ewangelii według Mateusza /10,16/ pamiętał tylko o "nieskazitelności gołębia", a zapomniał o "roztropności węży". Jego miłość społeczna - ciągle sięgając do metaforyki poprzedniego punktu niniejszego tekstu - jest ślepa. Brak jej owej r o z - t r o p n o ś c i , która umożliwiać winna każdemu chrześcijaninowi realizację miłości, również miłości społecznej. Roztropność jest władzą rozumu. Racjonalność jest również niezbędna w urzeczywistnianiu miłości w społeczeństwie, społeczną rzeczywistość bowiem zastaliśmy w różnorodności jej struktur i układów i uczymy się jej z każdym dniem więcej.

Odnosi się to również, a może przede wszystkim, do rzeczywistości polskiej. Układy społeczno-polityczne naszego kraju, związane ściśle z dominującym aspektem przemocy państwowej, niesprawiedliwości w dostępie do dóbr oraz możliwości wszechstronnej manipulacji obywatelem ze strony władzy, są szczególnie skomplikowane i wymagają szczególnej roztropności od kogoś, kto decyduje się w nich czynnie uczestniczyć. Musi on posiadać jak najpełniejsze rozeznanie w charakterze i treści dziedziny społecznej, której chce się oddać. Brak roztropności, nawet przy naj-

szczerzej i najgorętszej intencji dobra, może zrodzić zło. Jeśli np. w czasie czterdziestu ostatnich lat w Polsce ktoś był /powiedzmy/ dziesięć razy w określonych warunkach wmanipulowany przez władze tego samego ciągle systemu w jakąś fasadową inicjatywę, która de facto służyła tylko owym władzom /choć była "deklaracyjnie dobra" ogólnospołecznie, owszem/ oraz w analogicznych jak poprzednio warunkach ów ktoś decyduje się po raz jedenasty objąć analogiczną funkcję, to przecież to nie jest miłość chrześcijańska, ale czysta naiwność. Przykład jest celowo jaskrawy, ale reguła prof. Grzegorzka też niekiedy wiedzie ad absurdum. Według niej np. wszyscy chrześcijanie w Polsce winni zapisać się do PRON-u i tam "dawać świadectwo troski", a to jest właśnie dokładnie to, czego od chrześcijan oczekuje władza komunistyczna.

Płaszczyzna oficjalnej działalności publicznej jest w Polsce na tyle dokładnie "przygotowana" przez władzę, że trzeba właśnie wielkiej mądrości społecznej i politycznej oraz uczciwości moralnej, aby suma rzeczywistych korzyści i strat społecznych była po stronie dobra. Trzeba właśnie wielkiej roztropności. Nie wystarczy wejść na tę płaszczyznę z czystym i żarliwym sercem oraz determinacją głoszenia prawdy, gdyż działalność w tej dziedzinie, jak rzadko której, odznacza się wielością skutków, a wartość wielu z nich okazuje się bardzo często dopiero wtedy, gdy działalności już nie można cofnąć lub zmodyfikować. Przykładem jak najbardziej a propos może być tutaj dyskusja telewizyjna po emisji fragmentów filmu Lanzmanna "Shoah" nadana w końcu października 1985 r. w I programie

158

TVP; wziął w niej udział m.in. prof. Grzegorzczyk. Mimo szczerości i uczciwości poglądów głoszonych przez niego w rzeczonym programie, nie można się było pozbyć wrażenia, że oprócz wartości prawdy i dobra chrześcijańskiego, których był zdecydowanym rzecznikiem w trakcie dyskusji, realizuje również jakąś antywartość lub wartość dwuznaczną, że z jego udziałem dokonuje się jakieś zło społeczne. Bliższa analiza mogła wskazać raczej takiego wrażenia.

Audycja stanowiła przykład agresywnej manipulacji spłaszającej za pomocą odwoływania się do emocji narodowych i "martyrologicznych" problem współistnienia Polaków i Żydów oraz aplikującej widzom kłamliwe szablony politycznego widzenia świata. Poprzez niezwykle brutalne w swej argumentacji wypowiedzi odpowiednio dobranych uczestników /poza Grzegorzczykiem jedynie prof. F.Ryszka reprezentował w miarę obiektywny ton wypowiedzi/ głos prof. Grzegorzczyka był ledwie dostrzegalny. Został przytłoczony ilością i jakością twierdzeń i epitetów padających ze strony innych uczestników; zagłuszony agresywnością i nachalną ideologicznością głosów Wasilewskiego, Kąkola, K.T.Toeplitza i innych.

N i e w s p ó ł m i e r n o ś ć więc wartości reprezentowanych w tym programie /przysłowia ludowe mówią o stosunku kwiątka do kożucha albo pereł do wieprzy/ była pierwszą racją pocucia dwuznaczności, które wywołała obecność prof. Grzegorzczyka. Drugą racją, może nawet silniejszą, był fakt jego współuczestnictwa, a więc poniekąd l e g i t y m i z a c j i w większości szokującego prymitywnością i z pewnością złego społecznie programu. Racja

ta jest tym smutniejsza, że Grzegorzczuk występował w nim jako jedyny właściwie reprezentant chrześcijańskiej i - nazwijmy to tak - niepro rządowej części społeczeństwa. Może, oczywiście, toczyć się dyskusja nad celowością i wartością wzięcia udziału w tym programie przez prof. Grzegorzczuka. Odpowiednio do opcji i ocen różnie będzie się w takiej dyskusji kształtować bilans zysków i strat dobra społecznego. Jedno jest wszakże pewne. Odcień dwuznaczności pojawia się w naszym kraju w większości tego typu zdarzeń czy postaw i stwierdzić trzeba, że nie jest to tylko wynik emocji społecznych czy zatrąty intuicji chrześcijańskiej, ale rezultat złożoności i skomplikowania naszej rzeczywistości społecznej i politycznej. Wybór takiej drogi działania musi być sprawą czysto indywidualną i wiązać się z dużą roztropnością polityczną, determinacją moralną i wrażliwością chrześcijańską.

ŻYC INACZEJ

4. W tej złożonej i skomplikowanej rzeczywistości musimy jednak żyć. Co więcej, musimy - my Polacy - żyć tak, aby nie zatrącić podstawowej dla narodu wartości uspołecznienia i aby nie przestać być chrześcijanami. Aby katolicyzm nie stawał się coraz bardziej imieniem instytucji rytualno-społeczno-humanitarnej, a był żywą treścią w sercu każdego i objawiał się w jego życiu codziennym.

Aby tak żyć - musimy zacząć żyć inaczej. Owo "i n a c z e j" nie odnosi się - raczej należy porzucić złudzenia - do naszej zewnętrznej sytuacji społecznej. Ustrój, w którym żyjemy,

nie znajduje się w przededniu upadku. Będziemy więc żyć nadal w większości na skraju minimum socjalnego, co będzie nas zmuszało dalej do uganiania się za dodatkowymi zarobkami. Życie stanie się bardziej - nie mniej - nerwowe, system dystrybucji dóbr bardziej niesprawiedliwy niż jest, towarów będzie więcej, ale pieniędzy coraz mniej. Dotknie nas jeszcze więcej niż za czasów Gierka drapieżność stosunków z bliźnimi, gdyż teraz ich motywem będzie nie tylko pazerność, lecz i niedostatek. Korupcja się raczej rozszerzy niż zmaleje, ten postęp jest nam zagwarantowany ustrojowo. Będziemy coraz częściej chorować i będzie nas to coraz więcej kosztować. Choć już dziś życie często zależy od wysokości łapówki - będzie jeszcze gorzej. Powietrze, lasy i woda będą coraz brudniejsze. Propaganda będzie nas okłamywać tak samo, jak teraz albo więcej. W księgarniach, teatrach i kinach spotykać będziemy coraz więcej niestrawnej papki ideologicznej, ale przede wszystkim tandety, komercji, chamskiego seksu, głupoty. Przy ubóstwie materialnym na dużą skalę pojawia się zawsze masowa nędza duchowa. Obok kłamstwa zawsze istnieje przemoc. Będzie ich coraz więcej. Będziemy zniewalani duchowo i fizycznie, często aż do granic wytrzymałości. Być może kilkoro z nas zabiją i zrobią fikcyjny proces albo umorzą śledztwo. Będą nam często okazywać lekceważenie i pogardę. Przecież jednak musimy z tym żyć.

Co więcej: musimy nauczyć się z nimi w s p ó ł z y ć . Przez przeszło czterdzieści lat wytworzył się spontanicznie sposób mówienia: "my - oni", oddający głęboki rozłam w społeczeństwie. Przełom 13 grudnia i stanu wojennego

pogłębił przepaść i wyraźniej zaznaczył izolację dwu grup, z których jedna jest o wiele liczniejsza, lecz i druga liczy kilka milionów Polaków. Proces sprawców zabójstwa ks. Popiełuszki pokazał tragiczną obcość tych dwu grup względem siebie. Pokazał również, jak spotęgowaniu ulega klimat wrogości między tymi grupami. Widzimy, jak na naszych oczach rośnie między nimi pogarda i obcość.

Jeśli Polacy jako naród mają nadal żyć nadzieją na odzyskanie niepodległości i suwerenności, to nadzieja ta musi być cnotą chrześcijańską. Oprócz silnego przekonania o przyszłej wolności, nadzieja ta musi być dalekowzroczna, "długomyślna", jak mówił Arystoteles. Może się bowiem tak zdarzyć, że po latach wskutek sprzyjającej konfiguracji historycznej przyjdzie do Polski wolność... i zostanie w niej naród mało chrześcijański, zniszczony moralnie i podzielony. Ostatnie lata dają wiele przesłanek do takiego proroctwa.

Trzeba nam więc **ż y ć i n a c z e j**. Odnaleźć w sobie chrześcijanina jest pierwszym postulatem takiego życia. W czasach, które nie będą lepsze od tych, jakie przeżyliśmy; wśród ludzi, między którymi wielu jest obojętnych, nieżyczliwych, a nawet nikczemnych - chrześcijaństwo pokazuje każdemu Polakowi drogę i stwarza ocalenie. Jest to jednak droga trudna - na miarę czasów, jakie nadchodzą. Droga chrześcijaństwa nie letniego i zewnętrznego, ale chrześcijaństwa silnego ewangelicznym posłaniem objawiającym się w codzienności i sercach ludzi.

Ewolucja postaw Polaków winna dokonywać się w kierunku przebudzenia aktywności społecznej,

otwartości na drugiego człowieka, odpowiedzialności za kształt narodu, społeczeństwa i Kościoła. Jest to kierunek przeciwny bierności, egocentryzmowi i obojętności społecznej. Sprzeciwia się on również postawie walki i nienawiści, chłodu i pogardy. Zażegnywanie wszelkiej walki jest głównym obowiązkiem chrześcijanina na płaszczyźnie społecznej. Postawa miłości wobec wroga jest bodaj najtrudniejszą powinnością ewangeliczną, ale w niej właśnie - w jej pedagogicznym wpływie i ideale - istnieje szansa przeistoczenia przeciwnika w przyjaciela. Ona też stwarza szansę ustrzeżenia jedności narodowej Polaków.

Przecież jednak owo "i n a c z e j" naszego polskiego życia, "inaczej" naszej postawy chrześcijańskiej musi być pełne roztropności i pomne naszej historii oraz etosu narodowego. Współdziałanie społeczne nie może oznaczać afirmacji wszystkich bez wyjątku inicjatyw stwarzanych przez różne organizacje. Otwartość na bliźniego i gotowość do dialogu nie może być tożsama z naiwnością. Odpowiedzialność za kształt społeczeństwa nie musi oznaczać imperatywu zaangażowania w sprawę, która z istoty kształtuje społeczeństwo w sposób spreczny z ideałami chrześcijaństwa. Miłość społeczną chrześcijanina trzeba rozumieć zawsze jako zaangażowanie zgodne z dyspozycjami, rozeznaniem i możliwościami konkretnego człowieka. W związku z tym - powtórzmy - nie należy a priori potępiać decyzji podjęcia przez niektóre osoby działalności zakładającej współpracę z władzą rządzącą w Polsce /choć należy oceniać realne skutki tej działalności/ - i tu prof. Grzegorzczuk

ma rację. Jednocześnie nie można traktować takiego zaangażowania jako ogólnego postulatu i wiązać go z powinnością chrześcijańską.

Miłość chrześcijańska będąca ostatecznym spoiwem i zasadą społeczności chrześcijańskiej - wielkiej rodziny, którą pragniemy się stać - jest równoznaczna z pozbyciem się przez nas nienawiści, zacierzewienia i egoizmu, również egoizmu społecznego. Nie pozbyciem się sprawiedliwości jednak. Miłość chrześcijańska nie jest kwietyzmem i pasywizmem społecznym. Miłując człowieka w wrogu, czyli tym, który czyni nam zło i chce to czynić, nie możemy pozostawać bierni. Sam obowiązek chrześcijański wobec tego człowieka nakazuje nam aktywność. Pamiętając o wezwaniu Chrystusa, abyśmy nadstawili drugi policzek /mt 5,39/, nie zapomnijmy o Jego sprawiedliwym gniewie wobec kupczących w świątyni /mk 11,15-16/, kiedy "powywracał stoły zmieniających pieniądze i ławki tych, którzy sprzedawali gołębie".

Adam Stanowski

CZYM JEST NON-VIOLENCE?

Tekst Andrzeja Grzegorzcyka nasuwa nieodparte wrażenie, że zwrot "non-violence" może oznaczać dwie, zasadniczo odmienne postawy. Pierwsza z nich, reprezentowana właśnie przez Grzegorzcyka, zdaje się nawiązywać do tołstojowskiego postulatu nie sprzeciwiania się złu. Non-violence traktowana

jest tutaj jako alternatywa wszelkiej walki. Postawę chrześcijańską utożsamia się tutaj z gotowością do rezygnacji z wszelkich, choćby najślusznieszych, roszczeń w imię pokoju społecznego. Dotyczy to zarówno roszczeń osobistych, jak i grupowych, a także, co budzi największe wątpliwości moralne, roszczeń osób trzecich.

W drugim rozumieniu, charakterystycznym dla tradycji reprezentowanej m.in. przez Gandhiego i Martina L. Kinga, non-violence, określana też czasem bliżej jako "non-violence active", ujmowana jest nie jako alternatywa walki, ale jako pewien jej styl, jako walka bez użycia przemocy. Oznacza nie tyle nie sprzeciwianie się z ł u , ile nie sprzeciwianie się z ł e m , a więc przy pomocy, przy użyciu zła. Nawiasem mówiąc, postulat nie sprzeciwiania się z ł e m , którego sens od strony pozytywnej oddaje najlepiej wezwanie: "zło dobrem zwyciężaj", stanowi, ze względu na identyczność w języku greckim formy celownika i narzędnika, równo-uprawnione z tradycyjnym tłumaczenie kluczowego tutaj tekstu ewangelicznego.

Nie chciałbym rozpętywać jałowej dyskusji terminologicznej o właściwe rozumienie terminu "non-violence". Niezbędne wydaje mi się jednak wyraźne odróżnienie dwu zarysowanych wyżej postaw przez dookreślenia: "non-violence bierna" i "non-violence aktywna". Wybór pomiędzy nimi może być kwestią opcji osobistej, być może w jakimś stopniu kwestią temperamentu. Jestem jednak głęboko przekonany, że właśnie non-violence aktywna stanowi dziś, dla naszego społeczeństwa ogromną szansę moralną i historyczną. Zamazywanie tej różnicy, przedstawianie postawy rezygnacji

jako jedynej właściwej formy non-violence, podstawianie jej na miejsce czynnego oporu bez użycia siły grozi przekreśleniem tej szansy. Zaznaczyć wypada, że kiedy w dalszym ciągu niniejszych rozważań będę używał terminu "non-violence" bez bliższych dookreśleń, będę miał na myśli non-violence active reprezentowaną przez tradycję Gandhiego i Kinga.

Pierwszą kwestią merytoryczną, która wymaga tutaj rozstrzygnięcia jest problem walki i stosunku do niej chrześcijanina. Punktem wyjścia chciałbym tutaj uczynić definicję walki sformułowaną przez Tadeusza Kotarbińskiego: z walką mamy do czynienia wtedy, kiedy dwa podmioty /jednostkowe lub zbiorowe/ dążą do realizacji wyłączających się wzajemnie celów zdając sobie z tego sprawę i uwzględniając to w swoim działaniu /podejmowanych decyzjach/. Walką w tym rozumieniu będzie więc nie tylko np. boks, ale także gra sportowa typu tenisa czy piłki nożnej, a nawet rywalizacja sportowa, z jaką mamy do czynienia w biegach lub gimnastyce artystycznej. Bez gotowości do podejmowania walki w takim rozumieniu niemożliwe jest uczestnictwo w życiu społecznym, chyba że za cenę kompletnej rezygnacji, gotowości do wycofania się, rezygnowania ze swoich dążeń, kiedy tylko uświadomimy sobie, że ktoś inny stawia sobie sprzeczne z nimi cele. Wypada zauważyć, że Chrystus był - w tym rozumieniu - zdecydowanie człowiekiem walki: zmierzał do określonych celów i nie rezygnował z nich spotykając się z przeciwdziałaniem.

Oczywiście zdarzają się przypadki, kiedy w sytuacji konfliktu pełna realizacja własnych celów jest niemożliwa, bardzo mało prawdopodobna

166

lub wymagać będzie nadmiernych kosztów własnych, ponoszonych przez obie zaangażowane w konflikcie strony lub, w pewnych warunkach, kosztów ogólnospołecznych. W takiej sytuacji będzie rzeczą rozsądną szukanie rozwiązania pozwalającego raczej na częściową realizację swoich celów przez obie strony zaangażowane w konflikcie, ugody, kompromisu. W pewnych warunkach, na przykład wtedy, kiedy w grę wchodzi koszty ogólnospołeczne, szukanie kompromisu może być nie tylko postulatem prakseologicznym, ale obowiązkiem moralnym stron /oczywiście obu, bo nie jest możliwy kompromis jednostronny/. Te postulaty niewiele mają jednak wspólnego z non-violence. Czym innym zupełnie jest gotowość do kompromisu, czym innym szukanie takiego stylu, form i metod walki, które pozostawałyby w zgodzie z postulatem miłości bliźniego, a w szczególności miłości nieprzyjaciół, które to poszukiwanie stanowi istotę non-violence. Wypada w tym miejscu zauważyć jeszcze, że postulat miłości nieprzyjaciół nie wyklucza faktu, że się nieprzyjaciół posiada, że się ma przeciwników, przeciwnie fakt ten zakłada.

Z kwestią walki jako normalnej sytuacji w życiu człowieka i chrześcijanina łączy się wielokrotnie podejmowany przez Grzegorzczaka problem tzw. postawy roszczeniowej. I tu trzeba wyjaśnić pewne nieporozumienia. Człowiek, w tym także chrześcijanin, ma prawo domagać się tego, co mu się słusznie należy, a także walczyć o to w przyjętym wyżej rozumieniu terminu "walka". W pewnych przypadkach jest to nawet jego obowiązkiem. Dotyczy to w szczególności dwóch sytuacji. Po pierwsze tzw. niezbywalnych praw osoby

ludzkiej, takich jak np. prawo do poszukiwania i wyznawania prawdy. Po drugie wtedy, kiedy w grę wchodzi sąsne roszczenia grupowe lub osób trzecich. Nikt nie ma prawa do rezygnacji ze sąsnych roszczeń w imieniu bliżnich swoich /chyba, że jest przez nich do tego formalnie upoważniony/. Nie mam prawa rezygnować z zapewnienia swojej rodzinie przyzwoitego utrzymania, jeżeli wszyscy jej członkowie nie godzą się na to dobrowolnie. Przeciwnie, mam obowiązek popierać sąsne roszczenia swojej grupy i osób trzecich tak długo, jak długo oni dobrowolnie i świadomie z nich nie zrezygnują.

Oczywiście chrześcijanin może być powołany /raczej niż zobowiązany!/ do rezygnacji ze sąsnych roszczeń w imię wyższych wartości i racji /choćby pokoju społecznego/. Zgadza się tu z Grzegorzkiem, że gotowość do takich rezygnacji może być traktowana jako signum specificum ethosu chrześcijańskiego, gotowości postępowania "nie tak, jak czynią poganie". /Choć wrażliwość tego typu występuje dziś niewątpliwie i wśród ludzi, których nazwałbym niechrześcijańskimi - czy niewierzącymi - personalistami/. Gotowość ta winna jednak mieć określone granice - nie może dotyczyć zasygnalizowanych wyżej przypadków, kiedy obrona określonych roszczeń jest nie tylko prawem, ale i obowiązkiem człowieka.

Nie można zrozumieć, czym jest aktywna non-violence pomijając elementarny fakt istnienia realnych konfliktów społecznych, u podłoża których leży nie tylko sprzeczność interesów, ale obiektywne zło społeczne, krzywda, niesprawiedliwość, ucisk, zniewolenie. Obowiązkiem

chrześcijanina jest dążenie do tego, by społeczne warunki życia uczynić bardziej ludzkimi. Konflikty opisanego wyżej rodzaju nie powinny być tuszowane, zamazywane. Rozwiązuje się je nie przez mówienie o pojednaniu, nie przez wzajemne ustępstwa, ale przez usunięcie leżącego u ich podłoża zła.

W każdej sytuacji zniewolenia biorą udział trzy strony: opresor, ofiara i ten trzeci - "bezstronny", "obiektywny" świadek. Wszyscy trzej uczestniczą w podtrzymywaniu istniejącego zła i ponoszą wspólnie odpowiedzialność za jego trwanie. Nie tylko opresor, który czerpie z niego korzyści. Także ofiara i świadek, którzy biernie znosząc ucisk, nie sprzeciwiając się mu, współdziałają z nim, umożliwiają jego trwanie. Bierna non-violence, postawa nie sprzeciwiania się złu jest dorabianiem ideologii do tej naturalnej bierności i małoduszności. Jednocześnie jednak wszystkie trzy strony uwikłane w sytuacji zniewolenia ponoszą koszt, doznają głębokiego uszczerbku w swoim człowieczeństwie. Najgłębszą istotą non-violence stanowi nie wyrzeczenie się przemocy, ale troska o ludzkie dobro wszystkich trzech, intencja wyzwolenia wszystkich trzech - w tym również opresora - z niszczącej ich moralnie sytuacji zniewolenia.

Podejmując walkę w duchu non-violence nie zmierzamy do pognębienia przeciwnika, do postawienia na swoim, ale do zniesienia konkretnej niesprawiedliwości. Na pewno grzeszyliśmy ciężko przeciw tej postawie. Nie przez uciekanie się do gwałtu, ale przez przypieranie przeciwnika - władzy do muru, przez tworzenie sytuacji nie dających mu szansy wyjścia z konfliktu

"z twarzą". Jakże często w sytuacji bezpośredniego starcia z przemocą - w czasie manifestacji czy w obozie dla internowanych - nie potrafiliśmy wznieść się ponad nienawistną pogardę wobec niego. Oczywiście nasza postawa była tu wyrazem naturalnej - aż za bardzo naturalnej - reakcji obronnej, najłatwiejszą formą obrony zagrożonej godności osobistej. Zapominaliśmy przy tym, że agresja z naszej strony, choćby czysto werbalna, daje moralne alibi opresorowi, który sam może się dzięki niej czuć zagrożony i uprawniony do obrony, uzbraja go moralnie zamiast rozbrajać. Na pewno - i tu zgadzam się w pełni z Grzegorzcykiem - byliśmy jako chrześcijanie powołani do większej doskonałości niż ta na jaką potrafiliśmy się zdobyć w naszej walce. W żadnym wypadku nie oznacza to jednak, że powołani byliśmy do rezygnacji z walki.

Działania non-violence zmierzają do ujawnienia istniejącej niesprawiedliwości wobec wszystkich uwikłanych w nią stron: wobec opresora, ofiary i świadka. Mają one dać świadectwo uwikłanym w konflikt wartościom. "Są one tak doniosłe, że gotów jestem dla nich nie zabijać, ale oddać życie, nie uderzyć, ale przyjąć cios". "Jeśli źle powiedziałem, udowodnij, co było złego. A jeżeli dobrze, dlaczego mnie bijesz?"

Jednym z najbardziej istotnych momentów postawy non-violence jest wola dania świadectwa prawdzie, całej prawdzie. Systemowe zakłamanie, sprzeczność między tym, czym jakaś instytucja /na przykład wybory czy sejm/ jest oficjalnie i tym, czym jest w rzeczywistości, jest jednym z najbardziej istotnych elementów zła, z którym mamy do czynienia. Przeciwwstawienie się temu

170

zakłamaniu jest naszym najbardziej elementarnym obowiązkiem. Nie wolno nam szukać porozumienia, którego wstępnym warunkiem jest uczestnictwo w tym zakłamaniu. Gdyby Grzegorzczyk miał rzeczywiście szansę powiedzieć publicznie: "Sejm nie jest najwyższym organem władzy Rzeczypospolitej. Nie jest nawet żadnym ciałem konsultacyjnym dla rządu. Zdecydowałem się jednak przyjąć nominację na posła, bo być może da mi to szansę udziału w jakichś zakulisowych konsultacjach, z których może wyniknąć coś pożytecznego dla kraju, lub szansę publicznego powiedzenia prawdy, lub szansę załatwienia w trybie nieformalnej interwencji jakiejś ludzkiej czy społecznej sprawy. Nie wzywam was do udziału w wyborach, bo skoro znalazłem się na liście kandydatów, zostanę posłem niezależnie od tego, co zrobicie" - gdyby miał szansę publicznego powiedzenia tego wszystkiego i zostania posłem, decyzja taka mogłaby nie budzić sprzeciwu moralnego, choć zapewne nie każdy by ją podjął. Ale to jest chyba casus irrealis.

Powtórzmy raz jeszcze. Walka o prawdę w życiu społecznym jest jednym z istotniejszych momentów walki, którą toczyliśmy i do toczenia której jesteśmy - także jako chrześcijanie - powołani. Wiele nam brakuje do tego, byśmy mogli powiedzieć, że walkę tę toczyliśmy nie tylko bez użycia przemocy, ale naprawdę wolni od nienawiści do kogokolwiek, przeciwnie - w imię i w duchu miłości do wszystkich, w tym również przeciwników. Przekreślilibyśmy jednak wielką moralną i dziejową szansę, być może jedyną jaką dysponujemy, gdybyśmy to dążenie do coraz większej doskonałości w naszej walce utożsamili

z niesprzeciwianiem się ziu, z rezygnacją
z tej walki.

ROZMOWY „SPOTKAŃ”

Wywiad nieautoryzowany

WSPÓŁBRZMIENIE

Rozmowa z arcybiskupem metropolitą Diecezji
Wrocławskiej, Henrykiem Gulbinowiczem;
maj 1983 rok.

Ewa Berberyusz - Teresa Torafska: Ekscelencjo,
czym jest ten Dolny Śląsk? Wilnem? Lwowem?

Henryk Gulbinowicz: Nową Ojczyzną. Dla wielu,
którzy mieli opuścić tereny zajęte przez bolsze-
wicką Rosję, wyrzec się przywiązania do ojczystej
ziemi, gdzie znali każdy kamień, każdy krzak
- i wszystko tam zostawić. Bo co było można

x/ Rozmowa z arcybiskupem H. Gulbinowiczem jest
jedną z cyklu rozmów z ordynariuszami diecezji,
które miał odwiedzić papież w trakcie drugiej
pielgrzymki do Polski. Rozmowy te miały się
ukazać na łamach polskiego L'Osservatore Romano.
Nie ukazały się z przyczyn od redakcji nie-
zależnych.

ze sobą zabrać?

E.B.,T.T.: Tobołek.

H.G.: Tak jest. Przyjechali na Dolny Śląsk i co znaleźli? Zrujnowany bezsensownym frontem - Wrocław.

E.B.,T.T.: Kupę gruzów jak w Warszawie.

H.G.: Prawie. Około 80% zniszczeń, niektórzy mówią - 75. Ja też stamtąd pochodzę. Z Wilna, ale w 45 roku przyjechałem najpierw do Białegostoku jako alumn Metropolitalnego Seminarium Wileńskiego, a do Wrocławia dopiero w roku 1976 ... na rozkaz Pawła VI.

E.B.,T.T.: Na rozkaz?

H.G.: Tak jest w Kościele.

E.B.,T.T.: Nie wszyscy używają jednoznacznych określeń.

H.G.: Ja używam. Przyjechałem na Dolny Śląsk przerażony: nie znałem ludzi, środowiska, nie znałem terenu, nie miałem nikogo znajomego. Przy tym Dolny Śląsk był wtedy /i pozostał zresztą/ mozaiką ludzi z różnych regionów Polski. Mamy tutaj "wilniuków", górali, ludzi spod Łucka i Pińska; majoryzują nas, oczywiście, lwowiacy. I ci wszyscy parafianie przychodzili do proboszcza i mówili: "Proszę księdza, u nas tak się nie odprawiało, u nas się tak nie śpiewało, a procesję prowadzicie nieprawidłowo, bo powinna iść inaczej". I ten biedny ksiądz musiał ich godzić. I tłumaczyć, że wszystko w porządku, bo to tylko regionalne naleciałości, i wypracować jakiś wszystkim niemal odpowiadający wspólny model obrzędów. Wypracować, a nie narzucać, bo to wszystko było okropnie czupurne. Takie czupurne jest zresztą w dalszym ciągu. Na szczęście Sobór Watykański złagodził te

różnice.

Pracę we Wrocławiu zacząłem od poznawania ludzi i spraw.

E.B.,T.T.: Długo trwało to poznawanie?

H.G.: Nie da się go czasowo określić. Ono trwa nadal. Może ktoś powiedziałby, że już jestem ekspertem, ja uważam, że nim nie jestem. Niektóre rzeczy jeszcze mnie zaskakują.

E.B.,T.T.: Konkretnie?

H.G.: Bardzo trudno o sprawach duchowych mówić konkretnie. Ale o jednym można: rys jakiegoś bohaterstwa, wielkiej odwagi, który odnalazł się w trzecim, a nawet czwartym pokoleniu frontowych żołnierzy. To, co u nas młodzież wyczynia przechodzi moje najśmielsze wyobrażenia. To trzymanie się zębami, jak mówimy na Wschodzie, naszych tradycji polskich, katolickich.

E.B.,T.T.: Czyli czego?

H.G.: Czego się oni trzymają? Trzymają się swojej historii, swojego języka, trzymają się swoich ideałów. Proszę zobaczyć, ideały komunistyczne były wpajane ich dziadkom, ich ojcom, wbijano je do głów przez 38 lat młotkiem, a często i toporkiem, a kiedy przyszła "Solidarność" od razu porwała serca wszystkich.

E.B.,T.T.: Nie tylko na Dolnym Śląsku, Eks-celencjo.

H.G.: Nie twierdzę, że tylko, ale Panie łaskawie rozszerzają temat, pozwolę sobie zauważyć, a my mamy mówić przecież o Wrocławiu.

E.B.,T.T.: W Warszawie i reszcie Polski mówi się, że Gulbinowicz jest ordynariuszem, który najpełniej współbrzmi ze swoją diecezją.

H.G.: To moje marzenie, mój ideał. Jeśli chociaż 10% prawdy jest w tym, co mi Panie mówią, to

już bardzo mnie to raduje i Panu Bogu za to dziękuję. Bo ja taki usiłuję być, ja do tego zmierzam. Zasadą mojej pracy jest kolegialność, do której zobowiązał nas Sobór Watykański II. I mnie ona przychodzi łatwo, bo nauczono mnie jej w domu.

E.B.,T.T.: A jaki był to dom?

H.G.: Dość demokratyczny, chociaż zarazem i hierarchiczny.

E.B.,T.T.: Jak Kościół. Czy bogobojny?

H.G.: Nie bardzo, ale trzeba go jakoś dyplomatycznie opisać. Mój wuj, pułkownik przedwojenny miał kochankę obok żony, pewnie już Pan Bóg mu przebaczył, bo go Niemcy spalili.

A drugiemu w czasie okupacji hitlerowskiej przypomniały się stare, dobre, międzywojenne czasy i urządził wieczorek sylwestrowy "café chantant". Burżuj, psia mać, och, przepraszam, co ja mówię. Miał 68 lat, wlażł na stół i zaczął śpiewać burleskę z Leningradu "Ja liubliu tolka ryży, tola ryży". Na ten moment wszedł do naszego domu oficer niemiecki, wyjął browning, ale że też był pijany, strzelił zamiast niego w sufit. Czy tak więc wygląda bogobojna rodzina? Chyba nie. W domu jednak nauczono mnie wielkiego szacunku dla człowieka. Przede wszystkim dla człowieka - biednego, jak się kiedyś mówiło. Pamiętam taką scenę, małym chłopcem byłem, może chodziłem do drugiej klasy, może do pierwszej. Wracaliśmy z matką ze spaceru i przechodziliśmy obok biednego, wiejskiego domku pani Michałowej, żony pana Michała - znaczy. Ona gotowała kolację, na płycie buzował ogień i odbijał się o szyby. Slicznie to wyglądało. Wyrwałem się matce i pobiegłem do tego płomienia,

zafascynowany, popatrzeć sobie. Matka dopadła mnie: "Jak śmiałeś bez zgody ludzi, którzy tam mieszkają, zaglądać do ich mieszkania?" Mówiłem: "Mamusiu, ja tylko na płomień patrzyłem". Ona uważała, że zachowałem się po chamsku, przeprosiła, a ja musiałem panią Michałową pocałować w rękę, choć strasznie tego nie lubię. Taki szczegół, za który matce bardzo dziękuję. Stosunek do ludzi, jaki we mnie wpoiła, do dziś ułatwia mi bardzo kontakty.

E.B.,T.T.: Zacieśniły się one bardzo w okresie trwania "Solidarności".

H.G.: Bo ideały "Solidarności": braterstwo, równość, sprawiedliwość wyszły z Ewangelii. Jak więc można było ich nie uznać, w głowie się nie mieści. Nie miałem żadnych, absolutnie żadnych oporów w przyjęciu tych ideałów. Przyjąłem je natychmiast – nie kalkulowałem. Bo niektórzy to kalkulują: zaczekam, nie opowiem się, nie wyjdę, nie tego, nie owego. Ja w ogóle zresztą nie mam daru kalkulacji.

E.B.,T.T.: To jak Ekscelecja został biskupem?

H.G.: Nie kalkulowałem zupełnie /śmiech/.

E.B.,T.T.: Eee, przecież Kościół chyba musi wiedzieć, kiedy poczekać, kiedy przyhamować, kiedy wyjść naprzeciw.

H.G.: To jasne, bo teraz jesteśmy troszeczkę na innym etapie. Opowiedziałem się od razu za "Solidarnością", bez głębszej analizy /ale proszę nikomu tego nie mówić/, przede wszystkim dlatego, że do "Solidarności" poszedł robotnik, poszły masy, poszedł naród.

E.B.,T.T.: Już czwartego dnia strajku w Sierpniu 80 przyszła do Ekscelecji delegacja z zajezdni na Grabiszyńskiej...

H.G.: Och, nie wiem, czy wcześniej przyszli, czy później. Przychodzili. Możemy już o tym mówić, bo dochodzenie trwa. Oni strajkowali, ludzie wrzucali groszaki, zebrał się ich cały worek, nie mieli gdzie zdeponować i przywieźli do mnie. Zapytałem: "Co mam z tym robić?" A oni: "Nic nie robić, niech leży". "No to połóżcie". To położyli, no i leżało. W końcu mnie już zbrzydko to leżenie, bo ja nie lubię rzeczy nieestetycznych, a to było przykryte byle jak, więc im powiedziałem: "Zabierzcie, na miłość boską". No i teraz, zdaje się, że zdradził ten, co przywiózł. Albo w akcji szukania osiemdziesięciu milionów, podjętych w przeddzień wprowadzenia stanu wojennego przez Dolnośląską "Solidarność", jeden z wysokich funkcjonariuszy władz SB wykorzystał moment, że ja do niego poszedłem ratować internowanych i zapytał mnie, czy ja nie mam na przechowaniu pieniędzy "solidarnościowych". Powiedziałem, że nie, na przechowaniu nie mam. Więc on do mnie: "Niech Eminencja sobie dobrze przypomni". Mówię: "Ja nie muszę przypominać, bo ja wiem". "A my mamy dowody, że ksiądz ma na przechowaniu". "To po co pan mnie pyta, proszę pokazać dowody". I rzeczywiście pokazał mi dowód. Mianowicie, że pożyczyłem od "Solidarności" 10 milionów. Rzeczywiście pożyczyłem w kwietniu 81 roku. Przyszli do mnie, mówią: "Co zrobić, bo mamy pieniądze?" Ja mówię: "Kupcie dom, bo we Wrocławiu jest za mało przedszkoli. Zróbcie przedszkole i nazwijcie go przedszkolem "Solidarności". Zwrócili się do swoich przewodniczących zarządów. Tamci, że nie. Więc przyszli i powiedzieli, że nie, nie chcą, nie będą tego mojego planu realizować.

Ja im wtedy powiedziałem: "Pieniądz, który leży, traci na wartości, prawda? A teraz jest sezon budowlany, pożyczcie mi, zwrócę wam w określonym terminie, tylko warunek jeden: bez procentu". Oni powiedzieli: "Dobrze". A ja - bo jeszcze wtedy byłem bardzo zielony i głupi, ale uczciwy - dałem pokwitowanie, że dnia takiego i takiego przejąłem 10 milionów od "Solidarności" i zobowiązuję się je zwrócić w półtora roku od dnia podjęcia. Podpisało trzech z nich i ja. Na dodatek bardzo głupio, bo podpisałem, że przejąłem w depozyt, imię i nazwisko. Po rozbiciu "Solidarności" SB znalazło mój rewers, mały świstek papieru i wysoki funkcjonariusz zaczął mi stawiać pytania, czy mam na przechowaniu jakieś pieniądze "Solidarności". Sprawa - bardzo prosta. Mówię: "Proszę pana, w treści jest napisana data przyjęcia i data zwrotu, więc żaden depozyt, bo po depozyt można w każdej chwili przyjść i zabrać. Niech pan poczyta sobie prawo". I to mnie uratowało.

E.B.,T.T.: A co mogli zrobić Ekscelencji?

H.G.: Nic, naturalnie, że nic.

E.B.,T.T.: No, mogli zamknąć.

H.G.: Mnie? Przecież to dla mnie byłby straszny awans, którego nigdy w życiu się pewnie nie doczekam! Gdyby zamknęli Gulbinowicza, Gulbinowicz byłby znany w świecie. Kto znał Wyszyńskiego, kiedy ten został prymasem Polski? Nikt. Pod koniec lat czterdziestych liczyły się mitry na głowach książąt, hrabiów, baronów. O nich też mówiono. A kim był Wyszyński? Synem organisty, więc o kim było gadać?

E.B.,T.T.: Czy długo trzeba było przekonywać Ojca Świętego, by przyjechał do Wrocławia?

H.G.: Ojca Świętego w ogóle nie trzeba było przekonywać, Ojciec Święty miał pragnienie, śmiał twierdzić, odwiedzić Wrocław. Nie wiem, na którym miejscu go ustawiał, może na drugim za Krakowem, może na trzecim - także za Warszawą. Warszawa zresztą była poza dyskusją. Do Wrocławia Ojciec Święty chciał przyjechać ze względu na Świętą Jadwigę. Ponieważ Ojciec Święty został wybrany na papieża 16 października 78 roku, a 16 października tego roku jest świętem Jadwigi, księżny śląskiej. A poza tym Ojca Świętego łączą liczne więzy z Dolnym Śląskiem. Zażyłość z księdzem kardynałem Kominkiem świętej pamięci, następnie uczestniczenie, bardzo często i za czasów Kominka i moich, we wrocławskich Dniach Duszpasterskich. Następnie, takim oczkiem w głowie metropolity krakowskiego były papieskie fakultety. U nas on jest, więc On...

E.B.,T.T.: Cztery są, zdaje się, w Polsce?

H.G.: Tak. Angażował się bardzo w tę sprawę. Następnie, Ojciec Święty, jak Panie wiedzą doskonale, bardzo blisko był KIK-ów, dlatego też przyjeżdżał na każde zaproszenie. Miał poza tym takie więzy: księdza biskupa Marka konsekrował i księdza biskupa Marka grzebał.

E.B.,T.T.: Cztery lata temu nie przyjechał...

H.G.: Dlatego, że władze państwowe się nie zgodziły.

E.B.,T.T.: A dlaczego zgodziły się w tym roku?

H.G.: Wszystkich sekretów nie znam. Myślę, że dopomógł nam Zimmerman, mówiąc trochę złośliwie, bo kiedy władze nie puściły Ojca Świętego w 79 roku do Wrocławia, ja przez cztery lata, gdzie mogłem w czasie rozmów z władzami ciągle podkreślałem, jak fałszywy był to krok, że

Ojciec Święty przyjechał tylko do Warszawy, Gniezna, Krakowa z przyległościami i Częstochowy, a więc do starej Polski i nic dalej, ani na północ, ani na zachód. Pytałem złośliwie: "A Ziemie Zachodnie to nie Polska?" I dalej mówiłem złośliwie, bo jestem złośliwiec okropny: "Czy wy przygotowujecie się, żeby oddać Ziemie Zachodnie Niemcom?"

E.B.,T.T.: Nas jednak dziwi, że Wrocław został teraz umieszczony na trasie papieskiej wizyty i rząd nie protestował. Są bowiem w Polsce trzy ogniska zapalne: Dolny Śląsk, Gdańsk i po połowie Kraków i Warszawa.

H.G.: Ja wam powiem, dlaczego, ale to nie do drukowania /szeptem/: Przecież 70% milicjantów opowiedziało się za "Solidarnością". We Wrocławiu były głodówki oficerów milicji jako protest przeciwko postanowieniom pierwszego sekretarza, Dróżdź się nazywał, jego już nie ma. Mianowicie, było zaplanowane, że pojedą na spotkanie i sekretarz z wojewodą i grupa tych, no jak on się nazywa?... Zarządu "Solidarności" Warmii i Mazur. Mieli jechać pancernym samochodem i miał się wydarzyć nieszczęśliwy wypadek. I byliby od razu "solidarnościowcy" zmasakrowani, no, a ci poszkodowani, poleżeliby w szpitalu kilka dni czy nawet tygodni... I dlatego Ojciec Święty teraz nie pojedzie przez Wrocław - powiedział mi wprost generał Straszewski, którego ja znam od 8 lat i który się kiedyś nazywał Dąbrowski...

E.B.,T.T.: Tak...?

H.G.: Oni zmieniają nazwiska, po prostu. Generał Straszewski powiedział mi wprost: "My nie mamy odpowiedniej ilości milicji".

E.B.,T.T.: To samo usłyszałyśmy w Poznaniu.

H.G.: Ja w pierwszym momencie nie rozumiałem, o co chodzi, a teraz wiem. Bali się, że w pewnym momencie milicja stanie po stronie "Solidarności". Przecież milicja, kiedy były strajki w zajezdni, przyszła i powiedziała: "Uważajcie, tu przyjdzie dwóch panów, robotników w kombinezonach pochlapanych, z farbą nitro. Oni chcą wam podpalić garaże." Bo to zajezdnia była...

E.B.,T.T.: Tak, na Grabiszyńskiej.

H.G.: I dlatego, jak przyszli, to straż ich za frak i wylegitymowała. Koniec. To jest cały sekret, powiedzmy...

E.B.,T.T.: W ludziach jest gniew, który ludzie niosą aż do konfesjonału. Jaką więc treść zawiera słowo "przebaczenie"? Do jakiej granicy można przebaczać? Czy "przebaczanie" znaczy to samo, co "godzić się i ustępować"?

H.G.: Nie, nie, tę sprawę należy postawić inaczej. Powiem coś, co może w pierwszym momencie będzie wyglądało na unik, ale ściśle się łączy z meritum pytania. Sprawa jest następująca: część ludzi, zwłaszcza prostych, uważa, że jeśli przyjedzie Ojciec Święty - stanie się cud...

E.B.,T.T.: Nie tylko prostych - tak mówią też profesorowie.

H.G.: Cud. Wróci "Solidarność", odzyska własne prawa, sprawy gospodarcze, polityczne ułożą się. Otóż to jest iluzja, to jest iluzja! Włoskiemu dziennikarzowi z pisma "Il Sabato" powiedziałem: "Ci, którzy oczekują cudu - w sensie socjalnym czy politycznym - będą rozczarowani. W naszym kraju cudów takich nie możemy się spodziewać. Sami musimy uporządkować własną przyszłość, zabierając się do jej organizowania z zakasanyimi

rękawami". Mamy jednak inną szansę, żeby cud rzeczywiście się spełnił i on się spełni, jestem o tym przekonany. Ojciec Święty doda nam nowego ducha. Pogłębi się wiara, umocni nadzieja i rozpali się miłość w całym naszym społeczeństwie. Mówię - w całym, ponieważ Papieża spotykają nie tylko wierni, ale także ci, którzy nie zadeklarowali swojego katolicyzmu. Charyzmat, jaki posiada u ludzi Ojciec Święty, nie potrafię słowami go ująć - elektryzuje. Dlatego wszyscy, cały naród czeka na niego okropnie... Nie tylko z miłością, ale mówiąc prymitywnie - z potrzebą wewnętrzną. My potrzebujemy Jego tak, jak organizm potrzebuje wody, jedzenia.

E.B.,T.T.: Nauczy kochać naszych wrogów.

H.G.: Nie. Ale jak ja będę miał pogłębioną wiarę, to znaczy, jak mi Pan Bóg będzie potrzebny, jeżeli ja będę z Panem Bogiem na ty, bo jeżeli jestem z kimś na ty, to znaczy, że ten ktoś jest mi potrzebny... i jeżeli ja będę miał nadzieję, że moje wszystkie w tej chwili przeżywane kłopoty czy trudności, czy krzywdy, że one nie idą na marne, że gdzieś tam ktoś notuje, no to wtedy, czego mi jeszcze brakuje?

E.B.,T.T.: No, realizacji tej nadziei.

H.G.: Tak, dobrze, ale jak ją realizować? Kiedy się ona zrealizuje? Proszę sobie przypomnieć, Polacy, którzy żyli w gorszych warunkach w czasie rozbiorów, czekali na jej realizację sto dwadzieścia lat, choć były próby wyzwolenia... Były próby. Teraz mamy nową sytuację, też niełatwą. I teraz tu właśnie chodzi o tę miłość. Ja to tak analizowałem. Jeżeli ja każę z ambony ludziom przebaczyć zomowcowi i jego miłować, to mnie obrzuca zgniłymi jajami. I ja się nie

mogę dziwić. Natomiast, jeżeli ja powiem, że caritas incipit ab ego - miłosierdzie zaczyna się ode mnie - siebie tym obejmę.

E.B.,T.T.: Ekscelencjo, a co z nadzieją?

H.G.: Nadzieja to taka cnota teologiczna, bez której nie można żyć. Z chwilą wygaśnięcia nadziei człowiek popada w rozpacz, która kończy się często samobójstwem. Dlatego też teologia miłosierdzia Bożego jest tutaj wspaniałą pomocą dla ludzi o słabej nadziei. Ja mówię o nadziei indywidualnej, w życiu osobistym, a Pani prawdopodobnie chodzi o to, jak nadzieję można wprowadzić w społeczne życie.

E.B.,T.T.: Właśnie.

H.G.: Według mojego rozumienia ona powinna ujawnić się w takim długofalowym patrzeniu. Nadzieja mnie pomaga ... na przykład ja jestem "solidarnościowiec" ... to jeżeli ja mam nadzieję, tę mądrą, nie tylko tę wymyśloną, to ja te ideały swoje przeszczepiam swojemu dziecku. To jest temat do relacji między ojcem a synem. "Solidarność" uważam za błogosławieństwo Pana Boga dla polskiego narodu. Ona nie przegrała, ona dopiero zaczyna wygrywać, bo rozbite zostały tylko struktury, a nie ideały. Struktury, które - według mojego rozumienia - były pomyślane bardzo źle. Powiedziałem zresztą komu trzeba: "Jeżeli chcieliście coś zrobić, to trzeba było dwa lata wcześniej zacząć gadać z ambasadą bolszewicką, i to nie w PRL-u, tylko w Paryżu, czy w Rzymie, czy gdzie indziej". Jest to przecież zupełnie zrozumiałe, że jeżeli tamci "nie pobiłogosławia", to ci u nas będą szli na noże...

Teraz skończę myśl - która jest genialna /śmiech/. Nikt jej Paniom nie wypowie. Błogosła-

wieństwo "Solidarności" jest w tym, że nareszcie znalazł się temat do rozmowy w rodzinie. Bo jeżeli rodzina ze sobą nie rozmawia, jeżeli matka gdera na męża "skarpetki mógłbyś sam sobie wyprać, nie zwracaj mi głowy" et cetera; jeżeli dzieci, które przychodzą do rodziców, mówią: "mama, tata", a ci: "później, później", to starsze uciekają z domu albo na podwórko grać w piłkę, albo gdzieś tam migdalić się, przepraszam za słowo... i dom właściwie jest pusty. I oto "Solidarność" stała się nową rzeczywistością. Przyszedł stan wojenny; tańcbudy zamknięte, w telewizji koszmar, zostały rozmowy. Rozmowy jednoczące rodziny. Spotykam w szpitalu chłopca 18 lat, który się okaleczył. Pytam: "Po coś to zrobił?" A on: "No bo, proszę księdza arcybiskupa, ja chcę siebie wypróbować. Czy jak oni mnie będą męczyć, czy ja wytrzymam, żeby nie zdradzić. Bo jak ten ból wytrzymam, to i tam wytrzymam". I proszę powiedzieć, kto go tego nauczył? Przecież nie ja, nie ksiądz, nie matka, nie ojciec. To jest wydedukowane, ale trochę jest Ducha Świętego.

E.B.,T.T.: Rodziny garnące się do Kościoła, zaludniające świątynie to nie ten sam lud boży co kiedyś, potulny...

H.G.: Oczywiście, że nie.

E.B.,T.T.: ...który przyjmuje obrzędowość religijną i słucha księdza.

H.G.: Zgadza się.

E.B.,T.T.: To lud, który od Kościoła oczekuje przewodnictwa, ale na odpowiednim sobie poziomie.

H.G.: Tak.

E.B.,T.T.: Czy więc, mówiąc brzydko, Kościół dysponuje odpowiednią kadrą, by nowym zadaniom

sprostać?

H.G.: Proszę Pań, kadrę mamy taką, jaką mamy, innej mieć nie będziemy. Mogę Panią pocieszyć, że mamy o wiele lepszą niż komuniści. Bo nasi księża przynajmniej przeczytali Ewangelię i Stary Testament od deski do deski. Zapytałem kiedyś profesora od marksizmu-leninizmu: "Panie profesorze, niech pan mi powie szczerze, czy przeczytał pan Marksa do końca? Osiem tomów?" A on powiada: "Doszedłem tylko do 90 strony, tego dalej czytać nie można". A jak się Paniom wydaje, dlaczego oni odwlekali przyjazd Papieża, przekładali go na 83 rok? Bo się bali, zwyczajnie, że Papież pokrzyżuje im szyki, źle wpłynie na ich ludzi, bo ich ludzie nie mają żadnych ideałów i przyjmą te, które da im Papież. W tym tkwi clou zagadnienia. Wracając do pytania, czy mamy odpowiednią kadrę. Wszystko zależy od tego, co rozumiemy przez odpowiedniość.

E.B.,T.T.: Bliską cnót ewangelicznych.

H.G.: Bardzo inteligentnie powiedziane i przez inteligencką głowę wymyślone. Aby zrozumieć Kościół w Polsce, proszę Pań, trzeba zejść do poziomu robotnika. Wiedzieć, jaki on jest. Robotnik w Polsce rozumie 30% z tego, co my mówimy, 30%! Dlaczego? Otóż dlatego, że posługujemy się okropnym, swoistym żargonem. Odkryłem to dopiero, kiedy zacząłem robić sondaże wśród robotników. Przerażające sprawy. Za to odkrycie trzeba Panu Bogu dziękować.

E.B.,T.T.: A co Ekszelencja po tym odkryciu zrobił?

H.G.: Co ja zrobiłem... Bardzo proste. Powołałem Radę Społeczną, która cichutko siedzi i pracuje nad prawidłowym odczytaniem robotników i

znalezieniem dojścia do nich, aby odpowiedzieć na ich potrzeby. Przyjęto zasadę, że nie Rada będzie dyktować, co robić, tylko Radzie dyktują robotnicy. Oprócz niej działa Arcybiskupi Komitet Charytatywny oraz Arcybiskupia Rada Kultury z ogromnym centrum, tak zwanej kultury chrześcijańskiej. Kto tam jest? Raczej zapytać trzeba, kogo tam nie ma. Wierzący, niewierzący, nikt nikogo o światopogląd nie pyta. Na pewno jest masa ateistów.

E.B.,T.T.: Ale to państwo w państwie.

H.G.: Niestety, jednak musimy to robić. My musimy to robić. Są wystawy, są prelekcje. Od siedmiu lat jestem na Dolnym Śląsku i co roku organizujemy też rekolekcje dla inteligencji, dla pracowników nauki. Nigdy nie wygłaszała ich ksiądz, ale zawsze człowiek świecki, między innymi świętej pamięci pan profesor Dąbrowski genialnie mówił...

E.B.,T.T.: Nam jednak zależy, by tak mówili księża.

H.G.: Proszę to przekazać Papieżowi, a nie mnie. W każdym razie poziom seminarium jest bardzo wysoki. Nie w poziomie jednak problem, a w tym, by księża reprezentowali wysokie walory intelektualne, pastoralne i ascetyczne. Zacząć należy od ascetycznych. Trzeba alumnów uczyć żyć Panem Bogiem, czyli być z nim na ty, a nie uczyć dewocji. 90% ojców duchownych uczy dewocji. Żeby rączki pięknie złożyć, żeby się nie spóźnić na rozmyślanie, żeby nie zaspał, żeby zrobić ćwiczenie takie a takie. Pytam jednego czy drugiego: "Słuchaj, jak ty się modlisz, co jest tematem twojej modlitwy?" A on patrzy na mnie jak na malowane wrota.

186

Pytam drugiego /ułożyłem 35 pytań przed diakonatem/: "Jakie ty przez 5 lat wypracowałeś formy umartwienia i wyrzeczenia?" To jest podchwytliwe pytanie ze sfery ascetycznej. Żaden kleryk nie odpowiedział mi jeszcze, co jest umartwieniem, a co wyrzeczeniem. Nie wiem, czy Panie czują tę różnicę.

E.B.,T.T.: Wiemy, co to wyrzeczenie: mając na coś ochotę odmawiam sobie czegoś z pełną świadomością, że poskramię na przykład własne łakomstwo. A umartwienie?

H.G.: No właśnie, tylko że Panie nie są dostojne i nie przygotowują się do spowiedzi. Są klerycy, którzy w Wielkim Poście czy Adwencie nie palą albo piją zamiast dwóch kaw dziennie - jedną, lub w ogóle przestali. Ale to jest, za przeproszeniem - pieszczanie się, a nie umartwianie. Umartwienie jest wzięciem na siebie dobrowolnie i świadomie jakiegoś cierpienia. Ono jest potrzebne klerykom, bardzo potrzebne, bo żyją w dobrych warunkach. Mają wyżywienie przygotowane, podane, bez żadnej troski, ubranie. Prawdą jest, że ksiądz nie jest najbiedniejszy, że ksiądz nie ma najgorszego mieszkania, choć znam bardzo wielu księży, żyjących marnie, a jednego na Dolnym Śląsku, który mieszkał w lepiance.

E.B.,T.T.: Wyjątek, bo w zasadzie księży żyją powyżej średniej i ludzie to widzą.

H.G.: Oczywiście, ale to jest akurat temat, którym KC się zajmuje, więc nie ma sensu, byśmy i my teraz. Powiem tylko jedno: tak było od niepamiętnych czasów, a przed wojną dziesięć razy gorzej. Sam pamiętam pogrzeb staruszka, którego podziwiałem, bardzo pobożnego. Ksiądz nie pozwolił go wnieść do kościoła. Bo to był

gratisowy pogrzeb. Wystawiono więc zydeł przed kościół, postawiono trumnę, ksiądz wyszedł, poświęcił trumnę, odmówił przepisane modlitwy, powiedział: "A teraz zanieście na cmentarz go pogrzebać", i nie poszedł z nimi. Dziś to nie do pomyślenia.

E.B.,T.T.: Dzięki komunizmowi?

H.G.: Dzięki zmianom, jakim uległ Kościół generalnie. Komunizm w tym jakąś rolę na pewno odegrał, nie można zaprzeczyć, choć wiele także innych czynników na to wpłynęło, nie czas je teraz wyliczać. Teraz księża, duchowieństwo cieszy się zaufaniem ludzi. Chcą oni jednak od nas koniecznie politycznych wystąpień. Mówiłem na Boże Narodzenie. Zacząłem, oczywiście, od Żłóbka, potem trochę o zbawieniu, o Zbawicielu. My przecież mamy Ewangelię ciągle taką samą na Boże Narodzenie, albo prawie taką samą. Kiedy mówiłem na tematy teologiczne było kaszlanie, chrząkanie, ale kiedy tylko przeszedłem na temat - powiedzmy - polityczny, znaczy przeciwko tym cholerom, jak oni mówią, wyciszyło się jak makiem zasiał. Podobnie było teraz na Boże Ciało. Strasznie czuli się na niuanse, aluzje, choć często są one cieniutkie jak nić kokonu. Wszystko wychwyca, a resztę dodadzą od siebie. Bo Kościół mówi językiem życia. Nie boi się tego języka. Nie musi stać w opozycji do władzy i nie stoi. My nie walczyliśmy kiedyś z Gierkiem, a teraz z Jaruzelskim, którzy są wykonawcami pewnych reżimowych nakazów, ale my musimy strzec wartości, które są słuszne, a które są zagrożone. Kościół jest nosicielem prawdy. Czarne podaje jako czarne, białe jako białe. I głosi: za cenę życia w prawdzie trzeba czasem pocierpieć.

Warto pocierpieć. Z drugiej jednak strony ambona nie może stać się areną polityczną, to jasne. Piszę teraz książkę na temat "Problem niewolnictwa u świętego Ambrożego". Czy święty Ambroży był za niewolnictwem, czy przeciw niewolnictwu? Przecież święty Ambroży powołany został na biskupa w Mediolanie, jako wysoki urzędnik administracji cesarzy rzymskich w systemie opartym na niewolnictwie. I ani jednego słowa nie powiedział o niewolnictwie, chociaż wszystko, co robił zwalczało niewolnictwo, a popierało wolność w różnych dziedzinach. On nie mówił: "Słuchajcie niewolnicy, bierzcie kije, weźcie widły, idziemy, rozprawimy się". Kropka. Koniec. Tak by chcieli ludzie dzisiaj, żebyśmy mówili na ambonie. Bylibyśmy wtedy na rękach noszeni. Ale co by z tego wyszło? To samo, co ze Spartakusem. Ogromne miliony niewolników przegrałyby tę walkę. Święty Ambroży mówił o wartości pracy ludzkiej, o równości wobec Boga, on mówił, że w niewolniku jest też dusza jak w każdym wolnym człowieku, czyli on mówił o doktrynach ewangelicznych, które w końcu zwyciężyły. My też nie zrobimy z ambony areny politycznej.

E.B.,T.T.: Ona często nią jest.

H.G.: W porządku, tylko czy Kościół jest od tej roboty? Nie, to wy powinniście ją wykonywać.

E.B.,T.T.: Teraz mogą tylko księża.

H.G.: Nienormalna sytuacja.

E.B.,T.T.: ... która jest jednak wyjątkową szansą dla Kościoła w Polsce. Bo im bardziej niepopularna jest polityka władz, tym więcej ludzi przychodzi do kościołów.

H.G.: Jakbym słyszał wyznaniowego! Przychodzi do mnie taki z Wydziału Wyznań Urzędu Wojewódz-

kiego i mówi: ten ksiądz powiedział to, a tamten jeszcze coś. Zawsze wtedy mam jedną odpowiedź: "Ilu jest księży w diecezji - pytam go - pan wie?" "Nie wiem". "To ja panu powiem. Jest 1507, a teraz wyświęciłem 33, to ilu razem? 1540. Więc jak mi pan tu mówi o trzech, to znaczy, że 1537 mam w porządku, za to tylko klęcząc należy Panu Bogu dziękować. Proszę, co pan ma jeszcze do mnie?"

E.B.,T.T.: A co Ekszelencja może zrobić z tymi trzema księżmi?

H.G.: Wszystko, zgodnie z prawem kanonicznym.

E.B.,T.T.: A co robi?

H.G.: Nie rozumiem pytania?

E.B.,T.T.: To my nie rozumiemy, więc na przykładzie. Jest parafia w Podkowie Leśnej z księdzem Kantorskim. Biskupom w Kurii Warszawskiej bardzo się ona nie podoba, bo prowadzi działalność - powiedzmy - polityczną. Biskupi wykorzystując swoją władzę, mogliby tej działalności zakazać, ale tego nie robią. Dlaczego?

H.G.: Znam Kantorskiego bardzo dobrze, bo z nim pracowałem jako duszpasterz akademicki. On jest swoisty, takiego drugiego nie ma na świecie, dlatego jest. Myślę, że to dowód zaufania wobec niego, i tolerancji.

E.B.,T.T.: A może taktyki Kościoła?

H.G.: Nie, nie, to jest dowód tolerancji i zaufania. Bo, proszę Pań, nigdy nie jest tak, żeby w człowieku były same pomyłki, a od każdego zawsze można się czegoś nauczyć. Dla Kościoła więc nie Kantorski jest niebezpieczny, bez względu na to, co by mówił i robił. Najgroźniejszym niebezpieczeństwem dla Kościoła jest odgradzanie się księży szybą od ludzi, jak jest

190

w wielu krajach. Jakby na przykład kardynał Glemp był odgradzony szybą od reszty biskupów, Episkopat od duchowieństwa, a duchowieństwo z kolei odgradzone szybą - grubszą lub cieńszą - od populus. Oni by siebie widzieli, zupełnie się jednak nie rozumiejąc. Kościołowi w Polsce to nie grozi. Na Zachodzie kontaktuję się troszeczkę z tamtejszą młodzieżą, rozmawiam z nimi i zaobserwowałem ciekawą rzecz, że Kościół jest nośnikiem - powiem drastycznie - niewoli, bo nakazuje lub wymaga od wiernych, żeby się czegoś wyrzekli, przed czymś opanowali, żyli według reguł, a nie - jak mówią Rosjanie - puścili się po wsium dyskanam. Natomiast jak się rozmawia z młodzieżą, robotnikami czy inteligencją w Polsce dominuje opinia, że Kościół jest nośnikiem wolności, jest instytucją, która stoi na straży obywatelskich praw.

E.B.,T.T.: Może zachodni w naszej sytuacji też byłby taki?

H.G.: O nie, tam byłoby strasznie.

E.B.,T.T.: Kolaborowałby?

H.G.: Całkowicie.

POLACY W ZSRR

Aldona Pulikiewicz SZKOŁA DLA DZIECI POLSKICH ZESŁAŃCÓW

Wśród zesłańców w naszym posiołku prawie każda rodzina miała dzieci. Na ogół w wieku szkolnym. Ale szkoły nie było. Dlatego też władze postanowiły zorganizować szkołę dla naszych dzieci mając zresztą na względzie swoje - nie nasze interesy. Bo język rosyjski miał być przecież wykładowym, a program - sowiecki.

Pewnego razu wezwał mnie do siebie komendant posiołka i oświadczył, że zamierza otworzyć dla naszych dzieci szkołę, żeby uczyły się po rosyjsku. Ponieważ jednak dzieci nie znają tego języka wskazane jest, by uczyła je Polka mówiąca dobrze po rosyjsku. Gdy dzieci przejdą już wstępny etap nauki, przyjadą Rosjanki, które przejmą funkcje nauczycielek.

Na koniec oświadczył mi, że to ja mam być nauczycielką, ja mam obecnie uczyć polskie dzieci w Gramatusze języka rosyjskiego. Byłam tą propozycją zaskoczona i wręcz przerażona. Próbowałam się zatem wykręcać jak tylko mogłam.

Powiedziałam, że moja znajomość języka

rosyjskiego nie jest aż tak dobra bym mogła uczyć dzieci. Poza tym mam małe dziecko, którego - ucząc w szkole - nie miałabym z kim zostawić. Na wszystkie moje nieśmiałe protesty i perswazje odpowiadał ostro:

- Wy szto, graždanka? Zapomnieliście kim tu jesteście? Spec-peresiedleńcy nie mają nic do gadania! Muszą słuchać i tyle. Dodał jeszcze, że brak zgody na podjęcie pracy będzie uważany za sabotaż i karany z całą surowością.

- W takim wypadku - dorzucił na zakończenie - wyśle waszą rodzinę do obozu!

Cóż miałam robić! Musiałam się zgodzić. Postawiłam tylko warunek: wobec tego, że dzieci nie znają języka rosyjskiego, mogę go traktować jedynie jako przedmiot nauczania, a poza lekcjami będę się z nimi porozumiewać po polsku.

Po dłuższym namyśle zgodził się. Zapowiedział tylko, że niedługo przyjedzie inspektor szkolny, który udzieli mi instrukcji w sprawie programu nauczania. Wyznaczył też od razu budynek, w którym miała odbywać się nauka, obiecał pomoc w jego wyposażeniu i polecił, bym sprawami szkoły zajęła się od razu, z miejsca.

W osadzie zaczął się ruch. Wbrew moim obawom, rodzice w gruncie rzeczy ucieszyli się, że będzie szkoła - choć taka. Wszyscy zatem wzięli się do roboty przy urządzaniu budynku szkolnego. Kobiety smarowały ściany gliną, potem je bieliły, myły okna, sprzątały. Komendant zdobył jakieś połamane ławki i stoły, które mężczyźni po pracy w kopalni naprawili i ustawiali. Poza tym zorganizowano opiekę nad moją córeczką, która była w wieku przedszkolnym, bym mogła spokojnie zająć się nauczaniem.

Po kilku dniach wezwał mnie kapitan Kopyszew. Każde takie wezwanie budziło w nas lęk. Był on przecież panem naszego życia i śmierci! Nigdy nie było wiadomo o co mu chodzi. A nuż wydarzyło się coś złego? Dlatego i ja szłam do kancelarii ze strachem.

A może naraziłam mu się w jakiś sposób? Jeżeli tak, to gotów wysłać nas gdzie indziej, może do jeszcze gorszych warunków. Idąc, cały czas modliłam się żarliwie, by nie stało się nam nic złego.

Tym razem mój strach okazał się zbędny. U komendanta czekał na mnie inspektor szkolny, Gruzin. Prawdopodobnie też zesłaniec czy wysiedleniec, bo co by w przeciwnym wypadku robił na Syberii? Był to starszy pan, inteligentny i kulturalny. Mogłam z nim spokojnie rozmawiać o wszystkim, rzecz jasna z wyjątkiem spraw politycznych.

W czasie tej wstępnej konferencji przedstawiono mi spis uczniów. Było na nim trzydziestu pięciu uczniów polskich w wieku od siedmiu do piętnastu lat oraz trzech Rosjan, których ojcowie należeli do obsługi naszej kopalni. Od razu zorientowałam się, że będę miała w klasie szpiegów.

Powiedziano mi też, że ze względu na klimat, lekcje odbywać się będą tylko od początku kwietnia do końca października, ponieważ przez resztę roku mrozy i śniegi udaremniałyby naukę.

Organizacja szkoły byłaby bardzo trudna: żaden z uczniów, bez względu na wiek, nie umiał ani słowa po rosyjsku. Dlatego też inspektor zaproponował mi, bym na początku prowadziła jedną tylko klasę, ale na dwu poziomach nauczania. Po jakimś czasie starszych uczniów przeniesie

się do innych klas. Poza tym miałam - na razie, - prowadzić naukę tylko jednego przedmiotu: języka rosyjskiego.

Na otwarciu szkoły obecny był kapitan Kopyszew, który nieco wcześniej zorganizował pewną ilość ołówków, zeszytów i podręczników, których w posiołku nie można było dostać. Na owej pierwszej lekcji przemówił on do dzieci, naturalnie po rosyjsku, wobec czego z pewnością nie został przez nie zrozumiany. Mówił o potrzebie nauki i o tym, że w Sowietkim Sojuszu każdy ma do niej prawo. Następnie zaczął chwalić karność i pracowitość sowieckich dzieci. W czasie jego wypowiedzi patrzyłam na moich uczniów. Robili wrażenie całkowicie nie rozumiejących.

Chciało mi się płakać. Siedziały przede mną dzieci o bladych i smutnych twarzyczkach, nędznie ubrane, w poniszczonych bucikach. Ledwie mogłam powstrzymać łzy.

Pewnie i komendant zorientował się w nienormalnej sytuacji, bo przerwawszy przemówienie rozejrzał się po klasie, spojrzał na mnie i odchrząknawszy powiedział: - no cóż... proszę zaczynać.

Zaraz potem wyszedł z klasy.

Boczątek mojej pracy w tej osobliwej szkole był bardzo trudny. Dzieci, zwłaszcza młodsze, nie mogły pojąć: dlaczego w czasie lekcji muszą na moje pytania odpowiadać po rosyjsku, podczas gdy na przerwach wszyscy mówimy po polsku. Nie umiały zresztą odpowiadać po rosyjsku. Gdy zadałam pytanie w tym języku, powstawał w klasie gwar w języku polskim. Było to niedopuszczalne i mogło się dla mnie źle skończyć.

Nie było wobec tego innego wyjścia, jak tylko przemówić do dzieci po polsku. Prosiłam

Je zatem, by naukę języka rosyjskiego potraktowały poważnie. Nie wiadomo przecież, jak długo będziemy przebywać w tym kraju. Mogą być takie sytuacje, że od znajomości języka będzie zależało bardzo wiele.

Tak więc - prosiłam - na pytanie zadane po rosyjsku należy odpowiadać w tym samym języku. Kto nie potrafi, niech na razie milczy. Stopniowo dzieci przyzwyczaiły się do tej dziwnej sytuacji. Zrozumiały, że na przerwach wolno mówić po polsku, a na lekcjach nie. Często, zwłaszcza w początkowym okresie mojej pracy w szkole, do klasy przychodził bez zapowiadania kapitan Kopyszew. Na ogół nie zadawał żadnych pytań. Chodził po klasie, przeglądał zeszyty, podręczniki, zaglądał pod ławki, słuchał uważnie tego co mówiłam, a także odpowiedzi uczniów. Po kilku tygodniach inspektor szkolny przyjechał na wizytację. Przez cały dzień był obecny na lekcjach. I on także nie zadawał żadnych pytań. Przysłuchiwał się tylko uważnie odpowiedziom dzieci.

W tym czasie niektóre z nich umiały już jako tako pisać i czytać po rosyjsku. Nawet dyktanda przy tablicy wypadały nieźle. Młodsze dzieci orientowały się w alfabecie rosyjskim i umiały po kilka zwrotów w tym języku. Wizytacja wypadła zatem pomyślnie. Inspektor był wyraźnie zadowolony. Po lekcjach zapytał mnie, dlaczego nie uczę dzieci śpiewać. Odpowiedziałam, że nie znam rosyjskich piosenek, a śpiewnika nie mam. Mogłabym zatem uczyć dzieci tylko polskiego śpiewu.

Ku memu zaskoczeniu, po namyśle zgodził się na to. Wyraźnie tylko zastrzegł, że nie

mogą to być pieśni religijne ani patriotyczne. Oczywiście, musiałam przyjąć jego warunki, ciesząc się już z góry radością dzieci.

Rzeczywiście, wiadomość, że odtąd będziemy w szkole śpiewać po polsku, wywołała w klasie ogromny entuzjazm. Zabrałam się więc do spisywania znanych sobie polskich pieśni pamiętając o przyrzeczeniu złożonym inspektorowi. Zresztą próba przekroczenia jego zakazu skończyłaby się dla mnie tragicznie. Uczniowie Rosjanie natychmiast donieśliby komendantowi o złamaniu przeze mnie przepisu, a już on wiedziałby co w takim wypadku uczynić.

Towarzysze niedoli pomogli mi w spisywaniu tekstów podając mi takie, których nie znałam lub nie pamiętałam. W ten sposób powstał niebawem pokaźny śpiewniczek polskich pieśni. Cieszyłam się ogromnie. Dzięki temu śpiewniczce mogłam oficjalnie - nie narażając się na niebezpieczeństwo - prowadzić lekcje po polsku. Musiałam przecież pisać teksty na tablicy po polsku! Dzieci musiały je wpisywać do zeszytów. Mogłam poprawiać ich błędy...

Co prawda kapitan Kopyszew - jakby czytając w moich myślach - oświadczył mi niedługo po wizytacji, że lekcje śpiewu po polsku mogą odbywać się tylko raz w tygodniu, ale i tak był to dla mnie wspaniały dar losu. Byłam znowu polską nauczycielką!

Komendant zgłosił jeszcze jedno zastrzeżenie. Zażądał, by wszystkie teksty piosenek polskich były przetłumaczone na rosyjski i dostarczone mu na piśmie.

Odpowiedziałam, że wymaga ode mnie stanowczo za dużo. Mam przecież obowiązki domowe, prawie

cały dzień uczyć w szkole, nie mam czasu, by zająć się przygotowaniem posiłków i zdobyciem pożywienia /zbieranie grzybów czy jagód - nie mogłam mu przecież powiedzieć o zakazanym handlu wymiennym/ oraz wychowywaniem mojej córeczki. Ponadto - dodałam - mój mąż w kopalni zarabia grosze, a ja od dwu miesięcy ciężko pracuję w szkole i nikt mi za to nie płaci.

Zastanowił się i po chwili odrzekł, że pensja nauczycielska w Związku Sowieckim wynosi 240 rubli miesięcznie. Nie wiedział ile ja mogę otrzymać, ale zapewnił, że niedługo otrzymam wynagrodzenie.

Byłam więc spokojniejsza o byt mojej rodziny. Mogłam z większą energią poświęcić się pracy w szkole, zwłaszcza nauce śpiewu, którą prowadziłam także i na przerwach w formie zabaw z dziećmi. Ale za to dawało to wyniki.

Niedługo moi uczniowie mieli to udowodnić. Nasza szkoła została zaproszona do udziału w obchodach rocznicy rewolucji październikowej, które miały się odbyć w sąsiednim posiołku, w Udarnym, gdzie znajdowała się kopalnia złota będąca pod wspólnym zarządem z naszą. Było to dwa kilometry od Gramotuchy, ścieżką przez tajgę.

Uroczystość wyznaczono na godzinę jedenastą. Odpowiednio wcześniej zebrałam wszystkie dzieci, które szły do drogi ciesząc się wycieczką. Wybrały się też z nami niektóre matki, by zapewnić dzieciom lepszą opiekę. Przez całą drogę śpiewaliśmy polskie piosenki.

Tajga milczała ponuro. Dziwnie brzmiały w niej polskie słowa, którym odpowiadało echo. Nie były tu jednak nowością. Byliśmy pewni,

że nie jesteśmy pierwszym pokoleniem polskich zesłańców w Górach Sajańskich.

Na miejscu przyjęto nas nad podziw serdecznie. Dzieci zaprowadzono do stołówki, gdzie każde z nich dostało kubek gorącej kawy zbożowej i kromkę chleba z marmoladą. Prawdziwa uczta!

Salę, w której odbywała się uroczystość, udekorowano czerwonymi flagami, emblematami sierpa i młota, portretami Stalina i innych sowieckich przywódców oraz sloganami w rodzaju: "Dziękujemy ci towarzyszu Stalin za nasze szczęśliwe dzieciństwo". Brzmiało to jak szyderstwo, chyba nie tylko dla nas...

Po odśpiewaniu sowieckiego hymnu i wysłuchaniu kilku przemówień, rozpoczęła się część artystyczna. I znowu miła niespodzianka: zapowiedziano - jako pierwsze - występy polskich dzieci z posiołka Gramatucha. Moi uczniowie deklamowali trzy krótkie wiersze po rosyjsku, a następnie wszystkie dzieci śpiewały chórem polskie pieśni: "Góralu czy ci nie żal...", "Czerwony pas", "Rosła kalina z liściem szerokim" i inne.

Nasze występy przyjęto bardzo ciepło. Widziałam na twarzach wielu słuchaczy wyraźne wzruszenie: nasze dzieci niedożywione, biednie ubrane - a śpiewały tak ładnie, były miłe, uśmiechnięte, wesołe. Dlatego też nasze występy obficie nagrodzono oklaskami.

Po zakończeniu części artystycznej, której główny zrab tworzyły występy uczniów szkół sowieckich, odpowiednio zestawione treściowo, zabrano nasze dzieci do stołówki na obiad. Znowu uczała! Talerze zupy i kluski z sosem wydawały się nam prawdziwymi specjałami.

Na obiedzie byli też mężczyźni z Gramatuchy,

których zaproszono na tę uroczystość. Mogło się to dla nich źle skończyć. Przy obiedzie dano im po szklaneczce spirytusu. Na wycieńczonych ciężką pracą i niedożywionych podzielał on od razu. Zaczęli patrzeć, śmiało, wysoko podnosić głowy. Na szczęście zaraz po obiedzie ruszyliśmy w drogę powrotną, by zdążyć do domów przed zapadnięciem zmroku.

Szedł z nami także kapitan Kopyszew. W pewnej chwili z gromady mężczyzn idących tajgą przed nami doleciał pojedynczy śpiew: "Naprzód, drużyno strzelecka ..." - a zaraz potem chóralnie podjęty refren: "Czy przyjdzie nam zginąć wśród boju, czy w tajgach Sybiru nam zgnieć, z trudu naszego i znoju Polska powstanie, by żyć".

Pieśń rozlegała się donośnie. Niosła się echem przez tajgę. Dumna. Niepodległa. Komendant nie rozumiał, rzecz jasna, po polsku, ale pojął od razu słowa: "w tajgach Sybiru", "Polska" - to mu wystarczyło. Nie był on - jak już pisałam - złym człowiekiem, ale musiał przecież wypełniać swoje obowiązki enkawudzisty.

Dlatego też natychmiast zaczął biec wzdłuż śpiewającej gromady, machając rękoma i krzycząc: "Prekratit, prekratit!" - przerwać!

Nie dało to rezultatu. Żaden rozkaz nie zdołał przerwać pieśni, w której żywiołowo brzmiała gorąca tęsknota do Polski i miłość do niej.

Nazajutrz komendant wezwał do siebie wszystkich naszych mężczyzn. Kiedy się zgromadzili, wyszedł z kancelarii i zapowiedział, że nie będzie tolerował takich występków, jak wczorajszy. "Jeśli się to jeszcze raz powtórzy - zakończył - moja cierpliwość i dobroć skończy się dla

200

was raz na zawsze!"

Po tym wydarzeniu zaczął częściej wizytować naszą szkołę bojąc się widocznie, że nie przestrzegam jego poleceń. Chodził między ławkami, zaglądał w zeszyty, słuchał. Na ogół jednak milczał.

Któregoś dnia przeglądając podręczniki chłopców zobaczył, że w jednej książce na portrecie Stalina dorysowane są rogi. Co gorsza, nie była to własność dziecka. Książka należała do piętnastoletniego chłopca. Sprawa była bardzo poważna, a jej konsekwencje mogły być groźne.

Natychmiast zawołał mnie do ławki, na której znalazł książkę i zapytał, czy przeglądam podręczniki uczniów. Odpowiedziałam, że robię to codziennie, ale na ostatniej lekcji. Pokazał mi wtedy fotografię rogatego Stalina, pytając, czy to widziałam. Naturalnie zaprzeczyłam.

Zwrócił się wtedy do chłopca:

- Ty rysowałeś te rogi?
- Nie, grażdanin komendant.
- A skąd masz tę książkę?
- Matka mi wczoraj przyniosła z Udarnego.

Posłał po matkę chłopca. Przybiegła zadyszana, wylękniona. Pyta:

- Wy graždanka, skąd macie tę książkę?
- Kupiłam od jakiejś kobiety w Udarnym, grażdanin komendant.

Nie odpowiadając zabrał książkę i milcząco wyszedł z klasy. Nie wiedziałam, co mam robić: dalej prowadzić lekcję czy iść do domu i czekać na rezultat tego zajścia. Opanowawszy się, wróciłam do prowadzenia lekcji.

Okazało się, że postąpiłam słusznie. Komendant nigdy nie wrócił w rozmowie ze mną do tego

incydentu. Nie wyciągnął też żadnych konsekwencji w stosunku do tego chłopca i jego matki. Ale szkołę nadal często odwiedzał.

Zajmował się między innymi frekwencją, która na skutek chorób, braku odzieży i obuwia spadała coraz bardziej. Kopyszew chodził więc po barakach i przeprowadzał uświadamiające rozmowy z rodzicami dzieci mających najwięcej nieobecności w szkole, tłumacząc im, że w Związku Sowieckim wszystkie dzieci muszą chodzić do szkoły.

Pewnego razu jedna z matek na pytanie, dlaczego jej syn nie chodzi do szkoły, odpowiedziała, że nie ma butów, a zaraz potem dodała:

- Ja wiem, panie komendancie, że to źle, bo jak nie będzie chodził do szkoły, to chyba pastuchem zostanie...

Przerwał oburzony:

- Co wy wygadujecie, grażdanka? U nas, w Sowieckim Sajuzie, pastuch eto paczotnoje słowo /Zaszczytne/. Woroszyłow był pastuchem, a teraz on jest marszałkiem!

Na taki argument przerażona kobieta zaczęła gorąco przeproszać mówiąc, że nie chciała obrazić grażdanina marszałka ani grażdanina komendanta.

Rozmowy te nie odnosiły wielkiego skutku. Dzieci bose i zapadające na zdrowiu skutkiem niedożywienia, nie mogły regularnie uczęszczać na lekcje. Mimo to szkoła nadal istniała, a nawet w jakiś sposób rozwijała się. Dzieci były chętne do nauki i miłe. Pracowało się z nimi przyjemnie.

Wreszcie, po dwóch miesiącach pracy, zaczęto mi wypłacać pensję. Aż 240 rubli miesięcznie! Co jednak z tego, kiedy nie mogłam nic za to kupić! Magazyn w pośiołku przeważnie był pusty.

Osiedleńcy narodowości rosyjskiej też niechętnie sprzedawali coś za pieniądze. Woleli handel wymienny, za rzeczy, ale tych mieliśmy coraz mniej.

W listopadzie 1940 roku przyjechały do Gramatuchy dwie Rosjanki, nauczycielki, z których jedna miała być kierowniczką szkoły. Sądziłam, że będę mogła odejść i zająć się własnymi sprawami, tym bardziej, że moje dzieci zaczęły chorować i potrzebowały stałej opieki. Tymczasem kapitan Kopyszew oświadczył, że muszę zostać na swoim stanowisku, dopóki dzieci nie przyzwyczają się do nowych nauczycielek.

Musiałam zatem nadal pracować. Co prawda niedługo po przyjeździe Rosjanek zaczęła się zimowa przerwa w nauce, ale z wiosną roku 1941 wróciłam do moich nauczycielskich obowiązków. Trudno mi je było godzić ze sprawami domowymi, miałam bowiem więcej kłopotów i zajęć z powodu chorób moich dzieci.

W szkole był teraz stały szpieg w osobie nowej kierowniczki. Ustały lekcje śpiewu po polsku. Teraz już tylko na przerwach mogłam rozmawiać z dziećmi w języku polskim.

Kiedyś zdarzył się w czasie lekcji bardzo nieprzyjemny wypadek. Jedna z moich uczennic przyniosła do klasy temperówkę. Zwyczajną temperówkę, pewnie jeszcze z Polski, bo przecież nie kupiła jej w posiołku, a komendant nie zaopatrywał szkoły w tego rodzaju przedmioty.

Posiadaczka jedynej temperówki na wszystkich przerwach ostrzyła dzieciom ołówki, czemu z ogromnym zainteresowaniem przyglądali się trzej mali Rosjanie. Kiedy po lekcjach uczniowie zaczęli wychodzić, dziewczynka spostrzegła

brak temperówki. Zaczęła płakać. Nie pozwoliłam wówczas dzieciom wyjść z sali, dopóki nie znajdzie się zagubiony czy skradziony przedmiot.

W tym momencie weszła do klasy kierowniczką szkoły. Na pytanie, co się stało, opowiedziałam krótko o zajściu. Wtedy zwróciła się do dzieci z przemówieniem, którego treścią było oświadczenie, że uczniowie w Sowietkim Sojuszu nie kradną.

Uważnie patrzyłam na reakcję dzieci. Nagle trzech mali Rosjanie wysunęli się cicho z klasy, nie zauważeni przez kierowniczkę. Za nimi wybiegło kilku starszych uczniów - Polaków.

Po chwili usłyszeliśmy w szatni krzyk i łomot. Obie z kierowniczką wybiegłyśmy natychmiast i stanęłyśmy oniemiałe ze zdziwienia. Polscy chłopcy przyparli do muru swoich rosyjskich kolegów i przemocą ściągali im buty z nóg.

Kierowniczką już otwierała usta. Zapewne po to, by potępić ten rzekomy rozbój. Wtem z jednego buta wypadła skradziona temperówka. Sprawa została wyjaśniona. Kierowniczką wyszła w milczeniu, nie patrząc mi w oczy.

Na drugi dzień trzech Rosjanie nie przyszli do szkoły. Nigdy ich już nie zobaczyłam. W szkole ani w posiołku. Wolałam nie pytać. Czy to możliwe, by za ten dziecięcy wybryk wysłano ich do łagrów "wychowawczych"? Biedne dzieci!

Po kilku miesiącach wspólnej pracy z Rosjanami byłam u kresu wytrzymałości nerwowej. Nie miałam właściwie konkretnych powodów do narzekania, ale atmosfera ciągłego napięcia i strachu była nieznośna.

W tym okresie /latem 1941 roku/ podzielono szkołę w Gramatusze na trzy klasy. Mnie powierzono

klasę najstarszą, składającą się z dzieci od lat 13 do 15, między którymi było też kilku chłopców starszych, nawet do 17 lat.

Wszyscy oni chodzili w Polsce do gimnazjum, a niektórzy mieli nawet małą maturę. Do szkoły chodzili, by w ten sposób ustrzec się od pracy w kopalni złota. Jakimś cudem komendant nie zwrócił na to uwagi. A może nie chciał zwrócić? Jak już pisałam, był to człowiek dosyć ludzki i jeśli nie musiał, nie robił nikomu krzywdy.

W tym czasie przyjechał znowu na wizytację inspektor. Przywiózł ze sobą formularze do sporządzenia rozkładu materiału na cały rok szkolny, który zresztą już dawno był zaczęty, a rokiem był tylko z nazwy.

Zwróciłam się do niego ponownie z prośbą o zwolnienie z pracy. Odpowiedział, że to niemożliwe, ponieważ jestem niezbędna na zajmowanym stanowisku. Musiałam zatem zostać, a w dodatku wypełnić przywiezione przez niego formularze.

Wypełniając pozostawiłam puste tylko te rubryki, które dotyczyły antypeligijnego i ateistycznego wychowania dzieci. Niedługo potem inspektor przyjechał znowu i biorąc ode mnie formularze zapytał, dlaczego nie są całkowicie wypełnione. Odpowiedziałam, że wypełnić ich nie mogę, ponieważ jestem wierząca i nie wolno mi okłamywać dzieci.

Wbrew moim oczekiwaniom nie usłyszałam nagany ani napomnienia, bym wykonywała wszystkie obowiązki nauczycielki. Inspektor wziął ode mnie formularze w milczeniu. Po jego wyjeździe z dnia na dzień oczekiwałam wezwania do Kopyszewa, do kancelarii, i zawiadomienia o dymisji /co by mnie szczególnie nie zmartwiło, sama bowiem

staralam się o zwolnienie/, a może i o czymś gorszym.

Byłam się bardzo. Nie mogłam jednak postąpić inaczej. Tymczasem zamiast dymisji czy pisemnej nagany, nadeszła do posiołka niespodziewana i radosna wiadomość o amnestii dla wszystkich Polaków przebywających w Rosji Sowieckiej.

W OCZACH ZACHODU

Zagraniczne publikacje na temat naszego kraju cieszą się u nas dziwną sławą. Z jednej strony przyjmujemy je bezkrytycznie, uważając prawie za rewelację fakt, że ktoś o nas pisze. Częściej jednak mamy do czynienia z ignorancją, która wynika nie tylko z barier językowych i trudności dostępu do prasy i książek wydawanych za granicą, ale również z postawy lekceważącej głosy tych, których uważamy za naiwnych, niewtajemniczonych i, wobec tego, nie będących w stanie zrozumieć specyficznej polskiej sytuacji.

Obie postawy, fascynacji i lekceważenia, zamykają niejako nasze doświadczenia w kręgu spraw lokalnych i odcinają nas od naturalnego przepływu myśli i informacji. Jeśli jednak przyjmiemy, że problemy polskie - szczególnie z lat ubiegłych - posiadają charakter uniwersalny, powinniśmy dbać nie tylko o naszą rzetelną

obecność intelektualną w świecie, ale także uważnie wśluchiwać się w sady i spostrzeżenia płynące z zewnątrz. Jakże często dopiero po czasie odgrzebujemy dawne obserwacje, na które w czasie, kiedy się pojawiły, nie mogliśmy albo nie chcieliśmy zareagować. Właśnie aby temu zapobiec i aby mieć chociaż ogólną świadomość obrazu Polski w oczach innych, przedstawiamy fragmenty publikacji, które należą do najbardziej znamiennych i głośniejszych w sprawach kraju nazwanego nieco patetycznie przez brytyjskiego historyka Normana Daviesa "sercem Europy".

Fragment pierwszy pochodzi z książki pt. "The Polish August. The Self-Limiting Revolution" /Polski Sierpień. Samoograniczająca się rewolucja/. Jej autor to szkocki dziennikarz od lat specjalizujący się w problematyce Europy Środkowej. Jego opinie polityczne wywodzą się z tradycji socjal-demokratycznych: był on zagranicznym korespondentem "Guardian" i "Observer". "Polski Sierpień" to jedna z pierwszych książek przedstawiających historyczne i społeczno-polityczne tło oraz przebieg wydarzeń od powstania "Solidarności" aż do wprowadzenia stanu wojennego. Ascherson prezentuje najwyższe walory publicystyki politycznej pogłębianej rozważaniami ogólniejszej natury, czego najlepszym dowodem jest znana już na Zachodzie teza Aschersona o niekompletności powojennego życia społeczno-politycznego w Polsce. Przytoczony tu końcowy passus książki dotyczy właśnie tej tezy. Warto w tym miejscu przypomnieć, że gdy książka ukazała się na początku 1982 roku, Daniel Passent zamieścił jej fragmenty w "Polityce", ale oczywiście pominął ową część przedstawiającą główną myśl

Aschersona.

"Maj 1981" to fragment pierwszego rozdziału zbioru reportaży amerykańskiego dziennikarza Lawrence Weschlera zatytułowanego "The Passion of Poland. From Solidarity Through the State of War" /Polska droga krzyżowa. Od Solidarności do stanu wojennego/. Ukazał się on w listopadzie w "The New Yorker". Obserwacje Weschlera dotyczą bardzo kontrowersyjnego, a jednocześnie jednego z najbardziej znanych czytelnikowi amerykańskiemu problemów związanych z Polską, tzn. stosunków polsko-żydowskich. Właśnie ten artykuł odbił się najgłośniejszym echem, szczególnie wśród amerykańskich Żydów, którzy w listach do redakcji zajmowali bardzo rozbieżne stanowiska. Wydaje się, że uwagi Weschlera są przykładem typowego dla liberalnej części publicystów pochodzenia żydowskiego sądu o tej problematyce. Dopełnia i zamyka problematykę specjalna dla "Spotkań" rozmowa z Normanem Daviesem, wybitnym historykiem angielskim.

W następnym odcinku cyklu "W oczach Zachodu" przedstawimy opinie zagranicznych autorów na temat roli Kościoła we współczesnej Polsce.

Neal Ascherson

W KIERUNKU NIEZBADANEGO OBSZARU^x

Trudno będzie zburzyć pomnik w Gdańsku – jest to dla cudzoziemca jedyny pewnik co do przyszłości Polski. Jednakże polscy intelektualiści są także mocno przekonani o tym, że nigdy nie będzie odwrotu od drogi przebytej od Sierpnia 1980. Nowe doświadczenie wolności w Polsce stało się bezcenną i trwałą zdobyczą, nawet jeśli nie będzie mogło być wykorzystane przez następne pokolenia. Gdyby weszli Rosjanie, weszliby już za późno.

Gdzieś podczas swojej drogi Polacy przeszli obok straszliwego memento Praskiej Wiosny. Poświęcili jej mało uwagi – zbyt mało. Łatwo jest twierdzić, że obydwie przypadki nie mają ze sobą nic wspólnego, ponieważ jedna reforma była propagowana z góry, a druga powstała dzięki wysiłkowi całego narodu. Ale klęska w Czechosłowacji dostarczyła Polakom wielu nauk i bliższe prawdy jest twierdzenie, że Polacy z determinacją nie dopuszczali w ogóle możliwości sowieckiej interwencji. Bardzo niechętnie widzieli swój

x/ Fragment rozdziału pod tym samym tytułem z książki "The Polish August. The Self-Limiting Revolution" /Polski Sierpień. Samoograniczająca się rewolucja/, Londyn, 1982, ss. 273 – 277.

eksperyment jako jeden z serii buntów przeciwko politycznemu modelowi państw Układu Warszawskiego. To otwierało zniechęcające perspektywy. Polacy woleli wznieść barierę nacjonalizmu odgradzającą ich od najnowszej historii sąsiadów. To polski problem, mówili, dotyczący wyłącznie naszych spraw.

Była to również kulminacja długotrwałego upadku polskiego komunizmu, który po 35 latach nie dysponował żadnymi prawdziwymi punktami oparcia w społeczeństwie. Nigdy, poza rzadkimi i krótkimi przerwami, nie był powszechnie uznany za autentyczną czy normalną formację władzy. Przez długie lata godzono się z nim, jak z problemem, którego nie można oddalić, ale można wydatnie łagodzić, tak jak suszę. Nigdy nie lubiana partia stale traciła swoją moc wpajania strachu i wymuszania posłuszeństwa. W połowie lat pięćdziesiątych i ponownie pod koniec lat siedemdziesiątych polityka partii stała w rażącej sprzeczności z rozwojem polskiego społeczeństwa, że stała się istotnym zagrożeniem trwałości państwa. Z suszy komunizm przekształcił się w zarazę, która, jak rozległe owrzodzenia, wymagała natychmiastowych i dramatycznych działań.

Tradycyjnie tłumaczy się to historyczne fiasko tym, że sukces nie mógł być nigdy oczekiwany. W jaki sposób głęboko katolickie i nacjonalistyczne społeczeństwo z długotrwałą awersją do Rosji mogłoby podporządkować się władzy komunistów, stanowiących nieliczną mniejszość wprowadzoną ostatecznie przez rosyjskich żołnierzy. Ale to nie tłumaczy wszystkiego. Chociaż przeszkody były ogromne, to przecież istniały

210

również czynniki, które powinny były pomóc polskim komunistom w rozwianiu tego cienia padającego na ich władzę. Po wojnie nastrój w Polsce z pewnością był rewolucyjny, wielu wystarczająco "autentycznych" socjalistów /PPS/ było gotowych współpracować, a nawet zjednoczyć się wokół programu Gomułki. Jego "polska droga" do socjalizmu zyskiwała uznanie przynajmniej do czasu, gdy został on odsunięty w 1948 roku.

Wiele przemawia za tym, że Październik 1956 roku był dużą straconą szansą polskiego komunizmu. Gomułka wrócił z więzienia i pokonawszy jedną z najpotężniejszych barier legitymizacji skutecznym odrzuceniem gróźb Chruszczowa, stał się całkowicie wiarygodny jako patriota. Mógł dalej, bez obawy sowieckiej interwencji, budować najbardziej heretycki i liberalny rodzaj reżimu socjalistycznego, w ramach systemu monopartyjnego. Nie zrobił tego i nie dał partii szansy uzyskania społecznego zaufania, które sam sobie zaskarbił. Nie pozwolił powrócić jej nawet do bardziej powściągliwego i wyważonego stylu z lat 1944-1948. Pozwolił natomiast stalinowskiemu modelowi dogmatycznej centralizacji wszelkich decyzji przetrwać zarówno w obrębie rządu, jak i samej PZPR.

Dlaczego więc kolejne ekipy rządowe w Polsce popełniały takie polityczne i ekonomiczne błędy? Dlaczego władze otoczone inteligentnymi doradcami oraz komitety partyjne z tyloma ludźmi przerażonymi niszczeniem zasobów ich własnego kraju traktowały poważne problemy z takim dyletantyzmem? Kardynał Wyszyński zwykł być mówić w języku kościelnej łaciny o potrzebie "prudencia gubernativa". Nieroztropność polskich władz

administracyjnych była nadzwyczajna.

Jedną z tez tej książki jest to, że przekleństwem powojennej Polski było zjawisko niecałkowitości. Oczywiście w czasach, gdy logiczną konsekwencję polityki stanowi prześladowanie i pluton egzekucyjny, istnieją silne argumenty przemawiające za tym zjawiskiem. Polska polityka, jakkolwiek groźna w słowach, w praktyce była zawsze łagodna w porównaniu z europejskimi normami. Polityczni przeciwnicy utrzymywali prywatne kontakty, a w ciągu ostatnich sześćdziesięciu lat miał miejsce tylko jeden większy zamach polityczny. "Jakiś filtr łagodził skrajności w Polsce", jak zauważył Czesław Miłosz. Łagodność ma jednak swoją cenę. Stalinizm w Polsce był niecałkowity i pozostawił po sobie gigantyczny biurokratyczny aparat, który nigdy nie został zmuszony do posłuszeństwa. Reforma 1956 roku nie została dokończona. Zneutralizowano tych, którzy jej dokonali i represjonowano ich aż do 1968 roku. Reżim Gierka obiecał niezwykle odprężenie polityczne i nowy model ekonomiczny, lecz porzucił obydwie projekty, gdy ujawniły się pierwsze trudności. Kolektywizacja rolnictwa była zaledwie pozorem, a jednak po 56 roku reżim ciągle nie potrafił zmusić się do zaakceptowania i wyciągnięcia wniosków z tego, że chłopci uprawiają własną, prywatną ziemię.

Tę listę można by ciągnąć dalej. Prawdopodobnie tylko dwa przedsięwzięcia zostały sfinalizowane. Pierwszym było wyposażenie i wyszkolenie sił zbrojnych w latach siedemdziesiątych. Drugim, zakończona sukcesem na kilka dni przed upadkiem Gomułki, jego czterdziestolecie

212

Westpolitik zmierzająca do osiągnięcia zachodnio-niemieckiego uznania granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Jednak najpoważniejszym "niedokończeniem" było niedokończenie protestu. "Naturalny" impet z 1956, 1970, a szczególnie z 1980 roku mógł doprowadzić do obalenia reżimu. Nie jest ważne, czy następny reżim byłby także socjalistyczny. Ważne jest to, że "geopolityczna" sytuacja Polski czy też "racja stanu" - słowem militarna potęga ZSRR - stworzyły powszechną zgodę na to, że bunty muszą być sztucznie powstrzymywane zanim osiągnęły swój cel.

Szeroko uznawana w Polsce europejska tradycja ustrojowa odróżnia kryzys, który zmienia ekipę rządzącą od kryzysu kończącego całą erę polityczną i powodującego powstanie nowego ustroju. Po wojnie historia Polski była historią trzech "Staatskrisen" /kryzysów politycznych/ występujących jako "Regierungskrisen" /kryzysy rządowe/. Gomułce, Gierkowi i Kani pozwolono zachowywać się tak, jak gdyby siły, które wyniosły ich do władzy, życzyły sobie jedynie zmiany ekipy rządzącej, a nie zmiany samego systemu.

Z tych niedomówień, najbardziej przejawiających się w udaremnionych rewolucjach, zrodziły się nieznośne napięcia. Socjolog Stefan Nowak opisał rozpowszechnienie autorytarnych postaw w polskim społeczeństwie - jednoznaczny symptom silnych zbiorowych napięć - oraz zaobserwował coś, co oględnie określił jako "dużą dawkę wzajemnej interpersonalnej agresji w stosunkach społecznych". Napięcia zostały jeszcze uwydatnione gęstą mgłą eufemizmu, nowomową i czystą fikcją roztaczaną po to, by ukryć owe zjawiska nie-

całkowitości.

Przepaść dzieląca opis od rzeczywistości - "fikcyjny" charakter wszystkiego, tak dobrze wyrażony w 1978 roku przez jednego z autorów DiP - stała się szczególnie trudna do zniesienia, gdy ogromny powojenny rozwój polskiego szkolnictwa wykształcił już pokolenia coraz lepiej poinformowanych i myślących ludzi. Trzeba jednakże powiedzieć, że w Polsce zawsze istniała skłonność do dysonansu poznawczego, czy były to złudzenia szesnastowiecznej szlachty uważającej się za równą magnatom posiadającym setki razy więcej ziemi, czy powojenna paranoja związana z nieistniejącą już ludnością żydowską. Nawet "Solidarność" poczęta w buncie przeciwko podwójnemu życiu i oszustwom, umiała być przewrotna w odmowie uznania własnego politycznego charakteru. Ten totalny chaos rzeczywistości i fikcji zadecydował o typie opozycji, która powstała w latach siedemdziesiątych i ostatecznie doprowadziła Polskę do roku 1980. Żeby przeprowadzić, na przykład, socjalistyczną rewolucję wymagane są przynajmniej podstawowe ustalenia; czym jest socjalizm, jaką siłą dysponują wyzyskiwacze i żandarmi. Żadne z takich ustaleń nie było możliwe w Polsce, w kraju, w którym pod koniec lat siedemdziesiątych nie było jasne nawet to, kto naprawdę sprawuje władzę.

W tych gęstych ciemnościach większość społeczeństwa tylko instynktownie poszukiwała znanych i dających się po omacku rozpoznać ostatnich wiarygodnych punktów oparcia. W większości przypadków był to Kościół. Tuż obok niego znajdowało się zawsze bliskie i proste dziedzictwo polskiej tradycji narodowej. To właśnie tutaj,

Polacy jak uciekinierzy natrafiający na wyjście z płonącego gmachu, odnaleźli się razem, przegrupowali i odczuli własną zbiorową siłę.

Jak zwykle w podobnych sytuacjach, podłoże owej integracji było do pewnego stopnia wyimaginowane. W rzeczywistości historia polskich powstań narodowych mówi, że prawie wszystkie z nich stały się równocześnie zaciękłymi wewnętrznymi walkami Polaków. Katolicka hierarchia nie zawsze była rzecznikiem ludzi pracy; to właśnie kardynał Wyszyński zapewniał, że Kościół nigdy więcej nie zacznie utożsamiać się z rządzącą oligarchią. Przede wszystkim jednak nie ma żadnego precedensu insurekcja narodowa, która całkowicie uniknęłaby - przez ugodę ze swymi przeciwnikami - rozlewu krwi i która zdławiłaby wrogie nastroje wobec Rosji. Polski Sierpień 1980 roku ujawnił wiele cech neonacjonalizmu. Jednak ruch ten skierował się raczej ku narodowi jako miejscu dającemu ogarnąć się chłodnym spojrzeniem zdrowego rozsądku, niż ku pogoni za dalszymi iluzjami psychodelicznego szowinizmu. I gdyby, po raz pierwszy od 35 lat, krajobraz wydarzeń stał się bardziej wyrazisty, odwrót od nacjonalizmu zostałby - być może - rozpoczęty.

Najbardziej dalekosiężną ze wszystkich idei zrodzonych przez opozycję lat siedemdziesiątych było wezwanie do "samorządności" - "Polska ruchów społecznych" zaproponowana przez Kuronia. Nie zawsze rozumiano, że nie była to jedynie taktyka przeciwko autorytarnemu państwu, czy przejaw utopijnej demokracji, lecz również idea głęboko tkwiąca w tradycji. Od końca XVIII wieku historia Polski była historią okupacji i oporu rozgrywającą się wśród instytucji

zarządzanych i czasem kierowanych przez obcych. Prawdziwa, autentyczna Polska bez iluzji istniała jedynie wówczas, gdy spotkała się grupa obywateli i podjęła własne decyzje.

Najbardziej spektakularnymi przykładami "samorządności" były oczywiście same konspiracje narodowe. Ich znaczenie nie polegało tylko na zbieraniu broni czy barykadowaniu ulic Warszawy. Samo ich istnienie jako autentycznie polskich ośrodków dyskusji i decyzji było również rewolucyjne. Polacy byli wyczuleni na tę różnicę między funkcją a strukturą i widzieli rozmnożenie się "nieoficjalnych" grup opozycyjnych i wydawnictw jako "samorządność" w tym podwójnym sensie. Gdzie taka grupa ludzi zebrała się razem, tam otwierała się niewielka przestrzeń, która mogłaby - w tej narodowej perspektywie - w uzasadniony sposób być nazwana "Polską".

W 1979 roku masowe emocje rozbudzone wizytą Papieża były mniej znaczące politycznie, niż fakt, że katolickie społeczeństwo przejęło od państwa organizację i kontrolę wszystkich uroczystości. Milicja nie była widoczna, władze zapewniły helikoptery i środki transportu. A właśnie młodzi ludzie w biało-żółtych opaskach na rękawach stali wzdłuż ulic i pilnowali porządku wśród tłumów. Cały naród oglądał to w telewizji z uniesieniem i dumą trudną do pojęcia w społeczeństwie zachodnim.

Owa przestrzeń znacznie się wtedy powiększyła. Trwało to tylko przez dwa tygodnie pielgrzymki Papieża, ale po raz pierwszy spontaniczny "ruch społeczny" ogarnął cały kraj. Rok później mieszkańcy miast Wybrzeża zorganizowali się za bramami stoczní. Niebawem te nowe przestrzenie nazwane

Polską działały wspólnie i rozszerzały się, aby objąć każde miasto, wieś i gospodarstwo pomiędzy morzem a górami na południu. Liczący wiele milionów twórcy tej przestrzeni, tym razem dążyli do tego, aby pozostała ona otwarta na zawsze.

tł. BP.

Lawrence Weschler

MAJ 1981^x

Istnieje pewna ciemna strona wszechobecnego w Polsce katolicyzmu. Niezwykle rozważni i wrażliwi polscy intelektualiści twierdzą, że Polska dzisiaj jest prawdopodobnie najbardziej etnicznie jednorodnym narodem w Europie. "Czysty w 98%" - oto zdanie, które często słyszę wypowiedziane bez śladu ironii. We wrześniu 1939 roku w Warszawie zamieszkiwało więcej niż 30% ludności żydowskiej, proporcja była podobna w innych miastach Polski /więcej niż trzy miliony Żydów żyło w całym kraju/. Na długo przed najazdem hitlerowskim Żydzi w Polsce stanowili przedmiot znacznych prześladowań ze strony ludności, a istnieją poważne podstawy, by twierdzić, że pewne elementy polskiego społeczeństwa

x/ Fragment rozdziału pod tym samym tytułem z książki "The Passion of Poland. From Solidarity Through the State of War" /Polska droga krzyżowa. Od Solidarności do stanu wojennego/, Nowy Jork, Pantheon Books, s. 16-24.

przychylnie odnosiły się do inwazji dopóki widziały w niej możliwość rozwiązania odwiecznego problemu żydowskich "zanieczyszczeń". Po wojnie setki wynędzniałych Żydów powracających z obozów koncentracyjnych do rodzinnych miast spotkały prześladowania. W 1968 roku oficjalna antysemitcka czystka jeszcze bardziej przerzedziła "pozostałości" Żydów. W maju 1968 roku, gdy podróżowałem po Polsce, dowiedziałem się, że liczba pozostałej populacji Żydów w Polsce waha się w granicach od 5 do 7 tysięcy. Pewna osoba z Warszawy szacowała, że w mieście pozostało 200 Żydów./.../

We wczesnym okresie mego pobytu w Warszawie mieszkalem na ulicy Krochmalnej, w sercu tego, co czterdzieści lat temu było gettem. Czytałem I.B.Singera i chodziłem jego ulicami: Miłą, Nowolipkami, Chłodną, Leszno. Żydzi wymarli, ich język zaginął, nie pozostały nawet budynki. Chociaż warszawiacy skrupulatnie odbudowali Stare Miasto, projekt dokładnej rekonstrukcji zatrzymał się na granicy getta. Jego dawne ulice są teraz wytyczone przez mury wysokich bloków masowej produkcji. Polskie dzieci bawią się beztrudno tam, gdzie wiosną 1943 roku bojownicy żydowskiego ruchu oporu ginęli w ostatnich dniach powstania w getcie. Nie widziałem tam żadnej tablicy pamiątkowej. Usiadłem w parku czytając Singera i zastanawiałem się, jak w ogóle można by uznać to za miejsce, o którym pisał. Po Żydach bowiem nic nie pozostało, a to, co nadal istnieje - dziwnie niezmienione mimo ich nieobecności - to antysemityzm.

Pewnego popołudnia zawędrowałem do parku pomiędzy blokami, gdzie odkryłem wielki pomnik z brązu i granitu - pomnik Bohaterów Getta.

218

Był to jedyny pomnik, jaki zobaczyłem w ciągu całego mego pobytu w Polsce, nie pokryty kwiatami świadczącymi o pamięci.

Innego popołudnia zaszedłem na wschodni kraniec i poza murami tego, co niegdyś było gettem, znalazłem się w innym czasie. W zbitej gęstwinie bujnego listowia, natrafiłem na żydowski cmentarz. 400-letnie płyty grobowe leżące jedna na drugiej, spękane i poprzecyłane nagrobki, rozbite kolumny, niszczące figury, wyrwane napisy. Cmentarz zdaje się rozciągać na całe hektary, a wszystko roztopione jest w zielono cętkowanym świetle. Głęboko w gęstwinie, kilku ludzi zajętych syzyfową pracą. Z domku wyłania się stary mężczyzna, zgięty jak gdyby pod ciężarem wielkiej metalowej gwiazdy Dawida zawieszanej na szyi. Pracowicie wyhaftowana jarmułka zakrywa jego rzadkie włosy. Mężczyzna przedstawia się jako dozorca cmentarza. /.../

Pokazuje nam kwatery bankierów, szewców i uczonych. Prowadzi nas obok nagrobków "grojse rebe" /wielkich rabinów/, a potem obok grobów dwóch największych żydowskich pisarzy: S. Anskiego i I. L. Pereca, a jeszcze później do kwatery komunistów i bundowców. "Zostawiamy ich tu, żeby mogli dalej toczyć swoje dyskusje" - mówi uśmiechając się. W pewnym momencie wychodzi z lasu na pustą polanę. "To myśmy zrobili" - tłumaczy. "W czasie wojny hitlerowcy kazali nam, Żydom dostarczać piasek na cementowy mur jaki budowali, żeby zamknąć getto - i kazali nam wykopywać go z cmentarza. Więc żeby jak najmniej zbeczcześcić cmentarz, Żydzi przenieśli groby z tego miejsca w inną część lasu, a tu kopali. Kopali coraz głębiej i głębiej, tak

że nie musieli niszczyć cmentarza gdzie indziej. W końcu powstał ogromny dół. Później hitlerowcy użyli go na masowy grób". Przechodzimy dalej, mijamy groby krawców, kupców i bohaterów ruchu oporu. Niektóre z grobowców są zadziwiająco świeże. "Jej córka jest w Ameryce" - tłumaczy dozorca przy grobowcu z datą 1967 rok. Z żydowskiego cmentarza idziemy na Al. Swierczewskiego 79, gdzie według starego przewodnika po Warszawie ma się znajdować Żydowski Instytut Historyczny i muzeum poświęcone powstaniu w getcie. Miejsce to jest zamknięte na głucho. Dobijamy się do drzwi. Nie ma odpowiedzi. Jest środa, czwarta po południu. Zbieramy się do odejścia, gdy skrzypią otwierane drzwi. Stary, pucułowaty i bezzębny mężczyzna, w taniej szarej marynarce, staje w drzwiach i pokazuje na migi, że muzeum jest zamknięte. Nie zna angielskiego, ani jidysz /jestem niemal pewny, że jest Polakiem, katolikiem/, ale zna język pieniądza i za drobną łapówkę wpuszcza nas do środka. Za 100 złotych można załatwić prawie wszystko.

Wnętrze muzeum wygląda przynębiająco. Na dole wystawiono w pięknej gablocie pokryte kurzem święte zwoje Tory. Wielka menora leży wywrócona. Na piętrze ślady wielkiej wystawy poświęconej gettu podczas hitlerowskiej okupacji. Dzisiaj postrzępione, pozwijane fotografie odrywają się od tła, na podłodze walają się podarte mapy, na ścianach wiszą do góry nogami powiększenia smutnych, zrezygnowanych, pełnych wyrzutu twarzy. W szklanej, rozklekotanej gablotce wystawiono zardzewiałą bańkę na mleko i kilka rozpadających się metalowych pojemników. Są to pojemniki zawierające materiały archiwalne

220

pieczołowicie zbierane w getcie i przechowywane z narażeniem życia. Archiwalia, dokumenty zakopywane po to, by je odszukać, odszukane i rozpakowane leżą teraz całkiem zapomniane w nowej masakrze pamięci. Na najwyższym piętrze z rozwalonych pudeł wysypują się stosy korespondencji - to listy poszukujące zaginionych krewnych datowane w 1945, 1946 roku. Stare fotografie leżą porozrzucane po podłodze, płowiejąc w dziennym świetle. Przy wyjściu kartkuję księgę pamiątkową. W tym roku było tylko dwóch zwiedzających. Jeden z nich nabazgrał "Wstydl!"

Wszystko, co widzę potwierdza to, co słyszałem o Polsce od polskich Żydów żyjących obecnie w Izraelu, Francji i USA. Przed moją podróżą stale stykałem się z jawną nienawiścią do Polski i Polaków, zimną furią na wspomnienie antysemityzmu, który - jak mi mówiono - szerzył się w polskim społeczeństwie przed i podczas wojny.

"Czy myślisz, że to zbieg okoliczności, że Niemcy umiejscowili w Polsce tak wiele obozów koncentracyjnych?" - zapytał mnie znajomy z Nowego Jorku. "Polacy godzili się na takie rzeczy, na które nie zgodziliby się nawet Niemcy." Kobieta z Izraela porównywała postępowanie władz węgierskich, które od czasu do czasu próbowały chronić swoich Żydów i faktycznie uratowały w ostatnim etapie wojny dziesiątki tysięcy, i Polaków, którzy - jak uparcie twierdziła - okazywali mało takich odruchów. "Dzisiaj w Polsce synagogi służą jako garaże!" "Kiedy słyszę historię o brakach i ciężkich czasach w Warszawie - powiedział mi żydowski emigrant z Polski mieszkający obecnie w Los Angeles - chciałbym móc powiedzieć, że współczuję.

Ale wiesz co - to nie mogło się przydarzyć ludziom, którzy bardziej by na to zasługiwali". "Historia Żydów w Polsce posiada swoje ciemne karty - podsumował inny, mieszkający aktualnie w Nowym Jorku - lecz obawiam się, że jest to obecnie kwestia zamknięta. W rzeczywistości dzisiaj kwestia żydowska w Polsce nie istnieje". Jego słowa zostały powtórzone w Warszawie przez starego, zmęczonego człowieka, prawdopodobnie około siedemdziesiątki, który uratował się z łódzkiego getta. "Życie ludzkie zawiera się w przejściu między drzwiami. Dla Żydów w Polsce dzisiaj są otwarte tylko jedne".

Byłem zatem przygotowany, aby zakończyć książkę, zamknąć drzwi za moimi wrażeniami w kwestii polsko-żydowskiej. Tylko że z pewnego względu nie zamknęły się one całkiem. A to z tego powodu, że spotkałem się z kilkoma, chociaż słabymi przejawami zainteresowania tymi sprawami i ze strony Polaków. Pod koniec mojej podróży po Polsce dowiedziałem się, że członkowie KIK-u pracują społecznie na warszawskim kirkucie, że tworzy się komitet polskich intelektualistów i działaczy kultury dla ochrony żydowskich cmentarzy i synagog w całym kraju. Także podczas późniejszych odwiedzin w Żydowskim Instytucie Historycznym w Warszawie spotkałem kilku ludzi pracujących nad archiwaliami. Okazuje się, że bardzo wybitny zespół Instytutu wyjechał z Polski podczas antysemitkich czystek 1968 roku, ale od tego czasu doszło kilka osób, które choć w minimalnym stopniu usiłują podtrzymać działalność Instytutu mimo faktu, że prawie żaden z nich nie mówi i nie czyta ani po hebrajsku, ani w jidysz. Planuje się w przyszłości

ponowne otwarcie galerii wystawowej.

Lecz najważniejszy powód mego powrotu do kwestii polsko-żydowskiej to zorganizowanie się grupy młodych Żydów, na którą natknąłem się podczas kilku ostatnich dni mego pobytu w Warszawie. Nikt o nich nie wie, ale istnieją i schodzą się w dni świąteczne oraz co tydzień w szabatowy posiłek - aby wzajemnie podtrzymywać się na duchu i czegoś się dowiedzieć. W większości wypadków ci młodzi - około trzydziestki - ludzie, pracujący zawodowo /są to wydawcy, matematycy, psychologowie/ dowiedzieli się o swoim żydowskim pochodzeniu dopiero w ciągu ostatnich lat. Po tym odkryciu poświęcili wiele czasu starając się przyswoić tę nagłą i nieoczekiwaną wiadomość.

"Historia większości z nas jest taka sama" - mówi mi jeden z nich, psycholog, podczas spaceru po dawnym getcie - jesteśmy dziećmi średnich i wysokich urzędników aparatu partyjnego. Nasi rodzice byli przed wojną socjalistami i komunistami, którzy już wówczas nie mieli pojęcia o swoim żydostwie. Byli marksistami i ateistami, a gdy wybuchła wojna lub w niektórych wypadkach wcześniej, uciekli do Moskwy. Los polskich komunistów w ZSRR w latach trzydziestych i czterdziestych był tragiczny - wielu zesłano do Gułagu. Ale oni rzeczywiście wierzyli i trzeba sobie dobrze uświadomić to, że ci stali- niści nawet w obliczu oczywistych dowodów tyranii, jak więzienie, wygnanie, egzekucje przyjaciół i krewnych, a także i wówczas, gdy sami stanęli w obliczu śmierci, pozostali prawdziwie wierzącymi komunistami. Umieli znaleźć wytłumaczenie dla tak krzyczących niesprawiedliwości twierdząc,

że Stalin nie wiedział, że taka jest natura rewolucji i że trwały sukces radzieckiego eksperymentu wymaga ofiar. Po wojnie ci, którzy przeżyli powrócili z Armią Czerwoną do Polski i wzięli czynny udział w ustanawianiu w kraju władzy ludowej. Tylko że oni byli żydowskimi ateistami, a my, ich dzieci, nie byliśmy nigdy wychowywani jako Żydzi i często nie mówiono nam nawet, że jesteśmy Żydami. O tym dowiedzieliśmy się dużo później - większość z nas w 1968 roku, gdy nagle zostaliśmy zaatakowani jako Żydzi, gdy partia obróciła się przeciwko własnym członkom traktując ich jak kozły ofiarne i wyrzucając z Polski na masową skalę podczas czystek. Większość z nas nadal próbowała ukrywać swoją żydowskość, ale w ciągu ostatnich kilku lat niektórzy z nas powrócili - jakby to Pan powiedział - do swoich żydowskich "korzeni" i odkryliśmy się nawzajem".

Pytam go, jak wielu Żydów żyje dziś w Polsce. "Liczba, którą się na ogół słyszy - pomiędzy 5 a 7 tysięcy - jest śmiesznie niska. Są dziesiątki tysięcy ludzi takich, jak my i tysiące innych, którzy wciąż nie wiedzą, że są Żydami. Po pierwsze, pomiędzy tymi, którzy przeżyli wojnę tu w Polsce, dokonał się naturalny proces selekcji i w większości wypadków nie wyglądają oni na Żydów".

Pytam go, czy spodziewa się jakiegoś żydowskiego odrodzenia w Polsce. "Jest o wiele za wcześnie na takie spekulacje. Większość z nas działała podczas obecnej odnowy politycznej, a los jakiegokolwiek odrodzenia żydowskiego będzie nieuchronnie związany z losem całego narodu polskiego. Jeżeli znajdzie się otwarta droga dla Polaków, być

224

może otworzy się ona i dla nas".

To mnie dziwi. Czy nie wierzy Pan, jak większość na emigracji, że Polacy są z natury zdecydowanymi antysemitami? "Nie, to nie takie proste - odpowiada mój rozmówca. Historia Żydów w Polsce jest niezwykle skomplikowana i nie można jej ograniczyć do twierdzenia, że Polacy są antysemitami".

Od niego i jego przyjaciół Żydów usłyszę ponownie to zapewnienie, a wszyscy podają zasadniczo ten sam powód, który jest - prawdę mówiąc - uproszczeniem, ale podstawowa jego przesłanka jest logiczna: Polacy w głębi serca nigdy nie byli antysemitami. Byli oni zawsze wielkimi patriotami, dumnym i cierpiącym narodem, pozbawionym swojego państwa i tęskniącym za nim. W przeszłości zetknęli się z wielką populacją żydowską, której rozmiar dowodzi wcześniejszej otwartości Polaków, a szczególnie szlachty w stosunku do imigracji żydowskiej. Żydzi mieli skłonność do trzymania się razem w swoich gettach. Łatwo więc zrozumieć, dlaczego w XVIII i XIX wieku patriotyczni Polacy mogli uważać Żydów za obcy element. Obce władze - szczególnie Rosjanie - wykorzystywały to zaniepokojenie wygrywając Żydów przeciwko Polakom i traktując to jako część strategii podporządkowywania sobie obu narodowości. Młodzi Żydzi z Polski utrzymują, że pogromy jakie zdarzały się w Polsce były inspirowane z Rosji, że nigdy nie było pogromów rdzennie polskich /"A Rosjanie? Rosjanie byli zawsze zaciekłymi antysemitami"/. Pod koniec XIX wieku według tego poglądu, kapitalizm przybył na ziemię polską za pośrednictwem Niemców i miejscowych Żydów. Wiele z największych

przedsiębiorstw /szczególnie fabryk tekstylnych/ było własnością żydowską. "Polska niechęć jest zrozumiała - powiedziano mi - Polacy, którzy nie mogli pogodzić się z klasą ponurą niemiecko-żydowską często kierowali swój gniew przeciw ubogim Żydom. Nie świadczy to dobrze o Polakach, ale jest to zrozumiałe".

W latach dwudziestych Polacy osiągnęli byt państwowy, ale 10% ludności stanowili Żydzi, którzy byli wciąż mocno skupieni w zamkniętych wspólnotach usytuowanych w centrach miast. Wielu ludzi, zarówno Polaków, jak i myślących Żydów, odczuwało tę obecność jako kłopotliwą, bo w ostatecznym rozrachunku obcą. Stąd syjonizm zyskiwał w Polsce zwolenników. Tymczasem inni Żydzi działali w partii komunistycznej /KPP/ i byli zwolennikami modelu sowieckiego i to w kraju, który niedawno zrzucił imperialne jarzmo rosyjskie. Lecz chociaż pojedynczy Polacy często byli antysemitami, nigdy w polskiej historii nie było zinstytucjonalizowanego antysemityzmu, jak to często bywało we Francji, Rosji i Niemczech. Najbardziej przekonującym dowodem względnej łagodności polskiego antysemityzmu jest okres okupacji hitlerowskiej. Wiadomo, że wielu Polaków nienawidziło Żydów i większość chciała pozbyć się ich z kraju, a jednak w okresie od wybuchu wojny do wprowadzenia zamkniętych gett, w Polsce nie było pogromów. Hitlerowcy niewątpliwie pozwoliliby na nie, ale Polacy nie skorzystali z tak niehumanitarnego przyzwolenia.

"Niewątpliwie krucha jest podstawa, na której opieramy się żądając humanizmu - mówi mój przyjaciel, psycholog - ale po prostu istniało przekonanie, że Polacy nie postępują w ten sposób.

Nienawidzili Żydów, pragnęli ich się pozbyć, ale nie zabijali ich, ponieważ Polacy nie zabijają niewinnych, bezbronnych ludzi. Tego po prostu nie robili. A zanotowano wiele przypadków, kiedy "antysemiccy" Polacy dawali Żydom dach nad głową i przechowywali ich przez całą wojnę".

Po wojnie, gdy większość Polaków wiązała nadzieje z emigracyjnym "rządem londyńskim", czynniki geopolityczne zadecydowały o narzuceniu Polsce komunizmu z Moskwy, reżimu o nieproporcjonalnie dużym udziale osób pochodzenia żydowskiego. "W późnych latach czterdziestych ponad 40% członków polskiej partii komunistycznej to byli Żydzi" - utrzymuje mój przyjaciel, psycholog. Raz jeszcze Polacy poczuli się zależni od obcych sił.

Spytałem jednego z młodych Żydów, czy razi go widoczny brak uczczenia pamięci Żydów pomordowanych w Oświęcimiu. /Chociaż sytuacja nieznacznie się poprawiła - do niedawna obóz był traktowany jako "pomnik martyrologii narodu polskiego i innych narodów" z Żydami wymienionymi na liście obok Węgrów, Francuzów, Jugosłowian i innych europejskich narodowości/.

"Jest to typowy zarzut - odpowiada - ale jedyną rzeczą jakiej Żydzi zza granicy nie rozumieją, to faktu, że miliony Polaków - Polaków a nie Żydów - także zginęło w Oświęcimiu. Jeśli postawi się ten zarzut Polakowi, odpowie on: przecież Żydzi mają swój własny pomnik Holocaust w Jerozolimie. I jest to w pewnym stopniu uzasadnione. Z kolei, powodem, dla którego w Polsce było tyle obozów koncentracyjnych nie było, jak słyszałem od Żydów zza granicy, to, że Polacy chcieli mieć je tutaj, lecz to, że

hitlerowcy po eksterminacji Żydów, następnie przystapiliby do wymordowania Polaków".

"Czy czystki w 1968 roku nie były przykładem antysemityzmu ze strony państwa polskiego?"

"Przede wszystkim znajdzie się niewielu z nas, którzy by w jakiegokolwiek kwestii bronili postępowania władz po 1945 roku. Po drugie - kampania była głównie wewnątrzpartyjna - to nie było zjawisko polskie, a raczej polskiej partii komunistycznej. Pewne elementy w partii dostrzegły szansę wyeliminowania zarówno ojców-stalinowców, jak i synów-dysydentów, zarówno prawego, jak i lewego skrzydła partii, i w ten sposób przygotowały sobie pewne pole manewru, z którego korzystają do dziś. A po trzecie - była to patetyczna próba podjęta jawnie przez kolonialny reżim wykorzystania patriotyzmu i ukazania się w oczach obywateli bardziej polskim reżimem dzięki rozpoznaniu i zaatakowaniu obcego elementu".

Decyduję się nie zadawać następnego, oczywiście pytania: o czym to świadczy, jeżeli patriotyzm może być "podrzucony" społeczeństwu przy pomocy antysemityzmu.

Młody człowiek ciągnie dalej. "Ale najważniejsze, że prawdziwy polski charakter ujawnił się niedawno, gdy rozmaite pseudooficjalne grupy próbowały bez żadnego powodzenia skompromitować obecną odnowę polityczną poprzez skupienie uwagi na jej żydowskich elementach". /.../

A co z faktem, że Czesław Miłosz, urodzony na Litwie, eseista i poeta, który pisze po polsku, był czczony jako bohater narodowy, gdy otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury w 1980 roku, podczas gdy Izaak Baskeris Singer,

228

który urodził się w Polsce i którego opowiadania dotyczą głównie Polski przedwojennej, był przemilczany w jego Ojczyźnie, gdy otrzymał tę samą nagrodę 2 lata wcześniej?

"Mało znany amerykański pisarz, który tworzy w języku jidysz" - tak oficjalna prasa charakteryzuje Singera. "Wyjechał i dostał Nobla za maszynę do szycia" - jak głosił dość popularny dowcip. Żadna z książek Singera nie jest dostępna w Polsce, chociaż kilka opowiadań zostało ostatnio przetłumaczonych i ukazało się w czasopiśmie.^{x/}

"Znowu to nie takie proste, jak się zdaje - upiera się mój przyjaciel - Singer nie związał się z Polakami. Przeczytaj te opowiadania, tak jak ja je przeczytałem, po angielsku. Polacy rzadko w ogóle się w nich pojawiają, a jeśli już, to jako obce, papierowe postacie. Zasadniczo Singer nie jest polskim pisarzem, na pewno nie tak, jak Miłosz".

I tak dalej. Dziwnie słyszeć od Żydów tego rodzaju tłumaczenie. Stopniowo dochodzę do tego, że widzę tych młodych ludzi nie jako polskich Żydów, lecz raczej jako żydowskich Polaków - jako nową rasę. Są to ludzie, którzy wzrosli w wyobrażeniu o swojej polskości, prześlakli zagorzałym, romantycznym patriotyzmem swoich przyjaciół i kolegów, a dopiero ostatnio

x/ W międzyczasie ukazały się Singera: "Dwór" /Warszawa 1983/, "Spuścizna" /Warszawa 1983/, "Sztukmistrz z Lublina" /Warszawa 1983/ - "Magiczna moc" /Opowiadania ze zbiorów "A Friend of Kafka" i "A Crown oh Feathers" and other stories"/ /Warszawa 1983/ - przyp. redakcji.

doszli do swojej żydowskości i stanęli przed trudnym zadaniem pogodzenia jej ze swoim dotychczasowym życiem.

Nie jestem całkowicie pewny, co sądzić o ich weracji sprawy polsko-żydowskiej. Wiem na pewno, że poprzez spotkanie z tymi młodymi żydowskimi Polakami doszedłem do głębszego zrozumienia tragicznej natury wzajemnego przenikania się dwu narodów w tym kraju, pełnego nakładających się na siebie paradoksów. Bo dzieje Polaków i Żydów zdają się nawzajem wyjaśniać. Gdy mówimy, że Polska, jak głosi Słowacki, jest Chrystusem narodów - to musimy pamiętać, że w tym momencie myślimy o Jezusie-Żydzie, ofierze rzymskiej okupacji Palestyny. Sytuacja Polaków w ciągu większej części ostatnich dwu stuleci - naród, język, religia, literatura, kultura tworzone bez państwa - jest zagadkowo podobna do sytuacji Żydów. Wiele zostało napisane na temat mesjanistycznych tęsknot, z którymi był związany polsko-żydowski chasydyzm pierwszych lat XIX wieku, lecz polsko-katolicki romantyzm przypisywał narodowi podobne posłannictwo. Okrutną ironią historii jest to, że te dwa wizjonerskie narody pozbawione własnej państwowości musiały dzielić ten sam skromny kawałek ziemi w tym samym okresie.

Kiedyś spytałem Polkę, katoliczkę, czy czytała Księgę Hioba, która wydaje mi się być tak bardzo księgą o Polsce. "Śmieszne, że o tym wspominasz - odpowiada - jako katolicy rzadko czytamy Stary Testament. Ale Miłosz na emigracji w Ameryce nauczył się hebrajskiego, aby móc przetłumaczyć fragmenty Pisma św. i właśnie opublikował niezwykle polską wersję Hioba. Jest ona

u nas bardzo znana."

tl. ABJ

ZGUBIŁO WAS POWODZENIE

z NORMANEM DAVIESEM, historykiem angielskim,
rozmawia Ewa Berberyusz.

Wygląda jak polski czterdziestolatek, tym typowym wyglądem polskich miast i wsi. Zastaje go, jak transportuje przez okno fortepian do swojego nowego mieszkania na poddaszu w północnej części Londynu. Ale i tą drogą fortepian nie chce przejść; otwory w pięknych "kamieniczkach" typu "Georgian" są za małe na tak duży sprzęt. Więc będzie musiał zrezygnować ze swojego hobby: gry na fortepianie. Z zawodu historyk. Rozgłos zawdzięcza pracom na temat Polski: dwutomowej syntetycznej historii jej dziejów pt. "God's Playground" /Igrzysko Pana Boga/ oraz jeszcze bardziej syntetycznemu ujęciu tematu pod zmienionym tytułem "Heart of Europe. A short History od Poland" /Serce Europy. Krótka historia Polski/. Jego prace nie są "brykiem". Skrótowość nie oznacza powierzchowności; w klarownym, jasnym wywodzie zawarł oryginalny własny punkt widzenia na nasze dzieje. Rozmowę odbywamy po polsku, przedstawiam ją z niewielkimi poprawkami językowymi.

Ewa Berberyusz: Czym jest dla Pana Polska?

Norman Davies: Przede wszystkim zbiorowiskiem

ludzi, których znam, cenię i kocham. Poznają Polskę od dwudziestu paru lat i wciąż mnie fascynuje, wciąż odsłaniają się coraz inne obszary; im bardziej w nie wchodzę, tym, wydaje mi się, mniej o nich wiem.

E.B.: Im głębiej w las...

N.D.: ... tym więcej drzew. Tak, wedle tej zasady. Polski temat dostarcza materiału, którym obdzielić można wielu historyków i to o różnych temperamentach. Idealny teren.

E.B.: Jak Pan nań trafił?

N.D.: Jak chyba każdy obcokrajowiec, przez przypadek. Miałem jechać z grupą nauczycieli do Kosji, nie dostaliśmy wizy, więc nie chcąc tracić już zakupionego biletu kolejowego, przyjechaliśmy do Warszawy.

E.B.: Czyli jednak miłośić zastępczo: nie można kochać Królewny, kocha się Kopciuszka.

N.D.: W bajce Kopciuszek zamienia się w Królewnię! Co do mnie: była to podróż w nieznanym kierunku.

E.B.: No, ale nie przez przypadek celował Pan w Kosję.

N.D.: Nie. Jeszcze wtedy wśród młodej inteligencji angielskiej istniało silne zainteresowanie tym krajem. Kosja wydawała się przeciwieństwem wszystkiego, co było u nas. Intelktualiści zachodni masowo tam jeździli, chcieli się z autopsji przekonać, jak tam jest. Polska okazała się inna niż moje wyobrażenia o niej, od razu mnie podbiła.

E.B.: Czym?

N.D.: Typem kontaktu z ludźmi, sposobem, w jaki Polacy porozumiewali się z nami, no, i treścią tego, co mówili. Były to lata sześćdziesiąte, a oni sporo jeszcze mówili o wojnie.

E.B.: To Pana tak zafrapowało?

N.D.: Musi Pani pamiętać, że wojna w Polsce była czymś zupełnie innym niż w Anglii, że przeżycia ludzkie miały tu zupełnie inny wymiar. Właściwie od tego zetknięcia z polskimi wojennymi doświadczeniami zaczęło się moje zainteresowanie historią Polski. Bardzo też ciekawił mnie Kościół. Wywodzę się z rodziny protestanckiej i cały świat katolicki był dla mnie egzotyką. Pamiętam, jak wielkie wrażenie wywarła na mnie "walka o krzyż" w Nowej Hucie...

E.B.: Opór się Panu podobał?

N.D.: Tak, bo był autentyczny i pochodził z dołu, od prostych ludzi. Egzotyką był też dla mnie ten cały wasz bałagan, z pozornym tylko brakiem logiki. Wszystko inaczej niż u nas. Trudno mi było na przykład pojąć, że milicja to gangsterzy; milicjant, który bez żenady proponuje wymianę waluty na czarnym rynku.

E.B.: Czy chce Pan przez to powiedzieć, że angielscy policjanci są bez skazy?

N.D.: Tak przynajmniej przeciętny Anglik o nich myśli.

E.B.: No dobrze, a co się Panu u nas nie podobało?

N.D.: I co mi się nie podoba do dziś - to ta wasza wieczna pretensja do obcych za historię własnego kraju.

E.B.: No tak. "Noce Polaków rozmowy" przeważnie schodzą na jedno: jak to nas w historii wykorzystywano. Nie rozpoczynajmy tego tematu. Zapytam Pana, jak pytam wiele osób: Za kogo się Pan uważa?

N.D.: Za pisarza, który wyjaśnia problemy pewnych wybranych grup i jednostek szerszemu gremium. Uważam historię za gałąź pisarstwa. Brak mi

cierpliwości do "historii socjologicznej",
zawsze bardziej interesowały mnie dzieje jednów-
tek, i niekoniecznie tych najbardziej znanych.

E.B.: Stąd zapewne tyle w Pańskich pracach
interpretacji zjawisk historycznych poprzez
dzieła literackie. Czy uważa Pan, że literatura
jest kluczem do zrozumienia historii?

N.D.: Jednym z kluczy, na pewno. Jak również
jest nim, prócz dokumentów - bajka i legenda.

E.B.: Nie przeraża Pana ugrzęźnięcie w polskim
temacie?

N.D.: Tak, stale myślę, że powinienem już
z Polską skończyć i zająć się czymś innym,
na przykład historią Włoch; nieile znam włoski
i swoje studia roznoczyłem właśnie od tego
kraju. Ale z drugiej strony kusi mnie napisanie
całościowej historii Polski. Takie zamierzenie:
jeden człowiek wobec tych wszystkich różnorodnych
źródeł, zanurzony w nie, czerpiący z nich,
i żeby to zrobić w ciągu jakichś dziesięciu
lat.

E.B.: A niebezpieczeństwa takiego zanurzenia?

N.D.: No, są. Można się wpakować w zaściankowść,
w parafianstyczność bez znaczenia; choć z drugiej
strony, w Polsce każdy szczegół jest ważny,
bo Polska jest krajem na wskroś europejskim.
Tu krzyżują się wszelkie ważne prądy europejskie
i wszelkie działania. Od początku osiemnastego
wieku Polska staje się w tej samej mierze polem
działania dla innych, co dla działania własnego.
Z tym, że ja nie wierzę, żeby geopolityka była
przyczyną tej całej waszej biedy. To nieprawda.
Polska miała historyczną szansę, żeby zostać
potęgą.

E.B.: Więc gdzie leży przyczyna upadku? Polacy

dyskutują na ten temat od wieków, jak Pan to widzi?

N.D.: Jako kompleks różnorodnych czynników, zawężlonych i nierozwiązanych pod koniec panowania Sobieskiego i na początku osiemnastego wieku. Kompleks czynników wojskowych, politycznych, ustrojowych, społecznych, gospodarczych. Wszystko, moim zdaniem, było do zreformowania. Oczywiście, jednym z czynników była geopolityka, dlatego na przykład Szwecja, która miała podobne słabości co Polska, albo Hiszpania - jeszcze większe - przeżyły. Geopolityka, tak, ale nie tylko...

E.B.: Mogła być jej siłą, ta geopolityka?

N.D.: Mogła. Ciekawe, dlaczego Polska nie stała się mocarstwem, tylko Moskwa, która miała szanse, zdawałoby się, mniejsze, albo Prusy. Prusy były niczym, a jaką stały się potęgą. Rozpatrzmy sprawę w kategoriach psychologicznych: Moskwa i Prusy miały bardzo trudne początki, racjonalnie patrząc, widoki ich na przeżycie jako państwa były nikłe, zwłaszcza w przypadku Prus. I może dlatego, że początki były tak trudne, ta roślina polityczna okrzepła. Polska rozwijała się w XV i XVI wieku niesłychanie szybko, powiedziałbym, za szybko, no i ta szybkość sprawiła, że Polacy odurzyli się swoim powodzeniem, przestali dopuszczać do świadomości ewentualność porażki.

E.B. Więc zgubił nas dynamizm rozwojowy?

N.D.: Boście go nie kontrolowali.

E.B.: A jednak Pan nie rozstaje się z tym krajem, zadufanym w siebie, zaprzeczającym swoją szansę...

N.D.: Mało! Pragnę temat poszerzyć o problem emigracji. Emigracja polska istnieje od trzystu lat i stale odżywiana jest nową tkanką. Nasz

zakład na Uniwersytecie Londyńskim rozpoczął badania nad najbliższą nam emigracją w Anglii, w zakresie różnych dyscyplin, również dla historyka mało typowych, jak antropologia czy psychologia. Moim zdaniem, emigracja polska ma kolosalne znaczenie dla życia narodu, powiem, że dlatego Polska jest narodem tak wyróżniającym się w bloku komunistycznym, bo ma taką emigrację. E.B.: Ma Pan na myśli jej zasługi piśmiennicze i informacyjne? Tak, ja też doceniam tę poprawkę nad ołówkiem cenzora czynioną jej rękami. Ale temat emigracji wydaje mi się tematem martwym, bo emigracja skazana jest na śmierć z natury rzeczy. Emigracja najpierw cierpi, a potem degraduje się do getta mniejszościowego w kraju zamieszkania. Przechowuje tradycję w sposób bardzo powierzchowny, sprowadzający się do kuchennej obrzędowości. Padło tu już z pańskich ust słowo "parafianstczyzna"; emigracja to wielka prowincja. Oczywiście, istnieją elity, i te są aktywne. Ale i wśród nich obserwuje się zanik najwartościowszych cech "starego Kraju", takich jak, w przypadku Polaków: szczodrobliwość czy gościnność. Może w odruchu obronnym, ale dopesowują się w sposób mało twórczy, raczej imitacyjny, do stylu tubylców. Ja tego nie mówię oceniająco, jest to zapewne proces nieuchronny w każdej emigracji, ale czy musimy o tym mówić? Czuję pewien niedosyt w tym, co Pan powiedział o genezie swojego zainteresowania Polską...

N.D.: Więc powtórzę: nie było tu racjonalnej decyzji z mojej strony. Naukowo lepiej byłem przygotowany do studiów nad Włochami. Z Polską wiązała mnie przypadek i trudne przeżycia osobiste.

Dzięki niemu poznałem głębiej kilku Polaków, których poglądy i wartości mnie zafrapowały i które zapragnąłem poznać szerzej. To wszystko.

E.B.: No i jeszcze raz: co Pana w Polakach razi?

N.D.: Polacy są tak różnorodni! Ale wielu reprezentuje stanowisko absolutnie dla mnie nie do przyjęcia. Jest nim polski nacjonalizm, który spotyka się na każdym kroku. Stąd bierze się przerysowane poczucie własnej krzywdy, stąd ksenofobia, a co najmniej brak tolerancji wobec mniejszości narodowych: Niemców, Żydów, Ukraińców...

E.B.: I obecnie?

N.D.: Obecnie ten "przedwojenny nacjonalizm" jest kultywowany przede wszystkim w propagandzie władz.

E.B.: Ale propaganda nie pokrywa się z opinią społeczeństwa.

N.D.: Niestety, w tym jednym punkcie pokrywa się. Jako historyk jestem szczególnie na to zjawisko wyczulony. Otóż bardzo często słyszę od młodych Polaków, że Gdańsk był zawsze miastem polskim. Absurd! Według mnie, jest się czym szczycić, że właśnie miasto niemieckie, Danzig, było tak lojalne wobec Rzeczypospolitej, że ci dawni Niemcy w Gdańsku - choć byli oni anty-pruscy, byli to jednak Niemcy - czuli się dobrze przy Polsce. Jest nonsensem to, czego się uczy dziś w polskich szkołach, że gdańszczanie byli to albo patrioci polscy, albo Niemcy-polakożercy. Nic podobnego! To się stało dopiero w XIX i XX wieku.

E.B.: No, ale obecnie nie ma problemu Gdańska.

N.D.: To właśnie chciałem powiedzieć: o ile

nacjonalizm miał swoje racje w XIX wieku, kiedy to wśród ludności mieszanej każdy żywił musiał się bronić, o tyle nie ma ich dziś. Dziś żaden nacjonalizm nie ma sensu, zamyka oczy na własną sytuację, oślepia, pozwala sobą manipulować w dowolnym kierunku. I tak, polska opinia "kupiła" od oficjalnej propagandy "legendę piastowską" oraz ujęcie sprawy Ziemi Zachodnich i Kresów Wschodnich. Proszę zapytać młodego Polaka, każdy powie, że Ziemi Zachodnie są odzyskane, a wschodnie nigdy nie były nasze...

E.B.: Więc jaki jest ten obecny czas dla naszego kraju, jak go Pan określi?

N.D.: Jest to dalszy ciąg tego ogromnego okresu ciągnącego się od XVIII wieku, kiedy celem narodu było przede wszystkim przetrwanie; nie ma mowy o jakimś wielkim zwycięstwie; samo przeżycie jest największym osiągnięciem, na jakie Polacy mogą liczyć i na jakim muszą koncentrować swoją uwagę.

E.B.: Przygnębiające. Nigdy się Pan Polską nie nudzi?

N.D.: Nudzi? Nie, nigdy. Wiele można o Polsce powiedzieć, ale nudna nie jest. Przede wszystkim, konieczność samookreślenia się w stosunku do systemu czyni każdego Polaka interesującym. Nikt nie może się wyizolować, musi zająć stanowisko. Głębokie konflikty moralne na tle samookreślenia zachodzące nie tylko w grupach, ale w każdym człowieku indywidualnie, to jest pasjonujące...

E.B.: Tak, system zmusza do zajęcia postawy moralnej. Uzmysławiam sobie ten fakt dość nieoczekiwanie przy lekturze powieści współczesnego pisarza rosyjskiego, Trifonowa. Nikt się nie

może przyczać, nikt nie może zagrać moralności. Od razu widać, kto jest dużą świnią czy małą świnką, kto się świni ze strachu, a kto z cynizmu. U was na przykład, można z kimś życie przeżyć i nie dowiedzieć się, kim jest. Takim sprawdzianem były też czasy okupacji. Polska cieszyła się pochlebną opinią, bo nie wydała ze swego łona żadnego Quislinga. Spotkałam się ze zdaniem wybitnego dziennikarza angielskiego, że gdyby Anglia była pod okupacją, to by masowo kolaborowała, jak Pan myśli?

N.D.: Anglicy nigdy nie stali przed podobnym problemem - nie wiem. Z jednej strony mają w sobie to naiwne poddanie się władzy wynikające z niezagrożonej długo suwerenności; z drugiej - istnieje w nich silne poczucie swobody. Która cecha wzięłaby górę pod obcą okupacją, trudno przewidzieć. Osobiście, mogę doskonale wyobrazić sobie silny ruch oporu w Anglii; niekoniecznie walki zbrojnej, ale całe to państwo podziemne funkcjonujące na zasadzie istnienia własnego obiegu kulturalnego z rozwiniętymi gałęziami sztuki i piśmiennictwa.

E.B. Co Pan myśli o polskiej literaturze?

N.D.: Z dystansu uderza przede wszystkim jej rola społeczna, nieporównywalnie większa niż w społeczeństwach wolnych, które mają możliwość wypowiadania się w inny sposób.

E.B.: Ale ja myślę o wartości artystycznej.

N.D.: Rola społeczna jej nie zmniejsza. Lubuję się w polskiej literaturze, choć mam świadomość jej nieprzetłumaczalności. Taki Mickiewicz czy Sienkiewicz są nie do czytania dla Anglika. Moi studenci nie mogą pojąć, co w nich ciekawego.

E.B.: Wymienił Pan tych dwu pisarzy jednym

tehem, a dla Polaka są oni nieporównywalni. Widać, według Pana, hermetyczność literatury polskiej zawiera się w doli narodu pozbawionego wolności. Ale przecież Irlandia, która też nie miała wolności, stworzyła literaturę uniwersalną.

N.D.: Pisaną po angielsku.

E.B.: Czyli jest to kwestia języka światowego.

N.D.: Chodzi o te subtelne warstwy języka, o ten cały system kodów, znaków, kontekstów, którego nie da się oddać bez straty w innym języku.

E.B.: Czy to walor, czy strata?

N.D.: Ani to, ani to. Po prostu tak się stało.

E.B.: A co się stanie z Polską?

N.D.: Los Polski wiąże się z rozwojem sytuacji światowej.

E.B.: Chodzi mi o ewolucję samych Polaków.

N.D.: Ja to widzę w perspektywie pewnych cykli ustalonych od dwustu lat. Okresy tak zwanego pozytywizmu przeplatają się z "romantyzmem"; bunt i odejście od buntu...

E.B.: Czyli teraz szykuje się okres takiego uśpienia, tak?

N.D.: Tak całkiem to ja nie jestem przekonany, że ten "okres buntu" już się skończył. Istnieją przesłanki na dalszy ciąg tego "powstania"; niezwykłego "powstania", bo "Solidarność" na pewno była "powstaniem", ale w sensie moralnym; jej metody były nietypowe dla dotychczasowej historii Polski.

E.B.: Skutki podobne. Co Pan myśli o religijności Polaków?

N.D.: Różnie. Muszę wyznać, że często uderzał mnie dogmatyzm klerykalny przypominający mi

dogmatyzm protestancki, od którego uciekłem. Z drugiej strony, widzę ten Kościół jako bardzo szeroki, gdzie jest miejsce na wiele postaw. Fascynującym zjawiskiem jest wiązanie się ludzi niewierzących z Kościołem.

E.B.: Nie razi to Pana?

N.D.: Przeciwnie. Uważam to za coś bardzo twórczego, chociaż wiele zależy od ludzi i od środowiska. Pamiętam spotkanie na KUL-u, gdzie chciałem mówić o ekumenizmie w Anglii, o tych wszystkich wyznaniach chrześcijańskich, jakich w Polsce nie ma lub prawie nie ma, ale spotkałem się z całkowitą ignorancją i zupełnym brakiem zainteresowania.

E.B.: Na KUL-u też są różne środowiska. A jak Pan ocenia Papieża?

N.D.: Właśnie! On jest wolny od tego zaściankowego spojrzenia, choć jest ono obecne również i w Watykanie. W rozmowie ze mną Papież wyraźnie określił, gdzie stoi.

E.B. Na Zachodzie zarzuca się mu konserwatyzm w sprawach wiary.

N.D.: Nie rozumiem, jak można być konserwatystą czy liberałem w sprawach wiary. Albo się wierzy, albo nie.

E.B.: Na koniec, chciałabym Panu zadać pytanie ankietowe "dla Polaków": "Czym jest dla Pana miłość ojczyzny?"

N.D.: Ciekawe. Jest to szczególnie stosunek emocjonalny, zabarwiony ostrym krytycyzmem, ale i bezwzględny poparciem i poczuciem odpowiedzialności za losy tej zbiorowości, którą nazywa się ojczyzną. U mnie ten stosunek jest pojęciem wielowarstwowym: urodziłem się w Anglii, ale moja rodzina pochodzi z Walii, ponadto, mam

poczucie wspólnoty brytyjskiej.

E.B.: Wspólnota brytyjska kojarzy się z postawą imperialną. Byłam niedawno w Ulsterze, widać to tam jak na dłoni.

N.D.: Mam wiele sympatii dla katolików ulsterskich, więcej niż dla protestantów, choć urodziłem się jako protestant. Absolutnie nie czuję, że protestanci ulsterscy to nasi, to Szkoci z pochodzenia...

E.B.: Acha! Więc i Anglicy są nacjonalistami! Chciałam jeszcze spytać, co by Pan dla ojczyzny zrobił, a czego nie?

N.D.: Umierać czy pracować, tak? Za młody jestem, żeby umierać, ale pracować, istnieć dla ojczyzny, to ja rozumiem.

E.B.: Może tym akcentem zakończymy? Bo dyskusji o umieraniu za ojczyznę nie podejmę; tym bardziej, że z miejsca się z Panem nie zgadzam: za ojczyznę z dobrowoli umiera się tylko za młodu, albo wcale. Dziękuję!

OD ZBRODNI DO FAŁSZERS- TWA

SPRAWA „CIENIA”

〈Bolesława Kowalskiego〉

Kim był "Cień" i dlaczego możemy mówić o jego "sprawie"? Przypomnijmy fakty biograficzne. Urodzony 4.VII.1924 roku we wsi Zakrzówek, tam uczęszcza do szkoły powszechnej. Podczas okupacji kontynuuje naukę w szkole spółdzielczej. Wiosną 1942 roku wstępuje do PPR i GL; w połowie 1943 roku wyjeżdża w rejon lasów parczewskich, "ponieważ poszukiwali go ludzie reakcyjnego podziemia" /myślę, że ten szczegół został dopisany już znacznie później, aby uzasadnić zadawnioną wrogość do "Cienia"/. Tam też przystępuje do polsko-radzieckiego oddziału "Fiodora", później walczy w oddziale W.Skrzypka, a następnie zostaje zastępcą dowódcy w oddziale "Przepiórki" /Gronczewskiego/. W lutym 1944 roku zostaje samodzielnym dowódcą oddziału, wchodzącego w skład I Brygady AL Imienia Ziemi Lubelskiej jako 6 kompania. Do momentu wkroczenia Armii Sowieckiej posiada stopień porucznika. Z chwilą wyparcia Niemców z lubelszczyzny "Cień" wstępuje do LWP. Zmarł w randze pułkownika 18.VIII.1966 roku i został pochowany w Alei

Zasłużonych na Powązkach. Odznaczony Krzyżem Grunwaldu III klasy. Już ten oficjalny życiorys "Cienia" zawiera pewne nieścisłości i sprzeczności. E.Gronczewski "Przepiórka", jeden z najbliższych kolegów-partyzantów Kowalskiego w wydany "Kalendarium walk GL i AL na Lubelszczyźnie /1942-1944/" pisze, że oddział "Cienia" wcielony został do organizującej się MO, a generał Czyżewski wspomina, iż był z Kowalskim w 1946₃ roku w Rembertowie na kursie dowódców pułku. Żaden z przytoczonych autorów nie pisze też o aresztowaniu Kowalskiego, bodajże w 1949 roku i skazaniu go za rabunek Żydów podczas okupacji. Karę odbywał "Cień" razem z "Przepiórką".

To wszystko, co tu napisałem nie daje jednak odpowiedzi dlaczego sprawa "Cienia" jest tak bulwersująca jeszcze dzisiaj. Przyczyna jest prosta. Oddział Kowalskiego dokonał dwóch bestialskich mordów na partyzantach AK w Owczarni i Stefanówce, które w oficjalnej nauce historycznej są przedstawiane dokładnie odwrotnie, to znaczy, że "Cień" został zdradziecko napadnięty, a broniąc się zadał przeciwnikowi dotkliwe straty. Do 1981 roku nic innego na ten temat nie można było wyczytać. Przyjęta wersja wypadków została usankcjonowana na sesji popularno-naukowej odbytej w Lublinie w 1958 roku, gdzie wygłosili referaty: Mańkowski, Krzykała, Naumiuk, Koprukowniak, a udział wzięli komunistyczni bohaterowie tamtych wydarzeń: Moczar, Kunicki, Czyżewski, Szot, Bolkowiak, Korczyński i sam Kowalski. Wszyscy oni zabierali głos w dyskusji opublikowanej następnie, ale już bez wypowiedzi samego głównego bohatera - "Cienia". Myślą przewodnią

tych wystąpień było pokazanie bezprzykładnego bohaterstwa i patriotyzmu komunistów, którzy byli jedyną organizacją rzeczywiście walczącą z wrogiem, a z drugiej strony bierność dowództwa AK, a nawet współpraca z Niemcami w celu likwidacji partyzantki komunistycznej. Na zasadzie opozycji wskazano na "doły" akowskie, które były powstrzymywane w chęci walki z okupantem i to było między innymi powodem ich przechodzenia do AL. Każdy z dyskutantów sypał tak kuriozalnymi przykładami, że nadawały się one bardziej do kabaretu niż do wygłaszania na publicznym forum.

Nas jednak interesuje, co było powiedziane na temat Owczarni i Stefanówki. W referacie Koprukowniak stwierdził, że 2.VII.1944 we wsi Stefanówka "skoncentrowane jednostki AK w sile 400 ludzi pod dowództwem kapitana "Kł'a" /Kwieciński/ i "Argila" /Fronczak/ dokonały napadu na oddział AL Bolesława Kowalskiego /ps. "Cień"/, liczący około 80 ludzi. Straty AK w walce wynosiły zabitych 47 i około 40 rannych, a oddział AL stracił 6 zabitych i 8 rannych". Autor wspominał jeszcze o udziale w walce u boku "Cienia" oddziału BCh "Chrzestnego", który był wcześniej rozbrojony przez AK za karę za współpracę z AL. To "zbrodnicze spowodowanie przez władze AK bratobójczej walki" - jak napisał cytowany przez Koprukownika S.Szot, ówczesny zastępca dowódcy II Obwodu AL - przyspieszyło sfinalizowanie rozmów pomiędzy Inspektorem AK Puławy i Okręgiem AL Puławy⁴. Przytoczyłem ten fragment z referatu Koprukownika, gdyż w obiegu "naukowym" będzie on prawie dosłownie powielany z pewnymi tylko niuansami. W dyskusji do Stefanówki nawiązał bezpośrednio Alef-Bolkowiak dowódca oddziału

specjalnego /propagandowego/ wysłanego w Puławskie w celu rozładowania sytuacji. Otóż Bolkowiak twierdzi, że w celu storpedowania wspólnego oświadczenia AK i AL "niektóre środowiska AK, prawdopodobnie podsycane przez NSZ, wydały wyrok na oddział porucznika "Cienia". Zapomniał powiedzieć, że wcześniej była Owczarnia. Akcja w Stefanówce została opisana szczegółowo w raporcie Bolkowiaka do dowództwa obwodu⁶. Jeżeli chodzi o Owczarnię, to tylko W.Krupa, działacz konspiracyjnych rad narodowych z powiatu puławskiego, wspominał o tym krwawym incydencie. Wypowiedź ta jest tak charakterystyczna, że warto ją przytoczyć w całości, gdyż oddaje sposób "tworzenia historii" przez komunistów, zwłaszcza, że druga strona nie mogła oficjalnie się bronić. Krupa powiedział więc, że: "W Owczarni zginęli ludzie z południowych okolic powiatu. I co się okazało? Dowódcy oddziałów leśnych AK, które brały udział w tej walce, zwróciły się do szefa gestapo w Kurowie, Urlicha, o zezwolenie przewiezienia zabitych akowców i pochowania na miejscowych cmentarzach. Twierdzili oni, że oddziały AK zostały napadnięte i wymordowane przez komunistów. Szef gestapo, Urlich, dał zezwolenie oraz samochody na przewiezienie ciał. W pogrzebie wzięli udział wszyscy oficerowie AK z bronią, a za nimi szedł gestapowiec i inni Niemcy. Widzieli broń u oficerów AK, a jednak nie reagowali na to. Ten wystarczająco wymowny fakt przytaczam po to, aby rzucić właściwe światło na sprawę Owczarni,⁷ którą później usiłowano fałszywie przedstawić".

Jak już wyżej wspominałem ta wersja wydarzeń w Stefanówce i znacznie rzadziej przypomina-

nej Owczarni praktycznie powtarza się we wszystkich kolejnych publikacjach: E.Gronczewskiego⁸, J.B.Garasa⁹, I.Cabana i E.Machockiego¹⁰, Z.Mańkowskiego¹¹. Ten ostatni na sesji naukowej zorganizowanej na KUL w dniach 24-25 IX 1985 roku w głosie w dyskusji powiedział już wprost o faktycznym sprawcy mordów w Owczarni i Stefanówce. Mańkowski widzi genezę tego konfliktu w mordzie borowskim, który był dziełem oddziału NSZ "Zęba" /dezertera z AK/. Incydent ten został potępiony zarówno przez KG AK, jak i BCh. Nie wyjaśniło to jednak całej sprawy, gdyż komuniści wykorzystali to do insynuowania odpowiedzialności za zbrodnię także niektórym wyższym kręgom AK. Zresztą, jak powiedział Mańkowski, w łonie PPR istniały pewne wpływowe grupy kierownicze, z których jedna /byli tam między innymi Moczar, Bolkowiak, Szymański/ pragnęła poprawy stosunków z AK, natomiast druga, dzisiaj powiedzielibyśmy ekstremalna, nastawiła się na zwalczanie NSZ, które zazwyczaj mylono z AK. Do grupy tej zaliczał się właśnie "Cień", człowiek zupełnie młody, dwudziestoletni, "kompletnie nieopanowany". Nie rozróżniał on zupełnie endeków od "sikorszczków", NSZ od AK. Działiał na własną rękę /czy rzeczywiście?/, nawet wbrew Bolkowiakowi i Szymańskiemu. Nie stronił również od działalności rabunkowej, co znalazło wyraz w jednym z raportów Bolkowiaka. Jego sprawa miała być rozstrzygnięta po wojnie przed sądem¹². Zanim profesor Mańkowski mógł publicznie przedstawić swoje zdanie na ten temat, inne niż w dotychczasowych publikacjach, znową milczenia o rzeczywistym przebiegu wydarzeń w Stefanówce i Owczarni przerwał jeden ze świadków wydarzeń, szef sztabu w oddziale

specjalnym Bolkowiaka, porucznik Heinrich /"Skiba"/, obecnie, a przynajmniej w 1981 roku pułkownik lotnictwa LWP /prawdopodobnie ostatnio aresztowany i zdegradowany pod zarzutem tworzenia w LWP opozycji/. Na łamach "Gazety Robotniczej" wychodzącej we Wrocławiu opublikował w 1981 roku obszerny list, w którym rozświetlił sprawę mordów "Cienia" z pozycji ówczesnego oficera komunistycznego oddziału. List ten jako niezwykle ciekawy dokument zostanie w załączniku wydrukowany w całości.

Po tych uwagach pokazujących meandry komunistycznej historiografii przedstawiamy chronologicznie prawdziwy przebieg wydarzeń w Owczarni i Stefanówce.

Dnia 4.V.1944 roku w miejscowości Owczarnia kwaterowała blisko czterdziestoosobowa grupa porucznika "Moczara" /Mieczysław Zieliński, nauczyciel z Nałęczowa o lewicowych poglądach/ z oddziału "Hektora" /wchodził w skład OP 15/; o godzinie 17 do wsi zbliżył się oddział "Cienia" /chcieli działać przez zaskoczenie, likwidując po cichu wysunięte posterunki "Moczara"/, który zauważony przez żołnierzy akowskiego oddziału został ostrzelany, gdyż nie był w stanie podać hasła. Po sprawdzeniu jednak, że mają do czynienia z komunistycznym oddziałem, "Moczar" nakazał zaprzestać walki i wywiesił białą flagę. Doszło do spotkania dowódców, na którym "Cień" zaproponował dla pojednania przegląd oddziałów i broni. Żołnierze ustawili się w dwuszeręgu po obu stronach drogi /5-7m/, a dowódcy podeszli do siebie. W momencie gdy "Moczar" wyciągnął rękę do "Cienia" ten wyciągnął pistolet i strzelił "Moczarowi" w brzuch, zaraz potem pierwszy

szereg w oddziale "Cienia" przyklęknął, a z drugiego posypały się serie z broni maszynowej, które zmasakrowały nie spodziewających się niczego żołnierzy AK. Zginęło przeszło dwudziestu partyzantów, a wielu było rannych. Ludziom ze wsi "Cień" oświadczył, że zlikwidował oddział NSZ odpowiedzialny za mord w Borowie. O stosunku "Cienia" do życia ludzkiego świadczy też to, że własnoręcznie dobił trzech partyzantów, rannych, z własnego oddziału.

Ten ohydny mord zbulwersował żołnierzy i dowództwo AK w Okręgu. Zastanawiano się, co należy uczynić, aby nie dopuścić do kolejnej tragedii, tym bardziej, że sytuacja polityczna na Lubelszczyźnie na krótko przed wkroczeniem Armii Sowieckiej była bardzo skomplikowana. Wydano jednak rozkaz, aby lotne oddziały "Młota" /Konrad Schmeding/ zajęły się likwidacją bandy, inaczej tego nie można określić, "Cienia"³. Akcja nie była najlepiej przygotowana i nie doprowadziła do ujęcia mordercy. Czując się dość bezkarnie "Cień" 2.VII.1944 roku znów wykonał akcję skierowaną przeciwko oddziałom AK, tym razem atakując w nocy oddziały "Argila" i "Kł'a" kwaterujące w Stefanówce. Stało się to w momencie, kiedy po tragedii w Owczarni miało dojść do porozumienia między lokalnymi dowódcami AK i AL /wymiana haseł, wydalenie z terenu puławskiego "Cienia"/. Ludzie "Cienia" wdarli się do wsi, atakując jednocześnie tabory. Akowcom udało się wyprzeć napastników ze wsi, ale stracili część taboru, w tym sporą ilość broni /wspomina o tym, ale oczywiście w innym zupełnie kontekście, Gronczewski w swoim Kalendarium/. W rezultacie napadu zginęło kilku-

dziesięciu żołnierzy AK przy stratach komunistycznych napastników 6 zabitych i 6 rannych.

Należy się teraz zastanowić, czy były to jedyne "wyczyny" osławionego już "Cienia". Są dane, aby twierdzić, że tak nie było. W Kalendarium Gronczewskiego i w opracowaniu Garasa wspomina się o innym incydencie, w którym oddziały "Cienia", a także "Przepiórki", kwaterujące w Marynopolu zostały zaatakowane przez przeważające siły zgrupowania NSZ /blisko 500 ludzi dobrze uzbrojonych przy znacznie mniejszych stanach osobowych komunistów/. I w tym przypadku powtórzyła się wersja o znakomitym wyszkoleniu żołnierzy "Cienia", którzy mimo zaskoczenia zdołali opanować sytuację i rozgromić siły wroga /przeszło 80 zabitych i drugie tyle rannych/ zdobywając znaczne ilości broni. Dla każdego uczestnika tamtych wydarzeń, znającego realia partyzanckiej wojny, wersja taka wygląda dość bajecznie. No, ale to już inna historia...

Pułkownik S.W.

PRZYPISY

1/ Ja, syn ludu polskiego... Relacje i wspomnienia działaczy PPR, GL i AL na Lubelszczyźnie 1942-1944. Wstęp i opracowanie Z.J.Hirsza. Lublin 1964, s.68, przypis 68; E.Gronczewski, Walczyli o Polskę Ludową, Warszawa 1982, s.142-143.

2/ Lublin 1963, s.125.

3/ W.Czyżewski "Im". Więc zarepetuj broń... Lublin 1976, s.463.

Warto w tym miejscu zauważyć, że autor tej pracy, aktualnie generał, a ówczesznie jeden z oficerów partyzantki komunistycznej stoi

na czele Komitetu Budowy Pomnika Bohaterów
Powstania Warszawskiego//.

4/ PPR, GL i AL na Lubelszczyźnie w okresie
okupacji hitlerowskiej /1942-1944/, Lublin
1958, s.82.

5/ Tamże s.113.

6/ Pełny tekst raportu można znaleźć w GL
i AL na Lubelszczyźnie /1942-1944/. Źródła.
Wstęp i opracowanie Z.Mańkowski i J.Naumiuk,
Lublin 1960, s.288.

7/ PPR, GL i AL na Lubelszczyźnie, s.137.

8/ Wspomnienia "Przepiórki". Lublin 1960,
s.250; Kalendarium walk GL i AL na Lubelszczyźnie
/1942-1944/, Lublin 1974 /wyd.I, 1963/, s.139-
140. Autor dodał pewne szczegóły, mianowicie,
że "oddział "Cienia" został okrążony /.../,
a następnie zaatakowany silnym ogniem broni
ręcznej i maszynowej". Komuniści wyparli napast-
ników ze wsi, zadając im duże straty; zdobyto
2 lkmy, 7 stenów, 1 thomsona oraz kilkadziesiąt
karabinów i pistoletów. Straty własne 6 zabitych
i 6 rannych.

9/ Oddziały GL i AL 1942-1944, Warszawa
1971, s.211.

10/ Za władzę ludu, Lublin 1975, s.28.

11/ ZWZ i AK w Okręgu Lubelskim 1939-1944.
Część II. Dokumenty. Lublin 1971, s.484, przypis
9; Między Wisłą a Bugiem 1939-1944. Studium
o polityce okupanta i postawach społeczeństwa.
Lublin 1978. W tej pracy autor nie pisze już
tak jednoznacznie o napadzie oddziałów AK na
oddział "Cienia", a jedynie o bratobójczych
walkach, które wyniknęły na tle napięć po mordzie
borowskim.

12/ Wypowiedź Z.Mańkowskiego na taśmie

magnetofonowej.

13/ Raport KW za miesiąc czerwiec sporządzony przez oficera wywiadu, "Wilhelma" /R.Szyszkowski/ w ZWZ i AK w Okręgu Lubelskim, część II, s.481.

ZALĄCZNIK

Gazeta Robotnicza. Magazyn Tygodniowy nr 17 z dnia 24-26 IV 1981 roku.

Kontynuujemy dyskusję nad artykułami profesor Turlejskiej i profesora Zielińskiego.

Trwa dyskusja nad artykułami prof. Marii Turlejskiej pt. "Okruchy naszej historii najnowszej" /Magazyn 20-22 II 1981 r./. Polemikę wywołał między innymi fragment dotyczący zająć w Stefanówce. Dla przypomnienia cytujemy:

"/.../ Dowódcy oddziałów GL-AL - zwłaszcza w tych terenach, gdzie doszło do zaostrzenia wzajemnych stosunków /a przyczyny tego były różne - konflikty o broń ze zrzutów, rekwizycje i sprawy bezpieczeństwa/, mszcząc się za śmierć swych kolegów, zabili pewną ilość sprawców - prawdziwych lub domniemanych. Wskazać tu można na wydarzenia w Stefanówce /pow. Puławy/, gdzie oddział AL "Cienia" 2 czerwca 1944 roku zabił 17 bechowców wraz z ich rodzinami /związanych z AK/, o czym raportował mjr Chrzestny; w innym raporcie wymieniono liczbę 70 zabitych przy stratach własnych 6 zabitych /GL i AL na Lubelszczyźnie 1942-1944. Źródła. Lublin 1960. Dok. 230 i 234/. Takich wypadków było niestety więcej. Zdarzały się i rabunki."

W artykule polemicznym pt. "Ważne uzupełnienie do okrucich historii /"Magazyn" 27-29 III 1981/ Henryk Grytz pisze m.in.:

"/.../ Konfrontując treść tych dokumentów

"Zródeł" z tym, co napisała na temat wydarzeń w Stefanówce prof. Turlejska, dochodzi się do jednoznacznego wniosku, że aelowska zbrodnia została po prostu wyssana z palca przez autorkę artykułu. Z dokumentu nr 230 wynika:

- że 27 VI 1944 r. 55-osobowy bechowski oddział pod dowództwem mjra Chrzestnego został przez AK podstępnie rozbrojony i odarty z odzieży,
- że wreszcie /cytuje z dokumentu słowa dowódcy BCh mjra Chrzestnego/: ... 2 lipca 1944 r. /a nie 2 VI jak podała prof. M.T. - uwaga H.G./ we wsi Stefanówka, gdzie z drużyną BCh stacjonowałem obok oddziału AL, zostaliśmy zdradziecko zaskoczeni przez oddział akowski Rewidenta /Argiela/ we śnie. Otoczeni broniliśmy się wspólnie z aelowcami". Z obu dokumentów wynika /.../, że bechowcy nie tylko nie zostali przez aelowców zabici, lecz wręcz przeciwnie, znaleźli u nich ratunek przed własną zgubą. Co się tyczy rzekomego wymordowania przez AL rodzin bechowców, związanych z AK, to w żadnym z obu dokumentów - źródłach prof. Turlejskiej - nie ma żadnej, najmniejszej nawet wzmianki".

Szanowny Towarzyszu Redaktorze!

W związku z artykułem prof. Turlejskiej "Okruchy naszej historii najnowszej" z 22 II 1981 r., a właściwie jego fragmentem dotyczącym mordu bratobójczego we wsi Stefanówka oraz podjętą w Waszym piśmie z dnia 27-29 III 81 r. przez Henryka Grytza polemiką, w której zarzuca on prof. Turlejskiej przeinaczenia faktów, pragnę podać fakty, tym razem głównie z autopsji, w związku z czym nie wymagają one niczyjej weryfikacji.

Tytuł do zajęcia stanowiska w tej sprawie

znajduję w tym, że w okresie od połowy maja 1944 /tzn. od bitwy pod Rąblowem/ aż do wyzwolenia Lubelszczyzny przebywałem na terenie pow. puławskiego pełniąc funkcję szefa sztabu, a potem zastępcy dowódcy Grupy Specjalnej Obwodu Lubelskiego AL i w zasadzie niewiele rzeczy, które w tym czasie działy się w tym rejonie było mi obcych. Albo brałem w nich udział, albo byłem o nich całkiem nieźle poinformowany. Dla pełniejszego zrozumienia atmosfery tamtych dni, oraz właściwej oceny postaw niektórych głównych aktorów dramatu "Stefanówka" podaję garść faktów, z których kilka, jak sądzę bardzo istotnych, jest przez naszych historyków współczesności jak dotąd wstydliwie przemilczanych:

1. Dążenie do nawiązania współpracy wojskowej między oddziałami AL oraz AK i BCh, a także usunięcie jakichkolwiek przyczyn mogących stać się zarzewiem walk bratobójczych między polskimi oddziałami było autentycznym pragnieniem większości kierownictwa politycznego i wojskowego PPR i AL w całym kraju. Wśród "dołów" oraz na średnim szczeblu zdania na ten temat były podzielone. Zaciążyły na tym mordy dokonane na działaczach i żołnierzach GL i AL w poprzednich okresach, a głównie mord pod Borowem. Nagminnie przy tym identyfikowano NSZ z ZWZ-em /terminem tym określano na Lubelszczyźnie praktycznie do samego końca oddziały AK/. Niewątpliwie błędem ówczesnego kierownictwa PPR było zbyt słabe przeciwdziałanie takiej ocenie. Cały wysiłek skierowano na przeciwstawienie BCh Armii Krajowej.

2. Dowództwo mego oddziału w osobach por. "Botka", por. "Anatola" oraz niżej podpisanego dokonało rzeczy bezprecedensowej, podpisania

chyba jedyne w czasie wojny oficjalnego porozumienia przedstawicieli Obwodu II AL z władzami AK. Po dziś dzień uznaję to za jedno z najładniejszych i najpożyteczniejszych osiągnięć mego życia.

3. Na przeszkodzie wcześniejszemu podpisaniu tego aktu stały przez długi czas opory ze strony AK związane z działaniami por. "Cienia" z AL i jego oddziału, a były to okoliczności nie błahe.

4. W kwietniu 1944 roku ppor. "Cień" wraz ze swym oddziałem dokonał we wsi Owczarnia podstępного mordu na czterdziestukilku żołnierzach AK z oddziału dowodzonego przez por. "Moczara" /nie mylić z ówczesnym majorem Moczarem, dowódcą obwodu lubelskiego/. Miał to być odwet za mord pod Borowem. Dziwnym zbiegiem okoliczności, mimo że czyn ten nie zyskał oficjalnego uznania w ówczesnym dowództwie Obwodu AL ppor. "Cień" został w parę tygodni później awansowany do stopnia porucznika.

5. Stwierdzam z całą odpowiedzialnością, że czyn por. "Cienia" był potępiony nie tylko przez dowództwo mego oddziału, ale i przez kierownictwo polityczne Lubelszczyzny w osobach ówczesnego sekretarza obwodu PPR tow. "Alego" /Szymański/ i sekretarza okręgu lubelskiego tow. "Polę" /Wacław Marek/. Dowodem naszego stosunku do tego "wyczynu" niech będzie to, że w czerwcu 1944 roku wystąpiliśmy z wnioskiem do naszego kierownictwa o uznanie oddziału "Cienia" za oddział bandycki, rozbrojenie go i pozbawienie przynależności do AL.

6. A teraz Stefanówka. W dniu 2 lipca oddział nasz kwaterował o kilka kilometrów od Stefanówki.

O świecie usłyszeliśmy odgłosy strzelaniny /strzały pojedyncze, serie z peemów i kaemów oraz wybuchy granatów/. W kierunku odgłosów wysłaliśmy patrol z zadaniem rozpoznania sytuacji. Relacja dowódcy patrolu wraz z opisem samej bitwy i jej rezultatów była z grubsza zgodna z jej dzisiejszą wersją. Dla wielu z nas było to trochę dziwne. Jak to możliwe, żeby napadnięty, śpiący oddział "Cienia" poniósł stratę kilku partyzantów plus jedna dziewczyna /zresztą kochanka "Cienia"/, a napastnicy, czyli oddział AK "Argiela" stracili około 50 partyzantów, w tym niemal wszystkich swoich oficerów. Po latach dopiero zwierzył mi się dowódca owego patrolu, że przecież było odwrotnie. Nie będę ujawniał nazwiska, nie mając jego zgody.

7. Wymaga scharakteryzowania osoba mjr Chrzestnego z BCh, który przebywał w Stefanówce w czasie bitwy. Zanim ktokolwiek chciałby dawać wiarę jego relacjom niechaj uwzględni tych parę faktów:

a/ Mjr Chrzestny nazywa w lipcu 1944 roku bandytami tych akowców, którzy rozbili jego oddział i apeluje do chłopów, by przeciwstawili się tym psom hitlerowskim w skórze AK;

b/ A w czerwcu 1944 roku nasz oddział partyzancki przechwycił meldunek tegoż mjra Chrzestnego, w którym melduje władzom AK, co następuje: "Proszę o zluzowanie mego oddziału, gdyż jesteśmy przemęczeni ciągłymi zasadzkami na panów z PPR;

c/ Ten sam mjr Chrzestny już jako pułkownik był po wojnie wysokim funkcjonariuszem MO.

Jego karkołomne wolty polityczne mimo woli każą przyrównywać jego postawę do nazwy, jaką

256

obdarzono najstarszy zawód kobiecy w historii.

8. Na koniec pretekst pod jakim pojawił się "Cień" na terenie Puławszczyzny. Proszę pamiętać, że prowadząc rozmowy z dowództwem AK odnosiliśmy się do naszej misji z największą powagą. Chcąc uniknąć wszelkich zadrażeń uzyskaliśmy zapewnienie, że "Cień" w ten rejon nie będzie kierowany. Jego pojawienie się celem rzekomego przyjscia nam z pomocą, gdyż mieliśmy być okrążeni przez AK-owców, jest co najmniej mało wiarygodne. Zbyt dobrze była zorganizowana struktura partyjna i wojskowa AL i PPR na terenie Puławszczyzny, ażeby takie wiadomości miały docierać do dowództwa obwodu w formie plotki lub "głuchej wieści". Myślę, że przybył na teren Puławszczyzny w zupełnie innym celu, nie wiem jedynie tego i wątpię by udało się to komuś dzisiaj ustalić, czy dokonał tego samowolnie, czy też z czyjegoś polecenia.

Przekazując Wam Towarzyszu Redaktorze garść tych informacji pozostaję w przekonaniu, że udostępnienie ich do wiadomości publicznej będzie z pożytkiem dla prawdy historycznej, tak nam potrzebnej, gdy tak wiele uznanych prawd i autorytetów wymaga weryfikacji w imię nadziei na powrót autentyzmu i wiarygodności.

Były zastępca dowódcy Grupy
Specjalnej Obwodu Lubelskiego
AL, por. "Skiba"
płk dypl. pil. rez.
Wincenty Heinrich

Warszawa, dnia 18 kwietnia 1981 r.

Kronika ta przewidziana była do poprzedniego - 29-30 numeru Spotkań, ale ze względów technicznych nie mogła być tam zamieszczona. W wydaniu paryskim Spotkań zostanie ona opublikowana tak jak pierwotnie założono.

KRONIKA SPOTKAŃ

lipiec - grudzień 1984

ALBANIA

RAPORT AMNESTY INTERNATIONAL

Liczne przypadki naruszania praw człowieka w Albanii skrytykowała międzynarodowa organizacja obrony więźniów sumienia - Amnesty International. W ogłoszonym 12 grudnia oświadczeniu czytamy, że rząd albański prześladowa nie tylko osoby publicznie przyznające się do jakiejś religii ale również polityków i osoby, które mają odwagę krytycznie wypowiadać się o obecnym reżimie.

Więźniowie sumienia, jak czytamy w sprawozdaniu Amnesty International, są bardzo często torturowani podczas śledztwa, głównie celem wymuszenia zeznań. Rozprawy sądowe z reguły trwają tylko jeden dzień; oskarżonym odmawia się prawa posiadania obrońcy. Ze względu na

bardzo ograniczone możliwości zdobycia bądź potwierdzenia informacji o losie więzionych za przekonania posiadane dane na ten temat nie są kompletne, niektóre z nich docierają na Zachód czasami po kilku latach. Pomimo to Amnesty International dysponuje świadectwami mówiącymi o 2000 więźniów sumienia przebywających w dwóch obozach pracy i jednym więzieniu, które stanowią tylko mały procent wszystkich ośrodków odosobnienia. Wśród tych więźniów znaczną grupę stanowią duchowni różnych wyznań: na pierwszym miejscu figurują katolicy, następnie muzułmanie. Prawosławie jest stosunkowo najmniej dotknięte represjami. Być może znajduje to swoje uzasadnienie w tym, że zarówno wśród członków partii i rządu znajdują się ludzie pochodzący z rodzin prawosławnych, którzy próbują wprowadzić "bardziej tolerancyjny /jak na warunki albańskie/ kurs w stosunku do wyznających prawosławie.

ALBAŃSKIE CZASOPISMA W JUGOSŁAWII

Po zakończeniu "wojny światowej" ponad milion Albańczyków zamieszkuje obecnie w Jugosławii: głównie w autonomicznym okręgu Kosowo, Macedonii i Czarnogórze. Katolicy osiedlili się zwłaszcza w diecezji Skopje /Macedonia/, gdzie liczbę ich oblicza się na około 50000. Począwszy od 1970 r. ukazuje się tam miesięcznik katolicki w języku albańskim - "Drita" /Światło/. Redakcją kieruje, mówiący po albańsku, biskup pomocniczy tej diecezji - Nikola Prella.

Drugie albańskie wydawnictwo katolickie w Jugosławii, to pismo "Zani i shena ndout" /Głos św. Antoniego/, które wychodzi w granicznym mieście Tuzi. Administracja kościelna tego

okręgu jakkolwiek obecnie sprawowana jest przez o. franciszkanów, to właściwie należy do albańskiej archidiecezji Szkodra. Ze względu jednak na nieuregulowane dotychczas stosunki kościelne, wchodzi w skład jugosłowiańskiej archidiecezji Bar - w Czarnogórze.

BULGARIA

ZGROMADZENIA ZAKONNE W BULGARII

Stosunki wyznaniowe w Bułgarii reguluje prawo specjalną ustawą z dnia 26 lutego 1949 roku.

Zagadnieniom związanym z funkcjonowaniem zgromadzeń zakonnych, kongregacji, misji itp. poświęcony jest artykuł 23 tejże ustawy, według którego powyższe instytucje mające swoje naczelne siedziby za granicą "nie mogą zakładać filii, kongregacji, misji, zakonów, domów opieki i innych w Bułgarskiej Republice Ludowej". W myśl tego rozporządzenia prawie wszystkie zgromadzenia na terenie Bułgarii uległy rozwiązaniu w przeciągu jednego miesiąca od momentu wprowadzenia ustawy w życie. Był to bardzo bolesny cios dla Kościoła.

Jedyną wspólnotą zakonną, która nie pozostając w konflikcie z przepisami jednocześnie zachowała swoją osobowość prawną i funkcjonuje po dziś dzień - to kongregacja Sióstr Eucharystek. Zakon ten znany również pod nazwą bułgarskie Eucharystki jest rodzimego pochodzenia i w związku z tym jego władze naczelne znajdują się w Sofii. Siostry Eucharystki poza Bułgarią posiadają swoją prowincję w Macedonii, liczącą 260

obecnie pięć klasztorów.

JUBILEUSZOWY NUMER CZASOPISMA ŻYDOWSKIEGO

Gmina żydowska w Sofii obchodzi w tym roku 50-lecie wydawania własnego czasopisma "Evreiski vesti" /Wiadomości Żydowskie/. Pismo to, po przerwie w czasie drugiej wojny światowej, już pod koniec 1944 roku zaczęło się ponownie ukazywać. Mając na uwadze bułgarską politykę wyznaniową i narodowościową jubileusz ten należy uznać za coś zupełnie wyjątkowego. Sofijska gmina jako organizator uroczystości zadbała również o to aby przy okazji pokazać kulturę, obyczaje i życie codzienne Żydów bułgarskich.

CHINY

DZIEŃ DZISIEJSZY I PERSPEKTYWY STOSUNKÓW WATY-KANSKO-PEKIŃSKICH

"Kościoł katolicki ChRL jest pod szczególną troską papieża" - tak oświadczył Jan Paweł II w październiku 1982 r. podczas uroczystości jubileuszowych ku czci pierwszego misjonarza Chin Ojca Ricci.

Już w 1981 r., podczas swojej pierwszej podróży na Daleki Wschód, Ojciec Święty zwrócił się z Manili do katolików chińskich i podkreślił, że "Kościoł chciałby w Chinach - tak jak w każdym innym kraju - być heroldem królestwa Bożego". Pośrednio zwrócił również uwagę władz na to, że "każdy wierzący chrześcijanin jest z reguły prawdziwym, szczerym i dobrym obywatelem państwa". Zgodnie z tym także: "dobry, chiński katolik pracuje lojalnie dla pomnażania wartości

duchowych i materialnych narodu oraz spełnia wszystkie obowiązki bożej miłości w stosunku do rodziców, rodziny i kraju".

Jednocześnie Papież usiłował rozproszyć wszelkie obawy Pekinu, że Stolica Święta może kierować się jakimiś ukrytymi, niechrześcijańskimi pobudkami. W związku z tym powiedział: "Kościoł nie ma żadnych politycznych ani gospodarczych celów ... nie domaga się żadnych przywilejów; chce tylko ażeby wszyscy wierzący w Chrystusie mogli swobodnie oraz publicznie wyznawać swoją wiarę i żyć zgodnie ze swoim sumieniem".

Nieco później watykański sekretarz stanu kardynał Agostino Casaroli w wywiadzie dla radia watykańskiego dał wyraz nadziei, że Pekin na wezwanie Ojca Świętego do pojednania zareaguje niebawem podejmując wyciągniętą dłoń; jak dotychczas są to płonne nadzieje.

Już bowiem latem 1981 r. stało się wyraźne jak niewiele dba Pekin o normalne stosunki z Watykanem. W październiku 1980 r. Papież uznał - wybranego w sposób nieprawny przez kapłanów i wiernych "patriotycznego" Kościoła katolickiego - biskupa Kantonu, Dominika Tanga. Ta bezprecedensowa decyzja miała być w swym założeniu objawem gotowości Watykanu do dialogu. Niestety stała się ona latem 1981 r. powodem do wrogiej kampanii propagandowej przeciwko Ojcu Świętemu i nowo mianowanemu biskupowi. Nominacja Watykanu została uznana przez chińską agencję prasową "Neues China" jako "mieszanie się w suwerenne sprawy Kościoła chińskiego". Biskup Tang został oskarżony o to, że "postępował bez poczucia godności a zarazem naruszył zasadę

niezależności Kościoła chińskiego".

Pomimo tego, w regularnych odstępach czasu pojawiały się pogłoski o bliskim terminie podjęcia wstępnych rozmów pomiędzy Watykanem a Pekinem. Szczególnie pilnie śledzono każdą - nawet najmniejszą, albo wręcz tylko pozorną zmianę stosunków pomiędzy Watykanem i Tajwanem. Dopatrywano się często zbyt pochopnie wskazówek jakoby Papież chciał wypełnić jakieś wstępne warunki Pekinu celem podjęcia rozmów ze Stolicą Świętą. Wysuwano nawet domysły czy Watykan nie zdecyduje się zlikwidować nuncjatury apostolskiej na Tajwanie. Pekin bowiem - w myśl konstytucji z 1982 r. - trzyma się zasady, że Tajwan jest "świętym terytorium Chińskiej Republiki Ludowej". Konsekwentnie do tego, rząd pekiński uważa się za jedynego reprezentanta ludu chińskiego i domaga się od Watykanu zerwania kontaktów z Tajwanem.

Dotychczas jednakże wszystkie pogłoski dotyczące stosunków Watykan-Tajwan-Pekin nie znalazły potwierdzenia. Problem w dalszym ciągu pozostaje nie rozwiązany. Wciąż szuka się jednak dróg i sposobów nawiązania kontaktów z władzami chińskimi.

"KOŚCIOŁ W CHINACH: JEDNA OW CZARNIA I JEDEN PASTERZ"

Pod tym znamienym tytułem ukazał się list pasterski Konferencji Episkopatu Tajwanu, w którym biskupi zwracają się do katolików w Chińskiej Republice Ludowej aby dążyli do ścisłej wspólnoty z Kościołem Powszechnym. Pośrednio kierują swoje słowa również do wierzących na Tajwanie, gdzie powstało ostatnio wiele nie-

porozumień co do dalszego losu Kościoła w tym kraju. Szczególnie drażliwe stały się pogłoski jakoby Papież w imię poprawy stosunków z komunistycznym rządem Chin "chciał złożyć na ofiarę wiernych Rzymowi katolików Tajwanu". Dążeniem Ojca Świętego jest uczynić z rozdzielonych "braci w Chrystusie" jedną owczarnię, której by przewodził jeden pasterz. Wszystko inne, to kalkulacje polityków widzących ten problem jedynie w wymiarach doczesnych.

Na zakończenie listu biskupi zwracają się z prośbą o modlitwę aby Duch Święty wiarę katolików w Chinach umacniał i oszczędził im cierpień z powodów religijnych. W tej epoce prześladowania Kościoła chińskiego musimy być zwłaszcza teraz zjednoczeni w modlitwie.

KARDYNAŁ A.CASAROLI O KONTAKTACH Z CHINAMI

Kardynał sekretarz stanu Agostino Casaroli wyraził w nieoficjalnej rozmowie z dziennikarzami w Rzymie nadzieję, iż możliwe będzie nawiązanie kontaktów z Chińską Republiką Ludową i z "patriotycznym" Kościołem katolickim w Chinach, który nie jest związany ze Stolicą Świętą. Na pytanie o znaczenie ogłoszonego niedawno listu pasterskiego biskupów Tajwanu, w którym przygotowują oni swych wiernych na ewentualne przyszłe kontakty między Pekinem a Watykanem, kardynał Casaroli odpowiedział: Jest to próba. W przeszłości były inne próby, które nie zostały przyjęte. Proszę pomyśleć o przemówieniu Pawła VI w Hong-kongu i Jana Pawła II w Manili".

Kardynał zaprzeczył jakoby istniała możliwość, by Watykan jeszcze przed podjęciem dialogu z Pekinem zamknął swoją nuncjaturę na Tajwanie

i tym samym niejako "podpisał weksel in blanco". Mogą wprawdzie istnieć szczególne sytuacje historyczne, wymagające "niezwykle śmiałych posunięć". Chiny jednak nie przedstawiają - zdaniem kardynała - tego rodzaju wyjątkowego przypadku. Kardynał Casaroli wyraził ubolewanie, że nie istnieje do tej pory żaden regularny kontakt z Pekinem i że wszystkie dotychczasowe próby nawiązania rozmów podejmowano "jedynie poprzez trzecie osoby".

Rzecznik rządu w Pekinie wyjaśnił, że nie może być mowy o normalizacji stosunków z Watykanem, dopóki ten uznaje dyplomatycznie Tajwan i dopóki nie zmieni swojej dyskryminującej postawy wobec katolików z Patriotycznego Zjednoczenia. Władze Zjednoczenia ze swej strony wstrzymują się jak dotąd od wszelkich komentarzy wobec wypowiedzi kardynała Casaroli.

Ustosunkowując się do kwestii kontaktu poprzez osoby trzecie zaznaczył, że mogłyby być nawiązane na przykład przez arcybiskupa Manilii, kardynała Jaime Sin, który niedawno odwiedził Chińską Republikę Ludową.

ROZMOWY Z KOŚCIOŁEM "PATRIOTYCZNYM"

W dniach od 27 października do 6 listopada przebywał w Chińskiej Republice Ludowej arcybiskup Manilii kard. Jaime Sin. W obszernym wywiadzie udzielonym na lotnisku, kardynał Sin stwierdził, że dostrzegł niezwykle pozytywne przejawy świadczące o pragnieniu nawiązania przez tzw. Kościół "patriotyczny" kontaktów ze Stolicą Apostolską. Arcybiskup Manilii oświadczył, że wyjaśni stronie chińskiej, iż Stolica Święta stara się o jedność Kościoła na całym świecie bez najmniejszego zamiaru występowania

w roli "siły imperialistycznej". Kardynał Sin podkreślił również, że jego podróż otwiera drogi do bezpośrednich stosunków pomiędzy Watykanem a Kościołem "patriotycznym" w Chinach.

Podczas swojej wizyty - 28 października - kardynał Sin uczestniczył wraz z biskupem Pekinu Michaeliem Fu Tieshan w nabożeństwie w katedrze pekińskiej. To współuczestnictwo posiadało swoistą wymowę i zostało odczytane jako widomy "symbol przyjaźni".

Kilka tygodni wcześniej - na początku października - przebywała w Chinach delegacja biskupów z krajów azjatyckich pod przewodnictwem hinduskiego arcybiskupa Henry d'Souza. W czasie swojej podróży, która przebiegała przez kilka miast chińskich, odwiedzili szereg kościołów katolickich, zapoznając się jednocześnie z życiem wiernych. Jak oświadczył arcybiskup Henry d'Souza, zasadniczym celem tej wizyty było zbadanie istniejących aktualnie możliwości do podjęcia dialogu pomiędzy Watykanem i "Kościołem Patriotycznym" w Chinach. Jednocześnie ubolewał, że nie mogło dojść do spotkania z wiernymi Rzymowi katolikami "żyjącymi w podziemiu".

Jeden z uczestników delegacji, mianowicie biskup Julio Labayen z Filipin, bardziej sceptycznie zapatruje się na przyszły rozwój kontaktów pomiędzy Watykanem i Chinami. Uważa jednak, że misja biskupów azjatyckich jako orędowników dialogu powinna być w dalszym ciągu kontynuowana.

PRZYSZŁOŚĆ KOŚCIOŁA W HONGKONGU

W związku z toczącymi się obecnie rokowaniami pomiędzy ChRL i Wielką Brytanią co do przyszłości

Hongkongu, z chwilą gdy zgodnie z odpowiednimi porozumieniami przejdzie pod jurysdykcję Pekinu, biskup John Baptist Cheng-Chung Wu skierował pismo do brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Geoffreya Howe. Biskup zwraca uwagę, że obecna polityka religijna Chin charakteryzująca się dążnościami do sprawowania całkowitej kontroli nad wszystkimi wyznaniami we własnym kraju, budzi poważne obawy katolików z Hongkongu co do ich losu po 1997 roku. W związku z tym trzeba stworzyć takie podstawy prawne, które wszystkim religiom zapewnią swobodę wyznawania wiary, a katolikom umożliwią stałe i nieskrępowane utrzymywanie łączności z Rzymem.

W kolejnym liście, skierowanym tym razem do przewodniczącego Konferencji Episkopatu Anglii i Walii, kardynała Basila Hume biskup Cheng-Chung Wu prosi o interwencję u parlamentarzystów brytyjskich, ażeby spowodowali umieszczenie w ostatecznej umowie zapewnienia o wolności religijnej Hongkongu.

Z żądaniami zagwarantowania praw i swobód religijnych mieszkańców tej posiadłości brytyjskiej, zwrócił się biskup Hongkongu również do władz Chińskiej Republiki Ludowej. Podkreślił on, że spełnienie tych postulatów powinno zostać zabezpieczone odpowiednim aktem konstytucyjnym.

Na koniec swoje stanowisko przedstawił wiernym Hongkongu w specjalnym liście pasterskim. Każda parafia oraz instytucja kościelna ma się zapoznać z jego treścią i do 15 listopada przekazać kurii biskupiej swoje uwagi, wnioski i propozycje. "Rozpoczyna się nowy okres w historii naszej społeczności" tak pisze biskup i wzywa chrześcijańską ludność Hongkongu aby odważnie

i odpowiedzialnie przyjęła tę przemianę. "Hongkong powinien pozostać miastem wolnym, pokojowym, sprawiedliwym i harmonijnym, w którym możliwe będzie współżycie o różnych poglądach i wyznaniach".

Jedyną odpowiedzią władz chińskich na publiczne wystąpienia, apele i listy biskupa Cheng-Chung Wu było wysłanie do Hongkongu przewodniczącego Rady Kościoła "patriotycznego" biskupa Guang-Xun. Oświadczył on, że Kościoły w Hongkongu po 1997 r. mają być, tak jak dotychczas, zarządzane przez swoich wyznawców bez żadnej ingerencji ze strony Pekinu. Natomiast z oficjalnych wypowiedzi funkcjonariuszy partyjnych wynika, że "gdyby nawet została zapewniona wolność religijna w Hongkongu to nie będzie dopuszczalna działalność zagranicznych misjonarzy.

SPECYFIKA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO

Jest rzeczą niezmiernie trudną dać jakiś w miarę obiektywny obraz położenia Kościoła w dzisiejszych Chinach. Powodują to między innymi niekompletne a czasami nawet sprzeczne ze sobą dane jakie docierają do nas. Z jednej strony doniesienia mówią o przepełnionych kościołach, które są odbudowywane po pożodze rewolucji kulturalnej, z drugiej zaś słyszymy wciąż o prześladowaniach - zwłaszcza duchownych. Życie religijne znajduje się więc jak gdyby na dwóch przeciwległych biegunach. Na jednym z nich jest Zjednoczenie Patriotyczne Katolików /tzw. Kościół patriotyczny/ oddane reżimowi, dla których m.in. oddaje się kościoły zabrane w czasie rewolucji kulturalnej; otwiera nowe seminaria. Natomiast na drugim znajdują się

katolicy wierni Stolicy Świętej, którzy wciąż uważają Papieża za głowę Kościoła katolickiego. Przeciwnie nim władze stosują zaostrzone środki represji /procesy, długoletnie więzienia, obozy/ oraz pozbawiają możliwości swobodnego wyznawania wiary.

Kościół "patriotyczny" zarządzany jest obecnie przez 48 biskupów mianowanych bez zgody Rzymu. W ostatnich latach - zwłaszcza po śmierci Mao Tse-Tunga - otwarto 120 kościołów i sześć seminariów duchownych. Powstały trzy nowe żeńskie zgromadzenia zakonne /łącznie jest ich pięć/. Kościół ten uważa się za autonomiczny i odrzuca w związku z tym zwierzchnictwo Watykanu i autorytet papieża. W obliczu zmian jakie nastąpiły po II Soborze Watykańskim, Kościół chiński pozostaje wciąż jeszcze jako "przedsoborowy". Liczbę wierzących katolików ocenia się łącznie od 10-ciu do 3 mln. Najbardziej zbliżona do rzeczywistości jest liczba ok. 6 mln; należy tu pamiętać, że obejmuje ona również katolików wiernych Rzymowi. Kościół "patriotyczny" jest szczególnie liczebny w dużych miastach. W prowincjonalnych miasteczkach i na wsiach Kościół pozostał w dużym stopniu wierny Stolicy Świętej.

Jednak nawet w łonie samego Kościoła "patriotycznego" sytuacja nie jest wcale jednoznaczna. Dostrzegalny jest opór przeciwko kapłanom i biskupom, którzy zawarli związki małżeńskie, ci ostatni zresztą bardzo często "na papierze". Wszakże, należy się wystrzegać jakiegoś generalnego potępienia duchowieństwa z tej racji. Musimy pamiętać, że do zawierania związków małżeńskich z reguły są oni zmuszeni przez władze. Wielu "patriotycznych" kapłanów w dalszym

ciągu modli się za Kościół w Rzymie i za Papieża, niektórzy nawet publicznie - jeżeli odprawiają Mszę św. późnym wieczorem. Nie jest więc rzeczą łatwą dokonać w miarę obiektywnej oceny postaw tych kapłanów.

Kościół "rzymski" w Chinach pod względem prawnym nie istnieje a przynależność do niego jest karalna. Pomimo to znaczna część wierzących /trudno tutaj podać bliższe dane liczbowe/ należy do niego. Przynależność ta pociąga za sobą prześladowania, które szczególnie w ostatnich latach wzrosły. W pewnym stopniu przyczyniła się do tego nowa konstytucja z końca 1982 r., w której bardzo wyraźnie podkreślono, że "wspólnoty religijne i ich działalność nie mogą pozostawać pod wpływem ośrodków zagranicznych. W swej istocie jest ona więc skierowana przeciwko Stolicy Świętej jak i wiernym jej katolikom w Chinach. Wskazują wyraźnie na to uzasadnienia wyroków, zwłaszcza na duchownych. Jak głęboko sięgają represje w stosunku do wierzących świadczą zakaz słuchania "reakcyjnych audycji radiowych". Przepis ten obowiązuje w południowej prowincji Henan, gdzie docierają audycje religijne katolickiej rozgłośni na Tajwanie.

Jak dalej ułożą się stosunki wyznaniowe w Chinach, trudno jest w tej chwili odpowiedzieć. Problem jest tak zawiły i wielopłaszczyznowy, że nie należy liczyć się z jego szybkim rozwikłaniem.

"AKCJA SPECJALNA" AMNESTY INTERNATIONAL

Międzynarodowa organizacja obrony więzionych za przekonania - Amnesty International, rozpoczęła obejmując cały świat kampanię przeciwko

naruszaniu praw człowieka w ChRL. W ramach tej "akcji specjalnej" domaga się od władz pekińskich uwolnienia wszystkich więźniów politycznych, cofnięcia kary śmierci i zakończenia masowych egzekucji, które rozpoczęto w tzw. "kampanii przeciwko przestępczości".

Szczególnie ostro piętnuje Amnesty International prześladowania duchownych i katolików wiernych Rzymowi. W ogłoszonym sprawozdaniu jest mowa o aresztowaniu 110 duchownych w jednej z prowincji centralnych Chin. Oskarżono ich o to, że "nielegalnie" szerzyli swoją wiarę. Raport wspomina również o wyrokach sądowych przeciwko czterem jezuitom, którzy zostali oskarżeni o "zagrożenie suwerenności i bezpieczeństwu kraju oraz podburzanie ludu". Za zarzucane im "zbrodnie" otrzymali: o. Vincent Zhu Hong-Sheng /67 1./ 15 lat więzienia, o. Joseph Chen Yun-Tang /75 1./ 11 lat, o. Stanislaus Shen Bai-Shun /80 1./ 10 lat i o. Stephen Chen Cai-Jun /66 1./ 2,5 roku pozbawienia wolności.

Amnesty International zaznacza także, iż od wielu lat stara się o uwolnienie uwięzionego jeszcze w 1955 r. biskupa katolickiego z Szanghaju Ignatiusa Gong-Pin oraz 29-letniego współpracownika czasopisma "Exploration", który jest pozbawiony wolności już od pięciu lat.

KATOLICKIE SEMINARIA DUCHOWNE

Dążenia do reaktywacji seminariów duchownych w Chinach mają już swoją historię. Pierwsze kroki w tym kierunku podjęto jeszcze w 1958 roku, kiedy to władze zamknęły ostatnie istniejące seminarium w Zikawei. Późniejsze usiłowania, między innymi w 1965 r. również nie przyniosły

pożądanych efektów. Zmiana nastąpiła dopiero po 1980 r., a ściślej od marca 1982 r. kiedy to ukazał się dekret o kształceniu "patriotyczno-religijnego personelu". Już 11 października 1982 r. otwarto pierwsze seminarium dla kapłanów katolickich w Szanghaju /wówczas z 36 słuchaczami/. Tego samego roku w listopadzie rozpoczęło przyjmować kandydatów do kapłaństwa pekińskie seminarium diecezjalne. Od 28 września istnieje w Pekinie również drugie seminarium, które w przeciwieństwie do diecezjalnego, może przyjmować kandydatów z całego kraju. Trzeciego marca 1983 r. otwarto czwarte seminarium w Shenyang.

W roku bieżącym władze udzieliły zezwolenia na reaktywowanie dwóch seminariów. Jedno z nich mieści się w Chengdu /prowincja Sichuan/, na miejscu dawnego seminarium zamienionego w 1950 r. na tkalnię. Sichuańska Akademia Filozofii i Teologii /nazwa oficjalna/ będzie przyjmowała kandydatów w prowincji Sichuan, Yunnan i Guizhou. Studium ma trwać cztery lata, natomiast program przewiduje wykłady z 14 przedmiotów. Spośród 60-ciu starających się kandydatów na pierwszy rok studiów przyjęto 34. Jako drugie w tym roku otwarto seminarium w Wuchan, do którego przyjęto 40 alumnów. Łącznie pierwszy rok studiów we wszystkich seminariach rozpoczęło 260 słuchaczy.

CZECHOSŁOWACJA

PAPIEŻ POZDRAWIA KATOLIKÓW W CZECHOSŁOWACJI.

W niedzielę 8 lipca w trakcie modlitewnego spotkania z wiernymi Ojciec Święty nawiązał do przypadającej w tych dniach uroczystości świętych Cyryla i Metodego, mówiąc: "W dniu 5 lipca Kościół w Czechosłowacji obchodził szczególnie uroczyste dzień świętych Cyryla i Metodego, przygotowując się do uroczystości 1100-letniej rocznicy śmierci św. Metodego, uroczystości przypadającej w 1985 r. Święci bracia Cyryl i Metody dokonali w IX w. gigantycznego dzieła ewangelizacji wśród Hazarów w Wielkich Morawach i w Panonii, trwając w jedności z Kościołem w Konstantynopolu i w Rzymie.

Bracia według ciała a jeszcze bardziej bracia w wierze byli niestrudżonymi głosicielami Słowa Bożego i podjęli się tłumaczenia na język słowiański Pisma Świętego i Ksiąg liturgicznych. Dlatego też słusznie uważani są za Apostołów ludów słowiańskich i Ojców ich kultury. Cały Kościół Wschodni i Zachodni zachowuje wieczny dług wdzięczności wobec tych dwóch świętych braci za ich wielorakie dzieła ewangelizacji. Z tej racji w roku 1980 uroczyste ogłosiłem ich niebieskimi patronami - obok św. Benedykta - całej Europy.

W dniu dzisiejszym - w niedzielę, 8 lipca, odbywa się w Słowacji pielgrzymka do sanktuarium Matki Bożej z Levorcy, któremu ostatnio nadany został tytuł bazyliki mniejszej. Macierzyńskiemu Sercu Najświętszej Dziewicy powierzam biskupów, kapłanów, zakonników, zakonnice i wszystkich

wiernych tego szlachetnego narodu, aby wyprosiła wszystkim siłę do ustawicznego dawania jasnego świadectwa wiary chrześcijańskiej otrzymanej od ojców."

PAPIEŻ W KOLEGIUM ŚW. JANA NEPOMUCENA

30 września Jan Paweł II złożył wizytę w Papieskim Kolegium św. Jana Nepomucena w Rzymie, które obchodzi setną rocznicę swego istnienia. "Collegium Bohemicum" - taka była pierwotna nazwa tej instytucji - założył Leon XIII w celu kształcenia kandydatów narodowości czeskiej do kapłaństwa. W okresie wcześniejszym byli oni zmuszeni studiować w kolegiach węgierskich bądź niemieckich. Po pierwszej wojnie światowej, kiedy narody czeski i słowacki uzyskały niepodległość, kolegium przemianowane zostało na Papieskie Kolegium im. św. Jana Nepomucena.

Wizyta Papieża miała charakter Liturgii Słowa w kaplicy kolegium. Ojca Świętego powitał rektor kolegium ks. Karel Vrana, oraz bp. Jaroslav Skarvda, były sekretarz kardynała Berana, obecnie odpowiedzialny za duszpasterstwo Czechów na emigracji. W czasie spotkania Jan Paweł II wygłosił homilię, w której mówił o więzach łączących Czechów i Słowaków z Rzymem. Papież przypomniał również sylwetkę kard. Josefa Berana, który zmarł w budynku kolegium przed 15 laty. Mówiąc o nim Papież podkreślił, że "wykazał wielką wierność wobec swego narodu cierpieniem w więzieniach i obozach koncentracyjnych". W czasie okupacji był więziony przez hitlerowców, a następnie przez komunistyczne władze, które zabraniały mu również sprawować powinności duszpasterskich i skazały na wygnanie, gdzie

zakończył swoje życie w 1969 roku.

Ojciec Święty szczególnie ubolewał nad tym, że w obecnej dobie jest praktycznie ograniczona do minimum działalność klasztorów w Czechosłowacji oraz liczba przyjęć do seminariów duchownych. "Jest rzeczą smutną - powiedział Papież - że właśnie Morawy, gdzie znajduje się grób św. Metodego, utraciły swoje seminaria w Olomuńcu i Brnie, z których wyszło tak wielu gorliwych kapłanów". W toku swojej wypowiedzi Papież ze smutkiem mówił o trosce jaką go napawa ciężkie położenie Kościoła katolickiego w Czechosłowacji. Podkreślił tutaj zwłaszcza szczególnie przykry fakt nieobsadzenia po dziś dzień 8 stolic biskupich.

Mówiąc o tradycjach cyrylo-metodiańskich, w których zakorzeniony jest katolicyzm Czechów i Słowaków, Jan Paweł II podkreślił, że szczególnym rysem tej tradycji jest żarliwa pobożność maryjna. "Ileż to sanktuariów maryjnych zdobi waszą ojczyznę" - powiedział Papież. "Jakie tłumy pielgrzymów odwiedzają je w roku. Maryja była droga Czechom, a Czesi byli drodzy Maryi - aby te słowa, które rozbrzmiewały w historii, zachowały na zawsze swą żywotność" - zakończył Ojciec Święty.

DELEGACJA RZĄDU CSRS W WATYKANIE

2 lipca przybyła do Rzymu oficjalna delegacja rządu Czechosłowacji na rozmowy w Watykanie celem omówienia różnych problemów dotyczących działalności Kościoła katolickiego w Czechosłowacji. Delegacji przewodniczył Vladimír Janku, dyrektor Urzędu d.s. Wyznań. Delegatów witał abp Luigi Poggi, nuncjusz apostolski

do specjalnych poruczeń, któremu towarzyszył o. John Bukovsky z Rady d.s. Publicznych Kościoła. W powitaniu delegacji na lotnisku brał również udział przedstawiciel ambasady CSRS w Rzymie. Przeprowadzone w czasie tej wizyty rozmowy stanowiły kontynuację dialogu prowadzonego przez abp L. Poggi w dniach 29 II do 3 III 1984, w stolicy Czechosłowacji - Pradze. /por. "KS", styczeń/czerwiec 1984/.

Na zakończenie pobytu delegacji rządowej CSRS, Biuro Prasowe Stolicy Apostolskiej wydało komunikat następującej treści:

"W dniach od 2. do 6 lipca 1984 odbyły się w Rzymie konsultacje między delegacją Stolicy Świętej kierowaną przez abp. Luigi Poggi, nuncjusza apostolskiego do specjalnych poruczeń a delegacją rządu CSRS kierowaną przez Vladimira Janku, dyrektora Urzędu d.s. Wyznań. W rozmowach, które miały charakter otwarty i konstruktywny obie delegacje wymieniły wzajemnie własne punkty widzenia w celu osiągnięcia rozwiązania spraw leżących we własnym interesie. Obie delegacje postanowiły kontynuować spotkania w najbliższej przyszłości. Podczas swego pobytu w Rzymie delegacja Czechosłowacji spotkała się także z abp Achille Silvestrinim, sekretarzem Rady d.s. Publicznych Kościoła. Na zakończenie delegacja została przyjęta przez kard. Agostino Casaroli, sekretarza stanu."

Z treści tego komunikatu - bardzo oględnego w swej wymowie - jedno przynajmniej stwierdzenie pozwala budzić nadzieję na przyszłość a mianowicie zapewnienie o kontynuowaniu rozmów. Jeżeli się zważy na długotrwałe okresy zamrożenia wszelkich kontaktów pomiędzy Czechosłowacją

a Watykanem, to w tym kontekście jest to jakiś krok naprzód. "Chęć do dyplomatycznego dialogu" obserwatorzy przypisują obecnemu dyrektorowi Urzędu d.s. Wyznań, Vladimirowi Janku, który uchodzi za bardziej "przystępnego" aniżeli poprzednik Karel Hruza. Należy przypomnieć, że obecną funkcję V.Janku sprawuje dopiero od dwóch lat; poprzednio był sekretarzem osobistym gen. Ludwika Svobody.

WIZYTA MINISTRA D.S. WYZNAŃ W WIELKIEJ BRYTANII

Na zaproszenie ambasady CSRS w Wielkiej Brytanii przebywał z kilkudniową wizytą w tym kraju czechosłowacki minister d.s. Wyznań, Vladimir Janku. W trakcie swojego pobytu wystąpił między innymi w londyńskim "King's College" z wykładem na temat stosunków państwo-Kościół w Czechosłowacji. Wyraził w nim myśl, że Kościół w Czechosłowacji posiada "właściwe dla swych funkcji" miejsce w systemie społeczno-politycznym CSRS. Miejsce to gwarantują mu określone przepisy państwowe. To położenie Kościoła - twierdził dalej Janku - zagrożone jest z zewnątrz. Zagrożeń mu jednak nie komunistyczny rząd ale ci, którzy pragną wykorzystać Kościół "jako broń przeciwko władzom CSRS". Wypowiadając się na temat stosunków pomiędzy chrześcijanami a marksistami, V.Janku stwierdził, że są wprowadzić między nimi zasadnicze różnice, których usunąć się nie da, ale nie oznacza to, aby istniały między tymi dwoma obozami ustawiczne napięcia.

Odpowiadając następnie na pytania, V.Janku wiele czasu poświęcił wyjaśnianiu kwestii: czy system panujący w krajach komunistycznych nie przesądza jednoznacznie wyniku konfrontacji

ideologicznej pomiędzy marksizmem a chrześcijaństwem. Zaprzeczył przy tym, jakoby literatura religijna ukazująca się w Czechosłowacji była cenzurowana. Poinformował natomiast, iż w ostatnich 3 latach wydano 100 książek o tematyce religijnej, a w chwili obecnej prowadzone są rozmowy na temat wydania Biblii w języku czeskim.

Podczas pobytu w Wielkiej Brytanii V.Janku spotkał się z anglikańskim arcybiskupem Canterbury dr. Robertem Runcie oraz przedstawicielami brytyjskiej Rady d.s. Stosunków Wschód-Zachód. Spotkał się także z działaczami katolickimi "Pax Christi" - aktywnego uczestnika różnych konferencji działaczy religijnych organizowanych przy współudziale Patriarchatu Moskiewskiego.

Obserwatorzy wizyty V.Janku w Wielkiej Brytanii zwrócili uwagę, że przeprowadził on również rozmowy z dr. Michaeliem Bordeaux, założycielem "Keston College", Brytyjskiego Instytutu d.s. Badania Religii w krajach komunistycznych.

WYMIANA LISTÓW POMIĘDZY HUSAKIEM I TOMASKIEM

Znaczną uwagę w społeczeństwie - zwłaszcza katolickim, wzbudziła korespondencja pomiędzy szefem partii i państwa Gustavem Husakiem a kardynałem Frantiskiem Tomaskiem. Według sprawozdania rządowej agencji CTK Husak w odpowiedzi na list z życzeniami świątecznymi od kardynała Tomaska zapewnił, że "zgodnie z konstytucją i prawami kraju w dalszym ciągu będzie zagwarantowana wolność religijna oraz swoboda w sprawowaniu obrzędów". Dalej pisze, że "wszyscy bez względu na przekonania filozoficzne albo wyznawaną wiarę mogą przyczyniać się do pomyślności naszej socjalistycznej ojczyzny i do zapewnienia pokoju".

Według agencji CTK kardynał Tomasek w swoim liście życzył prezydentowi Husakowi powodzenia w polityce wewnętrznej i zewnętrznej oraz zapewnił go o chrześcijańskiej miłości ojczyzny przez wierzących.

Wymiana listów pomiędzy Husakiem i Tomaskiem została ogłoszona przez dziennik "L'dova Demokracie" - organ Czechosłowackiej Partii Ludowej skupiającej postępowych katolików.

Obserwatorzy zajmujący się sprawami Kościoła w Czechosłowacji są zdania, że Husak w swoim liście do Tomaska nie wychodzi właściwie poza cytaty z konstytucji i zwroty grzecznościowe.

Dopatrywanie się w tej "świętecznej korespondencji" wydarzeń o "poważnej doniosłości" dla stosunków państwo-Kościół jest nieco przedwczesne.

DWA KONGRESY "PACEM IN TERRIS"

W listopadzie odbyły się dwa kongresy Patriotycznego Zrzeszenia Kapłanów "Pacem in terris": jeden z nich w Brnie /dla oddziału czeskiego/ i drugi w Bratysławie /dla oddziału słowackiego/. Obydwa spotkania cechował szczególnie ostry atak przeciwko Watykanowi i duchowieństwu nie należącemu do tego zrzeszenia.

Czeski minister d.s. kultu - Milan Klusak - przemawiając do uczestników Kongresu w Brnie znaczną część swego wystąpienia poświęcił ocenie stosunków rządu ze Stolicą Świętą. Potwierdził on "dobrą wolę" władz do kontynuowania dialogu ale na zasadach pełnego równouprawnienia. Pod tym pojęciem rozumiał uznanie przez Watykan zjednoczenia kapłanów "Pacem in terris". Jednocześnie zapewnił zebranych "w imieniu Socjalis-

tycznej Republiki Czechosłowackiej i jej władz" o pełnym poparciu działalności tego zrzeszenia.

Watykańskie "nie" w stosunku do "Pacem in terris" ocenił M.Klusak jako "próbę zakłócenia stosunków kościelno-politycznych z zewnątrz". Te "zamachy" stanowią "kampanię kłamstw, które mają przekonać świat, że panowie jesteście narzędziem likwidacji Kościoła katolickiego w Czechosłowacji". Cele tej kampanii są "bardzo przejrzyste": "odpowiadają one siłom reakcyjnym w świecie, które opierają się na nienawiści przeciwko systemowi socjalistycznemu". Przez to - według M.Klusaka - "podkopuje się osiągnięte z tak wielkim trudem porozumienie między Kościołem i państwem w Czechosłowacji".

W nie mniej wrogim duchu wypowiadał się podczas Kongresu w Bratysławie, słowacki minister d.s. kultu - Miroslav Valek. Podobnie jak M.Klusak w Brnie również on rozpoczął swoje wystąpienie od krytyki Watykanu w związku z nieuznawaniem przezeń "Pacem in terris" jak i nieżyczliwej postawy biskupów czechosłowackich wobec tej organizacji. Następnie skierował swój atak na reakcyjne siły imperializmu, które "próbują również Kościół i religię wykorzystywać dla własnych celów, ażeby później posłużyć się nimi do osłabienia, bądź obalenia socjalizmu. Również ich mieszanie się w sprawy naszego państwa jest widoczne. Imperializm popiera zarówno siły politycznego klerykalizmu jak powstanie i działalność nielegalnych struktur kościelnych. Te siły oraz niektóre prawicowe kręgi klerykalne biorą coraz aktywniejszy udział w wyprawie krzyżowej przeciwko socjalistycznej społeczności", tak zakończył minister M.Valek.

Jak wynika z przebiegu obrad obu kongresów, miały one charakter wyraźnie "ideologiczny". Związane jest to chyba z pracami nad nowym programem "Pacem in terris", który ma zostać uchwalony na najbliższym ogólnokrajowym zjeździe. Sam zarys programu nie został podany do publicznej wiadomości. W sprawozdaniach z obrad - opublikowanych przez prasę urzędową - czytamy, że rozważano "kwestie wynikające z przynależności do Kościoła i do ojczyzny".

PROWOKACJA PRZECIWKO KOŚCIOŁOWI?!

Na przełomie czerwca i lipca władze partyjne zorganizowały spotkanie grupy działaczy Zrzeszenia kapłanów "Pacem in terris". Ze względu na nieoficjalny i tajny charakter odbyło się ono w luksusowym hotelu w Dolnym Smokovcu /Wysokie Tatry/. Zebranych kapłanom przedstawiono - bez żadnych wstępnych konsultacji - dwie propozycje:

1. W związku z uroczystościami 1100 rocznicy śmierci apostoła Słowian, św. Metodego do Velehradu na Morawach ma być zaproszony nie Ojciec Święty ale patriarcha moskiewski Pimen.
2. Kościół katolicki w Czechosłowacji powinien stać się Kościołem narodowym a przez to zerwać również związki z Watykanem i wejść w skład moskiewskiego patriarchatu prawosławnego.

Propozycje te spowodowały wielkie oburzenie wśród zgromadzonych na tym spotkaniu kapłanów należących do "Pacem in terris". Odezwały się donośne głosy protestu. Część kapłanów opuściła to zgromadzenie a inni jeszcze wystąpili ze zrzeszenia "Pacem in terris". Zamiary funkcjonariuszy partyjnych okazały się nie do przyjęcia nawet dla kapłanów z "Pacem in terris".

przed osądem historii, własne sumienie i poczucie godności spowodowały, że materiały z tego tajnego spotkania zostały przekazane władzom kościelnym wiernym Rzymowi. Miał to być dowód przymusu moralnego zastosowanego przez władze wobec uczestników spotkania.

Z krążącego w odpisach sprawozdania wynika, że inicjatorem tego planu był ideolog partii czechosłowackiej, Vasil Bilak, który uchodzi za szczególnie wojującego ateistę. Zaproszenie Pimena zwłaszcza w kontekście woli ludzi wierzących, którzy w liczbie kilkunastu tysięcy podpisów dali wyraz pragnieniu goszczenia u siebie Ojca Świętego, jest aktem skierowanym przeciwko całemu Kościołowi katolickiemu w Czechosłowacji. Jest to również wyjątkowy nietakt wobec samego Jana Pawła II.

Założenie Kościoła narodowego w Czechosłowacji nie jest pomysłem nowym. Próby takie występowały w latach pięćdziesiątych we wszystkich krajach zdominowanych przez Moskwę; nie przyniosły wówczas - przynajmniej w Europie - pożądanych efektów. Jedynie w Chinach założono Kościół narodowy /tzw. patriotyczny/ a w ostatnich latach powtórzono ten "chiński model" w komunistycznym Wietnamie. Nowością w pomyśle Bilaka jest chęć poddania Kościoła katolickiego w Czechosłowacji patriarchatowi moskiewskiemu. Podjęcie kroków wstępnych władze zleciły biskupom Vranie i Feranecowi /należącym do "Pacem in terris", którzy przebywali w związku z tym u Pimena.

Opór kapłanów zrzeszonych w "Pacem in terris" był dużym zaskoczeniem dla władz partyjnych. Nasuwa się w związku z tym pytanie na jakim

szczeblu mogła zostać podjęta tak nieprzemyślana decyzja. Czy Bilak i jego towarzysze postępowali na własną rękę, jak się przypuszcza w Pradze, czy też mieli aprobatę ministra d.s. Wyznań V. Janku, nie wiadomo. Wypowiadane są również tak śmiałe poglądy, że propozycje te w sposób zamierzony bądź niezamierzony spowodują całkowity rozpad organizacji "Pacem in terris".

AKCJA POLICYJNA PRZECIWKO FRANCISZKANOM

W Palmową Niedzielę 1983 r. została podjęta - zakrojona na szeroką skalę - akcja policyjna przeciwko zakonowi franciszkanów. W jej wyniku doszło do licznych uwięzień, przesłuchań i rewizji domowych. "Dalszy ciąg" tej akcji miał miejsce w Libercu pod koniec listopada tego roku. Na skutek działań policyjnych aresztowani zostali: Jan Zan, Jan Burian, Jitka Danhelova, Ladislav Trojan, Anton Dąbrowski, Ctirad Pospisil i Alena Janosikova. Podczas gdy czworo spośród nich po przesłuchaniu zwolniono /Trojana, Dąbrowskiego, Pospisila i Janosikovą/ to Zan, Burian i Danhelova pozostają nadal w więzieniu śledczym. Akt oskarżenia zarzuca im niestosowanie się do zarządzeń państwowych o Kościele i wspólnotach religijnych. Jest to jednocześnie powtórzone oskarżenie pod adresem zakonu franciszkanów, który pomimo zakazu władz przyjmuje nowicjuszy i nowicjuszki do swoich wspólnot zakonnych. Do tej właśnie grupy należeli aresztowani w dniu 26 listopada.

REWIZJA W KOSCIELE I NA PLEBANII

14 września na plebanii oraz w kościele w Lipovniku koło Roznavy /Wschodnia Słowacja/

przeprowadzono rewizję połączoną z przesłuchaniem proboszcza Mateija Nemetha. W akcji tej brało udział pięciu funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa pod kierunkiem por. Petera Pora. Nakaz rewizji wydany przez prokuraturę w Koszycach uzasadniony został podejrzeniami jakoby ks. M.Nemeth rozpowszechniał wśród wierzących publikacje, których treść jest skierowana przeciwko socjalistycznemu porządkowi państwa. Zamiast owej "znaczej ilości" wrogich pism, o których mówi nakaz rewizji, znaleziono i skonfiskowano jedynie literaturę teologiczną, maszynę do pisania oraz notes z adresami. Za dowód szczególnie obciążający uznano ulotkę zawierającą apel do władz o zwolnienie trzech młodych katolików, którym groził proces o "przemykanie" literatury religijnej z Polski.

Podczas przesłuchania proboszcz oświadczył, że nie czuje się wcale winnym tak wobec państwa jak i tym bardziej wobec ojczyzny. Ze swej strony złożył protest przeciwko sposobowi przeprowadzenia rewizji, która - według nakazu - miała obejmować tylko plebanię, a nie kościół, jak to w rzeczywistości miało miejsce.

Wydaje się jednak, że bezpośrednim powodem tych szykan było nauczanie religii oraz przygotowywanie dzieci do pierwszej Komunii Świętej w pomieszczeniach plebanii, zamiast w kościele, co jest według obowiązującego prawa zabronione. Z takimi zarzutami władze występowały już wobec ks. Nemetha w maju tego roku.

Nie jest to zresztą przypadek odosobniony. Za przygotowywanie dzieci do pierwszej Komunii Świętej - bez zgody władz - został pozbawiony spełniania funkcji kapłańskich proboszcz Josef

Kajnek z miejscowości Usti nad rzeką Orlice.

"DZIESIĄTKOWANIE" SEMINARZYSTÓW

Matki jedenastu alumnów usuniętych z seminarium duchownego w Bratysławie, zwróciły się 15 września do prezydenta G.Husaka z prośbą o ponowne przyjęcie ich synów na studia teologiczne.

Konflikt ten, jak piszą matki w swej petycji, zrodził się jeszcze w październiku 1980 r. Wówczas to około 120 alumnów podjęło 48-godzinny strajk głodowy na znak protestu przeciwko mieszaninowi się zjednoczenia kapłanów "Pacem in terris" w wewnętrzne sprawy seminarium. Reakcja władz państwowych była niecodzienna: zażądały imiennej listy seminarzystów, z której co dziesiątego skreślono. Zostali oni usunięci z seminarium a następnie skierowani do zakładów reedukacyjnych.

Jak zgodnie podkreślają wszystkie matki, ich synowie pomimo to pozostali wierni swemu powołaniu. "Krzywda jaka spotkała naszych synów, rani jednocześnie religijne uczucia całego wierzącego ludu, który powołanie kapłańskie uważa za wielki dar Boży i w tej intencji nieustannie się modli" - tak kończą swój list matki.

SZYKANY PRZECIWKO KATOLICKIEJ PISARCE

Według informacji udostępnionych przez brytyjski Instytut Wschodni "Keston College", czeska pisarka katolicka Ivana Kotrla została oskarżona przez władze bezpieczeństwa o "oszczerstwa republiki". W wyniku rewizji przeprowadzonej w mieszkaniu małżeństwa Kotrla skonfiskowano rękopisy autorki, wydania samizdatowe innych pisarzy oraz pewną sumę pieniędzy. Pisarka

w chwili przeprowadzenia rewizji przebywała w szpitalu gdzie poczęła swoje piąte dziecko.

W tym samym czasie władze bezpieczeństwa dokonały również rewizji u znajomego państwa Kotrlów, Petera Kazanka, któremu zarzucano przemykanie literatury emigracyjnej z Austrii.

UWIEZIENIE CZŁONKÓW "KOŚCIOŁA BRACI CZESKICH"

Trzej członkowie "Kościoła Braci Czeskich" liczącego około 300000 wiernych, zostali uwięzieni 12 i 13 października we Wschodniej Słowacji. Podczas rewizji u Jana Juhascika i Rudolfa Sabanosa skonfiskowano znaczną ilość zagranicznej literatury religijnej. Następnego dnia w wyniku rewizji u ojca Juhascika, którego również aresztowano, skonfiskowano dalszą partię tej literatury. Wszyscy trzej obecnie przebywają w więzieniu śledczym w Koszycach, gdzie oczekują na rozprawę. Grozi im wyrok od czterech do ośmiu lat więzienia.

SZYKANY PRZECIWKO "MNIEJSZOSCIOM RELIGIJNYM"

Według informacji ukazującego się w Wiedniu miesięcznika "Ost-Nachrichten", nie tylko wielkie wspólnoty religijne, ale również i małe sekty w Czechosłowacji podlegają w nie mniejszym stopniu represjom ze strony władz. W jednym z miast w północnych Czechach skazani zostali na dłuższe kary pozbawienia wolności trzej świadkowie Jehowy: Frantisek Risler, Zdenek Taborsky i Jiri Kubik.

O skazaniu członków nie zarejestrowanego Kościoła zielonoświątkowców - Jana Mokrego i Jiri Snajdra - donosi serwis informacyjny wydawany przez "Keston College".

JUGOSŁAWIA

KOŚCIOŁ "WIELONARODOWY"

Na mozaikę wyznaniową w Jugosławii składają się zasadniczo trzy religie: prawosławie liczące 9 mln wyznawców, katolicy 6,5 mln oraz islam 4 mln. Kościół prawosławny jakkolwiek jest najliczniejszy to jednak posiada najmniej duchownych /2500/ i budynków sakralnych /220 cerkwi i 180 klasztorów/. Kandydaci do stanu duchownego mogą kształcić się w czterech seminariach duchownych oraz na jedynym wydziale teologii prawosławnej.

Kościół katolicki jako drugi co do wielkości posiada 8 archidiecezji, 14 diecezji i jedną administraturę apostolską. Jest to kościół wielonarodowościowy w przeciwieństwie do pozostałych dwóch wyznań. Należą do niego przede wszystkim Kroaci, następnie Słoweńcy, Albańczycy, Węgrzy a nawet Rusini. Według danych statystycznych pochodzących z 1981 r. Kościół katolicki podzielony jest na 2702 parafie, w których pracuje 2741 kapłanów diecezjalnych oraz 1416 zakonników zgromadzonych w 182 klasztorach i 6587 zakonnic - w 416 klasztorach. Kandydaci do stanu duchownego mogą się kształcić na dwóch wydziałach teologicznych, pięciu wyższych szkołach i dziewiętnastu seminariach.

Najmniej liczna wśród tych wielkich wyznań jest religia muzułmańska. Dysponuje jednak pokaźną liczbą duchownych /ok. 3000/ i 1400 meczetami. W ostatnim dziesięcioleciu otwarto wyższą szkołę kształcącą duchownych muzułmańskich oraz liczne gimnazja Koranu, w tym również

dla dziewcząt.

1300-LECIE CHRYSYANIZACJI CHORWACJI

Punktem kulminacyjnym obchodów 1300 rocznicy chrystianizacji Chorwacji był narodowy Kongres Eucharystyczny, który rozpoczął się 8 września w stolicy Chorwacji - Zagrzebiu, a zakończył 9 września jubileuszową Mszą św. w narodowym sanktuarium maryjnym w miejscowości Marija Bistrica.

Uroczystości poprzedzone zostały wielką akcją duszpasterską. Jej podsumowanie zawierał list pasterski biskupów chorwackich ogłoszony z okazji Kongresu. Nosił on tytuł "Dziedzictwo nas zobowiązuje". Oficjalnym przedstawicielem Ojca Świętego na Kongresie był kard. Franz Koenig - arcybiskup Wiednia. W Kongresie uczestniczyli również między innymi kard. László Lekai - Prymas Węgier, kard. Franciszek Macharski, kard. Marco Ce - patriarcha Wenecji i kard. Joachim Meissner, arcybiskup Berlina.

Jan Paweł II skierował do kard. Franjo Kuharica specjalne posłanie z okazji 1300 rocznicy chrystianizacji Chorwacji. W posłaniu tym Papież przypominał fakty historyczne świadczące o łączności Chorwatów z Rzymem, o chrześcijańskich korzeniach chorwackiej kultury oraz tożsamości narodowej. Obszerne fragmenty papieskiego pisma dotyczyły młodzieży chorwackiej i mówiły, że musi ona sprostać dziedzictwu przekazywania życia oraz wiary następnym pokoleniom.

Na uroczystości otwarcia Kongresu, która nastąpiła w zagrzebskiej katedrze, obecny był także przewodniczący rządowej komisji d.s.

stosunków ze wspólnotami religijnymi, Ante Susić, który - jak podają agencje - wyraził nadzieję, że uroczystości "będą utrzymane w ramach kościelnych". W okresie poprzedzającym Kongres wiele czołowych dzienników jugosłowiańskich wystąpiło z ostrą krytyką programu Kongresu, zarzucając Kościołowi szerzenie chorwackiego nacjonalizmu i separatyzmu.

9 września w Marija Bistrica przed posągiem "czarnej Madonny", czczonej jako Matka Boska Bistricka, odprawiona została jubileuszowa Msza św. Była to największa uroczystość religijna w dziejach Chorwacji. Wzięło w niej udział ponad 400 tys. wiernych, 110 księży, 35 biskupów i arcybiskupów oraz 6 kardynałów. Liturgii Eucharystycznej przewodniczył, a także wygłosił homilię kard. Franjo Kuharić - arcybiskup Zagrzebia.

Olbrzymie zgromadzenie wiernych wypełniło wzgórze przed bazyliką. Prócz Chorwatów przybyli również przedstawiciele innych grup narodowych, zamieszkujących Chorwację oraz inne federacyjne republiki jugosłowiańskie, zwłaszcza Słoweńcy oraz Węgrzy, Albańczycy a także grupy Bośniaków i Serbów.

PAMIĘĆ O KARDYNALE STEPINACU ZAKAZANA

Tak jak każdego roku również i teraz w dniu śmierci kard. Aloisa Stepinaca, która przypada 10 lutego, arcybiskup Zagrzebia Franjo Kuharić odprawił uroczyste nabożeństwo oraz wygłosił kazanie poświęcone swemu wielkiemu poprzednikowi. Przypomnijmy, że kard. Stepinac po przejęciu władzy przez komunistów został skazany w 1946 roku na piętnaście lat więzienia jako "wróg

państwa". Zmarł 10 lutego 1960 r. w Zagrzebiu. W ubiegłych latach prasa partyjna bardzo ostro reagowała na jakąkolwiek wzmiankę o Stepinacu. W roku bieżącym z racji odbywających się zimowych igrzysk w Sarajewie, władze chcąc zachować pozory liberalizmu, powstrzymały się od krytyki. Do kazania kard. Kuharica z 10 lutego powrócono po kilku miesiącach. Partyjne gazety, a zwłaszcza belgradzkie "Vecernje novosti", określiły homilię Kuharica jako swoistą krucjatę, która stawia sobie za cel rehabilitację "przestępcy wojennego Stepinaca".

Ponowny atak nastąpił w grudniu bieżącego roku według starego scenariusza, bowiem nawet kwartalne opóźnienie zostało zachowane. Celem tej napaści tym razem stał się arcybiskup Wiednia kard. Franz Koenig, który brał udział w uroczystościach 1300-lecia chrystianizacji Chorwacji /we wrześniu/ jako specjalny legat papieski. Kardynał został zaatakowany przez Dusana Dragosavaca - członka prezydium KC Związku Komunistów Jugosławii i jednocześnie przedstawiciela serbskiej mniejszości w republice chorwackiej. Ostrze swej krytyki Dragosavac skierował również przeciwko kard. Kuharicowi i - co jest szczególnie intrygujące - chorwackim aktywistom partyjnym, którzy uczestniczyli w tych uroczystościach jako oficjalni przedstawiciele władz. W osobie kard. Koeniga został również dotknięty tą krytyką Ojciec Święty, którego legatem specjalnym był arcybiskup Wiednia.

Stolica Święta odpowiedziała na te ataki za pośrednictwem "Radia watykańskiego", które między innymi przypomina, że imię kardynała Stepinaca zostało wspomniane tylko dwa razy

290

i to mimochodem. Najpierw wieczorem 8 września podczas mowy powitalnej kard. Kuharica skierowanej do legata papieskiego - kard. Koeniga, w której przypomniawszy jego pobyt w 1960 r. na pogrzebie kardynała Stepinaca. Natomiast powtórnie wspomniawszy Stepinaca sam Koenig, mówiąc o wrażeniu jakie budzi w nim przybrany zawsze świeżymi kwiatami grób zmarłego kardynała, który znajduje się w zagrzebskiej katedrze. Wspomniał przy okazji, że ze Stepinacem łączyły go wspólne lata studiów. Wielki poklask, który nastąpił po tych słowach kard. Koeniga unaoczniał jak bardzo żywe jest wspomnienie Stepinaca w sercach katolików chorwackich. Rzeczywiste powody ataku Dusana Dragosevica pozostają jak mi się wydaje w cieniu. Bardzo prawdopodobne jest, że odzywają się tutaj zadawnione konflikty serbsko-chorwackie. Pośrednio wskazał na to kard. Koenig, który stwierdził, że nie on ale przedstawiciele rządu chorwackiego obecni na uroczystościach byli celem tych napaści. Przypomnijmy, że Dragosevic jest reprezentantem mniejszości serbskiej w republice chorwackiej.

PROCESY PRZECIWKO KAPŁANOM

Trzej chorwaccy duchowni katoliccy - Marijan Milovan /50 l./, Stanko Skunca /47 l./ i Josip Frkina /54 l./ - zostali 11 października postawieni przed sądem oraz oskarżeni o "wrogą państwu propagandę". Przy tych kapłanach - w trakcie rewizji - znaleziono kilka egzemplarzy emigracyjnego pisma chorwackiego "Nova Hrvatska", ukazującego się w Londynie. Pismo to - jak mówi akt oskarżenia - wzywa do przewrotu i oderwania się Chorwacji od Federacyjnej Republiki

Jugosławii. Sąd skazał Marijana Milovana na 14 miesięcy więzienia, Stanko Skunca otrzymał wyrok 10 miesięcy z zawieszeniem wykonania kary na okres trzech lat, natomiast Josip Frkina został uniewinniony.

Niedawno, w Bośni odbył się kolejny proces przeciwko duchownemu - franciszkaninowi Jozo Krizicovi. Temu kapłanowi, który już wcześniej odbył 2,5 letnią karę więzienia, obecnie akt oskarżenia zarzuca uprawianie "wrogiej agitacji". "Dowodem" na to było jedno z "podburzających" kazań, które wygłosił w swojej parafii - Duvno. Oprócz o. Jozo Krizica przed sądem stanęła również osiemnastoosobowa grupa młodzieży pochodząca głównie z tej parafii, która po Mszy św. miała śpiewać pieśni o "wrogiej treści". Sąd okręgowy wymierzył o. Jozo Krizicovi karę 60 dni więzienia a grupie młodzieży łącznie 25 miesięcy. O. Krizic przez długi czas był redaktorem naczelnym popularnego pisma katolickiego "Nasa ognjisce".

POWTÓRNE SKAZANIE STUDENTA TEOLOGII

Uwięziony student teologii Ivan Turudic /22 l./ został obecnie przez Sąd w Sarajewie ponownie skazany na karę 2 lat pozbawienia wolności. Turudic na razie odbywa jeszcze swoją pierwszą - czteroletnią karę więzienia w Zenica. Wówczas to oskarżono go, że ułożył "nacjonalistyczny poemat". Podczas rewizji domowej znaleziono artykuł z "Frankfurter Allgemeine Zeitung" o "wrogiej wobec państwa treści" oraz literaturę dotyczącą narodowego bohatera - kardynała Stepinaca.

Do powtórnego procesu doszło na skutek

prowokacji jednego z współwięźniów Ivana Turudica. Ściany celi, którą zajmował Turudic zostały przez nasłanego prowokatora zarysowane swastykami hitlerowskimi, natomiast na skutek fałszywych i oszczerczych zeznań współwięźnia, winą jego obarczono. Od tego wyroku adwokat złożył odwołanie w sądzie belgradzkim. Niestety wyrok został utrzymany w mocy.

INDOKTRYNACJA POPRZEZ GRANICE

Komunistyczna indoktrynacja dzieci jugosłowiańskich sięga nawet poza granice macierzystego kraju. Poświadcza to przypadek, jaki miał miejsce w jednej ze szkół - dla dzieci "gastarbeiterów" jugosłowiańskich - w Berlinie Zachodnim. W związku z obchodzonym "dniem republiki" władze szkolne zorganizowały - na początku listopada - "uroczystość" dla najmłodszych uczniów. Obok "bogatego programu", w którym wysławiano nie tyle "Kochaną Ojczyznę" ile panujący tam komunizm, nastąpiło uroczyste przyjęcie uczniów do komunistycznej organizacji młodzieżowej "Związek Pionierów" oraz do tzw. "Grupy Pionierów Ivo Andrica".

Zapowiedź tych uroczystości została przekazana rodzicom w sposób nie dopuszczający jakiegokolwiek sprzeciwu. Wywołało to - zwłaszcza w rodzinach katolickich Chorwatów - zrozumiałe oburzenie i zaniepokojenie. Nikt z władz szkolnych nie zapytał rodziców o wyrażenie zgody. Również nie uczyniły tego organizacje młodzieżowe, które zresztą nie są nawet zarejestrowane na terenie Berlina Zachodniego. Oburzenie rodziców wzrosło z chwilą, kiedy zabroniono dzieciom - "wcielonym" do komunistycznych organizacji - uczęszczać na

naukę religii. Składanie oficjalnych protestów w związku z tym zostało sparaliżowane przez różnorakie środki nacisku /utrata paszportu, pozbawienie możliwości zarobkowania na Zachodzie itp./

Poprzez granice oddziałującej władza komunistyczna również na dorosłych. Specjalną rolę odgrywa tutaj radiostacja "Jugoslavijsko dobro", której audycje nagrywane są wyłącznie w Jugosławii a następnie przesyłane do RFN jako "gotowe do spożycia konserwy". Tam są emitowane bez żadnej kontroli pomimo zawartej w nich komunistycznej agitacji i propagandy. Pozbawione są natomiast całkowicie wszelkich pierwiastków religijnych, jakkolwiek większość Chorwatów i Słoweńców pracujących w RFN jest katolikami. Problem ten ostatnio znów stał się głośny w związku ze zbliżającymi się Świątami Bożego Narodzenia. Brakowi rodzimych audycji o charakterze świątecznym Chorwacki Urząd Duszpasterski w RFN zapobiegł przez emisję programu nagranego w zachodnioniemieckiej rozgłośni ZDF.

KOREA PÓŁNOCNA

WIERZĄCY W KOREI POŁNOCNEJ

W Korei Północnej przed 1950 rokiem było około 120 tys. chrześcijan, którzy korzystali z 1400 świątyń. Podczas działań wojennych - jak poinformował sekretarz Federacji Chrześcijan, Ko Gyi Dzun - wszystkie świątynie uległy zniszczeniu. Po 1953 roku KRL-D w zasadzie przestała się liczyć na religijnej mapie świata. Działają

tylko trzy społeczności wyznaniowe - chrześcijan, buddystów i wyznawców Czondogio, będącego swoistą formą eklektycznej wiary, łączącej elementy animistycznych wyznań starokoreańskich, buddyzmu i chrześcijaństwa. Samych chrześcijan pozostało - jak ocenia Ko Gyi Dzun, który sam jest jednym z 15 w tym kraju duchownych, mianowicie pastorem kalwińskim - około 5 tysięcy, wśród przeszło 17 milionowej ludności KRL-D. "Świątyni nie ma obecnie żadnej i - jak podkreśla pastor - nie chodzi o to, iż państwo nie chce łożyć na ich budowę - ale po prostu młodzież nie garnie się do religii. Wielu starszych wyznawców zrezygnowało i zwątpiło, a tym, którzy nadal odprawiają modły, wystarczy kaplica - np. pokój w mieszkaniu jednego z członków grupy wyznawców."

KUBA

PRAGNIENIE OJCA ŚWIĘTEGO ODWIEDZENIA KUBY

Podczas lotu powrotnego ze swojej pielgrzymki na Wyspy Karaibskie Papież Jan Paweł II - wobec towarzyszących mu dziennikarzy - wyraził gotowość odwiedzenia Kuby, gdyby stamtąd otrzymał zaproszenie. "Jestem gotów podróżować wszędzie tam, gdzie znajduje się Kościół" - powiedział Ojciec Święty jednemu z dziennikarzy.

W związku z tym oświadczeniem Papieża, włoski tygodnik katolicki "Famiglia Christiana" przeprowadził wywiad z arcybiskupem Hawany - Jaime Ortega y Alamino. Z treści tej rozmowy wynika, że Ojciec Święty został zaproszony przez Fidela Castro już przed sześciu laty /pod koniec 1978r./,

kiedy to przygotowywał swoją pielgrzymkę do Meksyku. Wówczas jednak zaproszenie to nie mogło zostać przyjęte, ponieważ dokładny harmonogram podróży został zatwierdzony i nie było już możliwości wprowadzenia jakichkolwiek zmian. W zakończeniu "Famiglia Christiana" podkreśla, że nuncjusz apostolski w Hawanie - arcybiskup Giulio Einaudi - oczekuje na ponowne zaproszenie Papieża, chociaż - jak na razie - w swoich rozmowach z władzami, spotkał się z "milczeniem". Jednakże, jest przekonany o tym, że "sprawa ta będzie powoli dojrzewała".

SPOTKANIE PAPIEŻA Z WIERNYMI KUBY

Na zakończenie swojej pielgrzymki do Ameryki Środkowej Jan Paweł II skierował szczególnie serdeczne słowa do narodu kubańskiego. Po kazaniu na placu "De las Americas" w San Jose - 12 października - Ojciec Święty powiedział: "Pozdrawiam ten czcigodny naród i wszystkich mieszkańców kraju; pozdrawiam kapłanów, zakonników, seminarzystów i świeckich chrześcijan z perły Karaibów". Kuba jak oświadczył Papież, budzi w nim bardzo głębokie uczucia, czuje się bliski temu Kościołowi. Poprzedniego dnia /12.X.84r./ Ojciec Święty spotkał się w San Domingo /Haiti/ z pięcioma biskupami kubańskimi, z którymi odbył krótką rozmowę. Zezwolenie na wyjazd pięciu biskupom jest wydarzeniem wyjątkowym, bowiem kontakty zagraniczne siedmiu kubańskich diecezji i ich duszpasterzy są z reguły bardzo ograniczone.

WALKA IDEOLOGICZNA PRZECIWKO KOŚCIOŁOWI

Pomimo pozornie większej tolerancji państwa

w stosunku do Kościoła, walka ideologiczna nie ustaje. Wprawdzie nie ma otwartych prześladowań wierzących gdy chodzi o szerzenie i publiczne wyznawanie wiary to jednak władze wszelkimi środkami starają się ograniczać tę działalność. Polityka państwa staje się przejrzysta chociażby przez porównanie danych odnośnie do duchownych sprzed i po rewolucji. I tak, o ile przed 1959 r. na Kubie było prawie 700 kapłanów, 300 zakonników i 2400 zakonnic, to obecnie liczby te zmniejszyły się odpowiednio do 116 kapłanów, 105 zakonników i 218 sióstr. Ponadto po rewolucji przestały istnieć również wielkie organizacje katolickie o charakterze świeckim, żeby wspomnieć tylko najważniejsze, jak "Caballeros catolicos" czy "Damas catolicas". Kościół nie posiada również dostępu do środków masowego przekazu, nie ukazuje się żadne pismo katolickie, duchowieństwo jest zupełnie pozbawione środków oddziaływania na wychowanie młodego pokolenia. Z drugiej strony wierni deklarujący otwarcie swoją przynależność do Kościoła katolickiego, są dyskryminowani w życiu społecznym: między innymi nie mogą wykonywać pewnych zawodów ani sprawować funkcji kierowniczych, które są zastrzeżone wyłącznie dla członków partii.

NRD

KOŚCIOŁ KATOLICKI W NRD

Przeważająca część chrześcijan z NRD stanowią wierni Kościoła ewangelickiego. Wśród 7,7 mln ewangelików zorganizowanych w ok. 7200 gminach posługę pasterską pełni ok. 4300 pastorów -

mężczyzn i kobiet.

Kościół katolicki znajduje się na drugim miejscu pod względem liczebności wiernych. Posiada 1,2 mln wyznawców, co stanowi 7-8% ogółu ludności. Duszpasterstwo prowadzi ponad 1300 kapłanów, kilkudziesięciu diakonów i ponad 500 asystentek pastoralnych w ok. 1300 kościołach i innych obiektach kultu. Na skutek uwarunkowań historycznych katolicy w NRD żyją w rozproszeniu. Zwarte katolickie regiony osiedleńcze znajdują się jedynie w północno-zachodniej części okręgu erfurckiego /Eichsfeld/ i w okręgu drezdeńskim /Łużyce/. Ze względu na specyficzne warunki diaspory, w duszpasterstwie pomaga ok. 800 pomocników diakonalnych, którzy w stacjach duszpasterskich liczących czasem tylko kilkunastu wiernych, sprawują pod nieobecność kapłana liturgię słowa i udzielają Komunii św. Około 3200 zakonnic i 540 zakonników żyje i pracuje w 300 klasztorach i domach zakonnych.

Na czele Episkopatu Kościoła katolickiego w NRD stoi ordynariusz Berlina kard. Joachim Meissner. Do godności kardynalskiej wyniósł go Papież Jan Paweł II w dniu 2 lutego 1983 roku. Kardynał Meissner jest siódmym z kolei biskupem utworzonej w 1930 roku diecezji berlińskiej i czwartym, który został wyniesiony do godności kardynalskiej. Biskupstwo berlińskie sięga z północy od wyspy Rugii po Jueteborg na południu oraz od Odry na wschodzie po Łabę przy Wittenberdze na zachodzie i obejmuje także Berlin Zachodni. W diecezji berlińskiej mieszka ok. 445 tys. katolików, z tego prawie 270 tys. w Berlinie Zachodnim. Jedność biskupstwa została zachowana mimo podziału politycznego.

Stolica Apostolska rozwiązała problemy administracyjne Kościoła katolickiego w NRD, ustanawiając w 1973 roku administratorów apostolskich w Erfurcie, Magdeburgu i Schwerinie. Tym samym ustała jurysdykcja biskupów rezydujących w RFN nad wspomnianymi wyżej jednostkami terytorialnymi w NRD. W 1976 r. papież Paweł VI uznał Berlińską Konferencję Biskupów za instytucję niezależną, działającą na obszarze wyznaczonym granicami państwowymi NRD. Berlińska Konferencja Episkopatu liczy 10 księży biskupów. Do wspomnianych wyżej jednostek administracyjnych Kościoła w NRD trzeba jeszcze dodać diecezję drezdeńsko-miśnieńską i administraturę apostolską w Görlitz.

Specyfiką życia katolickiego w NRD są duże możliwości Kościoła w zakresie działalności społecznej. Kościół prowadzi między innymi: 34 szpitale, 107 domów starców, 40 domów zdrojowych i 44 ochronki dla dzieci. W katolickich placówkach opieki zdrowotnej i pomocy socjalnej zatrudnionych jest łącznie ok. 7,5 tys. osób, w tym 1,5 tys. sióstr zakonnych. Kościół prowadzi również 7 szkół pielęgniarskich i seminarium nauczycielskie dla opiekunów społecznych i przedszkolaków.

Kandydaci do kapłaństwa kształcą się w Studium Filozoficzno-Teologicznym w Erfurcie /dla całej NRD/, a następnie w seminariach pastoralnych Neuzelle i Huysburgu dopełniają przez dwa lata przygotowanie duszpasterskie. Katolicy w NRD mają jedno wydawnictwo - "St. Benno Verlag" w Lipsku oraz czasopisma: "St. Hedwigsblatt" w Berlinie i "Tag des Herrn" w Lipsku.

KOŚCIOŁ I PAŃSTWO O ZAGADNIENIACH POKOJU

Przewodniczący Konferencji Episkopatu Berlina, kard. Joachim Meissner i sekretarz d.s. zagadnień kościelnych w NRD, Klaus Gysi, spotkali się w ramach regularnych kontaktów we Wschodnim Berlinie. Tematem tego spotkania były zagadnienia pokoju.

Jak wynika ze sprawozdania ogłoszonego w Berlinie przez rządową agencję prasową ADN obie strony przedstawiły własne punkty widzenia na temat zagadnień pokoju i jego zabezpieczenia. W pierwszej części tego komunikatu wyrażono poglądy rządu NRD, a w drugiej stanowisko Kościoła katolickiego. W zakończeniu obaj partnerzy spotkania dają wyraz wspólnym poglądom. Czytamy tam, że "państwo i Kościół potwierdzają swój zamiar podjęcia odpowiedzialności - każdy na swój sposób - za żywotne interesy ludzi i narodów". Ponadto podkreślono, że obie strony zgodne są co do tego aby istniejące kontakty - pomiędzy Urzędem d.s. kościelnych i przedstawicielami Episkopatu Berlina - w pełni wykorzystywać celem swobodnej wymiany myśli oraz dla uregulowania kwestii spornych.

MARKSISTOWSKIE "DZIEJE PAPIEŻY"

Na rynku księgarskim NRD ukazała się książka sowieckiego autora J.R.Grigulevica pt. "Papieże XX wieku. Od Leona XIII do Jana Pawła II". Dzieło to liczące 565 stron - przełożył na język niemiecki oraz częściowo uzupełnił prof. Hubert Mohr, który jest emerytowanym profesorem historii w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Poczdamie. Studiował teologię katolicką a w chwili wybuchu wojny wstąpił do Wehrmachtu, z którego

300

później zdezerterował i obecnie jest członkiem SED.

Marksistowskie ujęcie historii papieży - pierwsze na terenie NRD - jest dla Mohra przede wszystkim "historią ideologii", której nosicielem jest Kościół katolicki. Zgodnie z tym papieży oceniani są przede wszystkim na podstawie zajmowanego stanowiska w stosunku do socjalizmu i "Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej". Tak więc Leon XIII krytykowany jest za encyklikę "Rerum novarum", a Pius X z tego powodu, że "gorliwie służył potężnym tego świata i bał się socjalizmu bardziej niż piekła." Benedykt XV został uznany za "przeciętność na papieskim tronie". Jego następcę, Piusa XI, z powodu encykliki "O bezbożnym komunizmie", określa się "jako uczestnika a nierzadko również sprawcę antysowieckiej prowokacji". Pius XII został oskarżony o "ślepy antykomunizm i obronę interesów panujących rządów w przewodnich państwach imperialistycznych". Bardzo ostrymi słowami potępiono jego stanowisko wobec hitleryzmu. Największe uznanie w oczach Mohra znajduje Jan XXIII oraz jego encyklika "Pacem in terris" jakkolwiek pominięto milczeniem wszystkie te urywki, które mówiły o przestrzeganiu podstawowych praw człowieka. W ocenie pontyfikatu Pawła VI podkreśla się, że powstrzymywał się od "typowych dla wszystkich papieży - Piusów wystąpień przeciwko komunizmowi i Związkowi Radzieckiemu". Rozdział o Janie Pawle I i Janie Pawle II bardzo wyraźnie odzwierciedla nieprzychylnie stanowisko władz NRD wobec Watykanu. Wprawdzie unikano zbyt ostrych i niedwuznacznych ocen, to jednak czyni się zarzuty w związku z wypowiedziami

Ojca Świętego na temat pokoju!

Jakkolwiek trudno mówić o obiektywizmie zarówno autora jak tłumacza, to trzeba jednak zauważyć, że papieństwo przestało być określane mianem "twierdzy zimnej wojny".

SKAZANIE DZIAŁACZY PACYFISTYCZNYCH

W trzech miastach NRD - Berlinie, Erfurcie i Gera - w lipcu zostało skazanych dziesięć młodych osób /mężczyzn i kobiet/ na kary więzienia od 8 do 34 miesięcy. Niektórzy spośród skazanych otrzymali wyroki z zawieszeniem na 3 lata. Jak podaje ewangelicka agencja prasowa "EPD" podstawowym zarzutem stawianym tym oskarżonym była krytyka polityki SED. Ponadto zarzucano im utrzymywanie kontaktów z "wrogimi ośrodkami" na Zachodzie, przekazywanie informacji stanowiących "tajemnicę państwową" za granicę, nielegalne zrzeszanie się, "publiczne poniżanie władz", kolportaż wrogich pism, itp. Brzmi to wszystko bardzo groźnie dla osób niezorientowanych bliżej w istocie sprawy. Należy więc uzupełnić te oskarżenia o dosyć istotne informacje. Podstawowy zarzut dotyczył "krytyki polityki partii" /SED/, ale z powodu wyrażenia zgody na montaż rakiet SS-21. "Wrogie ośrodki" na Zachodzie to bratnie organizacje pokojowe, z którymi pacyfiści NRD-owscy utrzymywali kontakty. Okazuje się, że działalność pokojowa w NRD jest również objęta "tajemnicą państwową", a informowanie o tym karalne. "Nielegalne zrzeszanie się" to po prostu spotkania młodych ludzi głównie w pomieszczeniach należących do Kościoła ewangelickiego NRD, który patronuje działaniom na rzecz pokoju. Można by tak bez końca uzupełniać

302

punkt po punkcie zarzuty aktu oskarżenia.

DYSKRYMINACJA WIERZĄCYCH

Z ostrą krytyką ze strony wielu kościołów ewangelickich spotkał się państwowy system przyjmowania na studia wyższe, który dyskryminuje młodzież wierzącą. Ewangelicki Kościół w Saksonii wskazuje na to, że pomimo zapewnień władz odnośnie równouprawnienia wszystkich starających się o uzyskanie indeksu, młodzież wierząca jest w dalszym ciągu krzywdzona. Władze kościelne uzasadniają tę dyskryminację 40 konkretnymi przykładami.

W podobnym duchu wypowiedział się również zarząd Kościoła ewangelickiego w Greifswalder. Postuluje on wobec władz oświaty podjęcie takich działań, które by w przyszłości eliminowały powstanie podobnych sytuacji. Podkreśla się przy tym, że Kościołom ewangelickim nie chodzi bynajmniej o wpływ na szkolnictwo, ale o równy dostęp do nauki wszystkich, bez względu na ich wiarę czy przekonania. Wskazywano również na to, że rodzice młodych chrześcijan bardzo często z obawy przed dalszymi następstwami obawiają się występować przeciwko władzom szkoły.

Przy okazji zwracano uwagę również na to, że proces dyskryminacji w szkolnictwie obejmuje nie tylko wierzącą młodzież ale także dorosłych. Dotyczy to w szczególności osób, które chcą pracować w zawodzie nauczycielskim. Podstawowym warunkiem stawianym przede wszystkim wierzącym jest przedłożenie pisemnego oświadczenia o wystąpieniu z Kościoła.

NIKARAGUA

PODWOJNA STRATEGIA SANDINISTÓW

Cechą charakterystyczną polityki sandinistów w stosunku do Kościoła katolickiego Nikaragui, jest podwójna strategia. Przejawia się ona z jednej strony pewnymi gestami współpracy a z drugiej przejawami nietolerancji i wrogości. Przykładem pierwszej jest chociażby mianowanie 13 lipca o. jezuita Fernando Cardenala - brata ministra kultu, Ernesto Cardenala - ministrem oświaty i wychowania. Nominację tę poprzedziła decyzja reżimu sandinistowskiego o wydaleniu z kraju dziesięciu zagranicznych kapłanów. Powodem usunięcia duchownych był ich udział w marszu protestacyjnym zorganizowanym przez arcybiskupa Managui, Miguela Obando y Bravo, przeciwko prześladowaniu Kościoła w Nikaragui. Minister spraw wewnętrznych dopatrywał się w tej manifestacji prowokacji przeciwko rządowi i aktów wrogich państwu.

W związku z tym ambasadą Nikaragui w Watykanie ogłosiła 20 lipca komunikat, w którym zaprzecza jakoby księża katoliccy "byli ofiarami prześladowań ze strony rządu". Komunikat podkreśla, że księża nikaraguańscy, będący w opozycji "mogą wypowiadać się publicznie przeciwko rządowi", ale takie prawo nie przysługuje cudzoziemcom - zarówno kapłanom jak i ludziom świeckim. W konkluzji stwierdza, że "Rząd Nikaragui nie jest przeciwko wszystkim tym, którzy kwestionują ideały rewolucji i fundamenty, na których buduje się nowe państwo. Tym samym jest także przeciwny jakimkolwiek posługiwaniu się religią, zmierza-

304

jącemu do wywołania sztucznego konfliktu między Kościołem a Rewolucją".

Zarówno wydalenie duchownych jak i ogłoszenie w tej sprawie komunikatu, spotkało się z ostrym protestem ze strony Kościoła. Już następnego dnia, tj. 21 lipca "Osservatore Romano" w artykule poświęconym tej sprawie piętnuje to posunięcie sandinistów jako niesprawiedliwe i nie pozostające w żadnym związku z udziałem w dozwolonej demonstracji, która przebiegała bez żadnych zakłóceń porządku publicznego. Jest to przykład wrogiej kampanii władz prowadzonej od dłuższego czasu przeciwko Kościołowi w tym kraju. Dalej "Osservatore" zaznacza, że jeżeli rząd Nikaragui szuka "prawdziwego porozumienia z Kościołem, odwołanie decyzji podjętej w stosunku do dziesięciu księży obcokrajowców stanowiłoby konieczny element sprawiedliwości".

Również biskupi nikaraguańscy zabrali głos w tej sprawie. W swoich pierwszych wypowiedziach bardzo wyraźnie mówili o długotrwałej strategii sandinistów, której celem jest osłabienie Kościoła.

Prowadzić do tego mają tak działania doraźne - głównie o charakterze represyjnym, jak i długofalowe - obliczone na całkowite rozbitcie wewnętrzne Kościoła.

Do głosów protestu przyłączyli się także biskupi Niemiec, Stanów Zjednoczonych i Hiszpanii. W oficjalnych komunikatach i oświadczeniach wypowiadają swój wielki niepokój i oburzenie z powodu ograniczania praw Kościoła w Nikaragui.

PROBY DIALOGU

W obliczu nadchodzących wyborów w Nikaragui,

rząd sandinistów zdecydował się na wykonanie pewnych gestów, które mają się przyczynić do rozładowania napięć między reżimem i Kościołem.

Po wysłaniu we wrześniu - nikaraguańskiej delegacji rządowej do Watykanu, nastąpiło spotkanie arcybiskupa Managui Miguela Obando y Bravo z szefem państwa Danielem Ortegą. W opublikowanym wspólnym oświadczeniu czytamy, że "tylko poprzez prowadzony dialog mogą być usunięte istniejące rozbieżności pomiędzy państwem i Kościołem".

Konkretne rozmowy zostały wkrótce podjęte przez obie strony. W dwugodzinnym spotkaniu z nowo wybranym prezydentem Danielem Ortegą uczestniczyli między innymi arcybiskup Managui Miguel Obando y Bravo oraz biskup Pablo Antonio Vega. Celem przeprowadzenia dalszych rozmów postanowiono utworzyć sześciuosobową komisję, która swoją misję będzie pełniła od 10 stycznia 1985 r., a więc od dnia kiedy Daniel Ortega oficjalnie obejmie urząd prezydenta. Jak podał rzecznik prasowy archidiecezji Managua, msgr. Carballo, spotkanie to miało na celu ogólną ocenę stosunków państwo-Kościół oraz określenie formy przyszłego dialogu.

Ideą pojednania i wzajemnego przebaczenia przeniknięty jest list pasterski arcybiskupa Managui, ogłoszony z okazji Świąt Bożego Narodzenia. "Musimy - tak czytamy w tym posłaniu - szukać dróg do zawarcia pokoju narodowego, jeżeli nawet mielibyśmy w związku z tym ponieść pewne ofiary. Pomimo, że cierpieliśmy bardzo wiele, gotowi jesteśmy przebaczyć naszym przeciwnikom, abyśmy w duchu pojednania mogli przystąpić do budowania nowego porządku społecznego opartego

na chrześcijańskich zasadach.

UMORZENIE SLEDZTWA PRZECIWKO KSIĘDZU PENA

Według oficjalnego komunikatu rządowego, za zgodą sandinistowskiej Rady Państwa zostało umorzone postępowanie sądowe przeciwko ks. Luisowi Amado Pena, który został oskarżony o "działalność terrorystyczną". Przewodniczący tej rady - Carlos Nunez - oświadczył wobec dziennikarzy, że decyzja ta jest przejawem polityki "rewolucyjnej łagodności" rządu. Wydaje się jednak, że obecny reżim zmuszony został do zajęcia takiej właśnie postawy przez liczne głosy protestu, jakie podnosiły się w związku ze sprawą ks. Pena. Nie bez znaczenia jest również absurdalność stawianych zarzutów, którym nie dowierzają nawet nikaraguańscy politycy "opozycyjni". Zarzucają oni sandinistom, że "z braku czynią cnotę", ponieważ dowody rzeczowe przeciwko ks. Pena były nieprzekonywujące i sprawiały wrażenie odpowiednio spreparowanych.

Opinię tę potwierdzają również wypowiedzi pochodzące z kręgów kościelnych Managui. Zwłaszcza poważne zastrzeżenia, gdy chodzi o prawdziwość, budzi video-kaseta, która w rozprawie przeciwko ks. Pena odgrywała pierwszorzędną rolę. Potwierdza ten fakt odmowa sądu dotycząca badania technicznego tejże video-kasety.

Według orzeczeń policji, ks. Pena miał zostać schwytany z pakunkiem zawierającym materiały wybuchowe, które rzekomo były przeznaczone dla akcji terrorystycznych organizacji "Contras". W tej sytuacji groziło mu bardzo poważne oskarżenie o zamach przeciwko państwu i bezpieczeństwu publicznemu. Na szczęście, zdecydowana postawa

opinii publicznej uchroniła ks. Pena tak od procesu jak i wyroku osławionego "sądu ludowego".

PROTEST KOŚCIOŁA PRZECIWKO CENZURZE

Jako protest przeciwko niedawno wprowadzonej przez rząd cenzurze Kościoła w Nikaragui zaprzestał nadawania Mszy św. przez "Radio Catolica". Jak oświadczył dyrektor tej radiostacji - ks. Bismarck Carvallo, hierarchia kościelna z oburzeniem patrzy jak rząd sandinistów "wciąż zamyka drzwi, które ledwo co uchylił przed dwoma miesiącami". Wówczas to na przedpolu mijających się odbyć wyborów, władze chcąc zaskarbić sobie poparcie Kościoła, zezwalały na transmisję nabożeństw bez żadnej kontroli ze strony urzędu cenzury.

POLSKA

KAPŁAN - MĘCZENNIK

Ks. Jerzy Aleksander Popiełuszko urodził się 23.IX.1947 r. w rodzinie rolników Władysława i Marianny we wsi Okopy na ziemi białostockiej. Mając 18 lat wstąpił do Metropolitalnego Seminarium Duchownego w Warszawie. W następnym roku /1967/, wraz z innymi klerykami, został powołany do odbycia dwuletniej służby wojskowej w specjalnej jednostce dla kleryków w Bartoszycach. Ksiądz Jerzy miał okazję zetknąć się tam bezpośrednio z polityką ateizacji. Znany jest fakt mężnej postawy ks. Jerzego, który nie pozwolił sobie odebrać medalika i różańca, za co był szykanowany przez władze wojskowe. Po ukończeniu służby musiał poddać się operacji

tarczycy oraz leczyć chorobę serca.

Święcenia kapłańskie otrzymał z rąk ks. Prymasa Kardynała Stefana Wyszyńskiego 28 maja 1972 roku. W tym samym roku rozpoczął pracę jako wikariusz w parafii Żąbki pod Warszawą. Następnie pełnił te same funkcje w parafii Dzieciątka Jezus i św. Anny w Warszawie. W czasie pracy u św. Anny zorganizował duszpasterstwo służby zdrowia. Dlatego też powierzono mu nadzór nad przygotowaniem opieki medycznej podczas obu pielgrzymek Ojca Świętego do Polski. W maju 1980 r. ks. Jerzy rozpoczyna pracę jako rezydent w parafii p.w. św. Stanisława Kostki na Żoliborzu. Organizuje tam spotkania dla studentów Akademii Medycznej, jest duszpasterzem średniego personelu medycznego oraz co miesiąc prowadzi spotkania modlitewne dla lekarzy.

Oddzielną kartę życia ks. Jerzego, która doprowadziła go do palmy męczeństwa - było jego bezkompromisowe zaangażowanie się w duszpasterstwo świata pracy, zarówno w okresie tworzenia się "Solidarności", jak i później, gdy trwał stan wojenny w Ojczyźnie oraz po jego zniesieniu. Serdeczne więzy ks. Jerzego ze światem pracy, zwłaszcza z pracownikami Huty Warszawa, zostały zadzierżgnięte w chwili wybuchu strajku - w sierpniu 1980 r. W pierwszą strajkową niedzielę, z inicjatywy hutników, zorganizowano polową Mszę św. Na zlecenie ks. Prymasa Wyszyńskiego ofiarę tę odprawił ks. Jerzy Popiełuszko. Towarzyszył rodzącej się "Solidarności" od początku, odprawiał Msze św., święcił krzyże i sztandar. Wówczas to nawiązała się między nim a ludźmi z huty więź głębokiej przyjaźni i wzajemnego szacunku.

Podczas słynnego strajku w oficerskiej szkole straży pożarnej w Warszawie ks. Jerzy był łącznikiem pomiędzy strajkującymi a kardynałem Glępem.

Niezwłocznie po ogłoszeniu stanu wojennego zajął się organizowaniem pomocy dla przesładowanych. Już w styczniu 1982 r., w trzecim tygodniu stanu wojennego, w kościele św. Stanisława Kostki została odprawiona specjalna Msza św. o ratunek dla tych, którzy cierpią najbardziej oraz o błogosławieństwo dla Ojczyzny. Z każdym miesiącem przybywało na tę Mszę św. coraz więcej wiernych z całej Polski. Ksiądz Jerzy odwiedzał też inne kościoły: był między innymi przyjacielem parafian św. Brygidy w Gdańsku, jeździł z posługą kapłańską do ośrodków duszpasterstwa ludzi pracy w całej Polsce.

Otrzymywał setki, a może nawet tysiące listów od wiernych z całego kraju, którzy dziękowali za te Msze św., dzielili się swoimi troskami i radościami. Wśród tych dziękczynnych listów, trafiały się inne. Złe, ponure, pełne nienawiści, z pogrózkami. Były nieliczne, ale były. Stanowiły one część wrogiej kampanii zorganizowanej przez Służbę Bezpieczeństwa przeciwko ks. Jerzemu Popiełuszce. Eskalacja tych działań postępowała bardzo szybko. Po anonimowych pogrózkach przysłała kolej na czyny. Zaczynają się pojawiać na arenie tzw. nieznani sprawcy jak chociażby ci, którzy wrzucili do pokoju księdza ciężki kamień. Przypadek tylko sprawił, że wówczas nic się księdzu Jerzemu nie stało. Od tego wypadku, robotnicy z Huty Warszawa dzień i noc pełnili dyżury w salce przylegającej do pokoju, w którym przebywał ks. Jerzy. Zawsze któryś z nich

towarzyszył mu gdy udawał się w podróż.

W grudniu 1983 r. oskarżono ks. Jerzego Popiełuszkę o przechowywanie broni i niezależnych publikacji zabronionych w Polsce. Rzekomo podczas przeprowadzonej w jego mieszkaniu rewizji znaleziono cały arsenał broni, materiałów wybuchowych i podburzających do rozruchów ulotek. Telewizja polska reportaż z "dowodami przestępstwa" przekazała widzom w całej Polsce po wieczornym dzienniku.

12 grudnia 1983 r. ks. Popiełuszko stawiał się na przesłuchaniu w Prokuraturze Wojewódzkiej w towarzystwie adwokatów /mec. Wende i de Wirion/ oraz swego proboszcza, ks. Boguckiego. Przesłuchanie prowadziła prok. Jackowska ciesząca się podobno opinią najzdolniejszej uczennicy dobrze wszystkim znanej prok. Bardonowej. Księdzu przedstawiono "dowody przestępstwa" w postaci kaset z nagraniami nabożeństw, zdjęcia i jedną taśmę magnetofonową zabraną zagranicznej ekipie telewizyjnej. Po około trzech godzinach przewieziono ks. Popiełuszkę do jego mieszkania przy ul. Chłodnej, gdzie ekipa milicyjna dokonała rewizji. Wyniki były "zdemiewające": funkcjonariusze wiedzeni nieomylnym węchem przede wszystkim zwrócili uwagę na tapczan i pawlacz, gdzie odkryli spory arsenał wystarczający do przeprowadzenia zamachu stanu w niejednym państwie afrykańskim. Pojemniki z gazem, kostki trotylu, kilkadziesiąt naboł do pistoletu maszynowego, matryce, ponad 15. tys. egzemplarzy nielegalnych wydawnictw, ulotki wzywające do ... powstania zbrojnego 13 i 16 grudnia br. "Rewelacyjne" odkrycie pozwoliło rozszerzyć listę wysuwanych przeciwko księdzu zarzutów o art. 143, 382

i 286 KK, które między innymi mówią o "wyrabianiu i przechowywaniu materiałów lub przyrządów wybuchowych, broni palnej i amunicji". Za te "przestępstwa" może być wymierzona kara łączna do 12 lat więzienia. O kulisach tego znaleziska mogłaby zapewne niejedno powiedzieć ekipa milicyjno-telewizyjna urzędująca od dłuższego czasu vis a vis mieszkania ks. Jerzego. Po spędzeniu nocy w areszcie /w celi z kryminalistami podejrzanymi o zabójstwo/ ks. Popiełuszko został zwolniony 13 grudnia o godz. 12,15, po interwencji arcybiskupa Dąbrowskiego. W niedzielę, 18 grudnia, na wszystkich nabożeństwach w kościele św. Stanisława odczytane było oświadczenie ks. Popiełuszki dementujące wysuwane pod jego adresem pomówienia i oszczerstwa.

12 lipca 1984 r. wiceprokurator wojewódzki w Warszawie, Anna Jackowska, wniosła przeciwko ks. Jerzemu Popiełuszcze akt oskarżenia do sądu. W tym haniebnym dokumencie oskarża go z czterech artykułów kodeksu karnego o to, że:

1. "W wygłaszanych kazaniach nadużywał wolności sumienia i wyznania w ten sposób, że permanentnie oprócz treści religijnych zawierał w nich zniesławiające władze państwowe treści polityczne, a w szczególności pomawiał, że władze posługując się fałszem, obłudą i kłamstwem, poprzez antydemokratyczne ustawodawstwo niszczą godność człowieka, a także pozbawiają społeczeństwo swobody myśli oraz działania, czym nadużywając funkcji kapłana, czynił z kościołów miejsca szkodliwej dla interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej propagandy antypaństwowej."

2. "Nie mając właściwego zezwolenia, przechowywał 38 sztuk amunicji pistoletowej kalibru 312

9 mm."

3. "Nie mając właściwego zezwolenia, przechowywał materiały wybuchowe w postaci termitu żelazowo-glinowego dynamonitu skalnego wraz z niezbędnymi do spowodowania wybuchu detonatorami i przewodami elektrycznymi oraz 3 bojowe granaty izwające typu UGL-200."

4. "Działając w zamiarze wywołania niepokoju publicznego, przechowywał w celu rozpowszechniania nielegalne wydawnictwa o treści lżającej i poniżającej naczelne organy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oraz nawołujące do wystąpień antypaństwowych."

W ramach ogłoszonej amnestii śledztwo przeciwko księdzu Jerzemu zostaje umorzone. Nie ustają jednak napastliwe, pełne nienawiści artykuły "osławionego" Jana Rema alias Jerzy Urban, który w swoim stałym cyklu "Samosądy" drukowanym w "Tu i Teraz" wydał wyrok śmierci na ks. Jerzego. Reszty dokonali funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, którzy 19 października, około godz. 22 w miejscowości Przysiek koło Torunia uprowadzili a następnie w okrutny sposób zamordowali powracającego z duszpasterskiej posługi kapłana. Bestialsko zmaltrretowane ciało ks. Jerzego Popiełuszki wyłowiła milicja w dniu 30 października 1984 r. ze sztucznego zbiornika wodnego na Wiśle koło Włocławka.

Wiadomość o zamordowaniu ks. Jerzego wstrząsnęła opinią publiczną całego świata a narodowi polskiemu została zadana kolejna rana.

ZAKOŃCZENIE JUBILEUSZU 500-LECIA ŚMIERCI ŚW.
KAZIMIERZA

Dopełnieniem jubileuszu śmierci św. Kazimierza

były tegoroczne Dni Kultury Chrześcijańskiej, które zorganizowane zostały pod auspicjami białostockiej Kurii Arcybiskupiej. Ogólnopolskie obchody jubileuszowe ku jego czci odbyły się w dniach 13-14 października w Białymstoku, a ich uwieńczeniem była Msza św. koncelebrewana pod przewodnictwem kardynała Franciszka Macharskiego, podczas której homilię wygłosił Prymas Polski. Zasadniczym wątkiem Dni Kultury Chrześcijańskiej była wspólnota chrześcijańska oraz kulturowa Polski i Litwy od czasów unii w roku 1385 po wiek XX.

Historycznym wartością unii polsko-litewskiej, związanej przed pięciuset laty, poświęcona była prelekcja Henryka Rucińskiego. O kulturze przedrozbiorowej Rzeczypospolitej mówiono w jak najszerszym pojęciu, a zatem również o ideach politycznych, o tolerancji, wreszcie o swoistym etosie obywatelskim, który wyrażał się również w poczuciu prawdziwego braterstwa szlachty polskiej, litewskiej i ruskiej, bez względu na wyznania. Wiąż, która połączyła niegdyś narody dawnej Rzeczypospolitej, jest przecież dowodem, iż kultura zrodzona na światopoglądowej glebie chrześcijaństwa wyrastała ponad etniczne i polityczne zaścianki oraz potrafiła prawdziwie, po bratersku łączyć ludzi. O takim pojmowaniu kultury mówił również biskup Edward Ozorowski w homilii podczas Mszy św. na zakończenie Dni.

Z prelekcjami historycznymi łączyły się prelekcje o literaturze i sztuce oraz imprezy artystyczne. Niezapomniane wrażenie wywarł Ukraiński Chór Kameralny działający przy kościele oo. Bazyljanów w Warszawie, którego kierownik

artystyczny i dyrygent Jarosław Polański powiada o sobie, że jest Lemkiem. Również wystawa fotografów Zbigniewa Minko "Miejsca kulturowe na Podlasiu" przypominała tradycje polskiego eklektycyzmu, pokazując nie tylko katolickie miejsca kultowe ale i prawosławne.

Ponadto odbywało się wiele innych imprez artystycznych jak chociażby Forum Poetów z udziałem Marianny Bocian, Teresy Ferens, Anny Kamińskiej, Ernesta Bryła, Zbigniewa Jankowskiego, Wiesława Kazaneckiego i Jana Leończuka, wieczór współczesnej poezji litewskiej, wieczór poezji śpiewanej, recytacje w wykonaniu Mariusza Dmochowskiego, Aleksandry Dmochowskiej, Anny Nehrebeckiej i Macieja Rayzachera. Odnotować należy także sympozjum poświęcone zagadnieniom współczesnej sztuki sakralnej, któremu towarzyszyła Wystawa Sztuki Religijnej.

Tegoroczne Dni Kultury Chrześcijańskiej w Białymstoku wykorzystały specyficzną atmosferę w samym mieście, które jest przecież wielojęzyczne i wielonarodowe. W Białymstoku mieszkają obok Polaków, Białorusini i Tatarzy, w języku białoruskim ukazuje się tygodnik "Niwa", a w litewskim - miesięcznik "Ausra". Białorusini i Litwini, nie tylko katolicy, uczestniczyli w imprezach, wypowiadając się także i polemicznie wobec tez wygłaszanych przez prelegentów. Dni były zatem imprezą żywą i inspirującą, dowodząc jednocześnie, że jesteśmy świadomi swej przeszłości, a do teraźniejszości i przyszłości podchodzimy z prawdziwą troską i zrozumieniem.

40 ROCZNICA WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

W wielu kościołach stolicy i całego kraju

D
odbywały się uroczyste nabożeństwa w intencji Powstańców Warszawy. Obok ofiary Eucharystycznej przygotowano specjalne programy artystyczne, wystawy i wieczornice. Między innymi w przeddzień rocznicy - 31 lipca - w dzwonnicy św. Anny otwarto ekspozycję "Madonny Polski Walczącej". Ikony wykonane w czasie okupacji są w większości wzorowane na obrazach "Matki Boskiej Częstochowskiej" i "Matki Boskiej Ostrobramskiej" a oryginalna stylizacja nadaje im niepowtarzalne piękno. W czasie tej uroczystości nastąpił też akt pośmiertnego nadania Orderu Żelaznej Gwiazdy Wytrwałości gen. Aleksandrowi Krzyżanowskiemu - "Wilkowi" - dowódcy Armii Krajowej na Wileńszczyźnie.

2
1 sierpnia z inicjatywy grona historyków - specjalistów w zakresie najnowszych dziejów Polski - oraz kilku wysokich rangą dowódców Armii Krajowej odbyło się spotkanie z Prymasem Polski. Tematem dwugodzinnej audjencji były tegoroczne obchody czterdziestolecia Powstania Warszawskiego. Zebrani zapoznali Prymasa ze stanem badań dotyczących tego wielkiego zrywu ludności stolicy. Podkreślono, iż badania naukowe - zwłaszcza związane z międzynarodowym kontekstem sierpnia 1944 - natrafiają na znaczne trudności.

Zrelacjonowano również percepcję Powstania w najnowszych publikacjach książkowych, audycjach radiowych i telewizyjnych, a przede wszystkim w oświadczeniach urzędowych. Zwrócono uwagę na dużą jednostronność w naświetlaniu motywów politycznych, którymi miała się kierować Komenda Główna AK i Delegatura Rządu wydając rozkaz rozpoczęcia walki.

Innym wreszcie tematem poruszonym w czasie
316

audiencji była sprawa pomnika Powstania Warszawskiego i kontrowersje związane z jego nazwą. Podczas dyskusji zwrócono uwagę na potrzebę podjęcia prac badawczych i popularyzatorskich poświęconych Czynowi Legionowemu 1914-1918, o którym społeczeństwo, a szczególnie młode pokolenie, wie niestety już bardzo niewiele. A przecież na tradycjach Legionów wychowała się znaczna część pokolenia AK. Żyją jeszcze ostatni żołnierze Legionów; należy zadbać, by przekazali swoje wspomnienia odpowiednim placówkom badawczym. Oba czyny zbrojne, z sierpnia 1914 i sierpnia 1944 r. wyrosły z tych samych źródeł ideowych: walki o niepodległość.

PATRIOTYCZNO-KOSCIELNE UROCZYSTOŚCI NA PODHALU

18 sierpnia w miejscowości Szczawa odbyły się uroczystości patriotyczno-kościelne związane z 40 rocznicą stoczonych na Podhalu walk partyzanckich. Wokół ołtarza-namiotu, na obszernym placu przy kościele położonym u stóp Kiczory zgromadziło się tysiące wiernych. Znajdowali się wśród nich duchowni, uczestnicy ruchu oporu ostatniej wojny z Podhala i Ziemi Beskidzkich, delegacje ze sztandarami byłych zgrupowań partyzanckich, między innymi z Warszawy, Krakowa, Tarnowa, Rzeszowa, z Gór Świętokrzyskich "Ponurego" i "Nurta", od "Jędrusiów" z Tarnobrzegu i Sandomierza, z ugrupowań 27 Dywizji wołyńskiej, ugrupowań wileńskich i lwowskich AK, delegacje byłych więźniów obozów koncentracyjnych, ludność Podhala i Sądecczyzny w regionalnych strojach i rzesze młodzieży.

Po przybyciu Księdza Prymasa w asyście konnej banderii góralskiej, nastąpiły powitania i

złożenie symbolicznych darów przez młodzież Szczawy, przedstawiciele poszczególnych ugrupowań partyzanckich, delegacji z parafii ludźmierskiej i harcerzy.

W szczególnie zwięzłym przemówieniu powitalnym, przedstawiciel byłego 1 Pułku Strzelców Podhalańskich, płk Jan Cieślak /"Maciej"/ przedstawił księdzu Prymasowi dzieje walczących formacji 1 PSP i Inspektoratu AK "Niwa" oraz poniesione przez partyzantów ofiary z życia.

Następnie odbył się apel poległych, który wstrząsnął do głębi zebranymi. Wzywano do niego tych, co polegli na wszystkich frontach ostatnich wojen, żołnierzy wszystkich formacji z kraju i zza granicy, pomordowanych w więzieniach i obozach oraz zmarłych bojowników o wolność. I tych spod Monte Cassino, Narviku i Lenino, i tych z barykad powstańczej Warszawy, z pól Francji, Anglii i Holandii oraz innych miejsc bitewnych. Poczynając od wielkiego Prymasa Polski Kardynała Stefana Wyszyńskiego, byłego kapelana AK, poprzez księży kapelanów formacji akowskich, żołnierzy Września i generałów - synów ziem podhalańsko-beskidzkich - Galicy, Kustronia i Berlinga, żołnierzy legionistów i ich wielkiego komendanta i wielu, wielu innych.

Mszę św. z udziałem księży koncelebransów, byłych kapelanów AK oraz więźniów obozów koncentracyjnych odprawił biskup tarnowski ks. Józef Gucwa, były żołnierz Armii Krajowej. Okolicznościowe kazanie wygłosił ordynariusz diecezji tarnowskiej, ks. bp Jerzy Ablewicz. On też odczytał zebranym, przekazany na jego ręce telegram z 10 sierpnia 1984 r. od Papieża Jana Pawła II, skierowany do uczestników uroczystości

318

w Szczawie, przyjęty w absolutnej ciszy z głębokim wzruszeniem /patrz niżej/.

Ksiądz Prymas w homilii zwracając się w serdecznych słowach do żołnierzy wszystkich stopni i formacji podkreślił, że pamięć o żołnierzach Armii Krajowej staje się coraz bardziej żywa mimo upływu lat. Ich walka i bohaterstwo w służbie Ojczyzny urastają do miana symbolu. Na tych tradycjach wyrasta nowe pokolenie.

Tę niezwykłą uroczystość kończy wspólna Komunia św. i błogosławieństwo kapłańskie oraz potężna pieśń "Boże coś Polskę", rozlegająca się donośnym echem wśród gór.

TELEGRAM PAPIEŻA DO BYŁYCH ŻOŁNIERZY 1 PUŁKU STRZELCÓW PODHALAŃSKICH AK

W sobotę dnia 18 sierpnia 1984 r. odbędzie się w kościele parafialnym w Szczawie przy udziale Księdza Prymasa oraz Ordynariusza Tarnowskiego i innych Biskupów doroczna uroczystość związana ze Świętem Wniebowzięcia Matki Bożej, w czasie której pragniecie wspomnieć ofiarę poległych i żyjących bohaterów z 1 Pułku Strzelców Podhalańskich Armii Krajowej oraz ludności Sądecczyzny i Podhala z terenu byłego Inspektoratu AK "Niwa" i wpisać ją razem z ofiarą tylu naszych rodaków w eucharystyczną ofiarę Chrystusa.

Tym samym pragniecie odczytać na nowo świadectwo Chrystusowego Krzyża i zmartwychwstania w dziejach poszczególnych ludzi i narodów. Ofiara i krew ludzi, którzy nigdy nie pogodzili się z utratą niepodległości, była wołaniem całego narodu i potwierdzeniem jego prawa do tych wartości w życiu człowieka i ludzkich wspólnot, które są z Boga i za które umarł Syn Boży, przynosząc

nam pokój i pojednanie przez krew swego krzyża.

Sześć lat temu pragnąłem jako arcybiskup metropolita krakowski być w Szczawie na podobnej uroczystości. Ówczesne wydarzenia w Kościele Powszechnym na to nie pozwoliły. Byłem tam jednak i jestem obecny duchem, dzieląc wasze uczucia i uczestnicząc w modlitwie za zmarłych i żyjących.

Proszę nieustannie Boga, aby ofiara synów i córek narodu, silnego wiarą, miłującego wolność i pokój, była ciągle żywa, budziła sumienia i owocowała w życiu współczesnych i przyszłych pokoleń. Naszą wspólną modlitwę składam z ufnością w macierzyńskie dłonie Ludźmierskiej Pani Podhala i Nowosądeckiej, Patronki Pierwszego Pułku Strzelców Podhalańskich.

Wszystkim uczestnikom uroczystości przekazuję na ręce Księdza Biskupa serdeczne pozdrowienia i udzielam papieskiego błogosławieństwa.

ŚWIĘTO 27 WOŁYŃSKIEJ DYWIZJI PIECHOTY

Wołyński okręg Armii Krajowej, ze względu na swe wschodnie położenie, znajdował się od początku w szczególnie trudnej lecz i odpowiedzialnej sytuacji. Sytuacja ta uległa dodatkowej komplikacji w końcowej fazie wojny, gdy zaczęto realizować plan "Burza". Wówczas to, w styczniu 1944 r., powstała słynna 27 Wołyńska Dywizja Piechoty, której pierwszym dowódcą był ppłk "Oliwa" /Jan Wojciech Kiwerski/.

Dywizja prowadziła ciężkie walki z cofającym się Wehrmachtem na Wołyniu i Polesiu tracąc w nich ponad 600 żołnierzy. Równocześnie osłaniała ludność polską, mordowaną przez UPA. Pozostałe oddziały, w liczbie około 4000 żołnierzy, musiały 320

na przełomie pierwszej i drugiej dekady czerwca 1944 r. przekroczyć Bug w rejonie Włodawy. Zaczął się ostatni, lubelski okres dziejów Dywizji, znaczony licznymi walkami z Niemcami w kilku powiatach województwa. Końcowym akcentem tych walk było wyzwolenie w lipcu 1944 r. Firleja, Kocka, Kamionki, Michowa oraz Lubartowa, gdzie 27 Dywizja, wspólnie z żołnierzami lubartowskiego obwodu AK, zdobyła niemiecki pociąg wojskowy.

Było więc rzeczą naturalną, że po 40 latach właśnie Lubartów wybrano na miejsce spotkania. Przyjechało z całej Polski około 400 dawnych towarzyszy broni i niedoli. Główna uroczystość odbyła się 29 lipca, bieżącego roku, w zabytkowym barokowym kościele św. Anny, a raczej na przykościelnym placu, gdyż kościół nie pomieściłby przeszło 2000 uczestników, w tym wielu byłych członków AK obwodu lubartowskiego. Spotkanie rozpoczęła rzeczowa, lecz i zaangażowana wypowiedź Zygmunta Górki-Grabowskiego /"Zająca"/, który przypomniał trudne i niezmiennie ofiarne dzieje Dywizji. Tablicę pamiątkową odsłonił Jan Szatowski /"Kowal"/, najstarszy stopniem żyjący oficer 27 Dywizji, ostatni jej dowódca. Mszy św. koncelebrowanej przewodniczył oraz homilię wygłosił proboszcz i dziekan lubartowski ks. kan. Andrzej Tokarzewski; poprzez mądrość Biblii starał się spojrzeć na bohaterską miłość kraju i ludzkie nieszczęście. W godzinach popołudniowych odbyło się w Domu Kolarza spotkanie ze społeczeństwem i władzami miasta.

Lubartowska uroczystość miała różne aspekty: historyczny, patriotyczny, religijny i po prostu ludzki. Przypomniała społeczeństwu o faktach, długo zacieranych, które gromadzone są obecnie

i utrwalane w specjalnym, wychodzącym w Warszawie, "Biuletynie Informacyjnym" 27 WD AK. Ułatwiła spotkanie ludzi, którzy do dziś zachowali poczucie głębokiej więzi opartej na wartościach symbolizowanych słowem: ojczyzna. Umożliwiła wspólną modlitwę za wszystkich poległych, zamordowanych, zmarłych, których przypomniał w czasie Mszy św. długi "apel poległych", a także za tych, co na uroczystość przybyć nie mogli.

NABOŻEŃSTWA ZA OJCZYZNĘ W KOŚCIOŁACH GDANSKICH

31 sierpnia w czwartą rocznicę podpisania umów społecznych, odprawione zostały we wszystkich kościołach gdańskich uroczyste Msze św. za Ojczyznę, jako kontynuacja modlitw, które miały miejsce przed czterema laty w stoczniach, portach i innych zakładach pracy Trójmiasta. Podczas Mszy św. odczytano specjalne słowo pasterskie administratora diecezji gdańskiej bp. Tadeusza Gocińskiego. Ks. Biskup natomiast przewodniczył modlitwom wiernych w kościele Matki Bożej Różańcowej na Przymorzu.

W Słowie Bożym skierowanym do wypełniających świątynię wiernych, ks. Biskup nawiązał do wydarzeń sprzed czterech lat. Nie dokonując ich oceny, wskazał na wartość dialogu pomiędzy władzą a społeczeństwem będącym w sposób fundamentalny podmiotem uprawnień. "Dialog ze społeczeństwem - powiedział kaznodzieja - jest prawem i obowiązkiem sprawujących władzę". W oparciu o katolicką naukę społeczną, ks. Biskup ukazał wartość dialogu społecznego oraz godność osoby ludzkiej. "Przez modlitwę - mówił bp Gociński w zakończeniu - składamy nie wędzące kwiaty u pomnika, który upamiętnia ofiarę stoczniovców,

górników i innych ofiarnych ludzi, a równocześnie modlimy się za nas samych: Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki otaczał blaskiem potęgi i chwały, daj dziś siłę swojemu ludowi, daj narodowi temu błogosławieństwo pokoju."

Myśli te współbrzmiały z wezwaniami modlitwy wiernych "o to by ofiara robotniczej krwi nie została zmarnowana, lecz przyniosła owoc sto-krotny we wspólnym budowaniu ojczystego domu", "aby ludzie pracy byli rzeczywistymi gospodarzami w tym kraju" oraz "o pokój w Ojczyźnie i w całym świecie oparty na prawdzie, sprawiedliwości i poszanowaniu praw człowieka, byśmy mogli żyć w klimacie pełnej wolności".

Wśród darów ofiarowanych, gdańscy stoczniovcy złożyli ks. Biskupowi makietę pomnika - znane trzy gdańskie krzyże, portowcy zaś wdzięczni za opiekę duszpasterską, ofiarowali kwiaty. Podczas Mszy św. wystąpił chór parafialny z Przymorza, który śpiewał także podczas Mszy św. strajkowych na terenie Stoczni Gdańskiej.

XII OGÓLNOPOLSKA PIELGRZYMKA KOMBATANTÓW NA JASNĄ GÓRĘ

W niedzielę, 9 września, w czterdziestą rocznicę wysiłku zbrojnego Armii Krajowej w akcji "Burza", w tym również Powstania Warszawskiego, przybyła na Jasną Górę XII ogólnopolska pielgrzymka kombatanów - żołnierzy Polski Walczącej. Do kombatanów dołączyła młodzież w mundurkach harcerskich. Po odśpiewaniu pieśni patriotycznych i po apelu poległych rozpoczęła się uroczysta suma celebrowana przez ks. bpa z Łomży i byłych duszpasterzy Polski Walczącej.

Po homilii, którą wygłosił ks. prał. Wacław

Karłowicz, nastąpiło uroczyste odczytanie aktów przekazania darów wotywnych, między innymi tablicy żołnierzy AK ziem południowo-wschodnich oraz sztandaru oddziału leśnego "Lech" trzeciej kompanii, 26 pułku piechoty piątej dywizji. Przekazanie darów było połączone ze ślubowaniem odnowy życia oraz wierności Bogu i Ojczyźnie.

45 ROCZNICA POWSTANIA SZARYCH SZEREGÓW

W 45 rocznicę powołania Szarych Szeregów, w krąganku kościoła o.o. Dominikanów w Poznaniu uroczystie odsłonięto i poświęcono granitową tablicę dla uczczenia harcerek i harcerzy Chorągwi Wielkopolskich ZHP poległych na wszystkich frontach walki zbrojnej, pomordowanych i zmarłych w czasie okupacji. Harcerki i harcerze pełnili służbę w Pogotowiu Harcerek i Pogotowiu Harcerzy kampanii wrześniowej 1939, w Szarych Szeregach - "Ul Przemysław" 1939-1945 oraz w "Związku Koniczyn" 1939-1943 i "Bądź Gotów" 1943-1945.

Odsłonięcia tablicy dokonał hm dr Roman Łyczyszek - pierwszy komendant Chorągwi Szarych Szeregów "Ul Przemysław" w Poznaniu, mianowany przez naczelnika Szarych Szeregów, byłego drużynowego 21 Poznańskiej Drużyny Harcerzy, hm Floriana Marciniaka. W przemówieniu wspominał swych poległych i zmarłych następców: byłego drużynowego 16 Poznańskiej Drużyny Harcerzy im gen. Józefa Bema - hm Franciszka Firlika, hm Jana Skrzypczaka, hm Sylwestra Woźniaka i innych instruktorów. Poświęcenia tablicy dokonał delegowany przez ordynariusza archidiecezji poznańskiej ks. Kanonik hm Marian Fąka w asyście kapelana harcerskiego hm. o. Stanisława Palińskiego, o. Bolesława, przeora zakonu OO.

Dominikanów w Poznaniu i innych kapłanów.

DZIEŃ PODCHORAŻEGO

29 listopada, w dniu podchorążego, przybyło w pielgrzymce na Jasną Górę około pięciuset byłych wychowanków Szkoły Podchorążych Piechoty z Ostrów-Komorowa i z Bydgoszczy promowanych w latach 1923 - 1939. Mszę św. przed obrazem Matki Bożej odprawił i wygłosił kazanie ks. bp Franciszek Musiel. Po Mszy św. celebrians poświęcił marmurową tablicę ufundowaną przez kolegów i rodziny ku pamięci oficerów, dowódców i wychowanków Szkoły Podchorążych Piechoty w Komorowie i w Bydgoszczy, poległych w obronie Ojczyzny, pomordowanych w obozach i więzieniach oraz zmarłych. Po zakończeniu liturgicznej modlitwy, uczestnicy pielgrzymki przeszli do arsenału, aby wziąć udział w uroczystym zawieszeniu na płaszczu tzw. Matki Boskiej, Hetmańskiej odznaki szkoły podchorążych.

SPOTKANIA ŚRODOWISK TWÓRCZYCH I NAUKOWYCH Z WARSZAWY

20 października zgromadziło się na Jasnej Górze ponad 800 osób należących do środowisk twórczych, w tym także dziennikarzy i wydawców. Oprócz wspólnego uczestnictwa w liturgii mszalnej i specjalnego nabożeństwa przed obrazem Matki Bożej, twórcy kultury wysłuchali referatu prof. Janiny Puzynińskiej o prawdzie i kłamstwie. Wymiana zdań i ożywiona dyskusja w nastroju wzajemnego zrozumienia i troski o losy kraju jednoczyły wszystkich w wyznaniu wiary i miłości do Ojczyzny.

W niedzielę, 21 października, specjalnym pociągami z Warszawy przyjechało ok. 1400

pracowników nauki. Wspólne przejście ze stacji kolejowej do Sanktuarium, uczestnictwo we Mszy św. odprawionej przed ołtarzem Matki Bożej przez przeora jasnogórskiego o. Rufina Abramka, okolicznościowe kazanie celebransa, specjalne nabożeństwo paraliturgiczne, zwiedzanie zabytków maryjnej stolicy, stanowiły pierwszą część programu pielgrzymki. W drugiej natomiast wygłoszono w auli papieskiej trzy referaty: doc. dr Wiesław Chrzanowski - "Myśli o patriotyzmie"; o. Jan Golonka, paulin - "Ołtarz Ojczyzny"; Marcin Przybyłowicz - "Otrzeźwienie narodowe pojęte w najszerszym sensie".

DZIEŃ SKUPIENIA PRAWNIKÓW

Ponad tysiąc prawników z całej Polski zgromadziło się 6 października na Jasnej Górze na dorocznym dniu skupienia. Tematyka spotkania koncentrowała się wokół problemów prawa: sprawiedliwości, miłości chrześcijańskiej i prawdy. Po powitaniu pielgrzymów przez generała paulinów o. Józefa Płatka i nabożeństwie Drogi Krzyżowej, której przewodniczył ks. Ireneusz Skubiś, redaktor tygodnika "Niedziela", Mszę św. w kaplicy Obrazu Matki Bożej odprawił ks. bp Kołodziejczyk, a kazanie na temat "Miłość chrześcijańska a prawo" wygłosił ks. Janusz Żyzniewski z Warszawy. Następnie w auli papieskiej prawnicy wysłuchali następujących wykładów: ks. Józef Tischner - "Prawda i sprawiedliwość"; ks. bp Tadeusz Gociławski - "Prawo i sprawiedliwość"; ks. Jan Dudziak - "Moralność a prawo".

Uczestnicy dnia skupienia wystosowali do władz państwowych i społeczeństwa apel antyalkoholowy. Wysyłając telegram do Ojca Świętego

prawnicy wyrazili przekonanie, że byt i rozwój naszej ojczyzny związany jest z Kościołem i oświadczyli, że wbrew wszelkim przeciwnościom zachowają wierność ideałom chrześcijańskim.

W telegramie do Prymasa Polski ks. kard. Józefa Glempa wyrażono między innymi podziękowanie Episkopatowi Polski za ujęcie w ramy organizacyjne środowiskowego ruchu prawników i za mianowanie krajowym duszpasterzem prawników ks. prof. Tadeusza Pieronka z Krakowa.

PODZIĘKOWANIA ŻYDOW DLA "CIEMNOLICEJ MADONNY"

1 sierpnia przybyła na Jasną Górę 36-osobowa grupa obywateli Izraela wyznania mojżeszowego. Większość z nich przeżyła getto w Łodzi i obóz zagłady w Oświęcimiu. Po zwiedzeniu zabytków i pamiątek religijnych sanktuarium jasnogórskiego pątnicy z Izraela przez dłuższy czas przebywali w postawie modlitewnej przed Cudownym obrazem Matki Bożej. Wpisując się do książki pamiątkowej obok polskich słów wdzięczności za oprowadzenie ich po sanktuarium i życzeń zostawili w języku hebrajskim podziękowanie Bogu i ciemnolicej Madonnie z Jasnej Góry za cudowne ocalenie z getta i obozu zagłady.

OGÓLNOPOLSKA PIELGRZYMKA GREKOKATOLIKÓW NA JASNEJ GÓRZE

W sobotę, 1 września, przybyła z całego kraju trzecia pielgrzymka wiernych obrządku grekokatolickiego, licząca około 4000 uczestników, wśród których oprócz księży były siostry bazylianki, słuźebniczki NMP i józefitki, a także ks. mitrat Jan Martyniak, wikariusz generalny dla Okręgu Południowego i o. Józefat Romanek -

bazylianin.

Po modlitwie maryjnej zwanej "Mołeben" w kaplicy Obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej, pielgrzymi zgromadzili się w bazylice na centralne nabożeństwo. Mszę św. celebrował ks. Teodor Majkowicz a kazanie w języku polskim wygłosił ks. dziekan Julian Gburwerbista. Mówca, nawiązując do obchodzonej w ich kalendarzu liturgicznym oktawy uroczystości Wniebowzięcia, ukazał Maryję jako przewodniczkę w pielgrzymce do Królestwa Niebieskiego.

RUMUNIA

POŁOŻENIE KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO

W okresie międzywojennym w Rumunii status Kościoła panującego miał Kościół prawosławny, natomiast Kościół grekokatolicki był uznawany jako "posiadający pierwszeństwo przed pozostałymi". Pozostałe Kościoły, między innymi Kościół rzymsko-katolicki miały w Rumunii jedynie status dopuszczalnych kultów. W 1929 roku sporne sprawy pomiędzy Rumunią a Watykanem uregulował konkordat. W 1948 roku Rumunia zerwała stosunki dyplomatyczne z Watykanem oraz wypowiedziała zawarty przed dwudziestu laty konkordat. Kontakty zostały ponownie podjęte dopiero w latach sześćdziesiątych. W styczniu 1968 r. Paweł VI przyjął na audiencji prywatnej rumuńską delegację rządową, a w 1973 r. odbył rozmowę z prezydentem Rumunii Nicolae Ceausescu. Od tej pory odbywają się robocze spotkania pomiędzy delegacjami Watykanu i Rumunii. W rozmowach tych uczestniczy między innymi ze strony watykańskiej arcybiskup Luigi

Poggi a z rumuńskiej przewodniczący departamentu d.s. wyznań Rosyanu.

W Rumunii mieszka około miliona katolików, wśród których dużą grupę stanowią Węgrzy i Niemcy. Największym skupiskiem katolików w Rumunii jest rejon Siedmiogrodu wchodzący w skład diecezji Alba Julia. Diecezją tą kieruje bp. Antal Jacob wraz z biskupem pomocniczym Antalem Balintem. Trzecim biskupem w Rumunii został mianowany ostatnio Jon Robu - administrator apostolski metropolii bukaresztańskiej. Pozostałe diecezje: Jassy, Satu Mare i Timisoara nie posiadają obsadzonych stolic biskupich.

Na terenie Rumunii znajdują się także metropolie dla katolików obrządku wschodniego w Fagarasz i Alba Julia oraz ordynariat dla katolików obrządku ormiańskiego.

NOMINACJA BISKUPA PO DWUDZIESTU LATACH

30 października Jan Paweł II mianował ks. dr Iona Robu administratorem apostolskim metropolii bukaresztańskiej. Ion Robu urodził się w 1944 r. w miejscowości Traianu w Mołdawii. Ukończył studia filozoficzno-teologiczne w seminarium duchownym w Jassach. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1968 r. W latach 1968-1973 był wikariuszem w Craiova, a następnie pracował duszpastersko w parafii katedralnej w Bukareszcie. W latach 1973-1977 studiował w Rzymie na Accademia Alfonsiana, gdzie otrzymał tytuł doktora teologii moralnej. Po powrocie z Rzymu wykładał w seminarium w Jassach teologię moralną a przez ostatnie dwa lata był również rektorem tej uczelni.

Nowy biskup od dawna przedstawiony był jako kandydat miejscowego duchowieństwa oraz Stolicy

Apostolskiej, długo jednak nie posiadał akceptacji władz rumuńskich. Metropolia bukareszteńską przez 20 lat zarządzał ks. prałat Franz Augustin, który jednak nie był aprobowany przez Watykan. Zmarł on w listopadzie 1983 r. Tymczasowy nadzór nad metropolią pełnił w tym okresie ks. Ion Robu, jako wikariusz kapitulny, czyli wybrany przez kapitułę katedralną - zarządzający metropolią. Po długich rozmowach władze wyraziły zgodę na jego nominację na administratora apostolskiego. Ks. Ion Robu otrzymał siedzibę tytularną Celle di Proconsolare. 8 grudnia Ion Robu otrzymał święcenia biskupie w Rzymie.

Nominacja ta komentowana jest w prasie zachodniej jako element normalizacji stosunków między Rumunią a Watykanem.

AUDIENCJA DLA RUMUNÓW

W niedzielę, 9 grudnia, po modlitwie Anioł Pański Jan Paweł II powiedział: "Zwracam się z serdecznym słowem do pielgrzymów rumuńskich, kapłanów i świeckich obecnych na placu św. Piotra z biskupem Petru Gergelem, ordynariuszem Jassy, którzy przybyli do Rzymu na konsekrację biskupa, administratora Bukaresztu, która miała miejsce wczoraj w Kaplicy Paulińskiej na Watykanie. Czekaając w radości na wasze spotkanie, które będzie jutro, serdecznie was pozdrawiam i błogosławię was".

Zgodnie z wypowiedzianym w bardzo serdecznych słowach zaproszeniem, następnego dnia - 10 grudnia, Ojciec Święty przyjął na audiencji grupę ok. 60 pielgrzymów z Rumunii. W spotkaniu tym uczestniczył również przedstawiciel władz rumuńskich. Jan Paweł II podkreślił, że nominacja

nowego administratora apostolskiego Bukaresztu ma na celu ze strony Stolicy Apostolskiej podtrzymanie żywych, chrześcijańskich tradycji dla wspólnego dobra narodu rumuńskiego.

Papież podkreślił między innymi fakt, iż sakra biskupia administratora apostolskiego Bukaresztu uwydatnia potrójną więź łączącą Kościół w Rumunii ze Stolicą Apostolską i następcą Piotra, z całym Kościołem Powszechnym i z narodem rumuńskim.

100-LECIE DIECEZJI JASSY

W tym roku przypada 100-lecie erygowania przez Leona XIII diecezji Jassy /Mołdawia/ w Rumunii. Uroczystości kościelne rozpoczęły się w diecezji już w początkach maja br., a w całej Rumunii na początku czerwca. Ukoronowaniem Jubileuszu były święcenia kapłańskie, których biskup Antal Jacob - ordynariusz diecezji Alba Julia udzielił 24 diakonom. W uroczystości tej brał także udział bp Lajos Bolint, biskup pomocniczy w Alba Julia. Najlepsze lata diecezji przypadają na okres 1925-1944, podczas zarządu pasterskiego bp Michał Robu. Do rozwoju diecezji przyczynili się również jezuici polscy, którzy podczas I wojny światowej i tuż po niej prowadzili miejscowe seminarium duchowne.

Najtrudniejszy okres, po śmierci bp M. Robu trwał od 1950- 1977 r. Stolica Apostolska zawiesiła nominacje biskupie. W lutym 1978 r. Paweł VI mógł mianować ks. Petru Gergela ordynariuszem ad lutum sancte sedis. Ostatnio w Jassach odbudowano gmach seminarium zniszczonego podczas trzęsienia ziemi w 1977 r. Zostanie on poświęcony w ramach obchodów jubileuszowych.

WĘGRY

PAPIESKIE GRATULACJE DŁA KARDYNAŁA LEKAI

Jan Paweł II przesłał list z życzeniami kard. László Lekaiewi, arcybiskupowi Esztergom i prymasowi Węgier, z okazji jubileuszu 50-lecia święceń kapłańskich. List wręczył kardynałowi przebywający obecnie na Węgrzech nuncjusz apostolski do specjalnych poruczeń, arcybiskup Luigi Poggi.

W liście tym, pisany w języku łacińskim, Ojciec Święty podkreślił m.in. wielką troskę kardynała Lekaia o Kościół na Węgrzech oraz fakt, że zdołał on z wielkim pasterskim wyczuciem stawić czoła smutnym i trudnym wydarzeniom w tym kraju. Papież napisał, iż kardynał Lekai wykazał wielką cierpliwość wobec trudności, mając na względzie zawsze i przede wszystkim chwałę Boga oraz dobro Ludu Bożego. Ojciec Święty wspomniał również zasługi kardynała Lekaia w dziedzinie budowy nowych kościołów w całej archidiecezji Esztergom.

List papieski został odczytany w tłumaczeniu na język węgierski w czasie Mszy św., którą 20 października w katedrze w Esztergom odprawił kard. László Lekai. Odbyło się to w obecności całego episkopatu Węgier. 29 października Jan Paweł II odprawił w kaplicy Matyldy w Watykanie Mszę św. koncelebrowaną z kardynałem L. Lekaiewem. W uroczystości tej brał również udział oficjalny przedstawiciel władz węgierskich, Imre Miklos - kierownik Urzędu d.s. kościelnych.

20-LECIE PROTOKOŁU WATYKANSKO-WĘGIERSKIEGO

14 listopada w siedzibie przedstawicielstwa Akademii Węgierskiej w Rzymie odbyła się uroczystość z okazji 20-lecia podpisania protokołu, który regulował szereg problemów w stosunkach między Stolicą Apostolską a Węgrami. W uroczystości uczestniczył watykański Sekretarz Stanu, kard. Agostino Casaroli, który 15 września 1964 r. był sygnatariuszem tego dokumentu ze strony Watykanu.

W uroczystościach rocznicowych wzięli także udział: kard. László Lekai - Prymas Węgier, abp Luigi Poggi - nuncjusz papieski do specjalnych poruczeń, oraz kierownicy kilku dykasterii watykańskich. Rząd węgierski reprezentował na spotkaniu ambasador WRL w Rzymie.

Węgry były pierwszym krajem socjalistycznym, z którym Stolica Apostolska podjęła rozmowy na temat normalizacji stosunków. Rozmowy w tej sprawie prowadził od 1962 r. Agostino Casaroli. Na mocy podpisanego w 1964 r. porozumienia, uregulowano procedurę związaną z mianowaniem biskupów i ordynariuszy diecezjalnych, określono także tekst przysięgi składanej przez biskupów i księży. Kierownictwo Papieskiego Instytutu Węgierskiego w Rzymie przeszło ponownie w ręce Episkopatu Węgier. Wcześniej zarządzali nim biskupi przebywający na emigracji. Zgodnie z podpisanym porozumieniem papież Paweł VI dokonał obsady pięciu wakujących stolic biskupich.

KOMENTARZE PRASY WĘGIERSKIEJ

Prasa węgierska pozytywnie odnotowała dwudziestą rocznicę zawarcia częściowego porozumienia między Stolicą Apostolską a Węgrami, jak też

dotychczasowy rozwój stosunków między państwem a Kościołem węgierskim. Podkreślano przy tym, że przyjazne kontakty między Watykanem a Węgrami stanowią element o szczególnym znaczeniu w okresie wzrastających napięć międzynarodowych oraz politycznie motywowanego zaostrzenia się różnic światopoglądowych.

Szczególną uwagę poświęcił rocznicy organ Węgierskiego Frontu Patriotycznego "Magyar Nemzet". Pismo podkreśla, że za pierwszym krokiem sprzed dwudziestu lat, poszły dalsze. Dzięki temu wyjaśniono wiele problemów, które nawet największym optymistom wydawały się trudne do szybkiego rozwiązania. Poprawie uległy warunki działalności Kościoła, tzn. "mógł on, stosownie do potrzeb wiernych, w większym stopniu spełniać swe zadania". Mówiąc o istniejących w kraju napięciach między siłami religijnymi i niereligijnymi pismo wskazuje na zdecydowaną postawę władz węgierskich, które zamierzają "myśleć perspektywicznie oraz rozeznąć i czynić to, co jest konieczne".

"Magyar Nemzet" cytuje wypowiedź sekretarza Węgierskiej Partii Komunistycznej, J. Kadara, opowiadającego się za kontynuowaniem "korzystnego procesu" w stosunkach między Węgrami a Watykanem: "Wysłuchujemy się nawzajem, poświęcamy interesom drugiej strony uwagę i szacunek". Zdaniem pisma, kontakty watykańsko-węgierskie przekraczają swym znaczeniem zwykłe stosunki dwustronne, gdyż "ich pozytywny rozwój może oddziaływać na stosunki międzynarodowe". "Jeżeli będzie nadal rozwijał się ten pozytywny proces - stwierdza pismo - jeżeli nasze stosunki nadal cechować będą zaufanie i właściwa współpraca, to mogą

się one stać takim elementem współżycia międzynarodowego, który będzie łagodząco wpływał na rosnące wokół napięcia". W komentarzu pobrzmiewa także nuta troski w związku z negatywnym oddziaływaniem sytuacji międzynarodowej na węgierską politykę kościelną. Pismo stwierdza: "Chcemy ufać, że możemy owocnie postępować dotychczasową drogą oraz, że określone, budzące zatroskanie wydarzenia widoczne ostatnimi czasy, nie wpłyną na dalszy rozbiór tych stosunków".

DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA KOŚCIOŁA NA WĘGRZECH

Wikariusz generalny archidiecezji ostrzyhomskiej bp Istvan Bagi w wywiadzie dla austriackiej agencji Kathpress potwierdził, że na Węgrzech powstanie nowe żeńskie zgromadzenie zakonne, którego zadaniem będzie opieka nad ludźmi starymi, chorymi i kalekami. Pierwotnie rozważano możliwość reaktywowania jednego z dawnych zgromadzeń rozwiązanych w 1950 roku, obecnie jednak zdecydowano, by utworzyć nową wspólnotę zakonną, która przyjmie członkinie poprzednich zgromadzeń. Zdaniem biskupa Bagi są szanse, że nowe zgromadzenie jeszcze w tym roku będzie miało około 100 kandydatek, a w ciągu najbliższych 15 lat ich liczba może wzrosnąć do 800.

Jesienią tego roku otwarty zostanie w Pecuś ośrodek kształcenia kościelnych pracowników socjalnych do pracy w domach starców i sierotach. Aktualnie na Węgrzech Kościół prowadzi 20 domów starców dla księży i zakonnic, jeden nowy dom starców dla świeckich i jeden niewielki zakład dla niewidomych dzieci.

Od pewnego czasu występują na Węgrzech niekorzystne zjawiska społeczne, takie jak rozwody,

usuwanie ciąży i alkoholizm. W związku z tym władze państwowe są żywotnie zainteresowane zwiększoną pomocą ze strony Kościoła w ich opanowaniu. Kościół będzie mógł więc wydatnie zwiększyć zakres swej działalności społecznej i charytatywnej.

SKAZANIE KAPŁANA - PACYFISTY

Dwudziestosiedmioletni węgierski kapłan katolicki, ks. Mihaly Lipień z parafii Gyomaendrőd odmówił wypełnienia formularza, którego władze domagają się celem określenia wysokości podatku wojskowego. Ks. Lipień swój sprzeciw wobec nakazu władz uzasadniał tym, iż w myśl nauki Chrystusa nie może w swoim sumieniu zgodzić się na to aby płacić podatki, które pośrednio są używane na cele stanowiące zagrożenie dla ludzkości. Tym samym nie do przyjęcia jest według niego przynależenie do organizacji i instytucji, których założeniem jest stosowanie przemocy. W związku z tym duchowny oświadczył o swoim wystąpieniu ze służby rezerwisty i odesłał swoją książeczkę wojskową odpowiednim władzom. Jednocześnie złożył wobec władz deklarację o gotowości płacenia podwójnej kwoty - obowiązującego podatku wojskowego - na cele społeczne.

Duchowny pacyfista został postawiony przed sądem za naruszanie zarządzeń dotyczących służby wojskowej i skazany na karę 600 forintów albo sześć dni więzienia. Ks. Mihaly Lipień złożył odwołanie od wyroku.

ODMOWA SŁUŻBY WOJSKOWEJ

O ile członkowie niektórych sekt /np.
336

świadkowie Jehowy/, zgodnie z odnośnymi przepisami ustawodawstwa węgierskiego, mają prawo odmówić wykonywania służby wojskowej, to w wypadku wierzących chrześcijan, a zwłaszcza katolików, brak jakiegokolwiek uregulowania tego problemu. Konsekwencją tego jest uwięzienie - w ostatnich latach - ośmiu młodych katolików węgierskich, którzy z racji swych pacyfistycznych poglądów odmówili odbycia służby wojskowej. Skazani zostali w związku z tym na kary do 32 miesięcy pozbawienia wolności. Liczne grupy pacyfistyczne na Zachodzie, a zwłaszcza organizacja o zasięgu międzynarodowym - "Pax Christi" wyraziły zaniepokojenie z powodu więzienia ludzi, którzy z przyczyn sumienia odmawiają wykonywania służby wojskowej na Węgrzech. "Pax Christi" zwrócił się z apelem do kardynała Lekaia i Episkopatu, ażeby wystąpił w obronie uwięzionych.

Sekretarz Konferencji Episkopatu Węgier, bp. Jozsef Cserhati oświadczył na konferencji prasowej w Budapeszcie, że istnieją pewne nadzieje iż na Węgrzech dojdzie do uregulowania prawnego zagadnień związanych z odbywaniem służby wojskowej przez katolików. Jednym ze sposobów rozwiązania tej kwestii może być ustanowienie za przykładem NRD - specjalnych jednostek, tzw. budowlanych.

OBRADY ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU LUTERAŃSKIEGO

W dniach od 22 lipca do 5 sierpnia w Budapeszcie odbyło się siódme Plenarne Zgromadzenie przedstawicieli Światowego Związku Luteranśkiego, z udziałem 340 delegatów reprezentujących 70 milionów chrześcijan - luteran z 97 lokalnych Kościołów. Obrady te miały wyjątkowy charakter: po raz pierwszy odbywały się w kraju komunistycz-

nym i również po raz pierwszy przedstawiciel bloku wschodniego został przewodniczącym władz naczelnych Związku. Jest nim 65-letni dr Zoltan Kaldy, biskup chrześcijańsko-luterańskiego Kościoła na Węgrzech.

Zdaniem obserwatorów, fakt zwołania Zgromadzenia Plenarnego do Budapesztu świadczy o tym, iż chrześcijanie całego świata podają sobie ręce ponad granicami i podziałami politycznymi. Świadczył o tym również program obrad, który obejmował między innymi takie zagadnienia jak stosunki Wschód-Zachód, kwestie związane z przestrzeganiem swobód religijnych w krajach komunistycznych, problemy tzw. nowego ładu ekonomicznego świata, w tym szczególnie dialogu Północ - Południe. Zgromadzenie poruszyło także sprawę intensyfikacji działań ekumenicznych i ewangelizacyjnych.

WIETNAM

"NAJSTARSZA CORA KOŚCIOŁA NA DALEKIM WSCHODZIE"

Od 30 kwietnia 1975 r., a więc od chwili przejścia przez komunistów władzy w całym Wietnamie, prawa człowieka i wolność religijna są deptane w niewyobrażalnym stopniu. Szczególnie dotknięty jest Kościół katolicki, do którego jak na azjatyckie stosunki należy dosyć znaczny odsetek ludności.

Nie bez racji papież Pius XI określił Kościół w Wietnamie mianem "Najstarszej córki Kościoła na Dalekim Wschodzie". Początki chrześcijaństwa w tym kraju datuje się na XVI wiek, wówczas to bowiem przybyli pierwsi misjonarze - hiszpańscy

dominikanie. Już w 1668 r. pierwsi Wietnamczycy zostali wyświęceni na kapłanów. Natomiast prośba o biskupów wietnamskich spełniona została przez Stolicę Świętą dopiero trzy stulecia później - w 1933 r. Od samych początków istnienia Kościoła doznawał prześladowań, z których najkrwawsze miało miejsce w XIX wieku. Wtedy to - między rokiem 1825 i 1883 tysiące katolików a wśród nich 100 kapłanów i 20 misjonarzy straciło życie. Prawie każda rodzina katolicka ma wśród swoich przodków jakiegoś męczennika.

Po podziale kraju w 1954 r., w ówczesnym Wietnamie komunistycznym /tj. północnym/ było 1,2 mln katolików w dziesięciu diecezjach. Natomiast w Wietnamie południowym żyło ok. 400 tysięcy katolików w pięciu diecezjach. W latach późniejszych stosunek liczbowy zmienił się głównie na skutek ucieczek z północy na południe. 24 listopada 1960 roku papież Jan XXIII dokonał reorganizacji struktury administracyjnej Kościoła, który liczył wówczas tylko trzy prowincje kościelne: Hanoi - z dziesięcioma diecezjami i 12 biskupami, Hue - z siedmioma diecezjami i 9 biskupami oraz Sajgon - z ośmioma diecezjami i 17 biskupami.

Annuario Pontificio podaje dla Wietnamu, w dziesięć lat po podziale kraju, że w części komunistycznej było w 1964 r. 833 tys. katolików, co stanowiło 5,6% ówczesnej liczby ludności /14,5 mln/. W Wietnamie Południowym żyło wówczas 1,5 mln katolików, co stanowiło 10,2% ogółu mieszkańców. Na północy działało 323 kapłanów, 10 zakonników i 335 zakonnic w 626 parafiach i 3476 kościołach. Na południu liczone w tym samym czasie 1302 kapłanów diecezjalnych, 383

zakonnych, ok. 1000 braci zakonnych i 6000 siostr. Liczba kościołów wynosiła 821 a kaplic 1431.

Po przejęciu władzy w Północnym Wietnamie przez komunistów rozpoczęła się polityka ucisku wobec Kościoła. Szkoły katolickie zostały upaństwowione a dzieci poddane nauczaniu ateistycznemu. Życie publiczne Kościoła władze ograniczyły do minimum. Ani jeden biskup z Wietnamu komunistycznego nie mógł uczestniczyć w obradach II Soboru Watykańskiego. Tylko dwukrotnie władze poczyniły pewne ustępstwa wobec Kościoła: pierwszy raz w 1956 r. /kiedy to w różnych częściach kraju wybuchło powstanie ludności/ i po raz drugi w 1974 r. /chcąc zapewnić sobie poparcie katolików przed opanowaniem części południowej kraju/.

PRZESŁADOWANIE DUCHOWIENSTWA

Międzynarodowa organizacja zajmująca się obroną więźniów sumienia - Amnesty International, opublikowała ostatnio raport dotyczący łamania praw ludzkich i swobód religijnych przez władze komunistyczne w Wietnamie. Jak wynika z tego sprawozdania reżim z chwilą przejęcia władzy w całym Wietnamie utworzył ponad 100 obozów odosobnienia, w których umieścił kilka tysięcy osób zajmujących stanowiska kierownicze w administracji rządu sajgońskiego. W obozach tych znalazło się również ponad 500 wybitnych intelektualistów i 300 kapłanów - głównie kapelanów armii południowowietnamskiej.

Po tej masowej fali internowań przyszła kolej na bardziej systematyczne represje wobec duchownych tak świeckich jak i zakonnych. Na

przełomie grudnia 1980 r. i stycznia 1981 r. aresztowano siedmiu o. jezuitów i jednego dominikanina. Przebywali oni w więzieniach śledczych prawie trzy lata, bowiem proces odbył się dopiero 29 czerwca 1983 roku. Pomimo oficjalnego zakazu 15 sierpnia odbyła się pielgrzymka do sanktuarium maryjnego w La Vang, w której uczestniczyło ponad 10 tys. osób. Odpowiedzialny za tę pielgrzymkę o. Nguyen Van Ly został aresztowany i 13 grudnia 1983 r. skazany na dziesięć lat pozbawienia wolności. W lutym bieżącego roku aresztowano w Can Tho /delta Mekongu/ i innych miastach prawie wszystkich Braci Świętej Rodziny. Ostatni proces, o którym wiadomości dotarły na Zachód, wytoczony został przeciwko pięciu jezuitom. Jeden z oskarżonych, o. Nguyen van Hien otrzymał karę dożywotniego więzienia za rzekomą działalność antyrewolucyjną. Zarzucano mu, że jest agentem CIA oraz szefem jakiejś grupy terrorystycznej. Pozostali czterej jezuiti otrzymali pięcioletnie kary pozbawienia wolności. Oskarżono ich o nielegalne wydawanie pisma pt. "Wiara i życie".

Według ocen Amnesty International ponad 200 kapłanów katolickich przebywa w obozach i więzieniach bez wyroku sądowego. Wielu spośród nich zostało pozbawionych wolności jeszcze w 1975 roku. Znajdują się wśród nich liczni zakonnicy: redemptoryści, jezuita, lazaryści, dominikanie i trapiści. Nie wszyscy jednak te obozy przeżyli. Istnieje dokumentacja mówiąca o 14 ofiarach reżimu, które zmarły w wyniku nieludzkiego traktowania i warunków życia w obozach. Naszym chrześcijańskim obowiązkiem jest zachować pamięć o tych kapłanach-męczennikach,

których imiona i nazwiska są nam znane: Van Khang Tuong, Hoang Quynh - w obozie koło miasta Ho-Chi-Minh /dawniej Sajgon/; Vu Duc Nghieu, Thay, Khoa - w obozie Thanh Phong; Gioi, Loc, Duc - w obozie Ben Tre; Phong - w obozie Phu Khanh; Joseph Nguyen Huy Cam - w obozie Vinh Long; Joseph Nguyen Duc Buu - w obozie Nha Trang oraz Vu Duch Kham, Joseph Nguyen van Ban i Hguyen Loi - w nieznanych z nazwy obozach.

Również i duchowni innych wyznań cierpią podobne prześladowania jak katolicy. Posiadane wiadomości mówią o internowaniu w obozach i więzieniach wszystkich dostojników buddyjskich i 50 duchownych protestanckich.

Następstwem tych prześladowań jest wzrastająca działalność podziemna różnych wspólnot religijnych, które potajemnie odprawiają nabożeństwa a także wyświęcają kapłanów.

ZSRR

ZAKOŃCZENIE OBCHODÓW 500-LECIA ŚMIERCI ŚWIĘTEGO KAZIMIERZA

W sobotę 25 sierpnia Ojciec Święty odprawił w swojej kaplicy prywatnej Mszę św. w języku litewskim. Msza św. była transmitowana przez Radio Watykańskie. W ten sposób Jan Paweł II uczestniczył w uroczystościach zakończenia obchodów 500-lecia śmierci św. Kazimierza. Uroczystości te odbyły się w Wilnie 26 sierpnia, w dniu przeniesienia relikwii Świętego, obchodzonym uroczystością od roku 1636 na pamiątkę złożenia doczesnych szczątków Patrona Litwy w katedrze wileńskiej. Kiedy po wojnie katedra została

342

przemieniona na muzeum, relikwie przeniesiono do kościoła świętych Piotra i Pawła.

We Mszy św. wzięła udział grupa Litwinów zamieszkałych w Rzymie i okolicy, personel sekcji litewskiej Radia Watykańskiego, obecny był także abp Paul Marcinkus, z pochodzenia Litwin. Po Ewangelii Jan Paweł II zwrócił się do obecnych w kaplicy i do słuchających go przez radio z przemówieniem w języku litewskim: "Dzisiaj w Wilnie, przy grobie św. Kazimierza, litewska wspólnota katolicka gromadzi się duchowo wokół swych Pasterzy, aby uroczyście zakończyć obchody ku czci Patrona Litwy.

Pięćsetlecie śmierci św. Kazimierza, tak drogiego wszystkim Litwinom, drogiego także mojemu sercu, jest datą w sposób szczególnie znaczący w dziejach Waszego narodu.

Obchodziliśmy ją w dniu 4 marca w Bazylice Watykańskiej. Dziś znów, niejako w duchowej pielgrzymce, jestem obecny wśród was sercem, myślą i modlitwą. Msza święta, którą odprawiam w waszym ojczystym języku, niech będzie znakiem mojego duchowego zjednoczenia z całą litewską wspólnotą katolicką. Papież jest z wami! Z wami jest też Kościół Rzymu, jest z wami Kościół Powszechny, który o was nie zapomina.

W eucharystycznej Ofierze złożę Panu radości i utrapienia, oczekiwania i nadzieje Kościoła na Litwie, całej waszej wspólnoty, tak wiernej ewangelicznemu orędziu, otrzymanemu przed sześcioma wiekami, orędziu, które zakorzeniło się w duszy i kulturze narodu, wydając w świętym Kazimierzu najpiękniejszy owoc świętości.

Kościół na ziemi litewskiej, na ziemi Krzyży! Modlę się o to, by nigdy nic nie mogło oddzielić

cię od miłości Chrystusa.

W mojej modlitwie pamiętam o każdym z was, moi współbracia, biskupi i kapłani. Pamiętam o duszach poświęconych Bogu, o seminarzystach i tych, którzy żywią pragnienie poświęcenia swojego życia na służbę Królestwa Bożego.

Noszę w sercu wszystkie rodziny chrześcijańskie, a w sposób szczególny młodzież, która czci św. Kazimierza jako swego specjalnego Opiekuna: niech postępują za przykładem jego gorącej wiary, życia w modlitwie, w czystości, we wspólnym spełnianiu dzieł miłosierdzia.

Z ojcowską miłością pamiętam w modlitwie o najmniejszych, pokornych, prześladowanych, a zwłaszcza o tych, którzy cierpią za wiarę, aby Pan dał im radość i pociechę na drodze życia w duchu Błogosławieństw.

Drodzy Bracia i Siostry z Litwy, razem wnieśmy naszą modlitwę do Pana, za możliwym wstawiennictwem Najświętszej Maryi i św. Kazimierza, abyśmy - silni i wspaniałomyślni w wierze, nadziei i miłości - mogli stawiać się "żywą ofiarą w Chrystusie na chwałę Boga Ojca!"

Choć nie jest mi dane osobiście uczestniczyć w obchodach waszego Jubileuszu, czuję się jednak obecny i złączony w komunii z Kościołem i narodem litewskim, któremu towarzyszy mój głęboki szacunek i braterskie Błogosławieństwo w imię Przenajświętszej Trójcy.

PAPIESKIE ORĘDZIE DO KOŚCIOŁA NA LITWIE

W sobotę 25 sierpnia br. opublikowano w Watykanie orędzie Jana Pawła II skierowane w dniu 23 sierpnia do przewodniczącego Konferencji Episkopatu Litewskiego, bp. Liudasa Povilonisa:

"W związku ze zbliżającą się wielką uroczystością, która w ramach obchodów 500-lecia śmierci Patrona Litwy odbędzie się 26 sierpnia w Wilnie, w dniu przeniesienia relikwii Świętego Kazimierza, pragnę dać wyraz głębokiej duchowej więzi z Braćmi w biskupstwie, z kapłanami, którzy pełnią swą posługę w tym drogim kraju, a także z powierzonymi ich pieczy wiernymi; więzi, która łączyła mnie ściśle z waszą wspólnotą chrześcijańską w tym szczególnym okresie jej życia.

Nie było mi dane radować się z upragnionej pielgrzymki wiary i miłości do Wilna, by uklęknąć przy grobie świętego i spędzić ostatni dzień obchodów wraz z waszą wspólnotą katolicką, ani też przekazać wam pozdrowienia za pośrednictwem mojego legata. Pragnę jednak zapewnić was o uczestnictwie - moim osobistym i Kościoła Rzymu - w składanym przez was Bogu synowskim dziękczynieniu za dobra duchowe, zesłane wam obficie w tym okresie łaski, w której pełniej uświadomiliście sobie wielkość daru Opatrzności, jakim jest dla Kościoła i dla waszej ojczyzny święty Kazimierz oraz dziedzictwo jego świętości, wciąż żywe pośród was i w was.

Modlę się, aby te dary duchowej odnowy, otrzymane przez was za wstawiennictwem Świętego Patrona i dzięki żywej pamięci świetlanego przykładu jego życia spędzonego na modlitwie, spełnianiu uczynków miłosierdzia, dawaniu świadectwa o Chrystusie i przenikniętego szczególną miłością do Najświętszej Dziewicy Maryi, wciąż przynosiły nowe owoce świętości oraz ufności i odważnego świadectwa wiary, w okresie, kiedy naród wasz przygotowuje się do obchodów 600-lecia

swego Chrztu.

Wraz z tymi życzeniami powierzam Maryi, Matce Miłosierdzia z Ostrej Bramy, całą litewską wspólnotę, a szczególnie młodzież, aby pełna radosnej nadziei, silna w utrapieniach wytrwała w modlitwie i - wrażliwa na potrzeby ubogich, stale głosiła orędzie Chrystusa i złączona braterską miłością, pod gorliwym przewodnictwem biskupów, wносиła swój niezastąpiony wkład w dzieła służące dobru człowieka i społeczeństwa, aby wszyscy ludzie mogli poznać tę prawdę, która niesie zbawienie.

Jako rękojmi tych dóbr udzielam szczególnego Apostolskiego Błogosławieństwa.

Jan Paweł II, Papież

PODZIĘKOWANIA KATOLIKÓW LITEWSKICH DLA OJCA ŚWIĘTEGO

Ojciec Święty,

Z wielką radością i wdzięcznym sercem przyjęliśmy telegram, który Wasza Świątobliwość zechciał skierować do naszej ojczyzny w ostatnim dniu uroczystych obchodów ku czci św. Kazimierza, głównego patrona Litwy.

Z głębi serca wyrażam Waszej Świątobliwości gorące podziękowanie, także w imieniu innych biskupów, wikariuszy kapitulnych, kleru i wiernych obu narodów, polskiego i litewskiego, za skierowane do nas pozdrowienia, za specjalne Błogosławieństwo Apostolskie, za ojcowską troskę, jaką Wasza Świątobliwość otacza każdego z nas. Wyrażamy także wdzięczność za Mszę św. w języku litewskim, odprawioną w papieskiej kaplicy.

26 sierpnia w Wilnie, my, wszyscy biskupi

Litwy przy udziale kleru i niezliczonej rzeszy wiernych, sprawowaliśmy Ofiarę Eucharystyczną, aby dziękować Bogu za wszystkie dary duchowe udzielane naszej umiłowanej Litwie za pośrednictwem św. Kazimierza. Ze względu na ograniczone wymiary kościoła, święte obrzędy zostały powtórzone dla Litwinów i Polaków. Podczas liturgii słowa wszyscy uczestniczący mogli wysłuchać orędzia papieskiego w języku litewskim i polskim.

Polecając się łaskawej opiece Waszej Świątobliwości na przyszłość, składamy u Twoich stóp pokorny hołd naszej synowskiej miłości.

Bp Liudas Povilonis
Przewodniczący Konferencji
Episkopatu Litwy

DWIE NOMINACJE BISKUPÓW

16 listopada Ojciec Święty mianował arcybiskupem przewodniczącego Konferencji Episkopatu Litwy bp. Liudasa Povilonisa - administratora apostolskiego Kowna i Wilkowyszek. Z tej okazji Sekretarz Stanu kard. Agostino Casaroli przesłał abp. Povilonisowi telegram następującej treści:

Z żywą radością przekazujemy Waszej Ekscelencji wiadomość, że Ojciec Święty z okazji przypadającej w tym roku dnia 21 czerwca - 50 rocznicy kapłaństwa Waszej Ekscelencji, nadaje mu ad personam tytuł arcybiskupa, przydzielając Mu kościół tytularny w Arcavica. Dodając ten tytuł do sprawowanego już urzędu administratora Kowna i Wilkowyszek, Jego Świątobliwość pragnie tym sposobem dać wyraz swej wdzięczności oraz szacunku dla dzieła apostolskiego, które Wasza Ekscelencja spełnia z oddaniem i wiernością, jako administra-

tor wspomnianych diecezji oraz jako przewodniczący Konferencji Episkopatu Litwy.

Jan Paweł II mianował biskupem pomocniczym abp L. Povilonisa ks. Jouzasa Preiskasa. Biskup nominat urodził się 22 listopada 1926 r., święcenia kapłańskie otrzymał 22 września 1951 r. Pracował duszpastersko w diecezji Wilkowyszki. Posiada licencjat z teologii, przez kilka lat wykładał dogmatykę w międzydiecezjalnym seminarium duchownym w Kownie. Ostatnio był proboszczem i dzikanem w Wilkowyszkach oraz sędzią prosynodalnym diecezjalnego trybunału.

Oble te nominacje komentowane są w prasie włoskiej jako "ważne wydarzenie w stosunkach między Stolicą Apostolską a Związkiem Sowieckim". Precedensem było wydarzenie sprzed dwóch lat, gdy Jan Paweł II podniósł do godności kardynalskiej łotewskiego biskupa, administratora apostolskiego Rygi i Lipawy, Julianasa Vaivodsa, który w sierpniu tego roku ukończył 89 lat.

Liczący 74 lata administrator apostolski Kowna i jego 58-letni biskup-sufragan "z prawem sukcesji" Jouzas Preiskas - akceptowani są, jak podkreśla prasa włoska przez władze Republiki Litewskiej. Należy przypomnieć, że Liudas Povilonis był pierwszym biskupem przybyłym po wojnie do Watykanu z wzytą "ad limina": odwiedził on Watykan w kwietniu ubiegłego roku na czele duchownych z Litwy. We wrześniu bieżącego roku bp L. Povilonis powtórnie był u Ojca Świętego, który przyjął go na prywatnej audiencji. Arcybiskup Kowna zatrzymał się w Rzymie na tydzień, a następnie udał się do Fatimy na posiedzenie Europejskiej Rady Biskupów.

NOWY DUSZPASTERZ EMIGRACJI LITEWSKIEJ

Papież Jan Paweł II mianował 59-letniego litewskiego franciszkanina Pauliusa Baltakisa pełnomocnikiem ds duszpasterstwa emigracji litewskiej i nadał mu godność biskupią. Ojciec Święty przyjął jednocześnie rezygnację dotychczasowego pełnomocnika, biskupa Antanasa Deksnysa, który ukończył 78 rok życia.

Biskup Baltakis od lat prowadzi pracę duszpasterską wśród Litwinów żyjących w USA i w Kanadzie. Kierował także pracami Litewskiego Centrum Katolickiego w Brooklynie, zarządzając od 1979 roku prowincją franciszkańską litewską w USA i Kanadzie.

ATAKI NA KOŚCIOŁ LITEWSKI

W wewnątrzpartyjnym "Biuletynie Informacyjnym" wydawanym przez wydział ideologiczny litewskiej partii komunistycznej znalazł się referat sekretarza P.Griskeviciusa. Wystąpienie to poświęcone zostało "aktualnym zagadnieniom walki przeciwko krańcowemu klerykalizmowi" i "zadaniom organizacji partyjnej w ateistycznym wychowaniu ludności Litwy".

Sekretarz Griskevicius daje we wstępie ogólny przegląd dotyczący sytuacji Kościoła na Litwie a następnie wypukla rolę Watykanu, który - wg niego - jest inspiratorem poczynąń antykomunistycznie nastawionych duchownych. Nie mniej "wrogą działalność" prowadzą zagraniczni turyści /świeccy i duchowni/, którzy "próbują przeszmuglować na Litwę wrogą literaturę" /tj. głównie Biblię i modlitewniki/.

Nie szczędził także złych słów "antykomunistycznie nastawionej części - zwłaszcza młodego

- duchowieństwa". "Kontrolę kazań należy wzmocnić a przeciwko tym kapłanom, którzy z ambon wypowiadają antykomunistyczne treści, trzeba zastosować ostrzejsze środki walki". "W każdym kolektywie robotniczym trzeba wzbudzić atmosferę nienawiści przeciwko ekstremistycznie nastawionym kapłanom". "Trzeba dążyć do tego, aby wierzący gorszyli się kazaniami o treści antysowieckiej i antykomunistycznej".

Dalej, skarży się Griskevicius, że mniej więcej 3 tys. dzieci objętych jest działalnością religijną. "Jest to bardzo poważne wykroczenie". Zaleca podjęcie zdecydowanych działań w walce przeciwko temu "niepokojącemu zjawisku". "Trzeba się starać o to ażeby dzieci trzymać możliwie jak najdalej od religijnych nabożeństw".

Skrytykował w związku z tym bardzo ostro pielgrzymki do miejsc świętych, uroczystości odpustowe i inne obrzędy oraz domagał się "natychmiastowego wykorzenia tych średniowiecznych tradycji".

Za szczególnie karygodne uznał istnienie tajnego seminarium duchownego tzw. korespondencyjnego, w którym kształcą się przyszli kapłani litewscy, jak również nielegalne zakony męskie i żeńskie. Według uznania Griskeviciusa na Litwie jest około 1000 zakonnic, które "trzeba tak unieszkodliwić ażeby przestały zupełnie oddziaływać na swoje otoczenie".

Listę żalów i irytacji sekretarza KP Litwy można by jeszcze długo kontynuować. Ważniejsze są jednak przyczyny, które spowodowały reakcję na tak wysokim szczeblu. Najkrócej można je określić mianem odrodzenia religijnego na Litwie. Aby uzyskać obraz tej eksplozji wiary wystarczy

350

spojrzeć na wywody Griskeviciusa z przeciwnej strony.

TELEGRAM GRATULACYJNY PAPIEŻA DO KARD. VAIVODSA

Ojciec Święty przesłał telegram gratulacyjny łotewskiemu kard. Julijanisowi Vaivodsowi, administratorowi apostolskiemu Rygi i Lipawy z okazji 20-lecia sakry biskupiej. Wraz z gratulacjami Jan Paweł II zapewnił kard. J. Vaivodsa o modlitwie zarówno w jego osobistych intencjach, jak i w intencjach Kościoła lokalnego, któremu przewodzi. Złożył również jubilatowi najlepsze życzenia, udzielając apostolskiego błogosławieństwa jemu i wszystkim, którzy biorą udział w uroczystościach 20-lecia jego sakry biskupiej.

Ponadto, jak podało Radio Watykańskie - powołując się na agencję TASS, łotewski kardynał został odznaczony przez władze sowieckie medalem honorowym za działalność pokojową. Rozgłośnia watykańska przypomina również, że kard. Vaivods przy końcu lat pięćdziesiątych był skazany na dwa lata więzienia za "działalność antysowiecką".

"ZAKAZANY KOŚCIOŁ NA UKRAINIE ŻYJE"

W związku z 25-letnim jubileuszem założenia exarchii ukraińskiej przez Papieża Jana XXIII, apostolski exarcha katolickich Ukraińców w RFN, biskup dr Platon Kornyljak udzielił w dniu 11 października bieżącego roku w Monachium wywiadu, w którym przedstawił obecne położenie Kościoła unickiego. Komuniści twierdzą, że Kościół ukraiński nie istnieje, "ale mylą się" oświadczył biskup: "Kościół żyje pomimo prześladowań".

W 1946 r. Kościół unicki został rozwiązany rzekomo decyzją synodu na Zachodniej Ukrainie i od pory może działać tylko w podziemiu. Próby wierzących podejmowane w latach 60-tych i 70-tych aby uzyskać legalizację, napotykały na twardą i nieugiętą postawę władz sowieckich. Dokumenty i pisma wydawane w samizdacie, które docierają na Zachód, świadczą o dużej aktywności zakazanego Kościoła na Ukrainie. Wielu wierzących świeckich oraz kapłanów, którzy oficjalnie zostali wcieleni do rosyjskiego Kościoła prawosławnego, zostali jednak w głębi swego serca katolikami.

Biskup Kornyliak mówił także o usiłowaniach jakie podejmuje się celem zapobiegania brakowi modlitewników i innych ksiąg liturgicznych. Bardzo poważną rolę w tym zakresie spełniają niezależne oficyny wydawnicze, które przedrukowują głównie dawne wydania. Ukraińskie duchowieństwo katolickie w znacznej części zostało wykształcone i wyświęcone w tajnych seminariach. Biskup określa ich mianem "wędrownych kapłanów", którzy przemierzają "wzdłuż i wszerz" Ukrainę odwiedzając rozproszone skupiska wiernych. Najczęściej oficjalnie posiadają jakieś "świeckie" zawody, a tylko w ośrodkach zaufanych wiernych znani są jako kapłani.

SP. KARDYNAŁ JOSYF SLIPYJ

7 września rano zmarł w Rzymie kard. Josyf Slipyj /Kobernyckyj-Dyckowsky/, arcybiskup większy Lwowa dla Ukraińców.

Urodził się 17 lutego 1892 r. w miejscowości Zazdrist /Zazdrość/, w archidiecezji lwowskiej. Po ukończeniu gimnazjum w Tarnopolu oraz studiów filozoficznych i filologicznych we Lwowie został

wysłany przez metropolitę obrządku grecko-katolickiego, Andrzeja Szeptyckiego, do Innsbrucka na studia teologiczne. Święcenia kapłańskie otrzymał z rąk metropolity Szeptyckiego 30 sierpnia 1917 r. W następnym roku uzyskał w Innsbrucku doktorat z teologii, po czym kontynuował studia w Papieskim Instytucie Wschodnim /Gregorianum/ oraz w uniwersytecie Angelicum. W 1922 r. powrócił do Lwowa, gdzie objął obowiązki profesora teologii. W tym też okresie zakłada teologiczny kwartalnik "Bohoslavia" i kieruje jego pracami. W 1925 r. zostaje mianowany rektorem seminarium, a w 1928 przewodniczącym Lwowskiego Towarzystwa Naukowo-Teologicznego. Publikuje wiele artykułów oraz poświęca się pracy duszpasterskiej.

22 grudnia 1939 roku otrzymuje z rąk metropolity Szeptyckiego sakrę, jako biskup tytularny Serre i koadiutor metropolity z prawem następstwa. W 1944 r. obejmuje urząd metropolity Lwowa, biskupa Halicza i Kamieńca oraz administratora apostolskiego metropolii kijowskiej. Podczas drugiej wojny światowej był szykanowany przez Niemców i poddany ścisłej inwigilacji. 11 kwietnia 1945 r. został aresztowany a następnie umieszczony w obozie karnym przez władze sowieckie.

W 1963 roku, dzięki interwencji Jana XXIII władze sowieckie - po osiemnastu latach - wypuszczają go na wolność. 9 lutego tego roku przybył do Rzymu, gdzie pozostał do końca życia. Paweł VI nadał mu tytuł arcybiskupa większego i mianował członkiem kongregacji Kościołów Wschodnich. W 1965 r. wszedł w skład Kolegium Kardynalskiego. Uczestniczył w pracach II Soboru Watykańskiego, wnosząc wkład swego osobistego

doświadczenia. W 1969 r. kardynał Slipyj dokonał konsekracji katedry św. Zofii w Rzymie. Przy niej zostały zorganizowane wydziały teologii, filozofii i studiów humanistycznych.

W marcu 1980 r. uczestniczył w pracach zwołanego przez Jana Pawła II Synodu Biskupów Ukraińskich w Rzymie, któremu przewodniczył Ojciec Święty. W czasie tego synodu Papież mianował koadiutora z prawem następstwa, którym został abp Myroslav Lubachivsky.

Przed udaniem się do Kanady, Ojciec Święty przybył z Castel Gandolfo do Rzymu, by w katedrze św. Zofii modlić się przy zwłokach zmarłego. Pogrzeb odbył się 13 września. Uroczystościom przewodniczył abp Myroslav Lubachivsky, następca zmarłego. Ciało kard. Slipyja, zgodnie z jego ostatnią wolą, spoczęło w krypcie św. Zofii w Rzymie.

USUNIĘCIE Z URZĘDU BISKUPA NIKONA

Święty Synod Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego na jednym z posiedzeń w bieżącym roku podjął decyzję o złożeniu z urzędu i przeniesieniu na emeryturę arcybiskupa Permu i Solikamu, Nikona. Prawdopodobnie przyczyną tego usunięcia był krytyczny w swej treści raport o sytuacji panującej w eparchii permskiej. Należy domyślać się, że w tym sprawozdaniu była mowa o konflikcie z władzami państwowymi. Przypuszczenie to znajduje potwierdzenie w raporcie /za rok 1974/75/ przewodniczącego Radzieckiej Rady do Spraw Religijnych, Furowa /por. poprzednie wydanie kroniki/. Z tego sprawozdania wynika, że Nikon, wówczas jeszcze biskup Archangielska był zaliczony do grupy tych biskupów prawosławnych, którzy

zwrócili uwagę władz przez to, że są "religijnymi konserwatystami" usiłującymi "obchodzić" prawa "kultu" i przedstawiającymi w fałszywy sposób postawę władz państwowych w stosunku do Kościoła i religii. Warto podkreślić tutaj fakt, że pozostali biskupi, których wówczas ganił Furowow, zostali w międzyczasie albo złożeni z urzędu, albo przeniesieni na emeryturę.

Nikon swoje obowiązki biskupie pełnił kolejno w Wyborgu, Luga i Rydze, a od 1966 r. w Astrachaniu. Później został przeniesiony do Archangielska gdzie dosięgła go krytyka Furowa, która prawdopodobnie spowodowała przeniesienie go w 1977 roku do Kaługi. W 1982 r. nastąpiło kolejne przeniesienie tym razem do Permu. Tu ostatecznie dosięgła go kara pozbawienia urzędu arcybiskupiego i przymusowego przejścia na emeryturę.

KOLEGIA, OBOZY, WIĘZIENIA...

Ze zrozumiałych względów liczba uwięzionych za wiarę nie jest dokładnie znana. Szacunkowe oceny mówią o setkach /600 bądź 800/ osób. Przewodniczący rosyjskiej sekcji Międzynarodowego Komitetu Obrony Praw Człowieka /IGFM/, Jurij Below, oświadczył, że jest to tylko "wierzchołek góry lodowej". Łączna liczba wiernych podlegających różnego rodzaju naciskowi aparatu policyjno-administracyjnego wynosi ok. 10 tys. osób.

Spośród tych tysięcy represjonowanych znaczna część jest karana przez instytucje odpowiadające naszym kolegom karno-administracyjnym. Z reguły są to kary pieniężne albo kilkutygodniowe areszty. Tak np. zidentyfikowani przez KGB sygnatariusze petycji w sprawie uwolnienia ks. A.Svarinskasa i S.Tamkeviciusa, zostali skazani na grzywnę

w wysokości 50 rubli, każdy. Dwa tygodnie aresztu może otrzymać ten, kto odmówi wykonania rozkazu rozejścia się podczas jakiegś uroczystości religijnej czy nabożeństwa, które zostało przerwane przez milicję.

W wypadku, jeżeli dokonany czyn przekracza kompetencje kolegium, wówczas następuje aresztowanie. Jest to okres psychologicznie bardzo trudny dla wielu więźniów. Odosobnienie, oderwanie od rodziny i przyjaciół, agresja ze strony kryminalistów i przede wszystkim wyczerpujące a często również brutalne przesłuchania, mają za cel złamać wolę więźnia. Jakkolwiek stosowanie narkotyków jest dowiedzione w szeregu wypadkach podczas śledztwa, najczęściej wymusza się zeznania przy pomocy nacisku psychicznego i fizycznego. Oficjalny czas trwania śledztwa nie może przekraczać sześć miesięcy.

Kolejnym etapem jest proces, na którym orzeka się nie tylko wysokość kary ale również jej rodzaj. Jest to zwłaszcza istotne w wypadku skazania na obóz karny. W Związku Sowieckim istnieją cztery stopnie surowości obozów: zwykły, intensywny, ścisły i specjalny. Każdy obóz odpowiada tylko jednemu z tych reżimów. W zależności od stopnia surowości danego obozu różnicowany jest sposób postępowania wobec więźniów, liczba widzeń w ciągu roku /3, 2, 1, żadnych odwiedzin/, podobnie "racjonowane" są paczki i listy.

Odwiedziny mogą odbywać się albo "bez nadzoru", tzw. prywatne, albo pod ścisłą kontrolą władz obozowych. Wszystkie listy wysyłane i otrzymywane podlegają cenzurze. Paczki jakie otrzymują więźniowie nie mogą zawierać produktów bogatych w kalorie i witaminy /owoce, czekolada, masło

i inne/.

W obozach o reżimie zwykłym i intensywnym więźniowie pracują w przedsiębiorstwach znajdujących się poza terenem obozu. Praca trwa 8 godzin dziennie bez żadnego dnia wolnego, przy czym w wypadku niewykonania planu normyienne są często przedłużane.

W reżimie ścisłym praca wykonywana jest również poza obozem, ale jest znacznie cięższa /wyrąb lasów, praca w kopalniach, roboty ziemne itp./.

Reżimy specjalne przeznaczone są dla "recydywistów szczególnie niebezpiecznych". Kieruje się tam często powtórnie skazanych "więźniów sumienia". Panują tam niezmiernie ciężkie warunki bytowania, spowodowane już ich umiejscowieniem, głównie w Azji, gdzie sam klimat jest zabójczy dla zdrowia.

Więźniowie w obozach otrzymują nieco pieniędzy za wykonywaną pracę, jednakże znaczna część ich "pensji" zatrzymywana jest przez władze na utrzymanie, wyżywienie, ubranie itp. Z pozostałej sumy więzień może wydać miesięcznie 7-3 rubli /w zależności od panującego reżimu/, w kantynie obozowej.

Znacznie surowsze warunki panują w więzieniach. Spowodowane to jest zupełną izolacją więźnia od otoczenia i bliskich, szykanami ze strony służby więziennej, złym pożywieniem /ok. 1200 kalorii dziennie/ itd. Podobnie jak obozy również i więzienia są podzielone na różne stopnie surowości. Obecnie istnieją dwa reżimy: zwykły i ścisły.

W reżimie zwykłym więzień ma prawo do godzinnego spaceru, może napisać jeden list miesięcznie,

wydać trzy ruble w kantynie więziennej i otrzymać zezwolenie na dwukrotne odwiedziny w ciągu roku pod nadzorem.

Natomiast w reżimie ścisłym ma prawo tylko do półgodzinnego spaceru, może napisać jeden list na dwa miesiące, wydać dwa ruble w kantynie, nie posiada natomiast prawa do odwiedzin.

Z chwilą, gdy skazany trafia do więzienia najpierw obowiązuje go dwumiesięczny reżim ścisły a w wypadku powtórnego skazania - sześciomiesięczny.

Kara obozu czy więzienia nie kończy z reguły gehenny skazanych, towarzyszą im jeszcze najczęściej kary zsyłki czy przymusowy pobyt w szpitalu psychiatrycznym.

WIĘZNIOWIE DOŻYWOTNI?

Praktyka ponownego aresztowania więźniów - jeszcze przed upływem odbywanej kary - nie jest czymś nowym w systemie przemocy państwa sowieckiego. Rozpowszechniona była już w czasach Stalina. W wykazie więźniów - skazanych za przekonania religijne - na rok 1983/84, figurują jeszcze jako odbywający karę, uwięzieni w 1940 roku. W ciągu ostatnich lat liczba powtórnie aresztowanych znów zaczęła niepokojąco wzrastać. Datą przełomową jest 1 października 1983 r., kiedy to na terenie Związku Sowieckiego wprowadzono do kodeksu karnego nowy artykuł 188-3, który daje możliwość ponownego skazania na dodatkowe 5 lat pozbawienia wolności, tylko na podstawie zeznań służby obozowej czy więziennej. Prawo to daje możliwość karania wszystkich, którzy "łamią przepisy dyscypliny obozowej", "wykazują złośliwe nieposłuszeństwo wobec służby nadzor-

358

czej" itd. Pod tymi pojęciami kryją się takie przestępstwa jak: leżenie w łóżku podczas dnia, niestaranne ubranie /wystarcza nieprzyszyty guzik/, nie mówiąc już o aktach protestu w postaci nieprzyjmowania pokarmów, czy odmowie pracy.

Pierwszy - znany na Zachodzie - przestępca ukarany na podstawie tego artykułu to Walerij Senderow. Został on skazany już w grudniu 1983 roku na dodatkowe pięć lat więzienia w mniej niż rok po rozpoczęciu odbywania poprzedniej kary siedmiu lat obozu ścisłego i pięcioletniego zesłania. Musi więc odbyć łączną karę szesnastu lat pozbawienia wolności. Na liście ponownie skazanych znajdują się również: wzmiankowany w poprzednim wydaniu Kroniki, Aleksej Kozorezow oraz w obecnym - Władimir Poresz. Ponadto we wrześniu bieżącego roku - na miesiąc przed zwolnieniem - zostali skazani na dodatkowe trzy lata obozu dwaj baptyści: Rudolf Klassen i Jakow Skornjakow. Na rok i dwa miesiące przed upływem poprzedniej kary, został ponownie skazany na dodatkowe trzy lata pozbawienia wolności - znany przywódca niezarejestrowanych baptystów, Nikołaj Baturin.

Upłynął zaledwie rok i 3 miesiące od wprowadzenia w życie artykułu 188-3 kk i już mamy pierwsze ofiary, co do których posiadamy sprawdzone informacje. Jest jeszcze za wcześnie na pogłębioną analizę, ale już teraz należy uświadomić sobie, że reżim komunistyczny bez skazywania na dożywocie, może więzić niewygodnych sobie ludzi dożywotnio.

WIĘZNIOWIE SUMIENIA

Barinov Valerij, członek chrześcijańskiej grupy rockowej "Trumpet Call" został skazany przez sąd w Leningradzie na dwa i pół roku obozu. Według informacji Brytyjskiego Instytutu "Keston College", zarzucano mu usiłowanie nielegalnego przekroczenia granicy w Murmańsku, za który to czyn w myśl artykułu 83 kodeksu karnego przysługuje kara od roku do trzech lat bez wygnania.

Jako właściwą przyczynę skazania "Keston College" wymienia fakt, że Barinov wielokrotnie i otwarcie propagował wiarę. Wobec sądu oświadczył: "Jedynym moim przestępstwem jest to, że publicznie przyznaję się, iż jestem wierzącym chrześcijaninem".

Podczas pobytu w leningradzkim więzieniu Barinov przeprowadził 22-dniowy strajk głodowy, który zamierza kontynuować aż do uzyskania od władz sowieckich sprawiedliwości. Następnie został umieszczony w szpitalu psychiatrycznym, ponieważ - jak orzekł lekarz - "poglądy Barinova na temat religii i wiary tak bardzo odbiegają od poglądów przeciętnego obywatela sowieckiego, że potrzebuje on w związku z tym leczenia psychiatrycznego".

Fedorenko Władimir, kapłan rosyjskiego Kościoła prawosławnego został pod koniec 1981 r. oskarżony o handel ikonami i skazany na pięć lat więzienia. Według informacji "Amnesty International" i "Keston College" rzeczywistym powodem uwięzienia Fedorenki były jego odważne kazania oraz rozpowszechnianie samizdatowej literatury religijnej. Obecnie dotarły na Zachód listy uwięzionego

kapłana, w których wskazuje na szczególnie ciężkie warunki więzienne. Jest w nich również mowa o psychicznych torturach stosowanych przez służbę więzienną jak i wykorzystywanych specjalnie do tego celu kryminalistach.

Horbala Mykola, prawosławny działacz ukraińskiej grupy helsińskiej na dwa dni przed zwolnieniem go z obozu karnego, został wtrącony do więzienia w Nikolajewie na Ukrainie. Przeciwko 40-letniemu nauczycielowi muzyki, kompozytorowi i poecie wszczęto ponownie śledztwo według paragrafu 187 kodeksu karnego Ukraińskiej Republiki Sowieckiej - /"Oszczerstwa przeciwko Związkowi Sowieckiemu"/.

Z wypowiedzi krewnych Horbala wynika, że skarga przeciwko niemu opiera się na wypowiedziach strażników i współwięźniów, wobec których wielokrotnie i zupełnie otwarcie mówił o nieludzkim traktowaniu skazanych. Wydaje się, że to ponowne uwięzienie jest dziełem KGB, która postanowiła nie dopuścić do uwolnienia Horbala w końcu października bieżącego roku. Ona też nasłała agentów mających za zadanie sprowokować tego działacza do protestów.

Mykola Horbal po raz pierwszy skazany został jeszcze w 1970 roku na siedem lat pozbawienia wolności. Podstawą tego wyroku były jego krytyczne wiersze o sytuacji społecznej w Związku Sowieckim. Po krótkim okresie pobytu na wolności, został skazany ponownie, tym razem na pięć lat obozu. Obecnie toczy się przeciwko niemu już trzeci proces sądowy.

Horbala jest chrześcijaninem prawosławnym. W ukraińskim samizdacie bardzo często ukazywały

się jego artykuły na tematy religijne.

Jakunin Gleb. O rosyjskim kapłanie prawosławnym, Glebie Jakuninie, który pod koniec października bieżącego roku miał zakończyć swoją pięcioletnią karę obozu, jeszcze w połowie miesiąca brak było wszelkich wieści. Jego córka otrzymała zwrot listu, który wysłała do ojca 11 października. Na kopercie znajdowała się adnotacja władz obozowych: "Jakunin już tutaj nie przebywa". Czy chodzi tutaj o zastosowanie wobec niego nowego przepisu o "wykroczeniach przeciwko dyscyplinie obozowej" czy też o przewidzianą wyrokiem trzyletnią zsyłkę na Syberię - nie wiadomo.

Przypomnijmy, że Jakunin został uwięziony 1 listopada 1979 r., a w sierpniu 1980 r. skazany na pięć lat obozu o surowym reżimie i trzy lata wygnania.

Do chwili aresztowania kierował założonym przez siebie w Moskwie "Chrześcijańskim Komitetem Obrony Praw Wierzących". Jednym z zadań tego "Komitetu" było zbieranie a następnie publikowanie dokumentów ujawniających prześladowania aktywnych wierzących oraz ucisk i uzależnienie rosyjskiego Kościoła prawosławnego od państwa komunistycznego. Międzynarodową sensację wywołało jego sprawozdanie przesłane na obrady Ekumenicznej Rady Kościołów w Nairobi.

W 1965 r. został suspendowany od obowiązków kapłańskich przez Moskiewski Patriarchat. Powodem tego stała się jego petycja - napisana wraz z ks. Eszlimanem - skierowana do patriarchy i domagająca się od władz kościelnych wzięcia w obronę prześladowanych prawosławnych w Związku Sowieckim.

Luczko Iwan. Na początku bieżącego roku został aresztowany a następnie umieszczony w więzieniu śledczym Iwan Luczko, członek gminy zielonoświątkowców oraz działacz "Komitetu Obrony Praw Wierzących". Proces pierwotnie wyznaczony na dzień 3 czerwca został obecnie odłożony na czas nieograniczony bez podania jakichkolwiek przyczyn. Powiadomiona o tym żona zwróciła się z apelem do różnych organizacji międzynarodowych, prosząc o interwencję w związku z przetrzymywaniem w więzieniu jej męża bez wyroku sądowego. W swym apelu nadmienia również, że otrzymywała pogróżki telefoniczne, w których straszono ją odebraniem dzieci. Państwo Luczko mają jedenaścioro dzieci i mieszkają w Równem na Ukrainie.

Lysach Paweł. W Moskwie został skazany na dziesięć miesięcy pozbawienia wolności czterdziestotrzyletni mnich prawosławny Paweł Lysach. Jak wynika z komunikatu wydanego przez "Keston College" został on oskarżony o "naruszenie postanowień dotyczących zezwolenia na pobyt" /paragraf 198 kodeksu karnego Rosyjskiej Republiki Sowieckiej/. Zarzucano mu bezprawne opuszczenie miasteczka Kimry w prowincji Kalinin i pobyt bez odpowiedniego pozwolenia w Moskwie.

Lysach ze względu na swoją bardzo żywą aktywność duszpasterską w Moskwie, zwłaszcza wśród młodzieży, został zesłany przez władze do miasteczka Kimry. Stamtąd jednak wciąż powracał do stolicy ażeby spotkać się ze swoimi dawnymi parafianami. Podczas jednych z takich odwiedzin został 9 sierpnia aresztowany i uwięziony. Do czasu rozpoczęcia się procesu Lysach przebywał w moskiewskim więzieniu śledczym Butyrki.

Lytwyn Jurij. Ukraiński działacz ruchu obrony praw wierzących oraz zaangażowany prawosławny, Jurij Lytwyn, popełnił samobójstwo w obozie karnym Kuczino koło Permu. Pięćdziesięcioletni pisarz i dziennikarz ogółem spędził w sowieckich obozach i więzieniach ponad 20 lat. Jego pierwsza, pięcioletnia kara pozbawienia wolności miała miejsce jeszcze w epoce stalinowskiej. Przedostatnią, trzyletnią, otrzymał w 1979 r. za przynależność do ukraińskiego Komitetu Helsińskiego. Ostatnie uwięzienie, pod koniec 1981 r., spowodowały jego publikacje drukowane w samizdacie a mówiące o nieludzkim postępowaniu i warunkach panujących w sowieckich łagrach i więzieniach. Wyrokiem sądu został skazany na dziesięć lat obozu o szczególnie surowym reżimie i pięć lat zesłania.

W 1979 r. skierował do szefa partii i państwa L. Breżniewa list otwarty pt. "Bez wiary wszystko wolno", w którym wyraża pogląd, że wszystkie okrucieństwa sowieckiego prawa karnego tkwią swymi korzeniami w ideologii ateistycznej, gdzie nie ma miejsca ani dla Boga, ani dla człowieka.

Marczenko Walerij. Trzydziestosiedmioletni ukraiński dziennikarz katolicki i działacz Ruchu Obrony Praw Człowieka, Walerij Marczenko, zmarł 7 października wieczorem w leningradzkim szpitalu więziennym. Pochowany został 13 października w swoim rodzinnym mieście - Kijowie.

Dawny redaktor pisma "Literaturnaja Ukraina" po raz pierwszy został skazany w 1973 r. na osiem lat pozbawienia wolności za "nacjonalizm". Powodem aresztowania było jego występowanie

w obronie autorów, których dzieła nie mogły być wydrukowane jak również wypowiedziana - na łamach jednego z artykułów - krytyka z powodu dyskryminacji języka ukraińskiego na Ukrainie. W 1981 r. został zwolniony z więzienia, jednak na wolności przebywał tylko dwa lata. Wówczas to opublikował szereg artykułów wydawanych w samizdacie a poświęconych głównie położeniu więźniów politycznych w sowieckich obozach i więzieniach. Treść tych publikacji posłużyła do oskarżenia go - w jesieni ubiegłego roku - o "antysowiecką agitację i propagandę". Jako "recydywista" polityczny został skazany przez sąd w Kijowie na piętnaście lat obozu karnego o ścisłym reżimie i umieszczony w słynnym łagrze Kuczino koło Permu.

Marczenko jeszcze podczas pierwszego uwięzienia nabawił się choroby nerek, która obecnie osiągnęła stan zagrażający jego życiu. Gdy stan jego zdrowia w dalszym ciągu dramatycznie się pogarszał, został wreszcie umieszczony w szpitalu więziennym w Permie. Okazało się, że jedynym ratunkiem dla Marczenki jest podłączenie sztucznej nerki, której ten szpital nie posiadał. Zrozpaczona matka wyjednała wreszcie u władz zezwolenie na przewiezienie syna do szpitala w Leningradzie. Niestety ratunek przyszedł za późno; Walerij Marczenko zmarł.

Podczas swojego pierwszego pobytu Marczenko przeszedł na wiarę katolicką. Jego największym pragnieniem było studiować teologię w Rzymie.

Markus Sergej. Pod koniec lipca bieżącego roku został skazany w Moskwie na trzy lata obozu karnego dwudziestoośmioletni rosyjski prawosławny

Sergej Markus. Został on oskarżony o "rozpowszechnianie kłamliwych informacji uwłaczających sowieckiemu państwu i porządkowi społecznemu". Podczas rewizji domowej znaleziono u niego a następnie skonfiskowano 10 egz. Biblii oraz kilka roczników katolickiego czasopisma Logos.

Matulionis Jonas. W Wilnie znów został uwięziony kapłan katolicki. Jest to już trzeci przypadek na Litwie w ostatnich dwóch latach. Dwaj uprzednio aresztowani kapłani Alfonsas Svarinskas i Sigitas Tamkevicius otrzymali kary pozbawienia wolności po dziesięć lat. W przeciwieństwie do nich Matulionis był kapłanem wykształconym i wyświęconym potajemnie. Swoją pracę rozpoczął jako wikariusz w parafii wspomnianego wyżej ks. Sigitasa Tamkeviciusa. Na dwa miesiące przed swoim uwięzieniem - w marcu 1983 r. - Tamkevicius otrzymał pisemne upomnienie od pełnomocnika do spraw religijnych na Litwie, Petrasa Anilionisa, w sprawie wikariusza - ks. Matulionisa. Czytamy w nim: "Obywatel Matulionis, który ani nie ukończył szkoły teologicznej, ani nie został wyświęcony na kapłana, nie posiada również urzędowej rejestracji, nigdzie nie pracuje, natomiast przywłaszcza sobie tytuł kapłana, odprawia Mszę św., służy spowiedzi, wygłasza kazania często o charakterze antyspołecznym oraz prowadzi kościelne procesje i ceremonie...". Pismo to pokrywa się z aktem oskarżenia jaki wniesiono przeciwko ks. Matulionisowi. Wyrok do chwili obecnej jeszcze nie zapadł.

Peters Peter. Jeden z przywódców niezarejestrowanych gmin baptystów, czterdziestojednoletni Peter Peters, w Rostowie nad Donem został ponownie

skazany na trzy lata obozu o zaostrzonym reżimie. Poprzednio odbył karę siedmiu lat więzienia. Po wyjściu na wolność przez długi czas nie mógł otrzymać pracy, w związku z czym zarzucano mu pasożytnictwo społeczne. Na sali rozpraw doszło do bardzo wzruszającej a zarazem wymownej sceny, mianowicie po ogłoszeniu wyroku na Petersa obecni tam młodzi członkowie gminy baptystów zarzucili go bukietami kwiatów.

Poresz Wladimir. Prześladowanie szczególnie aktywnych świeckich prawosławnych w Związku Sowieckim ostatnio znów się zaostrzyło. Represje te objęły między innymi trzydziestopięcioletniego członka nieoficjalnego chrześcijańskiego seminarium młodzieżowego, Wladimira Poresza z Leningradu. Został on skazany jeszcze w 1979 r. na osiem lat pozbawienia wolności /pięć lat obozu i trzy lata zesłania/.

We wrześniu bieżącego roku na trzy lata przed końcem kary zastosowano wobec niego artykuł 188-3, który wszedł w życie 1 października 1983 r. W myśl tego prawa o "łamaniu przepisów dyscypliny obozowej" zarząd więzienia czy łagru może nałożyć dodatkową karę do pięciu lat nawet bez zwykłego procesu sądowego. Jedną z pierwszych znanych na Zachodzie ofiar tego nieludzkiego artykułu padł właśnie Poresz, którego pobyt w obozie karnym został bez formalnego wyroku przedłużony o następne kilka lat.

Riga Aleksander. W lutym bieżącego roku za swoje przekonania religijne został uwięziony czterdziestopięcioletni katolik z Moskwy, Aleksander Riga. Obecnie, jako "niezdolny do porozumienia" został umieszczony w szpitalu psychiatrycz-

nym.

Riga w wieku 30 lat odszedł od marksizmu i przyjął wiarę katolicką. Wraz z innymi "nowonawróconymi", rekrutującymi się przeważnie z kół intelektualnych, Riga należał do wspólnoty ekumenicznej zrzeszającej katolików, prawosławnych i ewangelików. Grupa ta spotykała się regularnie na modlitwę, czytanie Pisma Świętego, śpiewanie psalmów oraz posiłki w stylu starochrześcijańskim agape. Wspólnota ekumeniczna, której członkiem był Riga, przede wszystkim bardzo pociągała młodych ludzi. Niewątpliwym jej sukcesem było uratowanie dla życia wielu narkomanów, których udało się uwolnić od nałogu. Jakkolwiek grupa ta świadomie unikała wszelkiej działalności publicznej to jednak mimo wszystko zwróciła na siebie uwagę sowieckich władz bezpieczeństwa. Konsekwencją tego były aresztowania i wyroki na członków wspólnoty, wśród których znalazł się również Aleksander Riga.

Sannikowa Jelena. Dwudziestopięcioletnia prawosławna działaczka Ruchu Obrony Praw Człowieka, Jelena Sannikowa, została 10 października bieżącego roku w Moskwie skazana na rok obozu i pięć lat zesłania. Jak podaje "Keston College" została ona oskarżona o "antysowiecką agitację i propagandę".

Pomimo młodego wieku była bardzo aktywna w swojej działalności. Od kilku lat działała w Ruchu Obrony Praw Człowieka. Za swoje zaangażowanie została skazana po raz pierwszy w 1981 roku. Następnie została na krótki czas umieszczona w zakładzie psychiatrycznym w Simferopolu. Brała również udział w corocznie odbywającym się /10 grudnia/ milczącym marszu urządzanym

przez rosyjskich dysydentów na Placu Puszkina w Moskwie. Za swoją działalność została wydalona z Instytutu Pedagogicznego, gdzie studiowała na wydziale filozoficznym.

Semczenko Aleksander Trofimowicz. Trzydziestosześcioletni kierownik moskiewskiej wspólnoty młodzieżowej zarejestrowanych baptystów, A.T.Semczenko, został skazany w bieżącym roku na trzy lata obozu karnego. Oskarżono go o rozpowszechnianie niedozwolonej literatury religijnej.

Semczenko wraz z dwoma innymi członkami gminy baptystów był już w 1978 r. poddany śledztwu. Zarzucano mu wówczas przynależność do nielegalnego klubu, w którym słuchano zagranicznych audycji radiowych oraz muzyki religijnej! Ze względu na brak konkretnych dowodów przeciwko Semczenko nie zapadł wyrok skazujący.

Jego żona wraz z sześciorgiem dzieci mieszka obecnie w Moskwie. Najmłodsze dziecko urodziło się wkrótce po obecnym procesie sądowym.

Tychyj Oleksa. W znanym obozie karnym o bardzo ścisłym reżimie Kuczino koło Permu, gdzie z reguły umieszczają się "recydywistów politycznych" z wyrokami dziesięcioletnimi, zmarł bardzo znany ukraiński prawnik Oleksa Tychyj /57 l./. Na dwa tygodnie przed śmiercią pozwolono rozwiedzionej z nim żonie na krótkie odwiedziny i rozmowę, podczas której wiele mówił o swoim przeobrażeniu wewnętrznym spowodowanym przyjęciem w więzieniu wiary chrześcijańskiej.

Oleksa Tychyj urodził się w 1927 r. W wieku trzydziestu lat został po raz pierwszy skazany na siedem lat pozbawienia wolności. Podstawą oskarżenia był jego protest z powodu zastępowania

w szkołach ukraińskich języka ukraińskiego - rosyjskim. Po trzechletnim pobycie na wolności został ponownie aresztowany w 1977 r. i skazany na łączną karę 15 lat obozu. Zarzucano mu założenie i szczególną aktywność w działalności Ukraińskiej Grupy Helsińskiej. Bramy łagru miał opuścić dopiero w 1992 r. Jego ciężkie schorzenia, które nabył między innymi w obozie /gruźlica, choroba wrzodowa i chora wątroba/ oraz niedostateczna opieka lekarska nie pozwoliły mu doczekać końca kary.

Vezikov Pavel. Ukazująca się w Estonii "Sovetskaja Estonija" zamieściła informację o skazaniu mieszkającego w Narva Pavla Vezikova /27 l./, członka zarejestrowanej gminy baptystów. Otrzymał on karę dwóch lat obozu na skutek oskarżenia o "rozszerzanie fałszywych wiadomości, które uwłaczały sowieckiemu systemowi społecznemu i państwowemu". W czasie rewizji domowej znaleziono u niego pewną ilość pism samizdatowych jak i drukowanych zagranicą rosyjskich książek.

Wśród skonfiskowanej literatury znajdowały się między innymi: książki A. Sołżenicyna, Nasza nadzieja - ks. D. Dudko, egzemplarze pisma "Herold Prawdy" oraz "Biuletyn" wydawany przez "Komitet Niesienia Pomocy Aresztowanym Baptystom".

NUMER DOTOWANY PRZEZ FUNDUSZ WYDAWNICTW
NIEZALEŻNYCH

SPOTKANIA

NIEZALEŻNE PISMO
KATOLIKÓW

nr 31

KRAKÓW – LUBLIN – WARSZAWA

1986